

CARL HIAASEN

Najnowsza powieść autora STRIPEASE'U

CARL
HIAASEN

AMBER
SERIES

PECHOWY FART



PECHOWY FART

AMBER
SERIES

AMBER
SILWANA
SERIA

CARL HIAASEN

Wybitnie utalentowany pisarz i dziennikarz. Jego czarny humor nie ma sobie równych we współczesnej prozie amerykańskiej.

Hiaasen urodził się na Florydzie, tam też rozgrywa się akcja wielu jego książek. Jako reporter „Miami Herald” wstawił się serią artykułów demaskujących najgłupsze skandale i afery: od korupcyjnych po narkotykowe. Jego rubryka prasowa stała się postrachem wszystkich tych, którzy balansują na granicy prawa. Hiaasen nie oszczędza nikogo, nawet osób postawionych najwyżej w społecznej hierarchii. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień przyznawanych dziennikarzom, bardzo cenionym również jako autor niezwykle popularnych powieści obyczajowo-sensacyjnych, m.in.: **Sezon turystyczny**, **Podwójne oszustwo**, **Druga skóra**, **Striptease w huraganie**. Sfilmowany z rewelacyjną Demi Moore w roli głównej **Striptease** wcale nie schodzi z amerykańskich list bestsellerów. Najnowsza powieść **Pechowy fart** również została entuzjastycznie przyjęta przez krytykę i czytelników.

Styl Hiasena jest jego charakterystycznym znakiem firmowym. Pisarz, ukazując w karykaturze amerykańskie instytucje i styl życia, łączy we właściwy tylko sobie sposób drastyczną brutalność akcji z komizmem i czarnym humorem.

PECHOWY FART

JoLayne Luicks, pielęgniarka z Grange na Florydzie, wygrywa na loterii stanowej dwadzieścia osiem milionów dolarów. Okazuje się jednak, że będzie musiała podzielić się pieniędzmi, ponieważ istnieje drugi los o tych samych szczęśliwych numerach. Jego posiadaczami są dwaj złodzieje i oszuści. Przekonani, że należy się cała wygrana, napałają na Jo, brutalnie biją kobietę i znikają z kuponem. JoLayne nie daje się jednak zastraszyć; wyrusza w pościg za złodziejami. Zamierza nie tylko odebrać swoją własność, ale przede wszystkim zemścić się...

AMBER
SILWANA
SERIA

Cena det. zł 24,50

ISBN 83-7169-728-7



9 788371 697289

CARL
HIAASEN

PECHOWY
FART

Przekład
Grażyna Jagielska



Tytuł oryginału LUCKY YOU

Ilustracja na okładce

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja merytoryczna

ZOFIA GRUDZIŃSKA

Redakcja techniczna

ANNA BONISŁAWSKA

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER
oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu

<http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © 1997 by Carl Hiaasen. All rights reserved

For the Polish edition Copyright © 1998 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.

00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13,620 81 62

Warszawa 1998. Wydanie I

Druk: Zakłady Graficzne „ATEXT” S.A. w Gdańsku

ISBN 83-7169-728-7

*Laureen
Jednej na milion*

Wszystkie wydarzenia i postaci opisane w tej książce są fikcyjne.
Pearl Key jest tworem wyobraźni autora, chociaż zwyczaje
żywieniowe kraba błękitnego i sępów czarnych odpowiadają prawdzie.
Stomatolodzy nie polecają natomiast smaru WD-40.

1.

Dwudziestego piątego listopada po południu JoLayne Lucks podjechała do mini-marketu Grab N'Go w Grange na Florydzie i kupiła mentolowe certy, niewoskowane nici do czyszczenia zębów oraz bilet loterii stanowej.

JoLayne Lucks grała na te same numery od pięciu lat: 17-19-22-24-27-30.

Każda cyfra miała swoją symbolikę; reprezentowała wiek, w jakim JoLayne pozbywała się uciążliwego mężczyzny. Za cyfrą siedemnaście krył się Rick, mechanik samochodowy, dziewiętnaście - brat Ricka, Robert. Dwadzieścia dwa - makler Colavito, dwa razy od niej starszy, który nie dotrzymał żadnej ze swoich obietnic. Dwadzieścia cztery - policjant, kolejny Robert, który napytał sobie biedy, ponieważ umarzał mandaty w zamian za usługi seksualne. Dwadzieścia siedem - Neal, kręglarz. Chciał dobrze, ale był beznadziejnie niezaradny.

A mając lat trzydzieści JoLayne porzuciła prawnika Lawrence'a, swego pierwszego i jedyne go męża. Lawrence stracił uprawnienia adwokackie dokładnie w tydzień po zawarciu małżeństwa, ale JoLayne została z nim jeszcze rok. Lubiała go i chciała wierzyć żarliwym zapewnieniom, że nie jest notorycznym oszustem, a z rejestru adwokatów stanu Floryda wykreślono go za niewinność. Złożywszy apelację, Lawrence zatrudnił się jako kasjer na autostradzie Beeline, czym omal nie zdobył serca JoLayne. Jednak pewnej nocy przyłapano go na kradzieży trzydziestofuntowego worka drobnych, głównie dwudziestopięciocentówek.

Zanim zdołał wystąpić o zwolnienie za kaucją, JoLayne spakowała jego rzeczy, między innymi drogą krawatę od Hermesa, i wysłała na adres Armii Zbawienia. Następnie wystąpiła o rozwód.

Była nadal wolna i samotna pięć lat później, kiedy wygrała, ku własnemu zdumieniu, na loterii stanowej. Siedziała właśnie przed telewizorem i dojadła resztki indyka, kiedy podano zwycięskie numery.

Nie zemdląła, nie wydała okrzyku radości i nie ruszyła w płąsy po domu. Uśmiechnęła się tylko, myśląc o sześciu mężczyznach w swoim życiu. Razem wzięci okazali się jednak coś warci.

Konkretnie dwadzieścia osiem milionów dolarów.

Godzinę wcześniej i prawie pięćset kilometrów dalej na południe przy drogerii w Florida City zatrzymał się czerwony dodge ram. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni: Bodean Gazzer, znany w pewnych kręgach jako Bode, oraz jego towarzysz Chub, który twierdził, że nie ma nazwiska. Chociaż zaparkowali na miejscu dla inwalidy, żaden nie był w widocznym stopniu ułomny.

Bode Gazzer miał sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i nigdy nie wybaczył tego swoim rodzicom. Nosił kowbojskie buty z wężowej skóry i chodził szeroko rozstawiając nogi, co miało sugerować przerost mięśni, a nasuwało myśli o hemoroidach. Chub był piwoszem mierzącym metr osiemdziesiąt, zakawionym, niegolonym i uczesany w kucyk. Nosił przy sobie broń i był najlepszym i jedynym przyjacielem Bode'a Gazzera.

Znali się od dwóch miesięcy. Bode Gazzer przyszedł do Chuba, żeby kupić sfalszowany emblemat inwalidy, który pozwoliłby mu skorzystać z najlepszego miejsca na parkingu urzędu do spraw osób warunkowo zwolnionych lub innej instytucji stanowej domagającej się od czasu do czasu jego obecności.

Przyczepa Chuba, podobnie jak jej dzierżawca, wydzielala wilgotny, grzybiczy fetor. Chub wydrukował właśnie nową serię emblematów i suszył je, niby karty do pokera, na blacie kuchennym. Jego rękodzieło (w przeciwieństwie do jego otoczenia) było nieskazitelne - inwalidzki fotel odcinał się ostro od niebieskiego tła. Żaden gliniarz z drogówki nie miał prawa go zakwestionować.

Chub zapytał Bode'a Gazzera, czego sobie życzy - może dostać oznakowanie na zdeznak, tylną szybę lub parapet. Bode powiedział, że wystarczy mu najprostsza naklejka.

- Dwieście dolców - oznajmił Chub, drapiąc się po głowie widelcem do sałaty.
- Krucho u mnie z forszą. Lubisz homary?
- Kto nie lubi?

Szybko doszli do porozumienia - podrabiane oznakowania inwalidzkie w zamian za dziesięć funtów świeżych homarów, które Bode Gazzer zwinął z molo w Key Largo. Było nieuniknione, że złodziej i fałszerz, tak silnie związani pogardą dla rządu, podatków, homoseksualistów, mniejszości narodowych, przepisów o posiadaniu broni, apodyktycznych kobiet i uczciwej pracy, połączą swe siły.

Chub nie podejrzewał się nawet o własny program polityczny i dopiero Bode Gazzer powiązał mnogość jego nienawiści w jedną jadowitą filozofię. Chub uważał, że Bode Gazzer jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego spotkał na swej drodze, i pochlebilo mu, kiedy nowy kumpel zaproponował, że utworzą milicję.

- Znaczy się, jak ci goście, co wysadzili w powietrze sąd w Nebrascie?
- W Oklahomie - poprawił go Bode Gazzer. - A rząd napuścił sędziów, żeby wrobić dwóch białych chłopaków. Ja mówię o milicji. Uzbrojonej, zdyscyplinowanej i dobrze kierowanej. Tak jest napisane w Drugiej Poprawce.

Chub podrapał bąble po ukąszeniu komarów na szyi.

- Kierowanej przez kogo, jeżeli wolno spytać?
- Przez ciebie, mnie, smitha i wessona.

- A to dozwolone?
- Tak jest napisane w pieprzonej Konstytucji.
- Wobec tego w porządku - powiedział Chub.

Bode Gazer wyjaśnił, że Stany Zjednoczone Ameryki zostaną wkrótce przejęte przez Trybunał Nowego Świata, dysponujący obcojęzycznymi wojskami NATO. Wojska te grupują się już na granicy z Meksykiem, a także w tajnych bazach na Bahamach.

Chub ogarnął znużonym wzrokiem horyzont.

- Na Bahamach?

Wraz z Bode'em kradli właśnie homary, podpłynawszy do mola dziewiętnastopową łodzią kuzyna Bode'a.

- Człowieku! - powiedział Bode Gazer. - Tam jest siedemset wysp, z czego większość niezamieszkana.

Chub zrozumiał.

- Rany Julek! - zawołał i rzucił się ściągać kosze z homarami.

Zorganizowanie milicji było kosztowne, a panowie Chub i Bode Gazer nie mieli pieniędzy. Bode wsadził całą gotówkę w nowego dodge'a, Chub w nielegalną drukarnię i arsenał. Zaczęli więc grać na loterii stanowej, która była jedynym dobrodziejstwem, jakie rząd stanu Floryda wyświadczył kiedykolwiek swoim obywatelom.

Każdej soboty, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdowali, zajeżdżali pod drogerię, parkując bezczelnie na miejscu dla inwalidy, wchodzili do sklepu i nabywali pięć biletów Lotto. Typowali na chybił trafił, a kiedy byli zbyt pijani, pozwalali komputerowi odwalić umysłową robotę.

Wieczorem dwudziestego piątego listopada Bode Gazer i Chub kupili pięć biletów Lotto i trzy opakowania piwa w sklepie 7-Eleven we Florida City. Nie mieli pod ręką telewizora, kiedy godzinę później ogłoszono szczęśliwe numery.

Znajdowali się na piaszczystej drodze, przy tartaku, parę kilometrów za reaktorem nuklearnym Turkey Point. Bode Gazer siedział na masce dodge'a i strzelał z karabinu Chuba do skrzynki pocztowej, którą ukradli ze skrzyżowania ulic w Homestead. Był to, jak wyjaśnił Bode, akt rewolucyjnego protestu, niby bostoński bunt herbaciany.

Skrzynka leżała na środku drogi, w światłach reflektorów. Bode i Chub wymieniali się karabinem aż do chwili, gdy zabrakło amunicji i budweisera. Potem przejechali pocztę w poszukiwaniu gotówki i czeków, ale szczęście im nie dopisało. Usnęli w szoferce. O świcie pojawili się dwaj rośli Meksykanie - bez wątpienia ochrona tartaku - którzy skonfiskowali karabin i przepędzili ich z posiadłości.

Dopiero po powrocie do przyczepy Chuba dowiedzieli się o swoim niezwykłym szczęściu. Bode Gazer siedział na sedesie, Chub leżał na kanapie przed telewizorem i żłopał piwo. Ładna spikerka podała szczęśliwe numery, które Chub zapisał na odwrocie ostatniego ostrzeżenia o eksmisji.

Usłyszawszy wrzask, Bode wyskoczył z toalety ze slipami opuszczonymi do kolan. Chub machał biletami, podskakując jakby paliło mu się pod nogami.

- Pieprzysz! - krzyknął Bode Gazer.

- Wygraliśmy, stary! Wygraliśmy!

Bode chciał chwycić bilety, ale Chub trzymał je wysoko.

- Dawaj! - zażądał Bode, podskakując. Genitalia majtały mu się między nogami.

- Podciągnij spodnie, na litość boską! - zaśmiał się Chub.

Wręczył bilety Bode'owi, który wyrecytował numery.

- Jesteś pewien? - pytał raz po raz.

- Spisałem je, Bode. Jestem pewien.

- Mój Boże! Dwadzieścia osiem milionów dolarów!

- W wiadomościach mówili, że ktoś jeszcze wygrał.

Oczy Bode'a Gazzera nabrały twardego wyrazu.

- Chrzanisz!

- Wygrały dwa bilety. Co i tak daje nam czternaście milionów, no nie? Kurde blaszka!

Język Bode'a, kluskowaty i plamisty, ukazał się w kąciku jego warg.

- Kto ma ten drugi bilet?

- Nie mówili.

- Jak się możemy dowiedzieć?

- Chryste! - jęknął Chub. - Gównu mnie to obchodzi. Niech go ma nawet sam pieprzony Jesse Franklin! Grunt, że nam się dostało czternaście melonów.

Nieogoloną twarz Bode'a wykrzywił grymas. Nakrył dłonią bilety Lotto i powiedział:

- Musi być sposób, żeby się dowiedzieć. Nie uważasz? Dowiedzieć się, kim jest zasraniec z drugim biletym. Musi być jakiś sposób.

- Po co? - zapytał Chub, ale upłynęła chwila, zanim otrzymał odpowiedź.

W niedzielę rano Tom Krome odmówił pójścia do kościoła. Kate, która spała z nim poprzedniej nocy, platynowa blondynka z piegami na ramionach, powiedziała, że powinni pójść i otrzymać rozgrzeszenie za to, co zrobili.

- A konkretnie? - zapytał Tom Krome.

- Już ty dobrze wiesz!

Krome zakrył twarz poduszką. Kate mówiła dalej, naciągając pończochy.

- Przykro mi, Tommy, ale taka już jestem. Czas, byś to zrozumiał.

- Uważasz, że to grzech?

- Co?

Zerknął spod poduszki.

- Uważasz, że popełniliśmy coś złego?

- Nie. Ale Bóg może się ze mną nie zgodzić.

- Więc ta wizyta w kościele ma charakter rozpoznawczy.

Kate siedziała teraz przed lustrem i czesała się w kok.

- Idziesz czy nie? Jak wyglądam?

- Cnotliwie.

Zadzwonił telefon.

- Cnotliwie? Nie, złociutki, to było wczoraj. Odbierz telefon, proszę. - Kate włożyła pantofle na wysokich obcasach i wstała, balansując na smukłych nogach.

- Naprawdę nie pójdziesz do kościoła? Nie mogę w to uwierzyć.

- Jestem bezbożnikiem. - Krome podniósł słuchawkę. Czekala w drzwiach sypialni, założywszy ręce na piersi. Krome zakrył dłonią membranę i powiedział:

- Sinclair.

- W niedzielę rano?

- Niestety. - Krome starał się nadać głosowi smętne brzmienie, ale pomyślał: Bóg istnieje.

Sinclair zajmował w „The Register” stanowisko pomocnika zastępcy redaktora działu reportażu. Liczył na to, że nikt spoza branży nie zdaje sobie sprawy ze znikomego znaczenia jego pozycji. W mniejszych gazetach była to posadka spokojna i mało prestiżowa. Sinclair nie pragnął niczego więcej. Jego reporterzy byli młodzi i bezwstydnie wdzięczni za to, że zostali zatrudnieni. Robili, co Sinclair im kazał.

Największym problemem Sinclaira był Tom Krome, pech chciał - jego najlepszy dziennikarz. Krome specjalizował się w ostrych wiadomościach i z tego powodu stał się niemożliwie cyniczny i podejrzliwy wobec wszelkiej władzy. Sinclair bał się Krome'a; słyszał o nim to i owo. Poza tym trzydziestopięcioletni Krome był starszy od niego o dwa lata, miał więc przewagę zarówno wieku, jak i doświadczenia. Sinclair rozumiał, że nie ma najmniejszej szansy, by Krome darzył go szacunkiem.

Prześladowała go myśl, że pewnego dnia Krome skompromituje go w oczach zespołu. Zrobi z niego palanta w obecności reporterki Marie albo sekretarki Jacquelyn. Sinclair czuł, że podobny incydent mógłby go załamać psychicznie, postanowił więc trzymać Krome'a z dala od redakcji i w tym celu przeznaczył dziewięćdziesiąt pięć procent swoich skromnych funduszy wyjazdowych na służbowe podróże Krome'a. Układ zadawał obu: Krome wyjeżdżał z przyjemnością, Sinclair zyskiwał trochę luzu w redakcji.

Do najbardziej kontrowersyjnych obowiązków Sinclaira należało rozdzielanie zadań reporterskich. Nie lubił zwłaszcza dzwonić do Krome'a do domu, przekrzykiwać muzykę rockową i głosy kobiet. Mógł sobie tylko wyobrazić, jaki tryb życia prowadzi Krome.

Sinclair nigdy przedtem nie dzwonił w niedzielę. Przeprosił kilkakrotnie.

- Nie ma sprawy - powiedział Krome.

Sinclair nabrał odwagi.

- Mam tu coś, co nie może czekać.

Krome bez trudu powściągnął podniecenie. Obojętnie w jakiej sprawie dzwonił Sinclair, nie był to przebój na pierwszą stronę. Przesłał w powietrzu całusa Kate i pomachał jej na pożegnanie.

- Dostałem cynk - powiedział Sinclair.

- Gratuluję!
- Szwagier dzwonił rano. Mieszka w Grange.
Kiermasz sztuki! - przeraził się Krome. Zabiję popaprańca, jeżeli wyśle mnie na kolejny kiermasz sztuki! Ale Sinclair zapytał:
- Grasz na loterii, Tom?
- Tylko wtedy, gdy można wygrać czterdzieści melonów. Mniej się nie oplaca.
- Wczoraj padły dwie wygrane. - Sinclair zagłębił się w swoją opowieść, ignorując kpiący ton Krome'a. - Jedna w okręgu Dade, druga w Grange. Mój szwagier zna babkę. Jej nazwisko... przygotuj się, Krome! Jej nazwisko brzmi... Lucks!
Tom Krome jęknął w duchu. Nagłówek: „Pani Lucks wygrywa na loterii!” oddawał całą głębię intelektu Sinclaira.

Oto temat na czyzy, w najwyższym stopniu żaloszny reportaż. Sinclair nazywał je dobroczujami. Wierzył, że misją jego działu jest sprawić, by czytelnik zapomniał o wszystkich potwornościach, jakimi nakarmiły go inne działły gazety, żeby poczuł się dobrze, pomyślał z zadowoleniem o swoim życiu, swojej religii, rodzinie, sąsiadach i świecie.

Kiedys wywiesił memorandum, w którym wyłożył swoją filozofię reportażu. Ktoś - Sinclair podejrzewał Krome'a - przypiął do niego zdechłego szczura.

- Ile wygrała? - zapytał Krome.
- Pula wynosiła dwadzieścia osiem milionów, więc dostanie połowę. Co o tym sądzisz, Tom?
- Zależy.
- Jest weterynarzem. Roddy mówi, że kocha zwierzęta.
- To miłe.
- No i jest czarna.
- O! - powiedział Krome. Biali redaktorzy naczelni uwielbiali milusie kawałki o mniejszościach narodowych; Sinclair liczył na święteczną premię.
- Roddy mówi, że babka jest przebojowa.
- Roddy to niby twój szwagier? - zapytał Krome. Szwagier informator.
- Zgadza się. Mówi, że JoLayne Lucks to dziewczyna z charakterem.
- I ten Roddy jest mężem twojej siostry?
- Joan. Zgadza się - odparł Sinclair nerwowo.
- Co twoja siostra robi w Grange?

Grange to przystanek dla ciężarówek, znany głównie z cudów, stygmatów, nawiedzeń i płaczących Matek Boskich. Pozycja obowiązkowa na liście chrześcijańskiego turysty.

- Joan jest nauczycielką - powiedział Sinclair. - Roddy pracuje dla rządu. - Dał wyraźnie do zrozumienia, że nią są jakimis̄ świrusami, ale odpowiedzialnymi obywatelami. Stwierdził, że kiedy zbyt długo rozmawia z Krome'em dłonie mu potnieją.

- Ta pani Lucks - powiedział Krome tonem mającym wyszydzić nieunikniony nagłówek - nie ma przypadkiem fiksacji na punkcie Jezusa? Nie jestem w nastroju do pouczeń religijnych.

- Tom, skąd mogę wiedzieć?

- Jeżeli powie, że Jezus podał jej szczęśliwe numery, koniec pracy, rozumiesz? Wracam do domu.

- Roddy o niczym takim nie wspominał.

Krome uznał, że pora wyciągnąć asa z rękawa.

- Pomyśl o listach, które dostaniemy.

- Co masz na myśli? - Sinclair nienawidził listów niemal na równi z rozmowami telefonicznymi. Za najlepsze artykuły uważał te, które nie wywoływały odzewu czytelników. - O jakich listach mówisz?

- Przyjdą całe tony, jeżeli napiszemy, że Jezus jest hazardzistą. Wyobrażasz sobie? Kurczę, możesz się spodziewać telefonu od samego Ralpa Reeda. Ani się obejrzymy, jak zbojkotują naszych reklamodawców.

- Może faktycznie nie jest to najlepszy pomysł - powiedział Sinclair i Tom Krome się uśmiechnął.

- Pojadę do Grange dziś popołudniu. Zobaczę co i jak, i dam ci znać.

- Świetnie - rzekł Sinclair. - Zdecydujesz na miejscu. Dać ci numer telefonu mojej siostry?

- To nie będzie konieczne.

Sinclair odetchnął z ulgą.

Demencio napełniał właśnie wodą Madonnę z włókna szklanego, kiedy przybiegła jego żona, Trish, z wiadomością, że ktoś w mieście wygrał na loterii.

- Nie my, jak przypuszczam - powiedział Demencio.

- Podobno JoLayne Lucks.

- To zrozumiałe.

Demencio zdjął czubek głowy Madonny i sięgnął do środka po plastikową butelkę, zawierającą niegdyś płyn do czyszczenia szyb samochodowych, a obecnie lekko perfumowaną wodę z kranu.

- Zapach Charlie się kończy - zauważyła Trish.

Demencio skinął głową z irytacją. To będzie problem. Rzecz w tym, by użyć zapachu trudnego do zidentyfikowania, inaczej pielgrzymi mogliby nabrać podejrzeń. Zaeksperymentował kiedyś z Lady Stetson, omal nie wywołując zamieszek. Wywęszyła je już trzecia osoba w kolejce, myszowata kasjerka z Huntsville.

- Hej! - zawołała. - Matka Boska płacze łzami firmy Coty!

Kobietę wyłuskano dyskretnie z tłumu i wyprowadzono ze świątyni, zanim doszło do rozróby. Demencio poprzysiągł sobie, że w przyszłości zachowa większą ostrożność. Uważał, że uperfumowanie łez Madonny jest z jego strony miłym gestem. Wierni czekający tak długo w gorącym słońcu Florydy zasługiwali na coś więcej niż kropelka słonej wody na palcach - chodziło przecież o matkę Jezusa! Jej łzy powinny mieć jakiś zapach.

Trish trzymała butelkę, podczas gdy Demencio wlewał ostatnie krople perfum Charlie. Jak zwykle zdumiała się, że mąż ma takie drobne, dziecięce dłonie. Byłby znakomitym chirurgiem, gdyby otrzymał od życia szansę. Gdyby urodził się, dajmy na to, w Bostonie, w stanie Massachusetts, zamiast w Hileah na Florydzie.

Demencio umieścił plastikową butelkę z powrotem w posągu Madonny. Przezroczy-
ste cienkie rurki łączyły zakrętkę butelki z wnętrzem powiek Matki Boskiej, w których
sprytny Demencio wywiercił dziurki wielkości główki od szpilki. Grubsza czarna rurka
biegła wewnątrz posągu i wychodziła dziuraw pięcie. Była połączona z gumową gruszką.
Ściśnięcie gruszki sprawiało, że sztuczne łzy wydobywały się z butelki i napływały rur-
kami do oczu Madonny.

Była to swego rodzaju sztuka i Demencio zaliczał się do najlepszych specjalistów w
branży. Dbał o to, by łzy były małe, subtelne i płynęły w pewnych odstępach czasu. Im
dłużej pielgrzymi tkwili w oczekiwaniu, tym więcej kupowali napojów gazowanych,
ciasteczek, koszulek bawełnianych, Biblii i gromnic.

Kupowali od Demencia, rzecz prosta.

Niemal wszyscy w Grange wiedzieli o sztuczce z rurkami i gruszką, ale niewiele się
na ten temat mówiło. Ludzie byli zajęci własnymi szwindlami, a poza tym, kiedy się
dobrze nad tym zastanowić, między Myszka Miki a Madonną z włókna szklanego istnia-
ła niewielka różnica.

Trish mawiała: „W gruncie rzeczy sprzedajemy przecież nadzieję”.

Demencio mawiał: „Wolę kramarzyć religią niż sztucznym gryzoniem”.

Zarabiał godziwie, choć nie był bogaty i prawdopodobnie nigdy nie będzie. W prze-
ciwieństwie do panny JoLayne Lucks, o której niesłychanym i niezasłużonym szczęściu
właśnie rozmyślał.

- Ile wygrała? - zapytał żony.
- Czternaście milionów, o ile to prawda.
- Nie jest pewna?
- Nic nie mówi.

Demencio parsknął. Każdy inny na jej miejscu biegałby po mieście i ogłaszał dobrą
nowinę. Czternaście milionów dolców!

- Powiedzieli tylko, że padły dwie wygrane, jeden bilet kupiony w Homestead, drugi
w Grange.

- W Grab N'Go?
- Aha.

Demencio złożył Madonnę do kupy. - Co ona zamierza?

Trish powiedziała, że według relacji sąsiadów, JoLayne nie wyszła z domu przez cały
ranek i nie odbiera telefonów.

- Może jej nie ma? - podsunął Demencio.

Wniósł Madonnę do domu. Trish poszła za nim. Ustawił posąg w kącie, obok zesta-
wu do gry w golfa.

- Chodźmy ją odwiedzić - zaproponował.
- Po co? - Trish zastanawiała się, co mąż planuje. Prawie nie znali tej Lucks.
- Zaniesiemy jej trochę biszkopta - powiedział Demencio. - Taka sąsiedzka, nie-
dzielna wizyta. Do cholery, dlaczego nie?

2.

JoLayne Lucks nie spodziewała się ujrzeć Trish i Demencia na frontowej werandzie, Demencio zaś nie spodziewał się, że ujrzy nogi JoLayne w pełnej okazałości. Otworzyła im drzwi ubrana w brzoskwińową bluzeczkę do joggingu i błękitne kolarki.

- Nie oczekiwałam gości - powiedziała sennie.
- Wpadniemy innym razem - odezwała się Trish.
- Co tam macie?
- Ciasto. - Demencio wpatrywał się jak zahipnotyzowany w umięśnione łydki JoLayne. Nigdy nie widział, żeby biegła, więc skąd te mięśnie?
- Wejdźcie - powiedziała i Demencio, strząsnawszy z ramienia rękę żony, wszedł do środka.

Stali, trzymając pospołu talerz z ciastem, podczas gdy JoLayne poszła naciągnąć dzinsy. Schludny domek nie nosił żadnych śladów poloteryjnej libacji. Trish rzuciła jakąś uwagę o pianinie w salonie; Demencio wpatrywał się w akwarium pełne żółwików - musiało ich być z pięćdziesiąt, pływały na oślep i objęły się o szybę.

- Ciekawe po co je trzyma - zwrócił się do Trish.
 - Cicho! To są zwierzątka domowe.
- JoLayne wróciła z włosami schowanymi pod czapkę baseballową, zdaniem Demencia, bardzo oryginalną i seksowną, zarówno w stylu, jak barwie. JoLayne zauważyła, że ciasto wygląda apetycznie.

- Biskopt - powiedziała żona Demencio. - Przepis mojej babci. Ze strony matki.
 - Proszę, siadajcie. - JoLayne zaniósła talerz do kuchni i postawiła na blacie.
- Trish i Demencio usiedli sztywno na antycznej kozetce z drzewa czereśniowego.
- To twoje żółwie? - zapytał Demencio.
- JoLayne uśmiechnęła się promiennie.

- Chcesz jednego?
Demencio potrząsnął głową.

- Mamy strasznie zazdrosnego kota - wyjaśniła Trish przeproszającym tonem.
JoLayne zdjęła folię z talerza i odłamała palcami kawałek ciasta. Spokojnie włożyła go sobie do ust.

- Co was sprowadza?
Trish zerknęła na Demencia, który poprawił się na kozetce.

- Cóż...! - powiedział. - Słyszeliśmy, że los się do ciebie uśmiechnął. No wiesz...
JoLayne nie wyszła mu naprzeciw, rozkoszowała się ciastem.

- No wiesz, mam na myśli Lotto.
Gęste brązowe brwi JoLayne powędrowały w górę. Nadal żuła ciasto. Demencio postanowił zmienić taktykę. Kobieta robiła wrażenie trochę nieobecnej. Trish pośpieszyła mu z pomocą.

- Wpadliśmy złożyć gratulację. Nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze w Grange.
- Nie? - Jaszczurczym liźnięciem JoLayne usunęła okruch ciasta ze swoich lśniących paznokci w kolorze kobaltu. - Myślałam, że cuda ciągle się tu zdarzają. Co niedziela, prawda?
Demencio poczerwieniał, rozumiejąc przytyk. JoLayne piła do jego Madonny.

- Miałam na myśli, że nikt tu nigdy nic nie wygrał - ciągnęła Trish zachęcająco. - Przynajmniej ja tego nie pamiętam.

- Pewnie masz rację.
- Szkoda tylko, że musisz się podzielić wygraną - mówiła Trish ze współczuciem. - Wprawdzie i na czternaście milionów nie ma co kręcić nosem, ale byłoby dobrze gdybyś dostała wszystko. Dobrze dla Grange.

Demencio rzucił żonie ostre spojrzenie.

- I tak jest dobrze dla Grange. Dzięki temu zaistniejemy na mapie.
- Napijcie się kawy? - zaproponowała JoLayne.
- Więc co zamierzasz, dziewczyno? - spytała Trish.
- Myślałam o tym, żeby nakarmić żółwie.

Trish zachichotała nerwowo.

- Wiesz, co mam na myśli. Nowy samochód? Albo dom nad morzem?
JoLayne przekrzywiła głowę.

- Chyba nie łapię.
Demencio miał dość. Wstał, podciągając spodnie.

- Nie będę udawał. Przyszliśmy prosić o przysługę.
JoLayne uśmiechnęła się promiennie.

- To rozumiem! - Zauważyła, że Trish zaciska nerwowo dłoń.
Demencio zakaszał, żeby oczyścić gardło.

- Niedługo zrobisz się sławna, będziesz w gazetach, w telewizji. Pomyślałem, że kiedy zapytają cię, skąd wzięłaś te szczęśliwe numery, mogłabyś szepnąć słówko.

- Za tobą?

- Za Madonną.
- Nigdy nie byłam w kaplicy.
- Wiem, wiem. - Demencio wyciągnął przed siebie dłonie. - To tylko pomysł. Nie nie mogę obiecać w zamian. To znaczy, jesteś przecież milionerką.

Chociaż miał szczerą nadzieję, że JoLayne nie zażąda udziału w zyskach, był gotów zaproponować jej dziesięć procent.

- To byłaby przysługa - bardzo cicho powiedziała Trish. - Zwykła sąsiadka przysługa.

- Idą święta - dodał Demencio. - Będziemy wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobisz. Za wszystko.

JoLayne Lucks odprowadziła ich do drzwi, ująwszy pod ramiona.

- Pomyślę, pomyślę. Znakomite ciasto Trish.

- Jesteś taka miła.

- Na pewno nie chcecie żółwia?

Demencio z żoną wycofali się tyłem z werandy.

- Dziękujemy bardzo - powiedzieli chórem i poszli w milczeniu do domu.

Trish zastanawiała się, czy nie otrzymała złych informacji. Z zachowania sądząc, JoLayne Lucks nie wygrała nawet opiekacza do grzanek, nie mówiąc o czternastu milionach w Lotto. Demencio doszedł do wniosku, że JoLayne Lucks ma chwiejną osobowość albo genialnie symuluje. Sprawa wymagała bliższego zbadania.

Bodean James Gazer spędził trzydzieści jeden lat doskonaląc się w sztuce przypisywania winy. Przy odrobinie wyobraźni jego życiowe credo - „Wszystko co złe zdarzyło się z winy kogo innego” - dawało się zastosować niemal w każdej sytuacji. Bode był w tej dziedzinie mistrzem.

I tak, przyczyną przypadłości żołądkowych, które miewał, było spożywanie mleka z napromieniowanych krów. Karaluchy w jego mieszkaniu załęgły się z winy sąsiadów imigrantów, tych flejtuchów. Jego finansowa klapa została spowodowana przez mzdazolowane komputery w banku i spiskujących syjonistów z Wall Street; niepowodzenie na rynku pracy na Florydzie wynikało z uprzedzeń wobec anglojęzycznych aplikantów. Nawet parszywa pogoda miała swoją przyczynę: zanieczyszczenie powietrza w Kanadzie i rozrzedzenie ozonu.

Oskarżycielski talent Bode'a Gazzera ujawnił się już we wczesnym dzieciństwie. Był najmłodszym z trzech braci, zszedł na manowce i rozwinął niebezpieczne zamiłowania do wagarowania, wandalizmu i podkradania. Rodzice nauczyciele próbowali nakłonić chłopca do powrotu na właściwą drogę i dowiedzieli się, że to oni są wszystkiemu winni. Bode twierdził, że jest prześladowany z racji niskiego wzrostu, a jego niski wzrost jest rezultatem wadliwej diety matki (oraz żarłoczości ojca) w okresie ciąży. Fakt, że oboje rodzice byli drobnej postury, nie wpłynął na tok rozumowania młodego Bode'a. Z telewizji dowiedział się, że ludzie jako gatunek stają się wyżsi z pokolenia na pokolenie, oczekiwał więc, że przerośnie rodziców choćby o parę centymetrów. Jednakże przestał rosnąć w ósmej klasie i żaloszny ten fakt odnotowywano latami podczas rodzinnych

ceremonii mierniczych na kuchennej futrynie. Drabinka kolorowych kresek potwierdziła najgorsze obawy Bode'a: jego dwaj starsi bracia nadal pięli się w górę, podczas gdy on przestał rosnąć w wieku lat czternastu.

Ta gorzka prawda nastawiła go wrogo wobec rodziców i społeczeństwa w ogóle. Stał się „złym elementem” w dzielnicy, inspiratorem drobnych kradzieży i chuligaństwa. Pracował ciężko na swój wizerunek łobuza, paląc papierosy bez filtra, spluwając na ulicy i nadużywając brzydkich wyrazów. Od czasu do czasu celowo prowokował starszych braci, by go pobili, i chwalił się przyjaciółom, że uczestniczył w bitwie gangów.

Rodzice Bode'a nie wierzyli w wychowanie przy użyciu siły i (z jednym wyjątkiem) nie podnieśli nigdy ręki na syna. Jean i Randall Gazerowie woleli omawiać problemy ze swoimi dziećmi i spędzili wiele godzin przy kuchennym stole „komunikując się” z zuchwałym Bodeanem. Był godnym przeciwnikiem. Nie tylko przyswoił sobie oratorskie umiejętności ojca i matki, ale wykazywał zdolności twórcze. Obojętnie, co zmajstrował, potrafił przedstawić zawiłe usprawiedliwienie i trwał przy nim niezłomie, nawet w obliczu przytłaczających dowodów.

Kiedy skończył osiemnaście lat, jego kartoteka policyjna liczyła trzy bite strony, a umęczeni rodzice oddali się w ręce doradcy zen. Bode cenił sobie rolę rodzinnej czarnej owcy, nie rozumianego wyrzutka. Mógł wszystko wyjaśnić, wystarczyło spytać. Jako dwudziestolatek żył piwem, przechwałkami i złością. „Jestem na czarnej liście Boga - oznajmiał w barach. - Radzę trzymać się z daleka”.

Seria niezdrowych przyjaźni wprowadziła Bode'a Gazzera w kulturę nienawiści i zadającego fanatyzmu. W dzieciństwie i we wczesnej młodości przypisywał winę za swoje niepowodzenia przedstawicielom szeroko pojętej władzy - rodzicom, braciom, gliniarzom, sędziom - z pominięciem takich czynników jak rasa, religia czy przynależność etniczna. Uderzał szerokim frontem, ale z niewielkim impetem. Ksenofobie i fanatyzm dodały mu wigoru. Teraz nie miał już do czynienia ze świrniętym gliną, który nakrył go z kradzionymi magnetowidami, ale z kubańskim świrniętym gliną żywiącym awersję do *Anglos*. Prawnik, który poddał jego sprawę, nie był już zdradzieckim adwokatem, który poddał jego sprawę, ale zdradzieckim żydowskim adwokatem, prowadzącym vendettę przeciwko chrześcijanom. Twardogłowy sędzia, który odrzucił jego prośbę o zwolnienie za kaucją, nie był już twardogłowym sędzią, ale sędzią czarnuchem, który chciał, żeby każdy biały tkwił w mamrze do usranej śmierci.

Polityczne przebudzenie Bode'a Gazzera zbiegło się z rewizją jego stanowiska odnośnie do działań kryminalnych. Postanowił zrezygnować z włamań, kradzieży samochodów i w ogóle z nastawiania na cudzą własność, na rzecz fałszerstw, podrabiania czeków i innych tak zwanych przestępstw papierkowych, za które sędziowie rzadko wymierzają karę więzienia.

Tak się złożyło, że ruch nienawiści, do którego przyłączył się Bode, propagował fałszerstwa jako formę nieposłuszeństwa obywatelskiego. Milicyjne broszury głosiły, że rabowanie banków, zakładów użyteczności publicznej i firm wydających karty kredytowe jest aktem wymierzonym przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych oraz liberałom, Żydom, ciotom, lesbijkom, czarnuchom, komunistom, którzy za nim stoją. Bode Gazer

zachwyił się logiką tego programu. Okazało się jednak, że podrabianie czeków idzie mu tylko trochę lepiej niż kradzieże oldsmobilów.

W przerwach między odsiadaniem wyroków ozdobił swoje mieszkanie antyrządowymi plakatami, które kupił na rozmaitych targach bronią: David Koresh, Randy Weaver i Gordon Kahl przedstawieni byli na nich jako bohaterowie.

Ilekróć Chub odwiedzał mieszkanie Bode'a, pił budweiserem toast za męczenników na ścianach. Dzięki telewizji miał niejaki pojęcie o Koreshu i Weaverze, o Hahlu wiedział zaś tylko tyle, że był farmerem w Dakocie, protestował przeciwko podatkom i federalni zrobili z niego sito.

- Cholerni bojówkarze! - warknął Chub, powtarzając wyrażenie zasłyszane na małym, ale bardzo burzliwym zebraniu milicji w Big Pin Key. Zawędrował z piwem na sofę, gdzie klapnął wyciągając przed siebie nogi. Jego myśli pobiegły jednak szybko od upadłych patriotów do własnego szczęśliwego losu.

Bode Gazzer siedział przy stole we wnęce jadalnej, z nosem w gazecie. Był w kąśliwym nastroju, odkąd dowiedział się, że nie otrzymają wygranej od razu - będzie im wypłacana w równych ratach przez dwadzieścia lat.

Co gorsze, raty będą opodatkowane!

Chub, który był wcale niezły w rachunkach, próbował podtrzymać go na duchu, mówiąc, że siedemset tysięcy dolarów rocznie, nawet po opodatkowaniu, stanowi kupę szmalu.

- To nie wystarczy na zorganizowanie bojówki patriotycznej - warknął Bode.

- Takie są zasady, nie ma zmiłuj się. - Chub wstał z kanapy i wcisnął przycisk telewizora. Nic się nie wydarzyło. - Schrzanił się, czy co?

Bode wyglądził płachtę gazety.

- Chryste, czy ty nic nie kumasz? Idzie o to, o czym rozmawialiśmy, o co warto walczyć - życie, wolność, szczęście.

Chub klepnął telewizor otwartą dłonią. Nie był w nastroju na wysłuchiwanie przemówień Bode'a, choć w tej chwili wydawało się to nieuniknione.

- W końcu trafiamy w dziesiątkę i co? - kontynuował Bode Gazzer. - Pieprzony rząd będzie nam wydzielał forszę przez dwadzieścia lat, a to, co dostaniemy, zagarnie przekłety urząd podatkowy!

Euforia Chuba z racji wygranej zaczęła słabnąć. Traktował loterię jako potencjalny sposób zgarnięcia fury pieniędzy bez konieczności babrania się w gównie. A z punktu widzenia Bode'a Lotto było tylko kolejnym przykładem ingerencji rządu w wolności obywatelskie.

- Myślisz, że to przypadek, że musimy podzielić się z kimś pieniędzmi?

Chub pomasaował sobie kark szyjką butelki. Zastanawiał się, do czego przyjaciel zmierza.

- Słuchaj, co ci powiem. - Bode postukał kłykciami w stół. - Skurwiel z drugim biletem jest czarnuchem, Kubańcem albo Żydem.

- Dlaczego?

- To ich metoda, Chub. Udupić porządnych Amerykanów, takich jak ty i ja. Myślisz, że pozwolą dwóm białym facetom zagarnąć całą pulę? Nie te czasy! - Bode wsadził nos z powrotem w gazetę. - Gdzie jest Grange? Koło Tamy?

Chub był wstrząśnięty teorią przyjaciela. Nie wiedział, że wygrane na loterii mogą być ustawiane. Jeżeli tak, to jakim cudem udało się im wygrać choćby połowę?

W czasie ich krótkiej przyjaźni Bodean Gazzer przedstawił mu kilka teorii spiskowych, które w sposób zadowolający wyjaśniały wiele tajemniczych zdarzeń. Dłaczego, na przykład, wielkie katastrofy lotnicze zdarzają się przed świętami Bożego Narodzenia?

Bode znał odpowiedź. Otóż Federalny Zarząd Lotnictwa żył pod nieustanną groźbą cięć budżetowych, a groźba ta nasilała się przed głosowaniem w grudniu, zanim Kongres rozjeżdżał się na wakacje. W rezultacie Federalny Zarząd Lotnictwa organizował sabotaż w jakimś samolocie przed świętami, wiedząc, że politycy nie będą mieli odwagi obciąć funduszy na bezpieczeństwo komunikacji lotniczej, kiedy świat ogląda zwęglone ciała wyciągane z wraka.

- Przemyśl to - powiedział Bode Gazzer.

I Chub przemyślał. Spisek rządowy wydał mu się bardziej prawdopodobny niż czysty zbieg okoliczności. Tyle się zdarza katastrof lotniczych!

Jednakże sfingowanie wyników loterii stanowej to zupełnie co innego. Chub był zdania, że nawet liberałowie nie posunęliby się tak daleko.

- To się nie trzyma kupy - powiedział pośepnie. Wygrało mnóstwo zwyczajnych białych, widział ich w telewizji. Nawiasem mówiąc, zamiast dyskutować z Bode'em Gazzerem, wolalby teraz oglądać mecz.

- Przekonasz się - powiedział Bode. - Zobaczysz, że mam rację. Gdzie jest Grange, do cholery?!

- Na północy - mruknął Chub.

- Ale mi pomogłeś! Stąd wszystko jest na północy.

Zza nabijanego ćwiekami pasa Chub wyjął kolta python .357 i przestrzelił głowę Davida Koresha na plakacie.

Bode Gazzer wychylił się z wnęki jadalnej.

- A ciebie co ugryzło?

- Muszę się wyładować. - Chub zatknął broń za pasek spodni, czując na udach przyjemne ciepło lufy. - Człowiek powinien być zadowolony, kiedy wygra czternaście milionów, a ja nie jestem zadowolony.

- No właśnie! - Bode Gazzer podskoczył ku niemu przez pokój i chwycił przyjaciela w gąbczasty uścisk. - Teraz rozumiesz - zniżył głos do szeptu - na co zszedł ten kraj. Sam widzisz, o co toczy się bitwa.

Chub skinął ponuro głową, nie zdradzając swoich niepokojów. Słowo „bitwa” kojarzyło mu się z ciężką pracą, a ciężka praca powinna być ostatnią rzeczą na liście zajęć świeżo upieczonego milionera.

Tendencja do zmniejszania objętości gazet, zaobserwowana na początku lat dziewięćdziesiątych, miała na celu utrzymanie poziomu zysku, jakimi przemysł ten cieszył się przez większą część wieku. Nowe pokolenie menedżerów, wolne od pasji poważnego

dziennikarstwa, znalazło łatwy sposób na ograniczenie kosztów wydawania dziennika. Pierwszą ofiarą była głębia przekazu.

Zmniejszenie objętości kolumn informacyjnych stanowiło doskonały pretekst do cięć personalnych. W większości dzienników zlikwidowano więc luksusy takie jak: dział kronik policyjnych, wydania regionalne, biura korespondentów zagranicznych, specjalistów od ochrony środowiska i oczywiście - zespoły reporterskie (od dawien dawna antagonizujące miejskich notabli i reklamodawców). Im cieńsze i płytsze stawały się gazety, tym ciężiej pracowali wydawcy, by przekonać Wall Street, że czytelnik nic nie zauważył, a jeżeli zauważył, to machnął na to ręką.

Pech chciał, że Tom Krome uwił sobie ciepłe gniazdko w szanowanej gazecie i został go pozbawiony w czasach, kiedy rynek był zapchany żłaknionymi pracy dziennikarzami. Na domiar złego osiągnął szczyt kariery jako publicysta akurat wtedy, gdy skończył się popyt na te właśnie umiejętności.

Na przykład „The Register” poszukiwał eksperta w dziedzinie rozwodów.

Sinclair przejrzał podanie o pracę Krome'a.

- Rośnie zapotrzebowanie na tego typu materiały - powiedział. - Rozwodziłeś się kiedyś?

- Nie - skłamał Krome.

- Świetnie! Żadnych obciążeń, uprzedzeń i goryczy.

- Ale w ogłoszeniu było napisane, że szukacie publicysty.

- To będzie publicystyka, Tom. Pięćset słów. Dwa razy w tygodniu.

Krome pomyślał: Wiem, co zrobię - przeprowadzę się na Alaskę. Będę łapał łososie na wędkę. Zimą popracuję nad powieścią.

- Przepraszam, że zająłem panu czas. - Wstał, uściśnął dłoń Sinclaira (nasuwającą myśli o śliskiej, martwej rybie) i wrócił do Nowego Jorku.

Tydzień później zadzwonił redaktor naczelny i zaproponował Krome'owi pracę reportera z pensją trzydziestu ośmiu tysięcy rocznie. Żadnych rozwodów - dzięki Bogu. Temat nie wydał się naczelnemu „The Register” gorący.

- Brak mu wyczucia rynku - wyjaśnił szeptem Sinclair.

Tom Krome przyjął pracę reportera, ponieważ potrzebował pieniędzy. Oszczędzał na chatę na wyspach Kodiak lub w pobliżu Fairbanks, gdzie mieszkałby zupełnie sam. Zamierzał kupić dzipa i fotografować wilki, karibu i niedźwiedzie grizzly. Zamierzał napisać powieść o fikcyjnej aktorce Mary Andrei Finley, powieść opartą na życiu niejakiej Mary Andrei Finley, kobiety, z którą przez ostatnie cztery lata próbował się rozwieść.

Pakował się, kiedy Katie wróciła z kościoła.

- Dokąd? - Jej torebka grzmotnęła o blat stołu, jakby nosiła w niej cegłę.

- Mieścina o nazwie Grange - powiedział Tom Krome.

- Znam - odparła Katie gniewnie. - Mają tam różne osobliwości.

- Zgadza się. - Krome zastanowił się, czy Katie nie jest przypadkiem jednym z pielgrzymów religijnych. Wszystko było możliwe; znali się dopiero dwa tygodnie.

- Matkę Boską, która płacze - ciągnęła Katie. Podeszła do lodówki i naląła sobie szklanekę soku grejpfrutowego. Krome czekał na dalsze informacje o Grange. - I twarz Jezusa - powiedziała między jednym łykiem a drugim. - Na samym środku autostrady.

- Słyszałem o tym.

- Plama. Ciemnofioletowa. Jakby krew.

Albo smar przekładniowy, pomyślał Krome.

- Byłam tam tylko raz - powiedziała Katie. - Zatrzymaliśmy się, aby wziąć benzynę w drodze do Clearwater.

Krome odetchnął z ulgą słysząc, że Katie nie jest stałym bywalcem Grange. Wrzucił do walizki stosik czystych slipów.

- Jakże odniosłaś wrażenie?

- Dziwne miejsce. - Katie dopiła sok i umyła szklanekę. Zrzuciła pantofle i usiadła przy stole, skąd mogła swobodnie obserwować pakującego się Toma. - Nie widziałam płaczącej Madonny, tylko tego Jezusa na szosie. Ale całe miasto jest dziwne.

Krome powstrzymał uśmiech. Liczył na to, że będzie dziwne.

- Kiedy wrócisz? - zapytała Katie.

- Jutro, pojutrze.

- Zadzwoń do mnie?

Krome podniósł wzrok znad walizki.

- Jasne, Katie!

- To znaczy, z Grange?

- Aaa...Tak, oczywiście.

- Myślałeś, że pytam, czy w ogóle zadzwonisz, prawda?

Jak to się stało, że wdał się w zasadniczą rozmowę w niedzielne przedpołudnie? Próbował się tylko spakować, na litość boską, a udało mu się zranić uczucia Katie. Był zdania, że to pauza między „aaa” a „tak, oczywiście” wzbudziła jej niepokój.

Jedynym wyjściem była natychmiastowa kapitulacja: Tak, tak, słodka Katherine, wybacz mi. Masz rację, jestem draniem, niewrażliwym i egoistycznym. O czym ja myślałem! Oczywiście, że zadzwonię natychmiast po przyjeździe do Grange.

- Katie! - powiedział. - Zadzwoń natychmiast po przyjeździe do Grange.

- W porządku. Wiem, że będziesz zajęty.

Krome zamknął wieko walizki, zatrzasnął klamry.

- Chcę zadzwonić.

- No dobrze, byle nie wieczorem.

- Pamiętam.

- Art wraca do domu...

- O szóstej trzydzieści.

Art był mężem Katie. Sędzia Arthur Battenkill junior. Krome miał wyrzuty sumienia, że Katie zdradza Arta, choć nigdy go nie widział i choć Art zdradzał Katie ze swoimi obiema sekretarkami. Był to powszechnie znany fakt, zapewniła Katie Krome'a na

drugiej randce, rozpinając mu spodnie. Oko za oko, powiedziała; tak jest napisane w Biblii.

Mimo to Tom Krome czuł się winny. Nie było to nic nowego. Poczucie winy towarzyszyło wszystkim jego romansom od młodości lat. Było również nieodłącznym elementem jego rozwodu.

Katie Battenkill znęcała go pięknymi, wyrazistymi rysami i tryskającym zdrowiem. Pobiegła za nim któregoś dnia, kiedy uprawiał jogging. Zaplątał się w jakiś marsz dobroczynny - nie pamiętał, na rzecz szpitala czy szkoły - i niezdarnie wcisnął jej w ręce pieniądze. Potem sprawy potoczyły się szybko - usłyszał za sobą jej kroki. Zaszli na lunch do pizzerii, gdzie pierwsze słowa Katie brzmiały: „Jestem mężatką i nigdy przedtem tego nie robiłam. Boże, umieram z głodu!” Tom Krome lubił ją ogromnie, ale prędko zrozumiał, że Art jest elementem tego romansu. Katie załatwiła sprawy po swojemu i Krome rozumiał rolę, jaką mu przeznaczyła. Na razie bardzo mu to odpowiadało.

Odprowadziła go do samochodu. Tom wsiadł i być może trochę zbyt spieszenie przekręcił kluczyk w stacyjce. Katie wsunęła głowę przez okno i pocałowała go w usta. Był to długi pocałunek.

- Proszę! - powiedziała podając mu aparat fotograficzny. - Zostało pięć zdjęć. Może sześć.

Krome podziękował, wyjaśniając, że nie jest to konieczne. Jeżeli materiał o loterii wypali, Sinclair wyśle do Grange zawodowego fotoreportera.

- Tamto będzie dla gazety - powiedziała Katie. - A to jest dla mnie. Czy mógłbyś zrobić zdjęcie płaczącej Madonny?

Przez chwilę łudził się, że ona żartuje. Nie żartowała.

- Proszę, Tom.

Wsunął aparat do kieszeni kurtki.

- A jeżeli akurat nie będzie płakała? Chcesz zdjęcie tak czy siak?

Katie nie wyczuła sarkazmu w jego głosie.

- O tak! - poprosiła żarliwie. - Nawet bez łez.

3.

Burmistrz Grange, Jerry Wicks, zachwycił się żółwikami JoLayne Lucks.

- To moje dzieciaczki - powiedziała z uczuciem. Jej niebieskie paznokcie połyskiwały, kiedy rozkruszała liście sałaty lodowej i wrzucała je do akwarium. Żółwie rozpoczęły niemy wyścig po kolację.

- Ile ich jest? - zapytał Jerry Wicks.

- Czterdzieści sześć.

- Proszę, proszę!

- Mam tu czerwono brzuszki, żółto brzuszki i dwóch młodych półwyspiarzy, którzy, jak mi powiedziano, wyrosną na coś wyjątkowego. I spójrz, jak sobie zgodnie żyją.

- Bardzo zgodnie. - Jerry Wicks nie potrafił odróżnić jednego od drugiego. Był jednak pod wrażeniem hałasu, jakie wytwarzały. Był pewny, że chrupanie doprowadzi go do szału, jeżeli potrwa dłużej.

- JoLayne, powód mojej wizyty... Ludzie mówią, że wygrałaś na loterii.

JoLayne wytarła dłonie w ręcznik. Zaproponowała burmistrzowi lemoniadę, ale odmówił.

- To twoja sprawa osobista - ciągnął - i nie musisz mi odpowiadać. Ale jeżeli to prawda, nikt nie zasłużył sobie bardziej na ten szczęśliwy los.

- Dlaczego?

Burmistrz nie potrafił na to odpowiedzieć. Zwykle nie denerwował się w towarzystwie pięknych kobiet, ale tego popołudnia JoLayne Lucks roztaczała niezwykle silną aurę; świetliste, figlarne iskrzenie, które wprawiało go w głupawy, beztroski nastrój. Marzył o tym, by uciec, zanim ta dziewczyna powali go na podłogę wyjąc niby czarna hiena.

- Przyszedłem tutaj, JoLayne, przez wzgląd na miasto. Byłoby wspaniale dla Grange, gdyby to była prawda.

- Rozgłos - powiedziała.

- Właśnie! - wykrzyknął z ulgą. - To byłaby pożądana odmiana po tym...

- Religijnym chłampie?

Burmistrz skrzywił się boleśnie.

- Tak bym tego nie...

- A więc po plamie na szosie i płaczącej Madonnie. No i fałszywych stygmatach pana Amadora.

Dominick Amador był miejscowym przedsiębiorcą budowlanym, który stracił uprawnienia po tym, jak ściany szkoły pod wezwaniem Świętego Artura zawaliły się bez widocznej przyczyny podczas letnich wakacji. Kumpie Amadora radzili mu, żeby schronił się w okręgu Dade, gdzie niekompetentni budowniczowie mogli spokojnie pracować, ale Dominick chciał zostać w Grange z żoną i kochankami. Więc pewnej nocy upił się black jackiem i wiertłem do drewna przewiercił sobie dłonie na wylot. Teraz Amador był jedną z głównych atrakcji pielgrzymek religijnych w Grange. Przedstawiał się jako cieśla (jak Jezus!) i pracowicie dłuwał w rankach, żeby były autentycznie zakrwawione. Krążyły plotki, że zamierza przewiercić sobie również stopy.

- Widzisz, nie mnie sądzić innych - powiedział burmistrz do JoLayne Lucks.

- Ale jesteś religijny. Czy ty w to wierzysz?

Jerry Wicks nie rozumiał, jak to się stało, że rozmowa zeszała na tak niebezpieczne tory.

- To nieistotne - rzekł. - Inni wierzą. Widziałem to w ich oczach.

JoLayne wysupiała z paczki certa. Było jej przykro, że zdenerwowała burmistrza. Jerry nie był zły, tylko miękki. Rzadkie blond włosy, siwiejące na skroniach. Różowe pulchne policzki, równa linia doskonałych drobnych zębów i cienkie brwi. Jerry prowadził firmę ubezpieczeniową, którą odziedziczył po matce. Był nieszkodliwy i pucolawaty. JoLayne ubezpieczyła u niego całe mienie; jak prawie wszyscy w mieście.

- Uważam po prostu, że zyskanie sławy innego rodzaju wyjdzie Grange na dobre - powiedział Jerry.

- Niech świat się dowie, że mieszkają tu również normalni ludzie - zgodziła się JoLayne.

- No właśnie - potwierdził burmistrz.

- Nie tylko maniacy religijni i hochsztaplerzy.

Te śmiałe słowa sprawiły Jerry'emu Wicksowi ból przypominający skurcz żołądka.

- JoLayne, proszę!

- Och, przepraszam, że jestem cyniczna. Nie pytaj, dlaczego taka się stałam.

Burmistrz zrozumiał już, że JoLayne nie zamierza zdradzić, czy wygrała w Lotto. Rytmiczne chrupanie dobiegające z akwarium stało się niemal nie do zniesienia.

- Chcesz jednego? - zapytała. - Dla Jerry'ego juniora?

- Nie, dziękuję. - Zerknęła ukradkiem w stronę rojowiska w akwarium i pomyślał: I ona mówi o maniakach.

JoLayne sięgnęła ponad stołem i dźgnęła go palcem pod zebro.

- Hej! Rozchmurz się!

Jej dotknięcie sprawiło, że dostał gęsiej skórki. Uśmiechnął się wstydliwie i odwrócił wzrok. Owładnęły nim nieczyste myśli: wyobraził sobie, że te niebieskie paznokcie zostawiają ślady na jego bladych, pokrytych trądzikiem ramionach.

- Przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć, Jerry. Zrób to, zanim się oboje zestarzejemy.
- Do miasta przyjeżdża dziennikarz z „The Register”. Zarezerwował pokój u pani

Hendricks.

- Dzisiaj?

- Tak mówi pani Hendricks. Ten dziennikarz chce zrobić reportaż o zwycięzcy w Lotto.

- O! - powiedziała JoLayne Lucks.

- To nic wielkiego. - Jako burmistrz Jerry Wicks miał doświadczenie w kontaktach z prasą. - Uwielbiają pisać o zwyczajnych ludziach, którym się poszczęściło.

- Doprawdy? - JoLayne wydeła wargi.

Burmistrz chciał ją zapewnić, że nie powinna obawiać się wywiadów. Miał nadzieję, że będzie pomocna i przyjazna, skoro w grę wchodzi dobro Grange.

- Muszę z nim rozmawiać? - zapytała JoLayne.

Burmistrz upadł na duchu.

- Nie.

- Cenię swoją prywatność.

- On nie musi przychodzić do domu. Będzie nawet lepiej, jak nie przyjdzie. - Burmistrza niepokoiło żółwiowe hobby JoLayne. Wiedział, w jak okrutnym świetle może je przedstawić przemądrzały, miastowy dziennikarz. - Mogłabyś spotkać się z nim w restauracji w Holiday Inn.

- Aha! - powiedziała JoLayne.

Zadzwoił telefon na ścianie w kuchni. JoLayne wstała.

- Mam trochę roboty - powiedziała. - Dziękuję, że wpadłeś.

- Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, co i jak. Wygrana w Lotto to duża rzecz.

- Pewnie masz rację - przyznała JoLayne.

Burmistrz pożegnał się i wyszedł. Schodząc ze stopni werandy słyszał, jak telefon JoLayne dzwoni, dzwoni i dzwoni.

Chub uważał, że powinni jechać prosto do Tallahassee i zażądać wypłaty wygranej. Bode Gazzer powiedział, że nie, jeszcze czas.

- Mamy sto osiemdziesiąt dni na odebranie pieniędzy. To sześć pełnych miesięcy. - Załadował do samochodu dwa opakowania zimnego piwa. - Teraz musimy znaleźć tego gościa z drugim biletem, zanim zgarnie forszę.

- Może już to zrobił. Może już za późno.

- Myśl pozytywnie.

- Życie jest kurewsko negatywne - zauważył Chub.

Bode rozłożył plażowy ręcznik na siedzeniu pasażera, żeby ochronić nowe obicia przed smarem i potem, który stanowił naturalną powłokę ciała Chuba.

Parę minut później, na wiadukcie, Bode Gazzer nakreślił plan działania: „Wpadamy, chwytamy bilet i w nogi”.

- A jeśli go nie znajdziemy? - zapytał Chub. - Jeśli dobrze go schowali?

- Znowu zaczynasz.

- Nie mam ochoty na odsiadkę.

- Wyluzuj się, do jasnej cholery!

- Boże, przecież jesteśmy milionerami! - ciągnął Chub. - Milionerzy nie robię skoków.

- Tak czy siak kradną. My używamy łomów, oni Żydów.

Jak zwykle, Bode utrafił w sedno. Chub zagłębił się w fotelu z budweiserem, żeby to przemyśleć.

- Hej, ja też nie chcę iść do pierdła - powiedział Bode. - Jeżeli nas przymkną, kto przejmie Białych Rebeliantów?

Bode Gazzer postanowił nazwać nową milicję Bractwem Białych Rebeliantów. Chubowi było wszystko jedno; mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek drukowali sobie karty wizytowe.

- Hej, przeczytałeś książkę, którą ci dałem? O szkole przetrwania?

- Nie. - Chub dotarł do rozdziału „Jak odróżnić owady trujące od jadalnych” i zaniemógł.

Żeby rozładować napięcie, Bode zapytał Chuba, czy chce się założyć, kto ma drugi zwycięski bilet Lotto.

- Stawiam dziesięć dolców, że to czarny. Obstawiasz Żydów czy Kubańców?

Chub nigdy dotąd nie spotkał białego rasisty, który mówiłby „czarny” zamiast „czarnuch”. Zapytał Bode'a, czy to jakaś różnica.

- Żadna - odparł Bode.

- Więc dlaczego nie nazywasz ich po imieniu?

Bode zacisnął dłoń na kierownicy.

- Mógłbym nazywać ich „kokosy”, co za różnica.

Chub zachichotał.

- Kokosy!

- Zrób coś pożytecznego, znajdź stację radiową z białą muzyką, jeżeli to w ogóle możliwe.

- A co? Nie podobają ci się czarni rapowcy? - Chub położył nacisk na słowie „czarny”.

Ku swojemu zawstydzeniu Bode nie potrafił wymówić słowa „czarnuch”. Zrobił to tylko raz w życiu, kiedy miał dwanaście lat. Ojciec wyprowadził go z domu i złożył tylek pasem do ostrzenia brzytwy. Potem matka zaciągnęła go do kuchni i wyszorowała usta płynem do czyszczenia Kometa. Była to najgorsza (i jedyna) kara cielesna, jaką otrzymał w dzieciństwie, i nigdy nie wybaczył rodzicom, że mu ją wymierzili. I nigdy nie zapomniał smaku płynu Kometa. Wracał i drażnił jego delikatne gardło przy najcichszej próbie wypowiedzenia słowa „czarnuch”.

Było to poważną wadą u samozwańczego rasisty i bojówkarza. Bode Gazzer nie ustawał w pracy nad sobą.

Zmieniając temat, zagadnął Chuba:

- Potrzebujesz kamuflażu, stary.
- Nie wydaje mi się.
- Jaki masz rozmiar spodni?

Chub rozwalił się na siedzeniu i udawał, że próbuje zasnąć. Nie chciał jechać do Grange. Nie chciał włamywać się do domu obcego człowieka i kraść biletu Lotto.

A już na pewno nie chciał nosić wojskowych ciuchów. Bode Gazzer miał całą garderobę w kamuflujące cętki, zamówił ją w jesiennym katalogu Cabeli i zapłacił kradzioną MasterCard. Zdaniem Bode'a wojskowa garderoba będzie podstawą przetrwania, kiedy wojska NATO dokonają inwazji z Bahamów, a Biali Rebelianci zejną do podziemia. Dopóki nie ujrzał szafy Bode'a, Chub nie miał pojęcia, że kamuflaż są dostępne w takim wyborze stylu i koloru. A więc przede wszystkim „zieleń plamista” (panterka Bode'a), następnie „autentyczna zieleń” (płaszcz nieprzemakalny Bode'a), „omszały dąb” i „duch lasu” (kolekcja koszul, spodni i kurtek) oraz „liść jesieni” (buty z cholewami).

Chub nie podważał twierdzenia Bode'a, że dzięki odzieży maskującej człowiek stanie się niewidzialny wśród dębów i sosen. Wyrósłszy w górach północnej Georgii, Chub nie chciał być niewidzialny w lesie. Chciał być widziany i słyszany. Nie życzył sobie uchościć za drzewo, zwłaszcza w oczach napalonego niedźwiedzia czy lubieżnego rysia.

- Ty ubieraj się po swojemu, a ja po swojemu - powiedział.

Zirytowany Bode sięgnął po kolejne piwo i odbił kapsel.

- Pamiętasz, co mówi Konstytucja? „Dobrze zorganizowana milicja”. Zorganizowana to znaczy zdyscyplinowana, no nie? A zdyscyplinowana znaczy umundurowana.

Body wetknął sobie butelkę piwa między uda odziane w „omszały dąb”. Chub oparł głowę o szybę, a jego kucyk pozostawił na szkle tłustą smugę.

- Nie będę nosił żadnych kamuflaży.
- Dlaczego nie, do ciężkiej cholery?!
- Bo się w tym wygląda jak kupa gnoju.

Bode Gazzer skręcił kierownicą, zjechał na pobocze i nacisnął hamulec.

- Słuchaj no... - zaczął.

- Nie! Ty słuchaj! - Chub wykonał błyskawiczny ruch.

Bode poczuł, jak lufa kolta wciska mu się w szyję, tuż powyżej miejsca, gdzie zaczyna się język. Na czole czuł gorący oddech Chuba.

- Nie kłóćmy się - poprosił chrapliwie.
- To nie będzie kłótnia. To będzie zabójstwo.
- Hej, stary! Jesteśmy przecież współnikami.
- Więc gdzie jest nasz bilet, kacza dupo?
- Bilet Lotto?
- Nie, pieprzony autobusowy. - Chub odbezpieczył pistolet. - Gdzie on jest?
- Nie rób tego.
- Liczę do pięciu.

- W moim portfelu. W gumie. Chub uśmiechnął się krzywo.
- Sprawdź.

Bode wyciągnął portfel i pokazał Chubowi, co zrobił poprzedniej nocy - rozciął kondom żyletką i wcisnął w środek bilet loteryjny.

Chub zatknął kolta z powrotem za pasek i rozsiadł się swobodnie.

- Sprytnie, trzeba przyznać. Nie kradnie się facetowi gumy. Można zwędzić wszystko, ale nie gumę.

- Właśnie! - powiedział Bode. Począł, aż serce przestanie mu walić, uruchomił samochód i wyjechał na autostradę.

Chub obserwował go beznamyślnie, nie do końca niewinnie.

- Wiesz, co mogło być, no nie? - powiedział. - Nie bylibyśmy współnikami, gdybym odstrzelił ci łeb i zabrał bilet.

Bode skinął głową. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że Chub może go wyrolować. Należało to rozważyć.

- Wszystko będzie w porządku, zobaczysz - powiedział.

- Jasne.

Chub otworzył piwo - ciepłe i musujące. Zmrużył oczy i wlał w siebie pół butelki. Chciał ufać Bode'owi Gazerowi, ale nie zawsze było to łatwe. „Czarny”, też coś! Dlaczego używał takich wyrażen? To nasuwało Chubowi wątpliwości, czy Bode jest naprawdę takim człowiekiem, za jakiego chce uchodzić. Potem uderzyła go inna myśl.

- Mają burdel w tym Grange?

- Kto wie? - odparł Bode. - I kogo to obchodzi?

- Tylko nie zapomnij, gdzie schowałeś bilet.

- Daj spokój!

- To byłoby dopiero, przejechać czternaście melonów!

Bode Gazer patrzył prosto przed siebie.

- Ale ty masz wyobraźnię!

Ptasi mózdzek i chorą wyobraźnię.

Tom Krome nie tracił czasu na rozpakowanie bagaży; rzucił torbę na łóżko i już go nie było. Właścicielka pensjonatu skwapliwie wskazała mu drogę do domu panny Joy-Layne Lucks, na rogu Cocoa i Hubbard, po drugiej stronie parku. Krome zakładał, że złoży stosowne przeprosiny, zaprosi pannę Lucks na kolację i dopiero wtedy, bez nerwów, przystąpi do wywiadu.

Z jego doświadczeń wynikało, że mieszkańcy małego miasteczka albo opowiadają dziennikarzowi z miejsca historię swojego życia, albo milczą, choćby rozmówca wychodził z siebie. Czekając na werandzie nie wiedział, czego się spodziewać. Zapukał. Cisza. Zapukał ponownie. W salonie paliło się światło i słychać było grające radio.

Obszedł dom i wspiąwszy się na palce zajrzał w kuchenne okno. Na stole dostrzegł pozostałości posiłku. Nakrycie dla jednej osoby. Filiżanka, miska do sałaty, talerz z niedojedzonym biszkoptem.

Kiedy wrócił na werandę, zastał otwarte drzwi. Radio było wyłączone, dom cichy.

- Jest tu ktoś?! - zawołał.

Wszedł. Najpierw zauważył akwarium, zaraz później - mokre plamy na drewnianej podłodze. Z głębi korytarza dobiegł kobiecy głos:

- Proszę zamknąć drzwi. Jesteś tym reporterem?

- Zgadza się. - Tom Krome był ciekaw, skąd ona wie. - Czy to JoLayne?

- Czego chcesz? W tej chwili naprawdę nie mam czasu.

- Czy wszystko w porządku?

- Sam się przekonaj.

Siedziała w wannie, po szyję w pianie. Na głowie miała zawój z ręcznika, a w rękę strzelbę. Krome podniósł ręce.

- Nie zrobię ci krzywdy!

- Pewnie że nie! - odparła JoLayne Lucks. - Ja mam strzelbę, a ty magnetofon. Krome skinął głową. Dyktafon, z którego korzystał przy wywiadach, trzymał w prawej dłoni.

- Ale malutki - zauważyła JoLayne. - Proszę siadać. - Ruchem strzelby skierowała go w stronę komody. - Jak się nazywasz?

- Tom Krome. Jestem z „The Register”. - Usiadł, gdzie mu kazała.

- Miałam dzisiaj więcej towarzystwa, niż mogę znieść. Czy tak to jest, być bogatym?

Krome uśmiechnął się w duchu. Babka dostarczy mu supertematu.

- Wyjmij taśmę - rozkazała JoLayne Lucks. - I wrzuc do klopa.

Krome posłuchał.

- Coś jeszcze?

- Aha. Przestań się gapić.

- Przepraszam.

- Nie mów, że nigdy przedtem nie widziałeś kąpiącej się kobiety. O rany! Ta piana nie trzyma długo.

Krome wbił wzrok w sufit.

- Mogę przyjść jutro.

- Wstań, proszę. A teraz odwróć się. Podaj mi szlafrok, wisi na haczyku, nie podglądaj!

Usłyszał chłopot wody, kiedy wychodziła z wanny. Potem zgasły światła.

- To ja - powiedziała JoLayne. - Tylko bez kawałów.

Było tak ciemno, że Krome nie widział czubka własnego nosa. Poczul, jak coś ostrego dotyka jego pleców.

- Strzelba - wyjaśniła JoLayne.

- Kapuję.

- Chcę, żebyś się rozebrał.

- Na litość boską!

- I wszedł do wanny.

- Nie!

- Chce pan przeprowadzić wywiad, panie Krome?

Aż do tej chwili wszystko, co wydarzyło się w domu JoLayne Lucks, było znakomitym materiałem na reportaż. Teraz sytuacja uległa zmianie. Sinclair nigdy się nie dowie, że Tom Krome rozebrał się pod lufą strzelby.

Kiedy znalazł się w wodzie, JoLayne zapaliła światło. Oparła strzelbę o sedes i przykucnęła przy wannie.

- Jak się czujesz?

- Jak idiota.

- Nie rozumiem dlaczego. Przystojny z ciebie gość. - Ściągnęła ręcznik z głowy i potrząsnęła włosami.

Tom Krome zmącił wodę w daremnej próbie wytworzenia piany i ukrycia swojego skulonego członka. JoLayne uznała, że to urocze. Krome czuł narastające zdenerwowanie. Przypomniawszy sobie wszystkie trudne, a nawet niebezpieczne sytuacje, w jakich się znalazł z racji uprawianego zawodu - zamieszki uliczne, huragany, obławy policyjne, nawet zamach stanu. Jednak nigdy jeszcze nie czuł się taki bezradny. Ta kobieta zapełniła go w kozi róg.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał.

- Ponieważ bałam się ciebie.

- Nie ma czego.

- Właśnie widzę.

Roześmiała się i JoLayne mu zawtórowała.

- Musisz przyznać, że to znakomicie przelamuje lody.

- Zostawiłaś drzwi otwarte - zauważył Krome.

- Zgadza się.

- Zawsze tak postępujesz, gdy się boisz? Zostawiasz drzwi otwarte i wchodzisz naga do wanny?

- Z remingtonem pełnym śrutu - przypomniała mu. - Prezent od tatusia. - Napuściła trochę gorącej wody. - Zimno ci?

Krome zakrył dłońmi genitalia. Zamierzał zachowywać się naturalnie choćby nie wiem co, lecz z góry był skazany na niepowodzenie. JoLayne wsparła brodę o krawędź wanny.

- Co chce pan wiedzieć, panie Krome?

- Wygrałaś na loterii?

- Wygrałam.

- Dlaczego się nie cieszysz?

- Kto powiedział, że się nie cieszę?

- Zostaniesz u doktora Crawforda? - Właścicielka pensjonatu poinformowała go, że JoLayne Lucks pracuje w klinice weterynaryjnej.

- Uwważaj! - zawołała. - Spomiędzy palców widać ci to i owo!

Krome postanowił ignorować doznania, na jakie narażała go własna nagość.

- Mógłbym o coś prosić? W kieszeni spodni mam notatnik i długopis.

- Mowy nie ma.

- Przecież obiecałaś!

- Słucham? - Sięgnęła znowu po strzelbę i stuknęła lufą w żeliwny kurek wanny między nogami Krome'a.

W porządku, pomyślał. Zrobimy to tak, jak ona sobie życzy.

- JoLayne, wygrałaś coś przedtem?
- Konkurs „Piękność w bikini” w Daytona. Miałam osiemnaście lat. Wiem, co myślisz. - Wywróciła oczami.
- Ile wynosiła nagroda?
- Dwieście dolarów. - Wydeła policzki. - Słuchaj, nie potrafię kłamać. To był konkurs w mokrym podkoszulku. Mówię ludziom, że w bikini, bo to lepiej brzmi.
- Daj spokój, byłaś dzieckiem.
- Mimo to napiszesz o tym w gazecie. Ta historia aż się o to prosi.

Miała rację. Nie mógłby się oprzeć opowiedzenia tej anegdoty, ale zrobi to w sposób, który wzbudzi aprobatę JoLayne, kiedy w końcu przeczyta artykuł. Na razie mógł tylko gapić się na szkliste bąbelki piany, czepiające się jego włosów na piersiach. Czuł się bezbronny i ośmieszony.

- Czego się boisz? - zapytał.
- Mam takie głupie uczucie.
- Wizje? - Zapukał sondę, chcąc sprawdzić, czy zalicza się do lokalnych świrusów. Miał nadzieję, że nie, chociaż dodałoby to kolorytu reportażowi.
- Żadne wizje, tylko zwyczajne złe przeczucie - odparła. - Tak jak się czasem wy-czuwa nadchodzącą burzę, choć niebo jest bezchmurne.

Cierpiał katusze, przepuszczając znakomite cytaty jeden po drugim. Ponownie poprosił o notatnik.

JoLayne potrząsnęła głową.

- To nie jest wywiad, panie Krome. To jest prewywiad.
 - Ależ panno Lucks...
 - Czternaście milionów dolarów to fura pieniędzy. Sądzę, że przyciągnie „element”.
- Sięgnęła do wody, zręcznie wsuwając dłoń pod pośladki Krome'a, i wyszarpnęła za-tyczkę do wanny. - Wytrzymaj się i ubierz. Kawę pijesz z mlekiem czy czarną?

4.

Demencio wynosił śmieci, kiedy przed domem zaparkował czerwony pikap. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Niższy ubrany był w kowbojskie buty i strój maskujący w kolorze oliwki. Z wyglądu przypominał myśliwego. Wyższy miał włosy zgarnięte w cienki kucyk i zapadnięte, rozmyte oczka.

- Koniec odwiedzin - powiedział Demencio.
- Odwiedziny u kogo? - zapytał myśliwy.
- U Madonny.
- Umarła?! - Facet z mysim ogonkiem przyskoczył do przyjaciela. - Cholera, słyszałeś?

Demencio upuścił torbę ze śmieciami na chodnik.

- Mówię o Madonnie, Marii Dziewicy. Matce Jezusa.
 - Nie o piosenkarce?
 - Nie.
 - Co to za odwiedziny? - zapytał myśliwy.
 - Ludzie przyjeżdżają z całego kraju, żeby pomodlić się przy posągu Madonny. Czasem płacze prawdziwymi łzami.
 - Chrzanisz!
 - Przyjdźcie jutro, sami zobaczycie.
 - Ile za to bierzesz? - zapytał facet z kucykiem.
 - Co łaska. Przyjmujemy jedynie datki. - Demencio silił się na uprzejmość, ale nie podobali mu się ci faceci. Prostacków tolerował, hołota budziła jego przerażenie.
- Obcy poszeptali między sobą, po czym zakamuflowany zapytał:
- Hej, Kubańcu, to Grange?
 - Zgadza się - odparł Demencio, czując, jak sztywnieje mu kark.
 - Jest tu gdzieś 7-Eleven?
 - Mamy jedynie Grab N'Go. - Demencio pokazał w dół ulicy. - Będzie z pół kilometra.

- Dziękuję stokrotnie - powiedział myśliwy.
- Ja również - dodał gość z kucykiem.
Zanim pikap odjechał, Demencio zauważył czerwono-biało-niebieską nalepkę na tylnym zderzaku: „Mark Fuhrman na prezydenta!”
Zdecydowanie nie są to pielgrzymi, pomyślał Demencio.

Chub był zaintrygowany tym, co powiedział Kubańczyk. Posąg, który płacze? Dlaczego płacze?

- Też byś płakał, gdybyś utknął w takiej dziurze - powiedział Bodean Gazer.
- Nie wierzysz mu?
- Nie wierzę.
- Widziałem płaczące Matki Boskie w telewizji - zauważył Chub.
- A ja Królika Bugsa. Czy to znaczy, że jest prawdziwy? A może myślisz, że istnieje taki królik, który śpiewa i tańczy ubrany we frak...?
- To nie to samo. - Jadowity sarkazm Bode'a uraził Chuba. Jego przyjaciel zapomniał czasem, kto tu ma broń.
- Jest! - obwieścił Bode wskazując mrugający neon Grab N'Go. Zaparkował na miejscu dla inwalidy, tuż przy wejściu i z kieszeni kurtki wyjął wycinek z „The Miami Herald”. Było tam napisane, że druga wygrana padła w miasteczku Grange i że zwycięzca (lub zwyciężczyni) jeszcze się nie ujawnił. Bode przeczytał notatkę Chubowi, który powiedział:

- W takiej dziurze nie może być wiele punktów Lotto.
- Trzeba się spytać.
W Grab N'Go kupili cztery opakowania piwa, karton cameli i ciasto czekoladowe z orzechami. Kiedy kasjer wybijał ceny, Bode zapytał o bilety Lotto.
- Ile pan chce? To jedyny punkt w mieście.
- Naprawdę? - Bode Gazer mrugnął porozumiewawczo do Chuba. Sprzedawca miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Był przysadzisty i świeżo poparzony słońcem. Plakietka na piersi informowała, że nazywa się Shiner.
- Może słyszeliście - powiedział. - Wczoraj padła u nas wygrana.

- Nie mów!
- Jak Boga kocham! Sam sprzedałem babce bilet.
Bode Gazer zapalił papierosa.
- Tutaj? Weiskasz kit!
- Słowo honoru! - zaklął się sprzedawca. - Dziewczyna nazywa się JoLayne Lucks.
- Tak? A ile wygrała? - zainteresował się Chub.
- Było dwadzieścia osiem melonów, ale wyszło na to, że musi się podzielić. W wiadomościach powiedzieli, że ktoś jeszcze miał te same numery. Ktoś spod Miami.
- Coś podobnego! - Bode zapłacił za piwo i papierosy. Potem rzucił pięciodolarowy banknot na ladę. - Wiesz co, Shiner, daj pięć biletów. Kto wie, może nadal masz szczęśliwą rękę.

Sprzedawca się uśmiechnął.

- Dobrze pan trafił. To miasto słynie z cudów. - Wręczył Bode'owi pięć biletów Lot-to.

- Ta Joleen jest miejscowa? - zapytał Chub.

- JoLayne. Tak, mieszka po drugiej stronie parku.

- Nie szuka przypadkiem męża? - Chub podrapał się po szyi.

Sprzedawca pokazał zęby w uśmiechu i zniżył głos.

- Bez urazy, ale za bardzo opalona jak dla pana.

Wszyscy się roześmiali. Bode i Chub wrócili do samochodu. Przez dłuższą chwilę siedzieli w szoferce, popijając piwo, nie mówiąc słowa. Pierwszy odezwał się Chub.

- Ale zgadłeś!

- Mówiłem!

- Cholera! Ta babka to czekolada!

- Jedz prędko - powiedział Bode. - Robota czeka.

Tome Krome spędził trzy godziny z JoLayne Lucks. Nazwać to wywiadem byłoby przesadą. Nigdy nie spotkał człowieka - nie wyłączając polityków i skazańców - obdarzonego takim darem zbaczania z tematu. JoLayne Lucks posiadała dodatkowe atuty w postaci głębokich oczu i wdzięku, któremu Krome prędko uległ. Pod koniec wieczoru wiedziała wszystko, co było warto wiedzieć o nim, podczas gdy on nie wiedział o niej prawie nic. Nawet żółwie pozostały zagadką.

- Skąd je bierzesz? - zapytał.

- Ze strumienia. Hej, podoba mi się twój zegarek.

- Dostałem go w prezencie.

- Założę się, że od przyjaciółki.

- Od żony, wiele lat temu.

- Od dawna jesteś żonaty?

- Rozwodzimy się... - No i zaczął opowiadać.

O pół do jedenastej zadzwonił ojciec JoLayne z Atlanty. Tłumaczyła, że przez cały wieczór nie odbierała telefonu, ale miała gościa. Poprosiła ojca, by poczekał przy telefonie, odprowadziła Krome'a do drzwi i powiedziała, że miło było go poznać.

- Mogę wpaść jutro? - zapytał. - Porobić notatki?

- Nie.

Wypchnęła go łagodnie za próg. Siatkowe drzwi trzasnęły, odgradzając ich od siebie.

- Postanowiłam, że nie udzielę ci wywiadu.

- Proszę!

- Przykro mi.

- Nie rozumiesz.

- Nie każdy chce być sławny. Wymykała mu się.

- Proszę! Godzinę z magnetofonem. Będzie super, zobaczysz.

Było oczywiste, że kłamie. Cokolwiek Tom Krome napisze o zwycięzcy Lotto, na pewno nie będzie super. Nic dobrego nie może wynikać z faktu obwieszczenia świata, że ktoś został milionerem, i JoLayne była dość inteligentna, by to zrozumieć.

- Przykro mi, że się trudziłeś, ale wolę zachować anonimowość.

- Prawdę mówiąc, nie masz wyboru. - O tym jeszcze nie wiedziała.

JoLayne przysunęła się do siatkowych drzwi.

- Co przez to rozumiesz?

Krome wzruszył ramionami.

- Dostaniesz się do gazet, czy chcesz, czy nie. To jest wydarzenie na pierwszej stronie i nic na to nie poradzisz.

Odwróciła się i zniknęła w głębi domu.

Krome stał na werandzie, wsłuchując się w bulgotanie pompy do akwarium. Czuł się jak kretyn, ale nie było to nic nowego. Wydobył z kieszeni wizytówkę i napisał na odwrocie: „Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie”.

Wsunął kartonik w drzwi i wrócił do pensjonatu. Na komodzie w pokoju znalazł kartkę: „Dzwoniła Katie. I Dick Turnquist”.

Usiadł ciężko na łóżku, zastanawiając się, jakie są szanse na to, że jego nowojorski adwokat rozwodowy odszukał go w Grange, w stanie Floryda, w niedzielne popołudnie, żeby przekazać dobrą wiadomość. Dopiero po dwudziestu minutach sięgnął po słuchawkę.

JoLayne Lucks pracowała jako asystentka doktora Cecila Crawforda, miejscowego weterynarza. Miała dyplom pielęgniarki i z łatwością zarobiłaby dwa razy więcej w szpitalu powiatowym, gdyby nie to, że wolała czworonożnych pacjentów. Była doskonałą pielęgniarką i znali ją wszyscy właściciele domowych zwierząt w Grange. W sytuacjach, w których doktor Crawford był szorstki i surowy, JoLayne potrafiła zdobyć się na serdeczność i współczucie. Fakt, że cieszyła się opinią osoby ekscentrycznej, był intrygujący, ale nieistotny; miała rękę do zwierząt. Lubili ją prawie wszyscy, nawet ztwardziali rasiści twierdzili, że jest jedyną czarną, której są w stanie zaufać. JoLayne wydało się to interesujące, że tylu miejscowych rasistów preferuje małe, złośliwe i neurotyczne rasy psów. Kobiety wolały pudle, mężczyźni - spasiono chihuahua. W okręgu Dade, gdzie JoLayne się wychowała, dominowały owczarki niemieckie i bulteriery.

Praca w klinice doktora Crawforda była jej drugą posadą od czasu ukończenia nauki. Zaraz po szkole pracowała w niesławnej izbie przyjęć w Szpitalu Jackson Memorial w centrum Miami. Tam właśnie poznała trzech z sześciu mężczyzn swojego życia.

Dana Calavito, maklera, który obiecał rzucić cygara, kokainę i biotechniksy spod lady. Zjawił się w Jackson w sobotnią noc z czterema złamanymi palcami u nóg, po tym jak kopnął (bez wyraźnego powodu) samochód, który okazał się własnością Julio Iglesiasa.

Roberta Nossario, policjanta z drogówki, który miał zwyczaj zatrzymywać atrakcyjne młode kobiety, choć nie popełniły żadnego wykroczenia. Funkcjonariusza Nossario przywieziono do szpitala z poważnie uszkodzonymi jądrami. Twierdził, że obrażenia są rezultatem upadku podczas próby aresztowania włamywacza.

Doktora Neala Grossbergera, młodego kręglarza, który dzwonił do JoLayne co pół godziny i płakał jak dziecko, kiedy odmówiła noszenia pagera (kupił błękitny, pod kolor jej fartucha szpitalnego). Rano dzwonił, żeby zapytać, jakie skarpetki ma włożyć. Przybiegł do szpitala po zjedzeniu porcji nieświeżych małży i czekał siedem godzin w izbie przyjęć na symptomy zatrucia salmonellą, które nie wystąpiły.

JoLayne Lucks zrezygnowała z pracy w szpitalu, kiedy poznała i poślubiła Lawrence'a Dwyera, prawnika. Podobnie jak jej inni kochankowie Lawrence miał dobre cechy, widoczne na pierwszy rzut oka, i złe - widoczne dopiero przy bliższym poznaniu. To właśnie Lawrence zaproponował JoLayne przeprowadzkę do Grange, gdzie brak wielkomiejskich pokus i widm przeszłości (takich jak mściwi klienci) pozwoliłby mu skoncentrować się na odzyskaniu uprawnień zawodowych. JoLayne kochała go tak bardzo, że postanowiła nie czytać czterotomowych akt z jego procesu o fałszerstwa. Woląла uwierzyć mężowi na słowo, że jest zupełnie niewinny, choć twierdzenie to opierało się na skomplikowanej teorii o podstępny prokuratorze i niedbałym księgowym, którego „zera wyglądały zupełnie jak szóstki”.

W Grange JoLayne znalazła stary dom na zbiegu Cocoa i Hubbard i to ona wpłaciła kaucję. Była wzruszona i dumna, kiedy Lawrence podjął pracę kasjera na autostradzie Beeline - aż do dnia, kiedy aresztowano go za kradzież worka z drobnymi. Tego wieczoru, odesławszy jego ubrania i przybory toaletowe na adres Armii Zbawienia, JoLayne urządziła za domem ognisko z jego książek prawniczych, archiwum i korespondencji z Izbą Adwokacką. Po rozwodzie zapytała doktora Crawforda, czy może przychodzić do kliniki trzy razy w tygodniu; powiedziała, że potrzebuje więcej czasu dla siebie.

Zacząła wtedy odwiedzać Simmons Wood, las tuż za miastem. Raz lub dwa razy w tygodniu parkowała samochód przy głównej drodze, przeskakiwała druciany płot i zniknęła za linią drzew. Każdy dębowy zagajnik był przygodą, każdy wyrąb świątynią. Założyła notatnik, gdzie spisywała nazwy napotkanych okazów fauny: węży, oposów, szopów, lisów, rysiów. Żółwie mieszkają w strumieniu - JoLayne nie znała jego nazwy. Woda miała kolor herbaty i płynęła między omszałymi dębami ku piaszczystemu cypłowi. Tam właśnie JoLayne zatrzymywała się, by odpocząć i zjeść lunch. Pewnego popołudnia naliczyła jedenaście żółwików na płaskich kamieniach i kłodach drzew. Przyglądała się, jak zwabione ciepłem słońca, wyciągają spod skorupy szyje i łuskowate nogi. Ujrawszy małego aligatora, rzuciła mu kanapkę z szynką, żeby odwrócić jego uwagę od żółwików.

Nie miała zamiaru zabierać ich ze strumienia, aż do dnia kiedy zaparkowała na skraju Simmons Wood i zobaczyła świeżo malowaną tablicę „Na sprzedaż - teren pod centrum handlowe, 20 hektarów”. Z początku myślała, że to pomyłka. Dwadzieścia hektarów to niedużo, a las zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Zawróciła i pojechała prosto

do sądu, sprawdzić plany nieruchomości. Na papierze Simmons Wood miał kształt nerki, co zaskoczyło JoLayne. Spacerując próbowała nie myśleć o tym, że las ma granicę, a teraz widziała je wyrysowane czarno na białym. Pośpieszyła do domu i zadzwoniła do agencji nieruchomości, której nazwa figurowała na tablicy „Na sprzedaż”. Życzliwa agentka powiedziała, że teren zostanie odlesiony i przeznaczony pod budowę centrum handlowego. Następnego ranka JoLayne zaczęła wylawiać żółwiki ze strumienia. Nie mogła znieść myśli, że zostaną żywcem pogrzebane przez buldożery. Chciała uratować resztę zwierząt, ale prawie wszystkie były zbyt szybkie, by je złapać. Skoncentrowała się na żółwikach i z katalogu sklepu zoologicznego zamówiła największe akwarium, na jakie było ją stać.

Już w chwili ogłoszenia zwycięskich numerów wiedziała, na co przeznaczy pieniądze. Kupi Simmons Wood, ocali las i jego mieszkańców.

Siedziała przy kuchennym stole, dokonując obliczeń na podręcznym kalkulatorze, kiedy usłyszała kroki na werandzie. Pomyślała, że Tom, dziennikarz, postanowił spróbować po raz ostatni. Kto inny byłby na tyle bezczelny, żeby wpadać o północy?

Siatkowe drzwi otworzyły się, zanim JoLayne zdążyła do nich podejść. Obcy mężczyzna wszedł do jej salonu. Ubraniem przypominał myśliwego.

- Znalazłeś ją? - zapytał Krome.
- Tak - powiedział Dick Turnquist.
- Gdzie?
- Nie wiem, czy powinienem ci mówić.
- Więc nie mów - odparł Krome. Leżał na łóżku z dłońmi splecionymi za głową. Słuchawkę przytrzymał barkiem. Lata rozmów telefonicznych z redaktorami naczelnymi pozwoliły mu wykształcić doskonałą technikę korzystania z telefonu bez użycia rąk.
- Poszła na odwyk, Tom. Twierdzi, że uzależniła się od antydepresantów.
- To śmieszne.
- Mówi, że wsuwa prozac jak małpa kit.
- Trzeba ją ściągnąć do sądu.
- Próbowałem. Sędzia mówi, żeby zostawić ją w spokoju. Domaga się zaświadczenia o stanie zdrowia psychicznego.

Krome zaśmiał się z goryczą. Turnquist wyraził współczucie.

Mary Andrea Finley Krome odmawiała rozwodu od czterech lat. Nie dała się skusić propozycją okazałych alimentów ani ofertami gotówkowymi. „Nie chcę pieniędzy, chcę Toma”. Nikt nie był bardziej zdumiony od samego Toma, świadomego swoich braków w życiu domowym. Sprawa przeciągała się nieznośnie, ponieważ wniósł o rozwód w Brooklynie, najgorszym po temu miejscu, z wyjątkiem może Watykanu. Dodatkowo komplikował procedurę fakt, że pani Krome, doświadczona aktorka sceniczna, potrafiła przekonać najbardziej twardego sędziego o delikatnym stanie swojego umysłu. Miała również zwyczaj wyjeżdżać na całe miesiące na tournée - ostatnio z muzyczną wersją

„Milczenia owiec” - unikając w ten sposób pozwania do sądu.

- Dick, dłużej nie wytrzymam - powiedział Tom Krome.
- Ma dwa tygodnie na przedstawienie tego zaświadczenia.
- Jak długo może to przeciągać?
- Pytasz, ile wynosi rekord?

Krome usiadł na łóżku. Złapał słuchawkę, zanim spadła mu na kolana, przyłożył ją do ust i powiedziała bardzo głośno:

- Czy ona ma chociaż adwokata?!
- Wątpię. Spróbuj odpocząć, Tom.
- Gdzie ona jest?
- Mary Andrea?
- Gdzie jest ten odwyk?
- Nie chciałbyś wiedzieć.
- Niech zgadnę. W Szwajcarii?
- Maui.
- Kurwa!

Dick Turnquist stwierdził, że mogło być gorzej. Tom Krome odrzekł, że w to wątpi. Zgodził się na powołanie kilku ekspertów w sprawie prozacu.

- To nie powinno być trudne - powiedział Krome. - Kto nie chciałby pojechać za darmo na Hawaje?

Dwie godziny później wyrwało go ze snu delikatne drapanie paznokciem w policzek. Katie! Uświadomił sobie, że zasnął nie zamknąwszy drzwi. Kretyn! Usiadł gwałtownie.

W ciemności wyczuł zapach perfumowanego mydła.

- Katherine? - Jezu, widocznie uciekła od męża!
- Nie, to ja. Proszę nie zapalać światła.

Poczuł, jak materac się ugina pod ciężarem JoLayne Lucks. W ciemności odnalazła jego dłoń i podniosła do swojej twarzy.

- Co ci się stało?! - zawołał.
- Było ich dwóch - powiedziała chrapliwym głosem.
- Pozwól, że zobaczę...
- Nie zapalaj światła, Tom, proszę.

Przesunął palcami po jej czole, w dół policzków. Jedno oko było zapuchnięte, gorące, górna warga okrwawiona i lepka.

- Jezu! - Zmusił ją, żeby się położyła. - Dzwonię po lekarza.
- Nie!
- I na policję.
- Nie!

Miał wrażenie, że coś rozsadza mu piersi. JoLayne pociągnęła go łagodnie w dół, leżeli obok siebie.

- Zabrali bilet - wyszeptła.

Upłynęła chwila, zanim zrozumiał. Bilet loteryjny, oczywiście!

- Zmusili mnie, żebym im go dała.

- Kto?

- Nigdy ich przedtem nie widziałam. Było ich dwóch.

Krome słyszał, jak JoLayne ciężko przelyka ślinę, walcząc ze łzami. W głowie mu szumiało - musiał coś zrobić. Zawieźć dziewczynę do szpitala. Zawiadomić policję. Przesłuchać sąsiadów, może coś słyszeli, widzieli...

Ale nie mógł się ruszyć. JoLayne czepiała się jego ramienia, jakby od tego zależało jej życie. Przekreślił się na bok i objął ją delikatnie. Zadrżała.

- Zmusili mnie, żebym im go dała.

- Wszystko w porządku.

- Nie!

- Nic ci się nie stało. To najważniejsze.

- Nie! - zawołała. - Nie rozumiesz!

Parę minut później, kiedy jej oddech się wyrównał, Krome zapalił lampkę na nocnym stoliku. JoLayne zamknęła oczy, kiedy badał zadrapania i siniaki na jej twarzy.

- Co jeszcze ci zrobili? - zapytał.

- Bili mnie w brzuch. Wszędzie.

Widziała, jak Krome zaciska szczęki.

- Musimy wstać - powiedział. - Trzeba coś z tym zrobić.

- Racja! Dlatego do ciebie przyszedłem.

5.

Oglądali się na zmianę we wstecznym lusterku. Chub kłął na czym świat stoi.

- Cholerna czarna dziwka! Trzeba było ukłęcić jej łeb!

Bodean Gazer potakiwał gorliwie. Wyglądali strasznie i czuli się jeszcze gorzej. Chub miał głębokie zadrapania na policzkach, rozplataną lewą powiekę - jedna połowa mrugała, druga nie. Był zalany krwią głównie własną.

- Nigdy w życiu nie widziałem takich pieprzonych paznokci!

Bode mruknął twierdząco. Jego twarz i szyja nosiły liczne ślady ugryzień. Zwariowana cipa wyrwała mu również znaczną część lewej brwi i Bode miał trudności z zaczesaniem wyrwy.

- Najważniejsze, że mamy bilet - powiedział ze znużeniem.

- Ja go wezmę - oznajmił Chub. - Żeby się ubezpieczyć. - I wyrównać rachunki, dodał w myślach. W żadnym razie nie pozwoli, by Bode Gazer zatrzymał oba bilety Lotto.

- Nie mam zastrzeżeń - powiedział Bode, choć miał, i to duże. Zbyt mocno cierpiał, by się kłócić. Nigdy nie widział, by kobieta walczyła tak zawzięcie. Chryste, wyglądali jak kupa rzygów!

- A to suka! - złorzeczył Chub. - Dzikie zwierzę!

- Białe dziewczęta tak się nie awanturują- zgodził się Bode. - Nawet o czternaście milionów dolców.

- Powinniśmy ją zabić. Mówię poważnie.

- Zdawało mi się, że nie chciałeś iść do pierdła.

- Bode, pieprz się!

Chub przycisnął mokrą opaskę do rozkrwawionej powieki. Przypomniawszy sobie, jakiej ulgi doznał dowiedziawszy się, że kobieta, która wygrała na loterii, jest czarna. Kamień spadł mu z serca. Gdyby była biała, nie daj Boże chrześcijanka, a do tego starsza, jak jego babcia, nie miałby odwagi dokonać kradzieży. A tym bardziej przyłożyć jej w twarz i żołądek, co okazało się konieczne w przypadku tej szurniętej JoLayne.

Białej dziewczynie wystarczy wetknąć lufę pistoletu w usta, żeby wszystko wyśpiewała. Ale nie tej czarnej dziwce.

„Gdzie jest bilet?”

Cisza.

„Gdzie ten cholerny bilet?”

Głos Bode'a Gazzera: „Ty, geniusz, ona nie może mówić w pistoletem w ustach”.

Więc Chub wyjął pistolet, a ona splunęła na lufę. Opluła również jego, Chuba.

Mogli ją zgwałcić albo torturować, a ona i tak nie oddałaby biletu.

To Bode wpadł na pomysł, żeby zastrzelić żółwia.

Trzeba przyznać, że odkrył słaby punkt tej baby.

Wyjął z akwarium żółwika i położył u nóg JoLayne, a kiedy zwierzątko rozpoczęło marsz ku jej nagim stopom, wystrzelił w środek malutkiej skorupy. Żółw przeleciał przez pokój jak zielony krążek do hokeja, obijając się o ściany.

Wtedy kobieta się załamała i powiedziała, gdzie jest bilet Lotto. W pianinie, jakby nie było innych schowków! Ale narobili hałasu wyciągając go stamtąd! Wreszcie udało się i teraz siedzieli w samochodzie, w bursztynowym świetle latarni badając odniesione rany.

Wyląd Chuba nasuwał myśl, że wsadził głowę pod krawalnicę. Twarz piekła go przy najmniejszym powiewie wiatru.

- Trzeba mnie zszyc - powiedział.

Bode Gazzer potrząsnął głową.

- Żadnych lekarzy, dopóki nie wrócimy do domu. - Potem przyjrzał się Chubowi broczącemu krwią i widząc zagrożenie dla nowiutkich obić zawołał: - Plastery! Kupimy plastery.

Zawrócił i ruszył pełnym gazem w stronę miasta. Jego celem był sklep Grab N'Go, gdzie zamierzał nabyć artykuły pierwszej pomocy i załatwić pewien milicyjny interes.

Młodzięcze lata Shinera były znośne do czasu, gdy jego matka doznała objawienia. Przedtem pozwalała mu grać w football bez helmu, strzelać z dwudziestki-dwójki, łowić okonie za pomocą fajferwerków, palić papierosy, napastować dziewczęta i wagarować przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Pewnego wieczoru Shiner wrócił do domu z koncertu Whitesnake'ów w Tampa i zastał matkę czekającą na niego w kuchni. Ubrana była w plastikowe sandały, króciutką koszulkę nocną i blezer w kolorze musztardy, własność eksmęża. Bez słowa ujęła go za rękę i poprowadziła ku frontowym drzwiom. W świetle księżycy przeszli kilometr do miejsca, gdzie Sebring Street spotyka się z autostradą. Tam matka Shinera na kolanach zaczęła się modlić. I nie była to spokojna modlitwa. Jęki i zawodzenia niosły się nocą daleko.

Shiner zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy matka wyczołgała się na szosę i przytuliła policzek do brudnego asfaltu.

- Mamo, przestań - powiedział.

- Nie widzisz Go?

- Kogo? Przejdzie cię coś.
- Shiner! Nie widzisz Go? - Podniosła się na kolana. - Synu, to Jezus! Spójrz! Nasz Pan i Zbawiciel. Nie widzisz jego twarzy na asfalcie?
- Shiner podszedł do wskazanego miejsca i przyjrzał mu się uważnie.
- To tylko plama od oleju, mamó. Albo płyn hamulcowy.
- Nie! To twarz Jezusa Chrystusa.
- W porządku, ja się zmywam.
- Shiner!

Zakładał, że jej przejdzie, jak wytrzeźwieje, ale się przeliczył. Matka spędziła na modlitwie na skraju szosy cały następny dzień i jeszcze następny. Pielgrzymi z pobliskiego kempingu pożyczili jej niebieski parasol i styropianową lodówkę pełną wody mineralnej. W sobotę do miasta zjechała ekipa z orlandzkiej stacji telewizyjnej. Wkrótce Jezus na Drodze stał się sławny, podobnie jak matka Shinera. Od tamtego czasu nic mu się w życiu nie układało.

Pewnego dnia wrócił do domu i zastał ją przy paleniu jego płyt kompaktowych z muzyką heavy metal. Zabroniła mu pić piwo, palić papierosy i zagroziła, że cofnie mu kieszonkowe, jeżeli nie będzie śpiewał hymnów w piątkowe wieczory. Żeby uciec z domu (a także od pielgrzymów, którzy przychodzili regularnie po pamiątkowe zdjęcie), wstąpił do armii. Wyrzucono go po niecałym miesiącu, wrócił więc do Grange, lżejszy o dwadzieścia funtów i znacznie bardziej posępny. Na rynku pracy nie miał do zaoferowania ani wykształcenia, ani umiejętności praktycznych, toteż wylądował na nocnej zmianie w Grab N'Go. Niewiele się działo, z wyjątkiem napadów co dwa, trzy tygodnie. W niektóre noce miał nie więcej niż tuzin klientów, więc zostawało mu sporo czasu na przeglądanie czasopism „Hustler” i „Swank”. Przemyczał je do działu mrożonek, jedynej części sklepu, dokąd nie sięgało szklane oko kamery. Shiner wydzierał ulubione strony i układał je pod plastikowym wiekiem pojemnika na lody - było tam zimno jak w psiarni, ale nie mógł ryzykować, że przyłapią go na froncie sklepu. Matka by tego nie przeżyła, gdyby jej jedyny syn wyleciał z roboty za walenie konia, w dodatku przed kamerą wideo. Był wściekły na matkę, ale nie chciał zranić jej uczuć.

Dwudziestego siódmego listopada o drugiej w nocy pracował gorączkowo nad najnowszym numerem „Best of Jugs”, kiedy usłyszał dzwoneczek zawieszony u drzwi. Zapiął rozpięty i pośpieszył do kasy. Po dobrej chwili rozpoznał dwóch klientów, którzy późnym popołudniem kupowali piwo. Musieli wdać się w brzydką bójkę w barze.

- A wam co się stało, chłopcy? - zapytał.

Facet w wojskowych ciuchach poprosił o plastry, jego towarzysz z kucykiem o alkohol. Shiner podał, co kazali - nareszcie coś się działo. Pomógł mężczyznom oczyścić i pozaklejać liczne rany. Zakamuflowany przedstawił się jako Bodean Gazzer, w skrócie Bode. Powiedział, że przyjaciel nazywa się Chub.

- Miło poznać - powiedział Shiner.
- Synu, potrzebujemy twojej pomocy.
- Słucham.
- Wierzysz w Boga i rodzinę?

Shiner się zawahał. Boże odpuść - kolejni pielgrzymi! Ale wtedy odezwał się Chub.

- A w gnata wierzysz?
- To znaczy, w prawo do noszenia broni - wyjaśnił Bode. - To jest w Konstytucji.
- Jasne - odparł Shiner.
- Masz broń?
- Jasne.
- Świetnie. A w białą rasę? Wierzysz w białą rasę?
- Pewnie że tak!
- W porządku! - powiedział Bode Gazer.

Poradził Shinerowi, żeby dobrze się nad sobą zastanowił. Niech się rozejrzy wokół siebie. Oto gdzie skończył - za ladą pieprzonej drogerii obsługuje Kubańców, czarach i Żydów, a kto wie, czy nie Indian.

- Ile masz lat synu? - zapytał Chub.
- Dziewiętnaście.
- I to jest twój sposób na życie? - zakpił Chub, ogarniając gestem sklep.
- Kurde, nie. - Shinerowi trudno było napotkać wzrok Chuba; rozplątana powieka nadawała mu niesamowity wygląd. Zamknięta połowa była biała i nieruchoma; poszarpana zasłona, za którą chowała się przekrwiona gałka.
- Założę się, że nie wiesz, że z twoich podatków finansuje się inwazję NATO na USA.

Shiner nie miał pojęcia o czym mówi zakamuflowany. Nigdy nie słyszał o NATO, a za sumy, które płacił urzędowi podatkowemu, nie dałoby się sfinansować pudełka amunicji, co dopiero całej inwazji.

Jego uwagę przyciągnęły światła reflektorów na parkingu; pod dystrybutor benzyny zajechał autokar z turystami.

Chub zmarszczył brwi.

- Powiedz, że sklep nieczynny.
- Co?
- Jazda! - warknął Bode.

Sprzedawca zrobił, co mu kazali. Kiedy wrócił do sklepu, mężczyźni szepotali ze sobą.

- Właśnie mówiliśmy, że byłby z ciebie superrekрут - powiedział Chub.
- Rekrut czego? - zapytał Shiner.
- Chciałbyś ocalić Amerykę od pewnej zguby? - zapytał Bode ściszym głosem.
- No... tak, pewnie. - Zgodził się Shiner, a po namyśle dodał: - Musiałbym rzucić sklep?

Bode Gazer skinął posępnie głową.

Wyjaśnił Shinerowi, że Ameryka pobiła, pozwalając, by Waszyngton wpadł w ręce komunistów, lesbijek, oszołomów i zwolenników mieszania ras. Shiner zirytował się, usłyszawszy, że byłby prawdopodobnie właścicielem Grab N'Go, gdyby nie tak zwane działanie pozytywne - prawo wprowadzone przez komuchów, które oddało czarnym władzę w kraju.

Kilka minut rozmowy z Bode'em Gazerem uporządkowało światopogląd Shinera. Ucieszyła go wiadomość, że nie on ponosi odpowiedzialność za swoje psie życie. Było rezultatem skomplikowanego, diabelskiego spisku, szeroko zakrojonej akcji przeciwko białemu pracującemu człowiekowi. Przez tyle lat cierpiał represje i nawet o tym nie wiedział! W swej naiwności uważał, że sam zgotował sobie taki los - najpierw rzucając szkołę, potem zawalając wojsko. Był nieświadomy działania potężniejszych, mrocznych sił, które go prześladowały i niszczyły. I wpędzały w niewolę, jak mówił Chub.

Na tę myśl Shinera ogarnął gniew i dziwne uniesienie. Bode Gazer i Chub wpłynęli w cudowny sposób na jego poczucie własnej wartości. Dali mu dumę, a co najważniejsze - usprawiedliwienie własnych niepowodzeń, kozła ofiarnego. Shinerowi spadł kamień z serca.

- Skąd to wszystko wiecie? - zapytał.
- Życie nas nauczyło - powiedział Bode.
- A więc, masz gnata? - wtrącił Chub.
- Aha - odparł Shiner. - Marlina. Dwudziestkędwójkę. Chub parsknął.
- Nie, chłopcze, pytałem, czy masz gnata.

W krótkich słowach Bode Gazer opowiedział o grożącej inwazji wojsk NATO z Bahamów i ich misji wprowadzenie reżimu totalitarnego w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście Shinera zogniewała na wzmiankę o Bractwie Białych Rebeliantów.

- Słyszałem o nich! - wykrzyknął młody człowiek.
- Naprawdę? - Chub rzucił Bode'owi znaczące spojrzenie.

Bode wzruszył ramionami.

- To zespół, no nie? - powiedział Shiner.
- Nie, ptasi mózdzku, to nie jest zespół. To jest milicja - wyjaśnił Chub.
- Dobrze zorganizowana milicja - dodał Bode. - Jak jest napisane w Drugiej Po-

prawce.

- Aha! - Shiner nie przeczytał jeszcze Pierwszej.

Konspiracyjnym szeptem Bode Gazer wyjaśnił, że Bractwo Białych Rebeliantów gotuje się do długotrwałego zbrojnego oporu - ciężkozbrojnego oporu! - wobec każdej siły, obcej czy krajowej, która zagrażałaby niezawisłości amerykańskiego obywatela.

Dłoń Bode'a spoczęła na karku Shinera.

- I co ty na to? - zapytał.
- Niezły plan.
- Chcesz wstąpić do Bractwa?
- Żartujesz?!
- Odpowiedz, tak czy nie.
- Jasne! - ćwierknął Shiner. - Co mam zrobić?
- Wyświadczyć nam drobną przysługę - powiedział Chub.
- To będzie twoje pierwsze zadanie - sprostował Bode Gazer. - Potraktuj to jako

test.

Twarz Shinera spochmurniała. Nienawidził testów, zwłaszcza gdy musiał wybierać a, b lub c. W ten sposób oblewał wszystkie egzaminy. Chub wyczuł konsternację chłopca.

- Zapomnij o teście - powiedział. - To tylko przysługa, jaką wyświadczysz swoim białym towarzyszom broni.

Kiedy Tom Krome zobaczył salon JoLayne, powiedział (po raz czwarty), żeby wezwała policję. W domu roilo się od dowodów, pełno było odcisków palców, odcisków stóp i krwi. JoLayne powiedziała, że mowy nie ma, i zabrała się za sprzątanie. Krome pomagał jej niechętnie. Niewiele dało się zrobić z wybebeszonym pianinem i dziurą po kuli w drewnianej podłodze. Krew zmyli wodą z amoniakiem.

Potem JoLayne poszła pod prysznic, a Krome pochował zastrzelonego żółwia pod drzewkiem cytrynowym w podwórku. Kiedy wrócił do domu, stała na środku salonu i wrzucała pokruszoną sałatę do akwarium.

- Nic im się chyba nie stało - powiedziała cicho.

Krome odciągnął ją od żółwi.

- Dlaczego nie chcesz wezwać glin?

JoLayne wyrwała ramię z jego uścisku.

- Nie uwierzają mi.

- Żartujesz! Spójrz w lustro.

- Nie mówię o pobiciu. Mówię o bilecie Lotto. Nie potrafię nawet udowodnić, że go miałam.

Nie sposób było odmówić jej racji. Komputer loteryjny odnotowywał miejsca zakupu biletów, ale nie identyfikował nabywców. Bilety Lotto sprzedawano w sklepach spożywczych razem z piwem i papierosami, spisywanie nazwisk tysięcy klientów było zupełnie niemożliwe. W konsekwencji biuro loteryjne kierowało się jednym tylko kryterium przy wypłacie wygranej - posiadaniem biletu loteryjnego. Nie miałeś go, to nie dostawałeś pieniędzy, niezależnie od okoliczności. Strach myśleć, ile fortun przepadło przez szczeniaki, żabkujące niemowlęta, pralki, sedesy i pożary.

A teraz przez złodziei.

Tom Krome był rozdarty między współczuciem dla JoLayne Lucks a radosną świadomością, że trafił mu się wspaniały temat na reportaż. Nie potrafił widocznie ukryć podniecenia, bo JoLayne powiedziała:

- Błagam, żebyś o tym nie pisał.

- Ale w ten sposób zdemaskuję drani.

- A ja nigdy nie odzyskam pieniędzy. - JoLayne chwyciła szcztokę i zaczęła energicznie zamiatać. - Nie rozumiesz? Zniszczą bilet, zanim wpakują ich za kratki. Spalą go albo zakopią.

Krome uniósł nogi, żeby JoLayne mogła wymieść spod krzesła, na którym siedział.

- Jeżeli zwęszą pismo nosem - ciągnęła - mogę się pożegnać z czternastoma milionami dolców. Zobaczą nagłówki w gazetach i... wszystko przepadło. Tak samo, jeśli pójdę na policję.

Prawdopodobnie ma rację, pomyślał Krome. Ale czy złodzieje nie liczyli się z tym, że zgłosi kradzież? Większość ludzi tak by postąpiła.

Nie słyszał już odgłosów zamiatania, JoLayne była w kuchni, oparta o szczotkę stała przed otwartą lodówką, wystawiając poranioną twarz na chłodny powiew.

- Zrobię ci okład z lodu - powiedział Tom Krome.

JoLayne potrząsnęła głową. Ciszę przerywało jedynie buczenie pompy do akwarium i rytmiczny chrzęst przeżuwanej sałaty.

- No dobra, powiem ci - odezwała się JoLayne po paru minutach. - Powiedzieli, że wrócą i mnie zabiją, jeżeli powiem komuś o bilecie. Powiedzieli, że wrócą i zabiją wszystkie żółwie, jeden po drugim, a na końcu mnie.

Krome'owi dreszcz przeszedł po plecach.

- Kazali mi mówić, że pobił mnie mój chłopak. To samo miałam powiedzieć lekarzowi. „Jaki chłopak?” - zapytałam. „Nie mam żadnego chłopaka”. Wtedy ten niski powiedział: „No to już masz!” I uderzył mnie w cycki.

Krome nagle stwierdził, że nie może oddychać. Wypadł z domu tylnymi drzwiami. JoLayne znalazła go w krzakach pomidorów, pogłaskała po włosach i powiedziała, żeby się tak nie przejmował. Wkrótce przestało mu szumieć w uszach. Przyniosła mu szklaną kę zimnego soku i usiedli na metalowej ławeczce.

- Poznałabyś ich? - zapytał chrapliwym głosem.

- Jasne.

- Zapłacą za to!

- Tom...

- Zrobisz tak: pójdziesz na policję i do biura loteryjnego, i powiesz, co się stało. Powiesz im o kradzieży i groźbach. Złożysz zeznania. I pozwolisz, żeby policja zajęła się draniami...

- Nie.

- Posłuchaj. Ci faceci muszą się ujawnić. Mają tylko sześć miesięcy na odbiór pieniędzy.

- To właśnie próbuję ci powiedzieć. Ja nie mam sześciu miesięcy. Potrzebuję pieniędzy zaraz.

- Na co, na litość boską?

- Potrzebuję, i już.

- Zapomnij o forsie.

- Nie mogę.

- Ci faceci to potwory. Skrzywdzą kogoś innego, tak jak skrzywdzili ciebie. Albo gorzej.

- Niekoniecznie - powiedziała JoLayne. - Nic nikomu nie zrobią, jeżeli ich powstrzymam.

Było to niewiarygodne, ale mówiła serio. Krome chętnie by się roześmiał, tylko nie chciał wyrządzić jej przykrości.

- Damy radę - powiedziała JoLayne i uszczypnęła go w kolano. - Ty i ja. Znajdziemy ich.

- Prędeż mi kaktus na ręce wyrośnie!

- Jeżdżą czerwoną furgonetką.

- Dla mnie mogą jeździć promem „Enterprise”.

- Tom, proszę!

Ujął jej dłonie.

- W moim zawodzie strach jest bardzo zdrowym i pożytecznym odczuciem. A to dlatego, że śmierć i nieszczęście nie są pojęciami abstrakcyjnymi. Są cholernie realne.

- Założmy, że powiem ci, na co potrzebuję pieniędzy. Czy to coś zmieni?

- Nie wydaje mi się, JoLayne. - Serce krwawiło mu z żalu, kiedy patrzył na jej poharataną twarz.

Odsunęła się i podeszła do akwarium. Krome słyszał, że coś mówi - do siebie, do żółwi, a może do faceta, który ją pobił.

- Naprawdę mi przykro - rzekł.

JoLayne odwróciła się do niego. Nie wydawała się zagniewana.

- Pomyśl, jaki materiał przejdzie ci koło nosa, jeżeli odzyskam ten bilet, a ciebie przy tym nie będzie.

Tom Krome uśmiechnął się.

- Jesteś bezwzględna, wiesz o tym?

- Ale mam rację. Proszę, pomóż mi ich znaleźć.

- Mam lepszy pomysł. Mogę skorzystać z telefonu?

Shiner otworzył oczy i ujrzał nad sobą matkę. Ubrana była w ślubną suknię, w której chodziła w poniedziałki do Jezusa na Drodze. Strój robił furorę wśród turystów, nierzadko wracała do domu z dwustoma dolarami datków. Poniedziałki były najlepszymi dniami.

Teraz kazała Shinerowi ruszyć tyłek i zejść na dół.

- Czekają tam na ciebie jacyś ludzie, a ja już jestem spóźniona. - Szturchnęła go tak mocno, że skulił się pod kołdrą.

Wsluchiwał się w szelest ślubnej sukni, kiedy zbiegała ze schodów. Potem rozległ się trzask frontowych drzwi.

Shiner naciągnął dzinsy i poszedł zobaczyć, kto przyszedł. Kobietę rozpoznał z przerażeniem jako JoLayne Lucks. Mężczyznę widział po raz pierwszy w życiu.

- Przepraszam za najście - powiedziała JoLayne - ale to pilna sprawa. Przedstawiła mu faceta. Miał na imię Tom. Uścisnął mu rękę i rzekł:

- W sklepie dali nam twój adres. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Shiner pokręcił z roztargnieniem głową. Nie był specjalnie bystry, niemniej dostrzegł związek między pokiereszowaną twarzą JoLayne a obrażeniami dwóch braci rebeliantów, Chuba i Bodeana. Z czystej kurtuazji powinien chyba zapytać JoLayne, kto zrobił z niej siekany kotlet, ale nie dowierzał sobie. Bał się, że zdradzi go wyraz twarzy.

Tom usiadł obok Shinera na otomanie. Nie był ubrany jak glina, ale Shiner postanowił zachować ostrożność.

- Mamy kłopot - ciągnęła JoLayne. - Pamiętasz bilet Lotto, który kupiłam w sobotę popołudniu? Zgubiłam go. Nie pytaj jak, to długa historia. Rzecz w tym, że jesteś jedyną

osobą poza mną, która wie, że go kupiłam. Jesteś moim jedynym świadkiem.

Shiner miał to do siebie, że zdenerwowany bełkotał.

- W sobotę?

Nie patrzył na JoLayne, wbił wzrok w swój brzuch, na którym odbiły się za-gnioty prześcieradła.

- Nie pamiętam, żebym widział cię w sobotę - odezwał się w końcu.

Mówił tak cicho, że JoLayne nie zrozumiała.

- Co?

- Nie pamiętam, żebym cię widział w sobotę. Na pewno nie było to tydzień temu? -

Shiner bawił się ciemnymi włosami wokół pępka.

JoLayne podeszła i dwoma palcami ujęła go za podbródek.

- Spójrz na mnie.

Skulił się na myśl o jej niebieskich paznokciach na swojej szyi.

- Co sobota obstawiam te same numery - powiedziała. - Co sobota przychodzę do Grab N'Go i kupuję bilet. Wiesz, co się wydarzyło tym razem, prawda? Wiesz, że wygrałam.

Shiner odsunął jej rękę.

- Może byłaś w sobotę, a może nie. Zresztą nie patrzę na numery.

JoLayne cofnęła się. Wyglądała na rozgniewaną.

- Synu, na pewno wiesz, że jeden ze zwycięskich biletów pochodzi z twojego sklepu - wtrącił się Tom.

- Aha, wiem. Dzwonili z Lotto.

- Jeżeli panna JoLayne nie kupiła tego biletu, to kto?

Shiner oblizwał wagi i pomyślał, że trudniej kłamać w tej sprawie, niż mu się wydawało. Ale braterstwo krwi zobowiązuje.

- Wieczorem z autostrady zjechał jakiś gość. Kupił opakowanie budweisera.

- Zaraz, zaraz... - zaprotestowała JoLayne. Mówiła podniesionym tonem. - Twierdzisz, że jakiś obcy kupił zwycięski bilet?

- Nie wiem, co kto kupił. Ja tylko obsługuję maszynę, nie zwracam uwagi na cholerne numery.

- Shiner, wiesz, że to był mój bilet. Dlaczego kłamiesz? Dlaczego?

- Nie kłamię wybełkotał.

- Ten tajemniczy facet, który przyjechał tak późno i kupił piwo... Kto to był? - zapytał Tom.

Shiner wsunął ręce w spodnie, żeby ukryć ich drżenie.

- Nigdy go przedtem nie widziałem. Wysoki, chudy facet z włosami w kucyk.

- O nie! - JoLayne odwróciła się do swojego znajomego. - I co teraz powiesz? - Wybiegła z domu.

Tom nie wyszedł od razu, przyprawiając Shinera o migotanie przedsionków. Potem Shiner patrzył przez okno, jak mężczyzna otacza JoLayne ramieniem i idą razem Sebring Street.

Shiner miętosił w ustach papierosa, wspominając słowa Bode'a Gazzera. „Nie mają dowodu, synu, wystarczy zaprzeczyć”.

Sprawa była załatwiona. Niczego nie spieprzył. *Presto*, pomyślał Shiner. Jestem w bractwie.

Ale przez resztę ranka myślał o tym, co przyjaciel JoLayne powiedział mu na odchodnym.

„Jeszcze sobie porozmawiamy”.

Najpierw będziesz mnie musiał znaleźć, brachu, pomyślał.

6.

Mary Andrea Finley Krome nie była uzależniona od prozacu, ani w ogóle od niczego. Nie cierpiała również na chroniczną depresję, schizofrenię ani manię samobójczą.

Należała jednak do kobiet upartych. I postanowiła sobie, że nie zostanie rozwódką.

Jej małżeństwo z Tomem nie było idealne; w gruncie rzeczy stało się pustym rytuałem. Kobiety z rodziny Finleyów zawsze wiązały się z przystojnymi, egoistycznymi mężczyznami, którzy szybko tracili dla nich zainteresowanie.

Poznali się na Manhattanie, w barku kawowym niedaleko Radio City. Mary Andrea postanowiła zawrzeć znajomość, widząc, że przystojny młody człowiek na drugim końcu kontuaru czyta biografię Ibsena. Nie wiedziała, że lektura ta została Krome'owi narzucona przez młodą kobietę, z którą się umawiał (pani magister uniwersytetu nowojorskiego) i że gdyby pozostawiono mu wybór, zagłębiłby się bez wątpienia w historię życia Moose Skowron. Nie miał zastrzeżeń, gdy rudowłosa nieznajoma przesunęła się o trzy stołki i powiedziała, że była kiedyś na przesłuchaniach do małej rólki w „Domu lalek”.

Ulegli fascynacji, bardziej fizycznej niż byłiby skłonni przyznać. Tom Krome rozpracowywał wtedy aferę w Medicaid. Był na tropie radiologa oszusta, który spędzał wtorkowe ranki w Klubie Atletycznym, zamiast odczytywać mielogramy, za co wystawiał rządowi rachunki na tysiące dolarów. Mary Andrea Finley starała się o rolę niesfornej żony farmera w sztuce Sama Sheperda.

Spotykali się przez pięć tygodni, a następnie wzięli ślub w katolickim kościele w Park Slope. Potem rzadko się widywali i dlatego tak późno odkryli, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Reporterska praca Toma zajmowała cały dzień, występy teatralne Mary Andrei załatwiały wieczory i weekendy. Szli do łóżka, gdy udało im się wygospodarować odrobinę czasu. Tylko wtedy osiągali pełną synchronizację. Intensywny seks oszczędził im konieczności wysłuchiwanie opowieści partnera o karierze zawodowej, którą żadne z nich nie było tak naprawdę zainteresowane.

Mary Andrea nie zauważyła rozpadu ich pożycia. Wystąpienie Toma, który wszedł pewnego dnia do pokoju ze smutną miną i poprosił o rozwód, stanowiło dla niej zaskoczenie.

- Nie bądź śmieszny! - powiedziała. - W rodzinie Finleyów nie było rozwodu przez pięćset lat.

- To tłumaczy wszystkie zbrocenia - powiedział Tom.

Mary Andrea zrelacjonowała tę rozmowę swojemu doradcy w Wodach Mineralnych i Rezydencyjnym Ośrodku Mona Pacifica w Maui, wysoko cenionym przez jej przyjaciół aktorów. Kiedy doradca zapytał, czy byli kiedyś z mężem obłąkańczo szczęśliwi, odparła:

- Tak, przez sześć miesięcy. Może siedem. Potem nasze życie osiągnęło konstans. To normalne u młodych małżeństw, prawda? Problem w tym, że taki stan rzeczy nie odpowiada Tomowi. Woli huśtawkę emocjonalną, wzloty i upadki.

- Rozumiem - powiedział doradca.

- Teraz nasłał na mnie adwokatów i urzędników sądowych. To bardzo nieuprzejmie z jego strony. - Mary Andrea była dumną kobietą.

- Masz podstawy sądzić, że wpłyniesz na zmianę jego stanowiska w sprawie małżeństwa?

- A czy ja chcę zmieniać jego stanowisko? Chcę tylko, żeby porzucił ten absurdalny pomysł z rozwodem.

Doradca wydawał się zdziwiony. Mary Andrea mówiła dalej, wysuwając argumenty, które miały dowodzić, że rozwód jako instytucja jest przestarzały.

- Zbyteczny i niepotrzebny - dodała.

- Zrobiło się późno - powiedział doradca. - Dać ci coś na sen?

- Spójrz tylko na Shirley MacLaine. Nie żyła z mężem przez trzydzieści lat. Większość ludzi nie wiedziała nawet, że jest zamężna. Oto właściwe podejście do sprawy.

Według teorii Mary Andrei rozwód wystawiał człowieka na ciosy, podczas gdy małżeństwo - nawet jeżeli małżonkowie nie żyli razem - zapewniało ochronę.

- Bardzo dogodna pozycja - ciągnęła Mary Andrei. - W sensie prawnym.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - powiedział doradca.

- To tylko głupi kawałek papierka - oznajmiła Mary Andrea Finley Krome. - Shirley prędko to zrozumiała. Mogłabym prosić o filiżankę herbaty?

- Lepiej się czujesz?

- O wiele lepiej. Za dzień lub dwa będziesz mnie miał z głowy.

- Nie ma pośpiechu. Przyjechałaś tu, żeby odpocząć.

- Z plasterkiem cytryny - powiedziała Mary Andrea. - Poproszę.

Ujrzawszy Krome'a w drzwiach sali reporterów, Sinclair zachłysnął się kawą i oparzył sobie przelyk. Przyciskając chusteczkę do ust, wstał, by powitać swoją gwiazdę reportażu. Biła od niego fałszywa serdeczność, na którą nie nabrałoby się nowo narodzone dziecko.

- Kawał czasu, stary! - zawołał. - Świetnie wyglądasz!

Krome wskazał gestem prywatne biuro redaktora.

- Musimy pogadać.
- Tak, tak, słyszałem.

Kiedy znaleźli się sami za szklaną ścianą, Sinclair powiedział:

- Jean dzwoniła rano. W Grange aż kipi.

Tyle to i Krome wiedział.

- Potrzebuję tygodnia - powiedział.

Sinclair zmarszczył czoło.

- Na co?

- Na zebranie materiału. - Krome obrzucił szefa chłodnym spojrzeniem. Znając credo szefa: „duże materiały, duże kłopoty”, przewidział jego reakcję.

Sinclair odchylił się w tył i zastygł w pozie sugerującej głęboki namysł.

- Nie sądzę, żebyśmy chcieli zrobić z tego kolumnowy materiał, prawda?

Krome'a rozbawił zaimek „my”. Gazeta wysyłała redaktorów do szkoły zarządzania, gdzie uczono ich, jak wyklócać się z podwładnym w pierwszej osobie liczby mnogiej. Chodziło o to, by wytrącić mu broń z ręki, pozornie biorąc jego stronę.

- Zdawało mi się - ciągnął Sinclair - że potrzebujemy notki do działu stołecznego. „Włamywacze kradną bilet Lotto. Nieszczęsna ofiara w rozpacz”.
Krome pochylił się do przodu.

- Jeżeli taki tytuł kiedykolwiek pojawi się w „The Register”, zjawię się osobiście w twoim domu i wytnę ci płuca nożem do patroszenia drobiu.

Sinclair pomyślał, że trzeba było zostawić drzwi otwarte, na wypadek gdyby musiał się pilnie ewakuować.

- Ta kobieta nie złożyła żadnego oświadczenia. Nie zgłosiła nawet kradzieży na policji.

- Ale rozmawiałeś z nią?

- Z zastrzeżeniem: nie do publikacji.

Sinclair wzmocnił się kolejnym łykiem kawy.

- Wobec tego w ogóle nie widzę tematu. Bez wypowiedzi tej Lucka i policjantów naprawdę tego nie widzę.

- Daj mi tylko trochę czasu.

- Wiesz, co mówili Joan i Roddy? Krąży plotka, że ta Lucka zgubiła bilet i wymyśliła historię z włamaniem, żeby wzbudzić współczucie.

- Z całym szacunkiem dla Joan i Roddy, pieprzą!

Sinclair odczuł głupią chęć obrony siostry i szwagra, ale był to przelotny impuls.

- Tom, wiesz, jak nam brakuje ludzi. Tydzień to cholernie długo. Zamierzasz przeprowadzić śledztwo, czy jak?

- Zamierzam napisać artykuł. Dobry artykuł, jeżeli b e d z i e m y cierpliwi.

- Dopóki ta kobieta nie zacznie mówić, niewiele możemy zdziałać. Może ukradli jej ten bilet, a może nie ukradli. Może go nigdy nie miała. Wielkie wygrane zawsze przyciągają świrów.

- Mnie to mówisz?!

- Mamy dla ciebie inne tematy, Tom.

Krome potarł oczy. Pomyślał o Alasce, o niedźwiedziach, łowieniu pstrągów w rzece. Dotarł do niego głos Sinclaira:

- Wprowadzili na uniwersytecie kurs o stanie kawalerskim. „Kawaler lat dziewięćdziesiątych”. Myślę, że to będzie przebój sezonu,

Krome na chwilę oniemiał.

- Nie jestem kawalerem. I jeszcze długo nie będę, jeżeli wierzyć mojemu adwokatowi.

- Drobnny szczegół. Napisz o tym, Tom. Prowadzisz życie kawalera, to najważniejsze. Posiedzisz sobie na lekcjach. W tym tygodniu mają szycie. To będzie bardzo zabawne, Tom. Napiszesz, oczywiście, w pierwszej osobie.

- „Szycie dla kawalerów”.

- Właśnie. Coś zabawnego.

Krome westchnął w duchu. Znał stosunek Sinclaira do wszystkiego, co „zabawne”. Wolałby robić rubrykę zgonów. Wolałby pisać o pogodzie. Wolałby, żeby wbili mu hak w przegrodę nosową.

Z bezpodstawną nadzieją Sinclair czekał na odpowiedź Krome'a.

- Zadzwoń do ciebie z Grange.

Sinclair wyraźnie okłapał.

- Nie, Tom, przykro mi.

- Zabierasz mi temat?

- Twierdzę, że nie ma tematu. Dopóki nie dostaniemy policyjnego raportu i oświadczenia tej Luck, traktujemy to jako plotkę.

Odezwał się w nim miłośnik faktu, pomyślał Krome.

- Daj mi tydzień - powiedział.

- Nie mogę. - Sinclair denerwował się, próbując uporządkować stosik różowych karteluszków na biurku. - Żałuję, ale nie mogę.

Tom Krome ziewnął.

- A więc będę musiał złożyć wymówienie.

Sinclair zeszytniał.

- To nie jest śmieszne.

- Nareszcie się zgadzamy. - Krome zasalutował niedbale i opuścił biuro szefa.

Po przyjeździe do domu stwierdził, że ma wybite wszystkie okna szyby. Ktoś strzelał w okna z broni dużego kalibru. W drzwiach tkwiła kartka: „Przepraszam, to wszystko moja wina, Katie”.

Kiedy po godzinie przyjechała, zdążył już uprzątnąć większość szkła. Weszła na werandę i wręczyła mu czek na pięćset dolarów.

- Tak mi wstyd, szczerze - powiedziała.

- To przez to, że nie zadzwoniłem?

- Powiedzmy.

Krome spodziewał się, że wpadnie w większy gniew z powodu wybitych szyb, po namyśle uznał to jednak za rodzaj kamienia milowego w swoim życiu osobistym. Po raz

pierwszy stosunki seksualne zaowocowały odszkodowaniem finansowym.

- Wejdz - zaprosił Katie.
- Nie, Tom. Nie możemy tu zostać. To niebezpieczne.
- Wieje taki przyjemny wietrzyk.
- Chodźmy stąd.

Odrzuciła się i pomaszerowała w stronę samochodu - z niezłą prędkością, zważywszy, że miała na nogach sandały na wysokich obcasach. Na autostradzie zgubiła go dwa razy. Wylądowali w meksykańskiej restauracji w pobliżu psich torów wyścigowych. Katie usadowiła się przy stoliku w ciemnym kącie. Krome zamówił piwo i fajitas dla obojga.

- Jestem ci winna wyjaśnienie - powiedziała.
- Niech zgadnę: powiedziałaś Artowi.
- Tak.
- Mogę zapytać dlaczego?

- Było mi smutno, bo mimo obietnic nie zadzwoniłaś. A potem smutek przerodził się w poczucie winy. To było potworne, leżeć u boku mężczyzny, mojego męża, z tą straszną tajemnicą w duszy.

- Ale Art od lat dyma swoje sekretarki.
- To nie to samo.
- Najwyraźniej nie.
- Czuję się winna.

Krome dał za wygraną; w dziedzinie poczucia winy był zawodowcem.

- Jakiej spluwy użył?
- Och, nie zrobił tego osobiście. Zlecił to pisarzowi sądowemu.
- Kazał mu wybić okna?
- Tak mi przykro - powtórzyła Katie.

Przyniesiono piwo. Krome pił, podczas gdy Katie wyjaśniła, że jej mąż, sędzia, okazał się chorobliwie zazdrosny.

- Ku mojemu zdziwieniu - dodała.
- Nie mogę uwierzyć, że zapłacił pisarzowi sądowemu za najazd na mój dom.
- Wcale mu nie zapłacił. To byłoby przestępstwo, a Art jest niezmiernie skrupulatny jeżeli chodzi o przestrzeganie prawa. Ten młody człowiek zrobił to bezpłatnie. Żeby przypodobać się szefowi, takie jest moje zdanie.

- Chcesz znać moje?

- Tom, nie mogłam spać w niedzielę w nocy. Musiałam wypowiadać się przed Artem.

- Czy on wypowiadał się przed tobą?
- Nie, ale to robi - powiedziała Katie. - Na razie musisz się przyciąć. Zdaje się, że zamierza kazać cię zabić.

Na stole zjawiły się fajitas i Tom Krome zabrał się za jedzenie. Katie zauważyła, że bardzo dobrze przyjął złe wieści. Krome przyznał jej rację; był zdumiewająco spokojny. Brawurowy akt porzucenia gazety napełnił go dziwnym spokojem.

- Co właściwie powiedziałaś Artowi? Pytam po prostu z ciekawości.

- Powiedziałałam wszystko. Każdy szczegół. Inaczej nie byłaby to prawdziwa spowiedź.

- Rozumiem.

- Wstałam mniej więcej o trzeciej nad ranem i sporządziłam dokładną listę, poczynając od pierwszego razu. W twoim samochodzie.

Krome sięgnął po tortille.

- To znaczy...?

- Dymanko, wtedy i potem. Wszystkie razy, nawet te, kiedy nie doszłam.

- Zrobiłaś listę? Ze wszystkimi szczegółami? - Następnego chipsa umaczał w sosie.

- Wręczyłam mu ją, jak tylko się obudził. I wiesz co? Od razu lepiej się poczułam.

- Tak się cieszę. - Krome próbował sobie przypomnieć, ile razy kochali się z Katie podczas dwutygodniowej znajomości. Ciekawe, jak to wyglądało na papierze. Oczami wyobraźni ujrzał zapis czcionką pięciopunktową, jak na stronie sportowej.

- Prawie zapomniałam! - zawołała. - Zrobiłeś zdjęcie płaczącej Matki Boskiej?

- Jeszcze nie, ale zrobię.

- Nie ma pośpiechu - powiedziała Katie.

- W porządku. Wracam tam dzisiaj.

- To musi być niezły materiał.

- Kwestia zapatrywań, Katie. Wspomniałaś, zdaje się, że Art zamierza mnie zabić.

- Nie, powiedziałam, że każe cię zabić.

- Jasne. Jesteś pewna, że nie były to czcze przechwałki?

- Może. Ale był wściekły.

- Zrobił ci coś złego?

- O nie! - Wydawała się zdziwiona pytaniem. - Jeżeli chcesz znać prawdę, to go podnieciło.

- Wyznanie?

- Tak. Jakby nagle uświadomił sobie, co traci.

- Coś takiego! - zauważył Krome.

Zapłacił rachunek. Na parkingu Katie dotknęła jego ramienia i poprosiła, żeby ją zawiadomił, czy kwota pięciuset dolarów wystarczy na wymianę szyb. Krome powiedział, żeby się tym nie martwiła.

- Tommy, nie możemy się dłużej widywać.

- Zgadzam się z tobą. Nie powinniśmy.

Ta myśl wyraźnie ją pocieszyła.

- Cieszę się, że to powiedziałeś.

Sądząc z triumfalnej nuty w jej głosie, Katie wierzyła, że sypiając z Tomem i wyznając to mężowi ladaco, pomogła całej trójce stać się lepszymi ludźmi. Poruszyła ich sumienie. Otrzymali lekcję życia. Dojrzeli duchowo.

Krome litościwie postanowił nie pozbawiać jej tego pięknego złudzenia.

- Żegnaj - powiedział i pocałował Katie w policzek.

Demencio przysiadł się do Dominicka Amadora w pubie Hardee. Jak co rano, Dominick nasączał płynem Crisco szare getry gimnastyczne, które wsadzał na ręce, żeby zakryć fałszywe piętno. Płyn Crisco utrzymywał rany w wilgoci i nie pozwalał im się zasklepić. Dobrobyt Dominicka zależał od tego, czy dziury w jego dłoniach wyglądają na świeże - byłby zrujnowany, gdyby się kiedykolwiek zabliźniły.

- Chcę cię prosić o wielką przysługę - powiedział Demencio.

- Nic nowego.

- A ciebie co dzisiaj ugryzło?

- Ta pomyłona baba zgubiła bilet Lotto. Pewnie słyszałeś.

Demencio pomógł mu naciągnąć getry na ręce.

- Tak o wiele lepiej, dzięki.

- Czternaście milionów dolców poszło w błoto - mamrotał Demencio.

- Słyszałem, że to była kradzież.

- Pieprzenie.

- Hej, wszyscy wiedzieli, że ona ma bilet.

- A kto odważyłby się go ukraść? Do tego trzeba kogoś z jajami.

- Co racja, to racja. - Jedyne kradzieże w mieście popełniali wędrowni złodzieje w drodze do Miami.

- Założę się, że zgubiła bilet w jakiś głupi sposób i wymyśliła historię z kradzieżą, żeby ludzie się z niej nie nabijali.

- Mówią, że jest dziwna.

- Lepiej powiedz postrzelona.

- Postrzelona - powiedział Dominick. Jadł pączka z marmoladą i cukier puder przyklepał się do rękawiczek na jego dłoniach. Demencio powiedział mu o żółwiach JoLayne.

- Ma ich ze setkę. Nie powiesz, że to normalne.

Dominick ściągnął z namysłem brwi.

- Nie ma czegoś o żółwiach w Starym Testamencie?

- A skąd mnie to wiedzieć? - Fakt, że był właścicielem płaczącej Madonny, nie oznaczał jeszcze, że znał na pamięć całą Biblię. Prawdę mówiąc, nawet jej nie przeczytał.

- Na mój rozum, to ona urządza pokaz. No, dla turystów. Tylko nie pamiętam, żeby było coś o żółwiach w Biblii. Były owieczki i ryby. No i wąż.

Zjawiły się naleśniki Demencia.

- Zapomnij o żółwiach - powiedział, zalewając potrawę syropem.

- Może Noe miał żółwie? Miał po parze wszystkiego.

- Zgadza się. JoLayne buduje arkę. To wszystko wyjaśnia. - Demencio z irytacją zaatakował swoje śniadanie. Wspomnił o żółwiach tylko po to, żeby wykazać, jaka dziwna jest JoLayne. Kto gubi los na czternaście milionów dolarów?! Upłynie tysiąc lat, zanim ktoś z Grange znowu rozbije bank, dumal Demencio.

- Dlaczego się wkurwiasz? - zapytał Dominick. - To nie była twoja forsa. - Dominick nie znał dobrze JoLayne, ale zawsze była miła dla jego kota, Rekxa, który cierpiał na zapalenie dziąseł wymagające cotygodniowych wizyt u weterynarza. Nikt, z wyjątkiem JoLayne i córki Dominicka, nie był w stanie dać Reksowi rady bez zakuwania go w koci kaftan bezpieczeństwa.

- Nie rozumiesz? Wszyscy byśmy na tym skorzystali, ty, ja, całe miasto. Pomyśl tylko; JoLayne wygrała w Lotto, bo mieszka w świętym miejscu. Może modliła się do mojej Madonny, a może dotknęły jej twoje przebite dłonie. Takie rzeczy się rozchodzą. Każdy, kto gra w Lotto, przyjeżdżałby do Grange po błogosławieństwo.

Dominick o tym nie pomyślał: Boom w handlu błogosławieństwem!

- A co najważniejsze, przyjeżdżaliby nie tylko chrześcijanie, ale wszyscy grający w Lotto. Żydzi, buddyści, muzułmanie... bez różnicy. Hazardzista pozostaje hazardzistą. Zrobi wszystko, by zapewnić sobie szczęście.

- Kopalnia złota - przytaknął Dominick. Rękawem otarł marmoladę z policzka.

- A teraz wszystko diabli wzięli. - Demencio rzucił ze złością widelec na talerz. - Jak można zgubić kupon za czternaście milionów?

- Założę się, że nie mówią nam wszystkiego - stwierdził Dominick.

- Tak, tak... Może to byli Marsjanie. Może UFO przyleciało do Grange w środku nocy.

- Nie, ale słyszałem, że była okropnie pobita.

- Wcale się nie dziwię. Moja teoria: jest wściekła na siebie za to, że zgubiła bilet, więc bierze kij do baseballa i wali się po głowie. Przynajmniej ja bym tak zrobił, gdybym schrzanił sprawę.

- No nie wiem - powiedział Dominick i wrócił do pączków. Po kilku minutach, kiedy zdawało mu się, że Demencio trochę ochłonął, poprosił go o przysługę.

- Chodzi o moje stopy - powiedział.

- Moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Ktoś mi je musi przewiercić.

- Poproś żonę.

- Proszę cię - powiedział Dominick. - Wszystko mam już przygotowane.

Demencio położył sześć dolarów na kontuarze i zsunął się ze stołka.

- Sam sobie przewierć stopy. Ja nie jestem w nastroju.

JoLayne wiedziała, co myśli doktor Crawford: Dziewczyna w końcu znalazła sobie chłopaka, a on złał ją na kwaśne jabłko.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć. Wiem, że straszę ludzi.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Szczerze? Nie. - Fakt, że nie chciała o tym mówić, potwierdził wszystkie jego obawy. - Nie jest tak, jak myślisz - powiedziała.

- Nie ruszaj się, ty mała cholero!

Doktor Crawford zwracał się w ten sposób do Mickey, walijskiego corgi na stole zabiegowym. JoLayne starała się unieruchomić pieska, ale wił się jak glista na haczyku.

Z doświadczenia wiedziała, że takie małe szczekacze najtrudniej przytrzymać, były też najbardziej agresywne - kąsacze, jeden w drugiego.

- Dobry piesek, dobry - zamruczała do Mickeya, który w odpowiedzi zatopił żółte kły w jej kciuku i tak już pozostał. Było to bolesne, ale umożliwiło JoLayne przytrzymanie głowy psa, a doktorowi Crawfordowi zrobienie zastrzyku. Pies puścił jej rękę w chwili, gdy poczuł igłę. Doktor Crawford pochwalił JoLayne, że nie straciła cierpliwości.

- Też byś gryzł, gdybyś miał rozum psa. Widziałam ludzi, którzy robili gorsze rzeczy z mniejszych powodów.

Doktor Crawford zdezynfekował ranę na jej palcu. JoLayne pomyślała, że jodyna przypomina sos do steków.

- Posmarować ci wargę? - zapytał doktor.

Potrząsnęła głową, czekając aż padnie nieuniknione pytanie: „Jak to się stało?” Ale lekarz powiedział tylko:

- Przydałoby się parę szwów.

- Nie, dziękuję.

- Nie ufasz mi.

- Nie. - Wolną ręką poklepała go po łysinie na czubku głowy. - Nic mi nie będzie.

Reszta dnia pracy JoLayne: kot (Daisy), trzy kociaki (bezimienne), owczarek niemiecki (Kaiser), papuga (Polly), kot (Spike), pies gończy (Bilko), labrador (Contessa), cztery szczeniaki rasy labrador (bezimienne) i jedna iguana (Keith). JoLayne nie ucierpiała już więcej od zębów i pazurów, ale iguana oddała moc na jej fartuch.

Przed domem ujrzała niebieską hondę Toma Krome'a zaparkowaną na podjeździe.

Krome siedział na werandowej huśtawce. JoLayne usiadła obok, odepchnęła się nogami. Huśtawka skrzywnęła i ruszyła z miejsca.

- A więc umowa stoi - zagadnęła JoLayne.

- Umowa stoi.

- Co powiedział twój szef?

- Powiedział: „Wspaniały materiał, Tom! Bierz się do roboty!”

- Doprawdy?

- Jego słowa. Hej, co się stało z twoim fartuchem?

- Iguana go obsikała. Nie pytaj, co mi się stało w palec.

- Pokaż!

JoLayne wyciągnęła rękę. Krome przyjrzał się ranie z komiczną powagą.

- Grizzly! - orzekł.

Uśmiechnęła się. Boże, kochała dotyk jego rąk. Tom był silny, łagodny i w ogóle jak trzeba. Tak to się zawsze zaczynało, słodkim bólem serca. JoLayne zeskoczyła z huśtawki i powiedziała:

- Mamy godzinę do zmroku. Zabiorę cię gdzieś.

Na skraju Simmons Wood pokazała mu tablicę z napisem „Na sprzedaż”.

- Dlatego nie mogę czekać, aż złapią tych opryszków. W każdej chwili ktoś może to kupić.

Tom Krome przeszedł za nią przez płot i zagłębili się w las. Zatrzymała się, by pokazać mu jastrzębia na wierzchołku drzewa, ślady rysia i jelenia.

- Dwadzieścia hektarów. - Mówiła szeptem.

- Ile za to chcą? - Krome bezwiednie ściszył głos.

- Trzy miliony.

Zatrzymali się na piaszczystym cyplu nad strumieniem. JoLayne usiadła na piasku.

- Centrum handlowe i parking - powiedziała. - Zupełnie jak w piosence Joni Mitchell.

Tom Krome czuł, że notatnik pali go w kieszeni spodni. Powinien spisywać każde jej słowo. Jakby nadal pracował w gazecie.

- Stamtąd pochodzą żółwie - powiedziała JoLayne, wskazując herbacianą wstążkę wody. - Teraz ich nie widać, ale kiedy przygrzewa słońce, wylegają się na kamieniach.

Nadal szeptała, jakby byli w kościele. Co w pewnym stopniu odpowiada prawdzie, pomyślał Krome.

- Co sądzisz o moim planie?

- Fantastyczny.

- Kpisz sobie.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak. Uważasz, że jestem szurnięta. - Podparła dłonią brodę. - A ty co byś zrobił z pieniędzmi, mądralo?

Krome zaczął coś mówić, ale uciszyła go gestem. Nad strumieniem stał jelen, pił wodę. Obserwowali go aż do zapadnięcia zmroku, potem ruszyli w drogę powrotną, Krome z wzrokiem wbitym w białe fartuch JoLayne migający pośród drzew.

W domu poszła prosto do sypialni, żeby się przebrać i przesłuchać taśmę automatycznej sekretarki. Kiedy wróciła do salonu, Krome stał przy akwariu i obserwował żółwie.

- Dzwonili z banku - powiedziała. - Gnojki już kupują na moją Visę.

Krome odwrócił się gwałtownie.

- Nie mówiłaś, że zabrali ci karty kredytowe.

JoLayne sięgnęła do telefonu na ścianie w kuchni.

- Muszę je unieważnić.

Krome chwycił ją za ramię.

- Nie rób tego. To wspinała wiadomość; mają twoją Visę, a na dodatek są kretynami.

- To mnie uszczęśliwia.

- Chciałaś ich znaleźć, tak? Teraz mamy szansę.

JoLayne była zaintrygowana. Usiadła przy kuchennym stole i otworzyła pudełko słonych krakersów. Łzy napłynęły jej do oczu, bo sól podrażniła rankę na ustach.

- Zrobisz tak: zadzwoń do banku i dowiedz się, gdzie skorzystano z karty. Powiedz, że pożyczyłaś ją bratu, wujkowi, komuś takiemu. Ale jej nie unieważniaj. Przynajmniej do czasu gdy dowiemy się, gdzie oni są.

Urzędnik w Chase Bank okazał się bardzo pomocny. Udzielił JoLayne wszelkich informacji, a ona przekazała je Krome'owi.

- Ha! - powiedział.

- Właśnie.

- Wydali dwa tysiące trzysta dolarów na targach broni?!

- I dwieście sześćdziesiąt u Hootersa - dodała JoLayne. - Nie jestem pewna, co mnie bardziej przeraża.

Targi broni mieściły się w War Memorial Auditorium w Fort Lauderdale, Hooters w Coconut Grove. Wyglądało na to, że złodzieje jadą na południe.

- Pakuj się - powiedział Tom Krome.

- Boże, zapomniałam o żółwiach. Są strasznie żarte.

- One nie jadą z nami!

- Oczywiście, że nie - powiedziała JoLayne.

Zatrzymali się przy automacie bankowym, żeby mogła podjąć trochę pieniędzy. W samochodzie powiedziała:

- Gaz do dechy. Moja Visa wyczerpie się przy trzech tysiącach.

- Jutro rano wyślesz czek. Chcę, żeby chłopcy poczuli wiatr w żaglach.

JoLayne chwyciła go za koszulę na piersiach.

- Tom, zostało mi na koncie dokładnie czterysta trzydzieści dwa dolary!

- Uspokój się - powiedział zerkając na nią z ukosa. - Czas byś zaczęła myśleć jak milionerka.

7.

Prawdziwe imię i nazwisko Chuba brzmiały Onus Dean Gillespie. Najmłodszy z siedmiu dzieci Moiry Gillespie urodził się, kiedy miała czterdzieści siedem lat i po jej instynkcie macierzyńskim nie pozostało śladu. Ojciec Onusa, Greve, był szczerym człowiekiem, który nieustannie przypominał chłopcu, że zawdzięcza istnienie wadliwemu kondomowi, a jego pojawienie się w łonie pani Gillespie było równie pożądane jak „karaluch w torcie weselnym”.

Niemniej Onus nie był bity ani zaniedbywany. Greve Gillespie zarabiał nieźle jako cieśla w północnej Georgii i nie skąpił na utrzymanie rodziny. Mieszkali w dużym domu z tablicą do koszykówki, używaną motorówką w garażu i sześciotomową encyklopedią powszechną w piwnicy. Rodzeństwo Onusa skończyło uniwersytet stanowy i Onus też miałby taką szansę, gdyby w wieku lat piętnastu nie zdecydował się na życie w lenistwie, pijaństwie i nieuctwie.

Wyprowadził się z domu rodziców i wpadł w złe towarzystwo. Dostał pracę w zakładzie fotograficznym, dorabiał przeglądając negatywy i wyszukując erotyczne fotki, które sprzedawał uczniom w liceum. (Jeszcze po wejściu w wiek męski zdumieniem napawał go fakt, że istnieją kobiety, które pozwalają swoim chłopakom i mężom fotografować się na golasa. Marzył o poznanii takiej dziewczyny, ale szczęście mu nie dopisywało).

Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, trafiła mu się posada w hurtowni wyposażenia wnętrz. Dzięki wojowniczemu przywódcy związkowemu utrzymał posadę przez sześć lat, mimo rekordowej liczby nieobecności, niezliczonych dowodów niekompetencji i umiłowania kleju do wykładzin. Naćpany po dziurki w nosie wjechał podnośnikiem widłowym w maszynę do cięcia płyt gipsowych. - niegroźny wypadek posłużył mu jako podstawa do żądania odszkodowania.

Na jego przedłużoną rekonwalescencję złożyło się wiele pijackich wypraw wędkarskich i łowieckich. Pewnego ranka widziano Onusa, jak wyłania się z lasu mając u boku prostytutkę, a na ramieniu martwe niedźwiedziątko. Świadkiem zdarzenia był detektyw firmy ubezpieczeniowej, który przedstawił przekonujące dowody, że pan Onus Gillespie

nie poniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu. Dopiero wtedy zwolniono go z hurtowni. Zdecydował się nie składać apelacji.

Moira i Greve wypisali ostatni czek dla zbląkanego syna, po czym go wydziedziczyli. Onusa nie trzeba było zachęcać do opuszczenia stanu. Poza wezwaniem do sądu w sprawie o wyłudzenie odszkodowania otrzymał również bardzo nieprzyjemny list od Urzędu Podatkowego z zapytaniem, dlaczego w całym swym dorosłym życiu nie złożył ani jednego zeznania podatkowego. Wielce zaniepokojony Urząd Podatkowy wysłał platformę i dwóch niesympatycznych panów po jego forda econoline. Wóz nietrudno było znaleźć. Malunek na drzwiach pojazdu przedstawiał Kim Bassinger jako nagą syrenę dosiadającą narwala. Onus zakochał się w bohaterce filmu „9 i 1/2 tygodnia” i zamówił malunek jako wyraz swego uwielbienia.

Utrata ukochanego forda nastawiła Onusa Gillespie wrogo wobec rządu Stanów Zjednoczonych (żywił podobne uczucia wobec rodziców, którzy nie tylko odmówili zapłacenia jego podatków, ale podpowiedzieli agentom, gdzie szukać forda). Przed opuszczeniem rodzinnego stanu Onus spalił swoje prawo jazdy i porzucił rodowe nazwisko. Przybrał imię Chub (wołano tak na niego w domu, kiedy był mały i miał problemy z nadwagą). Nie mógł się zdecydować na wybór nazwiska, postanowił więc poczekać, aż wpadnie mu do głowy jakiś pomysł.

Szczęśliwy los i kilka piw pozwoliło mu nawiązać przyjaźń z fałszerzem amatorem, który powierzył mu swoją drukarnię na czas odsiadki w więzieniu stanowym. Już wkrótce Chub drukował fałszywe plakietki inwalidzkie i sprzedawał je za ciężkie pieniądze. Jego ulubionym rynkiem zbytu był sąd federalny Miami słynący z ciasnego parkingu. Pośród wdzięcznych klientów Chuba były stenotypistki, akcjonariusze, prawnicy, a nawet kilku sędziów. Wyrobił sobie reputację i wkrótce zasłynął jako rzetelny producent fałszywych oznaczeń inwalidzkich.

W ten sposób znalazł go Bode Gazer, który przeżywał koszmary próbując znaleźć w śródmieściu miejsce do parkowania. Jako świeżo upieczony właściciel dodge'a, uważał za szczyt głupoty parkować kilka przecznic od interesującego go urzędu i iść piechotą na spotkanie z biurokratyczną machiną. Sąsiedztwo nie sprzyjało spacerom; sami Kubance i Haitańczycy. W koszmarnych snach widywał swojego nowiutkiego dodge'a rozkradzionego do osi.

Chub powziął natychmiastową sympatię do Bode'a Gazzera. Szerokie poglądy i przystępne objaśnienia przyjaciela działały jak balsam na jego zbolałą duszę. Chub czuł się podle, kiedy rodzice okrzyknęli go oszustem podatkowym, ale Bode Gazer wytłumaczył mu, dlaczego żaden biały dorosły Amerykanin nie powinien oddawać swoich pieniędzy Urzędowi Podatkowemu. Odetchnął z ulgą dowiedziawszy się, że to, co w swej naiwności brał za unikanie spłaty długu, było aktem protestu obywatelskiego.

- Jak bostoński bunt herbaciany - powiedział Bode, odwołując się do ulubionego wydarzenia historycznego. - Tamci chłopcy byli przeciwko opodatkowaniu i ty też o to walczysz. Biali stracili głos w tym rządzie, dlaczego mają go finansować?

Dla Chuba podobne rozumowanie miało głęboki sens. A Bode Gazer był w nim mistrzem.

Niektórzy znajomi Chuba, zwłaszcza weterani wojenni, potępiali jego fałszerski proceder, ale nie Bode.

- Pomyśl! - powiedział do Chuba. - Jak często widzisz inwalidę na wózku? A ile tysięcy miejsc parkingowych im przydzielono? To bez sensu, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że te miejsca nie są dla niepełnosprawnych - powiedział Bode ponurym głosem. - Jaki kolor mają plakietki parkingowe?

- Niebieski.

- Hm. A jaki kolor mają hełmy wojsk ONZ?

- A skąd ja mam, kurde, wiedzieć! Niebieski?

- Zgadza się! - Bode Gazzer potrząsnął Chuba za ramię. - Nie rozumiesz, chłopie? Mamy inwazję! Jak myślisz, kto będzie parkował na miejscach dla inwalidów? Żołnierze ONZ!

- Słodki Jezu!

- Wyświadczasz krajowi ogromną przysługę produkując te znaczki. Im ich więcej, tym mniej miejsca parkingowego dla wroga. Ja tak to widzę.

I tak właśnie zamierzał spojrzeć na to Chub. Nie był oszustem, był patriotą. Życie nabrało jaśniejszych barw!

A teraz jechał na południe ze swoim najlepszym kumplem.

Wkrótce będą multimilionerami.

Czekały ich długie, spokojne popołudnia u Hootersa, kurze skrzydełka z rusztu i skrzynki piwa.

Będą flirtowali z kelnerkami w tych malusieńkich pomarańczowych szortach. Boże Wszchemogący, miały najlepsze młode nogi, jakie Chub widział. I dupki, krągłe jak zielone jabłuszka!

A na zewnątrz stał wóz wyładowany bronią.

- Wypijmy! - powiedział Bode Gazzer wznosząc kufel. - Za Amerykę.

- Amen! - czknął Chub.

- I demokrację!

- Jasne!

Kiedy przyszło do płacenia rachunku, byli już zagazowani. Z pijackim uśmieszkiem Bode rzucił na stół skradzioną kartę kredytową. Chub przypomniał sobie niejasno, że mieli się jej pozbyć po zakupach na targach broni, gdzie nabyli TEC-9, cobray M-1 1, używany AR-15, roztwór oleożywicy w areozolu i kilka pudełek amunicji.

Chub preferował targi, ponieważ nie podlegały federalnym i stanowym ograniczeniom w handlu bronią. Zaproponował zakupy w Fort Lauderdale, ale miał duże wątpliwości, czy należy płacić za tak wyrefinowaną broń kradzioną kartą. Uważał, że jest to bezmyślność granicząca z głupotą.

Ale Bode Gazzer go uspokoił. Wyjaśnił przyjacielowi, że dealerzy na targach broni są w rzeczywistości tajnymi agentami ATF, Biura do spraw Alkoholu, Wyrobów Tytoniowych i Broni Palnej i dzięki użyciu kradzionej Visy rzucają się w pościg za J.L. Lucks i nowo nabytym arsenałem.

- Wpuścimy ich w maliny - powiedział Bode. - Zamiast dręczyć praworządnych Amerykanów, będą szukali faceta o nazwisku Lucks.

Drugi powód użycia kradzionej Visy był bardziej pragmatyczny niż polityczny. Nie mieli gotówki. Ale Bode zgodził się z Chubem, że należy pozbyć się karty, na wypadek gdyby Chase Bank zaczął coś podejrzewać.

Chub zamierzał przypomnieć o tym kumplowi, kiedy do stołu podeszła wyjątkowo długonoga kelnerka i zabrała kartę.

Bode zatarł ręce.

- O to właśnie walczymy, mój przyjacielu. Jeżeli kiedykolwiek zwątpisz w słuszność sprawy, przypomnij sobie to młode stworzenie i Amerykę, która jej się należy.

Kelnerka wydała się Chubowi uderzająco podobna do Kim Bassinger: jasna cera, zmysłowe usta, złote włosy. Chuba zelektryzowało. Był ciekaw, czy kelnerka ma chłopaka i czy pozuje mu do zdjęć topless. Rozwahał możliwość zaproszenia jej do stolika, kiedy wzrok mu się wyostriżył i ujrzał Bode'a Gazzera. Uświadomił sobie, jak muszą obaj wyglądać: Bode w kamuflażu i kowbojskich butach, cały w sińcach i zadrapaniach; Chub z twarzą zrytą paznokciami, z powieką zaklejoną plastrem.

Dziewczyna musiałaby być ślepa albo szalona, żeby się nimi zainteresować. Kiedy wróciła do stolika, odważnie zapytał, jak ma na imię. Powiedziała, że Amber.

- Amber, powiedz mi, słyszałaś kiedyś o Bractwie Białych Rebeliantów?

- Jasne - odparła kelnerka. - Zeszłego lata otwierali koncert Geto Boys.

Bode, który podpisywał rachunek, podniósł wzrok i powiedział:

- Jesteś w dużym błędzie, złotko.

- Nie wydaje mi się, proszę pana. Mam T-shirt z koncertu.

Bode ściągnął brwi, Chub targnął swój kucyk.

- Kurde balans!

Amber zabrała ze stolika podpisane potwierdzenie płatności, na którym figurowało sto dolarów napiwku, i nagrodziła ich rumieńcem i swoim najpiękniejszym uśmiechem. Nerwy Chuba nie wytrzymały. Gruchnął na kolana i błagał, by darowała mu na pamiątkę swoje pomarańczowe szorty. W tym momencie zmaterializowało się dwóch meksykańskich wykidajłów, którzy i wyprowadzili bojówkarzy z restauracji.

Siedząc w samochodzie pośród nowitkiewej broni, Chub chichotał.

- Masz swoje Bractwo Białych Rebeliantów!

- Zamknij gębę! wybelkotał Bode Gazzer. - Bo obrzygam ci buty.

- Nie będę miał żalu. Zakochałem się.

- Niech cię diabli!

- Zakochałem się i mam misję do spełnienia.

- Tylko nie zaczynaj!

- Właśnie zaczynam - powiedział Chub. - I nie próbuj mnie zatrzymać.

Chcąc sprawdzić, czy kelnerka nie myliła się co do nazwy milicji, zajechali do sklepu muzycznego w centrum handlowym Kendall. Bode krążył jak błędny między stoiskami, dopóki nie znalazł dowodu: płyty kompaktowej pod tytułem „Nocturnal Omission” nagranej w Muscle Shoals, w Alabamie, przez Bractwo Białych Rebeliantów. Ku oburzeniu

Bode'a trzech spośród pięciu członków zespołu było Murzynami. Nawet Chub uznał, że to nie jest śmieszne.

Bode ukradł pół tuzina kompaktów i kiedy wrócili do przyczepy Chuba, zrobił z nich miazgę za pomocą TEC-9. Chub podrzucał płyty, a Bode wypuszczał serię z karabinu. Przerwali, kiedy broń się zacięła. Wtedy Chub wyniósł przed dom parę składanych krzeseł ogrodowych i rozpałił ogień w zardzewiałej puszcze po oleju. Bode narzekał, że trzeźwieje, więc Chub otworzył butelkę taniej wódki, z której pociągali na zmianę, spoglądając w gwiazdy.

- Zdaje się, że potrzebna nam nowa nazwa - odezwał się w końcu Chub.

- Wiem już nawet jaka. - Bode przyssał się do butelki. - Biali Heroldowie Aryjscy.

Przed chwilą mnie natchnęło.

- Podoba mi się - przyznał Chub, choć nie był pewny, co oznacza „herold”. Miał wrażenie, że słowo to występuje często w kolędach, w kontekście aniołów. - Możemy mówić BHA.

- BHA. Dlaczego nie?

- Bo ta nazwa jest trochę no... bombastyczna.

- Nie bardziej niż pierwsza.

- A tak jest w pytę - dokończył Chub.

Biali Heroldowie Aryjscy. Miał nadzieję, że żadnej cholernejszej grupie rockowej, rapowej czy innym braciom patriotom nie przyszło do głowy tak się ochrzcić. Bode wstał z ogrodowego krzesła i wznosił ku niebu pustą butelkę po wódce.

- Za BHA! Zwartych, gotowych, uzbrojonych!

Mniej więcej w tym czasie młody człowiek o imieniu Shiner, otępiąły po podwójnej dawce valium, podziwiał litery BBR świeżo wytatuowane na jego lewym bicepsie. Pod literami rozpierał się orzeł z błyszczącym karabinem w szponach.

Artysta, który wykonał tatuaż, pracował w Vero Beach. Shiner zatrzymał się tam w drodze do Florida City, gdzie zamierzał dołączyć do swoich białych braci. Opuścił Grab N'Go po awanturze z właścicielem, który chciał wiedzieć, dlaczego impala Shinera stoi na jedynym miejscu dla inwalidy. Prostując się dumnie za ladą, Shiner odparł, że ma zezwolenie.

- Widzę, ale nie rozumiem.

- Na tylnym zderzaku.

- Tak, tak, ale nie jesteś kaleką. Przyjedzie policja.

Shiner zakaszłał demonstracyjnie.

- Mam chore płuca.

- Nie jesteś ułomny.

- Jestem niepełnosprawny. To zupełnie co innego. Kontuzja z wojska.

Pan Singh, wymachując szczupłymi brązowymi ramionami, pośpieszył na zewnątrz, by obejrzeć nalepkę inwalidzką.

- Skąd to masz? Jak? Gdzie? Proszę mi to wyjaśnić.

Shiner promieniał. Reakcja szefa była holdem dla fałszerskich umiejętności Chuba.

- Niezłe, no nie? - powiedział do pana Singha.
- Tak, tak, ale nie jesteś inwalidą, nie jesteś niepełnosprawny ani w ogóle, i nie wciśkaj mi tu kitu. Przystaw samochód.

- To tak pan traktuje inwalidę? Wobec tego odchodzę, głupku w turbanie!
Chwycił z kasy trzy banknoty studolarowe i przepchnął się koło pana Singha, który wołał za nim:

- Zostaw te pieniądze, chłopcze! Zostaw te pieniądze!
Krzyczał coś również o kasecie wideo ze sklepowej kamery bezpieczeństwa, którą Shiner usunął (zgodnie z instrukcjami Bodeana Gazzera), na wypadek gdyby zarejestrowała nabycie kuponu Lotto przez JoLayne Luicks.

Bode Gazzer wyjaśnił Shinerowi znaczenie taśmy. Byłaby bezcenna, gdyby władze zakwestionowały ich prawo do biletu z Grange. Stanowiła dowód, że zjawili się w sklepie dzień po losowaniu.

Wkrótce po wyjściu białych braci Shiner posłusznie wyjął obciążającą kasetę z magnetowidu pana Shingha i zastąpił ją czystą. Mknąc impala przez Grange zastanawiał się, skąd pan Singh dowiedział się o zamianie. O ile nie było napadu, w ogóle nie interesował się magnetowidem.

Niepokój Shinera byłby o wiele większy, gdyby wiedział, że pana Singha odwiedził ten sam mężczyzna, który złożył wizytę jemu, Shinerowi. Niejaki Tom. Namówił pana Singha, by sprawdził kamerę bezpieczeństwa w Grab N'Go i w ten sposób kierownik sklepu dowiedział się o zniknięciu kasy.

Shiner szybko zapomniał o niepowodzeniu akcji, pochłonięty sprawą tatuażu. Wykonał go brodaty artysta z gołym torsem i brodawkami przekłutymi srebrnymi agrafkami. Kiedy ostatni brzuszek B został ukończony, Shiner nie mógł powstrzymać uśmiechu szczęścia i uśmiechał się nawet wtedy, gdy tatuażysta odkaził mu ramię wysokoprocentowym alkoholem.

Orzeł był po prostu piękny! Shiner nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże go Bode'owi i Chubowi.

- Wiesz, od czego do skrót? - zapytał tatuażystę, wskazując litery na swoim ramieniu.

- Pewnie! Mam wszystkie ich płyty.

- Tu nie chodzi o zespół.

- Więc co?

- Wkrótce się dowiesz.

Tatuażysta nie lubił mądrali.

- Nie mogę się doczekać - powiedział.

- Dam ci wskazówkę. Jest o tym w Drugiej Poprawce.

Tatuażysta wstał i jednym kopnięciem usunął stołek pod ścianę.

- Mam wskazówkę dla ciebie: płac i spadaj, koleś!

Demencio pracował przy płaczącej Madonnie, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. W progu stała JoLayne Luicks w towarzystwie wysokiego białego mężczyzny. Dźwigali wielkie akwarium.

- Dobry wieczór - powitała Demencia, któremu nie pozostało nic innego, jak zaprosić ich do środka. - Trish poszła do sklepu - wyjaśnił niepytany.

Postawili akwarium na podłodze, obok sprzętu do gry w golfa. Po podróży w górę schodów żółwie zbiły się w kupkę w jednym końcu akwarium.

- Poznaj mojego przyjaciela, Toma Krome'a - powiedziała JoLayne. - Tom, to jest Demencio.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie; Krotne nie spuszczał wzroku z bezgłowej Madonny, Demencio obserwował zaniepokojone żółwie.

- Co robisz? - zapytała JoLayne wskazując Madonnę.

- Drobnostka. Zatkło się jedno oko. - Demencio wiedział, że kłamstwo jest w tym wypadku stratą energii. Sprawa była jasna, a dowody rozłożone na dywanie w salonie - bezgłowy posąg, rurki, gumowa gruszka.

- Zawsze zastanawiałam się, w jaki sposób to robisz - powiedziała JoLayne.

Mężczyzna imieniem Tom był zaintrygowany flakonem perfum.

- Koreańska podróbka - wyjaśnił Demencio - ale całkiem niezła. Perfumuję łyż. Pielnymi to lubią.

- Świetny pomysł - pochwaliła JoLayne, ale jej przyjaciel Tom miał chyba zastrzeżenia.

- Chcę, żebyście zaopiekowali się z Trish żółwiami na czas mojej nieobecności - powiedziała JoLayne. - W samochodzie jest torba sałaty. Zostawię wam pieniądze.

- Dokąd się wybierasz, JoLayne?

- W interesach do Miami.

- W loteryjnych interesach, jak przypuszczam?

- Słyszałeś coś? - zapytał Tom Krome.

- Że ukradli bilet - powiedział Demencio.

JoLayne obiecała, że opowie mu wszystko, gdy wróci do Grange.

- Przepraszam za te tajemnice, ale kiedyś przynasz mi rację.

- Jak długo cię nie będzie?

- Naprawdę nie wiem, ale mogę wam zaproponować tysiąc dolarów za opiekę nad moimi maluszkami. Niezależnie od tego, czy nie będzie mnie dzień czy miesiąc.

Tom Krome osłupiał. Demencio gwizdnął z podziwu.

- Mówię poważnie - zapewniła JoLayne.

Wariatka, pomyślał Demencio. Patol za opiekę nad żółwiami?

- To uczciwa propozycja - zauważył, unikając oczu Krome'a.

- Ja też tak myślę - powiedziała JoLayne. - Trish wspominała, że macie kota...

- Pieprzyć kota - powiedział Demencio.

- Był szczepiony? Nie pamiętam, żebyście przychodzili do doktora Crawforda.

- To przybłęda. Trish zostawia mu resztki na werandzie.

- W porządku - powiedziała JoLayne. - Ale jeżeli zabije choćby jedno maleństwo, umowa jest nieważna.

- Nic się nie martw.

- Jest ich dokładnie czterdzieści pięć. Liczyłam.
- Czterdzieści pięć - powtórzył Demencio. - Będę ich pilnował.

JoLayne wręczyła mu sto dolarów zaliczki plus dwadzieścia na fundusz sałatowy.

Powiedziała, że resztę otrzyma po jej powrocie.

- A Trish? - zapytała. - Jaki ona ma stosunek do gadów?

- Och, przepada za nimi. Zwłaszcza za żółwiami.

Krome wyciągnął aparat fotograficzny. Demencio zapytał na co to.

- Chciałbym zrobić zdjęcie Marii Dziewicy. Dla znajomej.

- Daj mi tylko chwilkę, to ją złożę.

- Byłoby wspaniale. Złóż ją i zrób, żeby płakała.

- Chryste, i to też?

- Proszę - powiedział Tom Krome. - Jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

8.

Dochodziła północ, kiedy Tom Krome i JoLayne Lucks zatrzymali się w Comfort Inn w Miami, w pobliżu uniwersytetu. JoLayne została w samochodzie, żeby nie afiszować się pokiereszowaną twarzą, Krome poszedł zameldować ich w motelu. Dostali przyległe pokoje.

Krome zasnął, ledwo przyłożył głowę do poduszki - zdumiewające u kogoś, kto jest bezrobotny, ma tysiąc trzysta dolarów majątku i żonę, która twierdzi, że jest uzależniona od leków, i odmawia rozvodu. Jakby to nie wystarczało, żeby zlasować mózg, zazdrosny sędzia, którego żonę pieprzył zaledwie od dwóch tygodni, postanowił wyrządzić mu poważną krzywdę. Wszystkie te problemy Krome odłożył na potem i zajął się ściganiem dwóch psychopatów, którzy okradli prawie nie znaną mu kobietę.

A jednak spał jak szczeniak. Przynajmniej tak uważała JoLayne Lucks, która siedziała w pokoju, kiedy się obudził.

- Niewinny i beztrocki - powiedziała. - To najprzyjemniejsze w moim zawodzie, patrzeć na śpiące kocięta i szczeniaki.

Krome uniósł się na łokciach. JoLayne ubrana była w sportową kamizelkę i kolarki. Ramiona i nogi miała szczupłe, ale umięśnione; ciekawe, że nie zauważył tego wcześniej.

- Dzieci też tak śpią - ciągnęła. - Ale kiedy na nie patrzę, robi mi się smutno. Nie rozumiem dlaczego.

- Bo wiesz, co je czeka w życiu. - Krome spuścił nogi na podłogę i chciał wstać, ale przypomniał sobie, że jest tylko w slipach.

JoLayne podała mu ręcznik.

- Ale jesteś wstydlivy. Mam się odwrócić?

- To nie jest konieczne. - Po epizodzie w wannie nie było czego ukrywać.

- Weź prysznic - powiedziała. - Obiecuję, że nie będę podglądać.

Kiedy wrócił z łazienki, spała na jego łóżku. Przez chwilę wsłuchiwał się w jej równy oddech, dziwiąc się swojemu dobremu nastrojowi. Człowiek, który wpakował się w tak

wariacką aferę, nie powinien być tak radosny. Poczucie misji działało ożywczo i Krome postanowił, że nie będzie analizował swojego stanu. Skrzywdzono kobietę, mężczyznom, którzy to zrobili, należy się kara - a Krome nie miał nic lepszego do roboty, jak wymierzyć sprawiedliwość. Zresztą ściganie uzbrojonych świrów po południowej Florydzie było lepsze niż pisanie artykułów pod tytułem „Kawaler lat dziewięćdziesiątych”.

Przeszedł na palcach do sąsiedniego pokoju. Musiał przeprowadzić parę rozmów telefonicznych, a nie chciał obudzić JoLayne. Zjawiła się po dwóch godzinach, z zapuchniętymi oczami, żeby oznajmić, że miała sen.

- Dobry czy zły?
- Ty w nim byłeś.
- Nie mów nic więcej.
- Lecieliśmy balonem.
- Coś podobnego!
- Kanarkowożółtym z pomarańczowym szlaczkiem.
- Wolałbym ognistego rumaka.
- Białego czy czarnego?
- To bez znaczenia.
- Rozumiem. - JoLayne przewróciła oczami.
- Byle dobrze galopował - powiedział Krome.
- Może następnym razem. - Ziewnęła i usiadła na podłodze, chowając nogi pod siebie. - Spędziłeś pracowity ranek.

Powiedział, że zdobył trochę pieniędzy na sfinansowanie pościgu. Oczywiście chciała wiedzieć, jak tego dokonał, i Krome skłamał. W kasie zapomogowej „The Register” nie wiadano jeszcze o jego rezygnacji, toteż bez problemu otrzymał pożyczkę. JoLayne Lucks podniosłaby krzyk, gdyby знаła prawdę.

- Przesłałem już trzy tysiące na twoje konto - powiedział. - Żeby dranie mieli co brać.

- Swoje własne pieniądze?!
- Nie moje. Gazetowe.
- Nie chrzań!
- Nie słyszałaś nigdy o zwrocie kosztów? Zwracają mi też za hotele i benzynę.

Nie był pewny, czy dała się nabrać. Poruszała palcami u stóp, co mogło oznaczać wszystko.

- Musi im naprawdę zależeć na tym artykule - powiedziała.
- Na tym polega nasza praca.
- Na zdobywaniu informacji, tak? Więc czego jeszcze się dowiedziałaś?
- Bandyci nie odebrali jeszcze pieniędzy. Sprawdziłem w biurze Lotto. Nawet się nie zgłosili.

- Chcą się upewnić, że nie pójde na policję.
- Wytrzymają tydzień, dziesięć dni, potem twój bilet zacznie im wypalać dziury w kieszeni.

- Mało czasu.
- Wiem. Musimy ich znaleźć.

- A co wtedy?

Zadała mu to samo pytanie wcześniej, a Krome nie potrafił odpowiedzieć. Wszystko zależało od tego, kim byli faceci, gdzie mieszkali, co kupili na targach broni. Fakt, że pamiętali o usunięciu filmu z kamery w sklepie Grab N'Go dowodził, że nie byli tak głupi, za jakich ich Krome uważał.

JoLayne przypomniła mu, że w bagażniku ma remingtona.

- Zaletą remingtonów jest niewielki margines błędu - powiedziała.

- Rozumiem, że strzelałaś już wcześniej do ludzi?

- Nie, ale znam się na broni. Tatuś o to zadbał.

Krome wręczył jej słuchawkę telefonu.

- Zadzwoń do Visy. Musimy się dowiedzieć, co zamierzają nasi milusińscy.

Sinclair nie powiedział nikomu o rezygnacji Krome'a w nadziei, że był to zwykły blef. Dobrzy dziennikarze są kapryśni i impulsywni; Sinclair uczył się o tym w szkole menedżerów.

A potem reporterka z działu stołecznego przyniosła mu raport policyjny, który zaniepokoił go w najwyższym stopniu. Szyby w domu Krome'a zostały wybite przez nieznaną sprawców, a właściciel przepadł jak kamień w wodę. Z uwagi na brak krwi i trupa policja potraktowała incydent jako akt wandalizmu, ale Sinclair uważał, że sprawa jest o wiele poważniejsza.

Rozwazał różne warianty wydarzeń, kiedy zadzwoniła jego siostra Joan z Grange. Przekazała Sinclairowi najnowsze plotki: JoLayne Lucks wyjechała z miasta w towarzystwie białego faceta, prawdopodobnie reportera prasowego.

- Czy to ten facet od ciebie? - zapytała Joan.

Drżącymi rękami Sinclair sięgnął po papier i długopis. Nigdy nie pracował jako reporter i nie miał wprawy w robieniu notatek.

- Zaczynaj od początku - nakazał siostrze. - Tylko powoli.

Ale Joan już głosiła dalsze rewelacje: ekspedient w Grab N'Go też się zmył - ten sam, który najpierw twierdził, że sprzedał zwycięski bilet JoLayne Lucks, a potem zmienił zdanie.

- Zaraz, zaraz... - Sinclair gryzmołił na trzeciej już kartce. - Powtórz to.

Niezdecydowany sprzedawca nadał sprawie zupełnie nowy aspekt. Joan powiedziała bratu, co wie o Shinerze. Sinclair przerwał jej, kiedy dotarła do epizodu z Jezusem na Drodze.

- Jeszcze raz! - powiedział do Joan. - Podróżują razem, ekspedient, reporter i ta Lucks?

- Na ten temat istnieją różne teorie. Ja obstawiam Bermudy.

Sinclair zapisał sumiennie: „Bermudy”. Dodał znak zapytania, żeby podkreślić własne wątpliwości. Podziękował Joan za wskazówkę, a ona radośnie obiecała, że zadzwoni, jak tylko dowie się czegoś nowego. Sinclair odwiesił słuchawkę i zaciągnął żaluzję w swoim biurze, znak dla personelu (choć Sinclair sobie tego nie uświadamiał), że szykuje się kryzys.

W samotności rozpatrywał różne możliwości. Los Toma Krome'a głęboko go obchodził, już choćby z powodów politycznych. Od kierownika działu oczekiwano, że utrzyma pozory, iż panuje nad swoimi reporterami, a przynajmniej ma jakieś pojęcie o ich poczynaniach. Sytuację z Krome'em komplikował fakt, że był uznawany za cenny nabytek przez redaktora naczelnego, który nie doświadczał na co dzień stresów związanych z przebywaniem w jego towarzystwie. Zdaniem cynicznego Sinclaira, Krome zdobył szacunek naczelnego jednym reportażem - portretem kontrowersyjnej artystki urządzającej happeningi z udziałem cukini, jamsów i mrożonego schabu. Krome'owi udało się dostrzec pewien symbolizm w wystąpieniach artystki i jego życzliwy artykuł natchnął Stowarzyszenie Wspierania Sztuk Pięknych myślą przyznania jej rocznej zapomogi, wysokości czternastu tysięcy dolarów. Wdzięczna artystka przyszła do redakcji podziękować dziennikarzowi, którego, jak zwykle, nie było w mieście, i trafiła na naczelnego (który, rzecz prosta, zaprosił ją na kolację). Tydzień później zdumiony Krome odebrał w kasie siedemdziesiąt pięć dolarów premii.

I mówić tu o sprawiedliwości! Sinclair zakładał, że jego kariera ucierpi, jeżeli Krome wyłąduje w szpitalu, kostnicy lub więzieniu. Jednak popełniwszy dwa zasadnicze błędy, stracił jakikolwiek wpływ na bieg zdarzeń. Po pierwsze: pozwolił Krome'owi złożyć wy-mówienie, po drugie: nie poinformował o tym fakcie nikogo w gazecie. W przekonaniu szefów „The Register” Krome nadal dla niego pracował.

Co oznaczało, że Sinclair zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, jeżeli Krome zginie albo wpakuje się w inne kłopoty. Ponieważ Sinclair nie posiadał dość wyobraźni i przedsiębiorczości, by odszukać zaginionego reportera, zabrał się energicznie do ratowania własnej skóry. Spędził dwie godziny wysmarowując memorandum, w którym opisał swoją ostatnią rozmowę z Krome'em. Położył duży nacisk na stres, w jakim żył ostatnio reporter. Naturalnie Sinclair odmówił przyjęcia rezygnacji zdenerwowanego przyjaciela i udzielił mu po cichu płatnego urlopu zdrowotnego. Chroniąc prywatność pracownika, nie powiedział o tym nikomu, nawet kierownictwu gazety.

Sinclair przeczytał memorandum sześć razy. Był to majstersztyk - podawał w wątpliwość stan umysłu pracownika, ukazując Sinclaira jako lojalnego, troskliwego szefa.

Nie tracił nadziei, że nie będzie musiał kłamać; Tom Krome po prostu zapomni o wariacie Lucks i jakby nigdy nie wróci do pracy w „The Register”..

Ale gnębiły go wątpliwości. Notatki z rozmowy z Joan okazały się prawie nieczytelne, a to, co udało mu się odcyfrować, wywołało gęsią skórkę.

Bermudy?

Chub długo nie mógł się zdecydować, gdzie ukryć kradziony bilet Lotto - niewiele było miejsc mogących konkurować z kondomem Bode'a Gazzera. Z początku trzymał los w bucie; do wieczora przesiąkł potem. Bode ostrzegł go, że biuro loterii nie przyjmuje biletów „uszkodzonych”, termin prawny, które Bode zinterpretował szeroko, tak by obejmował los „mokry i śmierdzący”. Chub posłuszniełożył bilet do pudełka z amunicją,

z którym się nie rozstawał. Bode Gazer ponownie zakwestionował jego wybór. Podkreślił, że jeżeli Chub wda się w strzelaninę, amunicja może wybuchnąć mu w kieszeni spodni i bilet Lotto ulegnie zniszczeniu.

Chubowi nie pozostało więc nic innego, jak zastosować chwyt widziany w zagranicznym filmie o więźniach. Główny bohater ukrywał pamiętnik w odbycie, gdzie strażnicy z reguły nie zagłądali. Spisywał wszystko maciupenkimi literkami na opakowaniu po gumie do żucia, składał w kwadraciki i wpychał sobie w tyłek. Wiedząc, jak niskie mniemanie ma Bode o jego higienie osobistej, Chub był pewny, że i ten plan nie zyska aprobaty przyjaciela i się nie pomylił.

- A jeżeli owinę go folią?

- Nawet jeżeli owiniesz go kryptonem, ten bilet nie idzie do twojej dupy!

Ostatecznie przykleili go wielgachnym plastrem do wewnętrznej strony uda Chuba, bezwłosej płaszczyzny, stosunkowo mało spotniałej. Bode wymógł na Chubie obietnicę, że usunie plaster, kiedy, jeżeli w ogóle, najdzie go ochota na kąpiel.

Chub uznał uwagę za obraźliwą i nie omieszkał powiedzieć tego Bode'owi.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł przyjaciela. - Bo jak nie, to tak urządzę twoją ukochaną gablotę, że nie zbliżysz się db niej bez kombinezonu ochronnego.

- Jezu! Wyluzuj się!

Potem poszli do 7-Eleven na tradycyjne śniadanie złożone z soku pomarańczowego i pączków. Bode ukradł gazetę, żeby sprawdzić, czy nie piszą o kradzieży w Grange. Nie było nawet wzmianki. Chub miał ochotę postrzelać, wstąpili więc do mieszkania Bode'a po AR-15 i skrzynkę piwa, i ruszyli na południe szosą numer osiemnaście. Zjechali na żwirową drogę prowadzącą do małego jeziora, niedaleko obozu pracy, w którym Bode spędził cztery miesiące. Na plaży natknęli się na grupę gładko wygolonych facetów w kamizelkach i ochronnych nausznikach. Sądząc po markach samochodów - najnowszych modelach cherokee, explorer, land cruiser - i porządku, w jakim zostały zaparkowane, byli to ojcowie rodzin doskonalący się w sztuce samoobrony. Mężczyźni stali ramię przy ramieniu i strzelali z pistoletów do papierowych sylwetek w rodzaju tych, jakich używają gliniarze. Bode stwierdził z niesmakiem, że w grupie znajduje się Murzyn, jeden, a może nawet dwóch Kubańczyków i żyłasty, lysy gość będący z całą pewnością Żydem.

- Wynosimy się stąd. Tu nie jest bezpiecznie - powiedział, wchodząc w rolę przywódcy bojówki.

- Co się łamiesz? - Chub zerwał plaster z oka i ustawił się w rzędzie strzelających. Nonszalancko uniósł AR-15 i w kilka sekund zmienił papierowe sylwetki w kupkę konfetti. Na koniec wypuścił serię do zabłąkanego myszołowa lecącego na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią. Ojcowie rodzin bez słowa odłożyli swoje pistolety i odjechali nie zdejmując nawet nauszników. Widok ten rozbawił Bode'a do łez.

Chub wystrzelał sześć magazynków, zanim się znudził i był gotów oddać karabin Bode'owi. Jednakże Bode odmówił. Huk broni maszynowej sprawił, że poranny kac przerodził się w migrenę i teraz Bode pragnął jedynie ciszy. Usiedli więc nad brzegiem jeziora i zaatakowali skrzynkę piwa.

- Kiedy zainkasujemy forszę? - zapytał po chwili Chub.

- Niedługo. Ale musimy być bardzo ostrożni.

- Ta czarna pinda nie piśnie słowa, no nie?
- Tak przypuszczam - odparł Bode. Jednak uświadomił sobie, że kobieta ani przez chwilę nie była tak przestraszona, jak być powinna. Wściekła jak osa, owszem, i rozżalona jak dziecko, kiedy Chub zastrzelił żółwia, ale nie było w niej panicznego, zwierzęcego strachu, mimo że zadali jej sporo bólu. Starali się wpoić w nią przekonanie, że ją zabijają, jeżeli nie będzie siedziała cicho. Bode miał nadzieję, że uwierzyła. Miał nadzieję, że zależy jej na życiu.

- Jedźmy jutro do Tallahassee po pieniądze - powiedział Chub i Bode zaśmiał się z goryczą.

- Zaglądałeś ostatnio w lusterko?
- Powiemy, że mieliśmy wypadek samochodowy.
- Zderzyliśmy się z rysiem?
- Muszą nam wypłacić, obojętne jak wyglądamy. Musieliby nam wypłacić, nawet gdybyśmy mieli trąd.

Bode wyjaśnił cierpliwie, że byłoby to bardzo podejrzane, gdyby dwaj najlepsi przyjaciele domagali się dwóch wypłat z tej samej puli, na podstawie biletów nabytych w miejscach oddalonych o pięćset kilometrów.

- Będziemy udawać, że się nie znamy - powiedział Bode. - Nigdy się nie spotkaliśmy.

- Zrobi się.
- Gdyby ktoś pytał, ja kupiłem swój bilet we Florida City, ty w Grange. I nigdy się nie widzieliśmy.

- Nie ma sprawy.
- Nie możemy pokazać się razem w Tallahassee. Jeden z nas pojedzie tam we wtorek, drugi tydzień później. Na wszelki wypadek.
- A potem złożymy pieniądze do kupy - powiedział Chub.

- Rozumie się.
Chub liczył na głos:

- Jeżeli ta pierwsza wypłata wynosi siedemset tysięcy dolców, to dwie dadzą milion czterysta.

- Pamiętaj o podatku - mruknął Bode. Miał wrażenie, że czaszka mu się rozpada, a namolność współnika potęgowała ból.

- Chciałem zapytać - ciągnął Chub - kto zainkasuje pierwszy.
- Co to za różnica?
- Chyba żadna.

Wsiedli do furgonetki i wrócili na szosę. Chub gapił się w okno, a Bode snuł dalej swoje rozważania.

- Myślisz, że ja chcę czekać? Im prędzej zainkasujemy wygraną, tym prędzej zorganizujemy Białych Heroldów Aryjskich. Zacniemy prawdziwy nabór rekrutów. Zbudujemy schron i wszystko co trzeba.

Chub zapalił papierosa.

- A póki co, jak zdobędziemy forszę?
- Dobrze pytanie - powiedział Bode Gazer. - Ciekawe, czy ta Murzynka unieważniła już swoją kartę kredytową.

- Pewnie tak.
- Można to łatwo sprawdzić. Chub wypuścił kółko z dymu.
- No?
- Mamy ćwierć baku - powiedział Bode. - Po drodze jest stacja Sheila, podjedziemy pod samoobsługową pompę. Jeżeli wypłyje Visę, przyskamy.
- A jeżeli przyjmie?
- Balujemy jeszcze jeden dzień.
- Jeśli o mnie chodzi, w porządku. - Chub zaciągnął się z przyjemnością. Rozmyślał już o kurzych skrzydełkach z rusztu i pewnej blond piękności w pomarańczowych szortach.

Według bankowego komputera po raz ostatni użyto Visy JoLayne Lucks poprzedniego dnia u Hootersa.

- I co teraz? - zapytała JoLayne odwieszając słuchawkę.
- Zamówimy pizzę - powiedział Tom Krome - i poczekamy, aż popełnią następny błąd.

- A jeżeli zmądrzeli?
- Nie oprą się pokusie.

Pizza była wegetariańska, zimna, ale zjedli ją. Potem JoLayne wyciągnęła się na podłodze, założyła ręce za głowę i ugięła kolana.

- Rowerek? - zapytał Tom.
- Skłony tułowia - odparła. - Możesz mi pomóc?

Przykucnął i przytrzymał jej nogi w kostkach. Liczył w myślach. Po pierwszej setce JoLayne zamknęła oczy i zrobiła kolejnych sto. Dał jej minutę na odpoczynek, po czym powiedział: - Przerażające.

Usiadła, trzymając się za żołądek.

- Ci faceci dali mi wycisk. Normalnie robię trzysta pięćdziesiąt, czterysta. Twoja kolej.

- JoLayne, proszę!

Nagle Tom znalazł się na podłodze, na plecach, z tym że ona nie przytrzymała mu nóg w kostkach. Siedziała okrakiem na jego piersi, przygważdżając mu ramiona do podłogi.

- Wiesz, o czym myślałam? O tym, co powiedziałaś przedtem. Że nieważne, czy coś jest białe, czy czarne.
- Nie rozmawialiśmy o maściach koni?
- Nie wydaje mi się.

Tom Krome próbował rozluźnić mięśnie. Celem było ograniczenie kontaktu cielesnego, który okazał się niewymownie przyjemny. Próbował również myśleć o rzeczach postronnych, ostudzić krew. Twarz Sinclaira nadawałaby się idealnie, gdyby potrafił ją przywołać.

- Powinniśmy to przedyskutować - powiedziała JoLayne.

- Później.
- A więc to ma znaczenie. Białe, czarne.
- JoLayne?

Położyła się na nim, dotykając niemal nosem jego twarzy.

- Tom, powiedz mi prawdę
- Odwrócił głowę. Rozluźnienie mięśni okazało się niewykonalne.
- Tom?
- Tak?
- Chyba nie myślisz, że próbuję cię uwieść?
- Wstyd przyznać, ale przez chwilę odniosłem takie wrażenie.

JoLayne odsunęła się. Kiedy się podniósł, siedziała znowu na łóżku.

- Zdaje się, że potrzebny ci prysznic - powiedziała.
- Myślałem, że łączą nas stosunki zawodowe. Ja jestem reporterem, ty materiałem.
- I tylko ty masz prawo zadawać pytania? Bardzo sprawiedliwe.
- Pytaj, ale nie rozkładaj mnie już na łopatki.
- W porządku. Ilu masz czarnych przyjaciół? Kiedy mówię „przyjaciół”, mam na myśli przyjaciół.
- Nie mam przyjaciół w żadnym kolorze. Nie jestem towarzyski. Jest taki jeden Murzyn w pracy, Daniel, z działu stołecznego. Grywamy od czasu do czasu w tenisa. I Jim, i Jeannie, prawnicy. Umawiamy się czasem na kolację.
- Czy to jest twoja odpowiedź?
- No dobra, żadnego. Zero czarnych przyjaciół.
- Tak właśnie myślałam.
- Ale pracuję nad tym.
- Fakt - przyznała JoLayne. - A teraz zabiorę cię na przejażdżkę.

9.

Znajomy JoLayne spóźnił się dwadzieścia minut, najdłuższe dwadzieścia minut w życiu Krome'a. Czekali w barze Shiloh's w Liberty City. JoLayne Lucks piła piwo imbirowe i chrupała orzeszki. Na głowie miała ogromny kapelusz z opadającym rondem, na nosie okulary słoneczne. Nieważne, co Tom Krome miał na sobie; był jedynym białym na sali. Komentowano ten fakt, i to wcale nie przyjaznym tonem.

JoLayne doradziła, żeby położył notatnik na kontuarze i zaczął pisać.

- Będziesz wyglądał bardziej urzędowo.
- Dobry pomysł - powiedział Krome. - Tyle że zostawiłem notatnik w pokoju.

JoLayne cmoknęła z dezaprobatą.

- Mężczyźni! Zapomnielibyście fiuta, gdyby nie był przytwierdzony.

Transwestyta w fantazyjnej chromowej peruce podszedł do Krome'a i zaferował, że przeleci go za czterdzieści dolarów.

- Nie, dzięki - odparł Krome. - Jestem z dziewczyną.
- Ją przeleczę za darmo.
- Kusząca propozycja - powiedziała JoLayne. - Ale chyba dziękujemy.

Transwestyta chwycił Krome'a kościstą ręką za nogę.

- Dolly nie lubi, jak się jej odmawia. Dolly ma nóż w torebce.

JoLayne przysunęła się do Krome'a.

- Daj mu dwie dychy - szepnęła.

- Ani mi się śni!

- No, decyduj się - powiedział osobnik o imieniu Dolly. Absurdalnie długie sztuczne paznokcie wbiły się w łydkę Krome'a. - Dalej, przystojniaku, chodźmy do twojej bryki. I zabierz ze sobą tę damulkę, jeżeli chcesz.

- Podoba mi się twoja sukienka - powiedział Krome. - Nie pozowałam przypadkiem do zdjęć w „Shindig”?

Transwestyta zakaszła jak gruźlik i ścisnął mocniej nogę Krome'a.

- Dolly zaczyna podniecać chłopaczka, co?
- Nie, tylko irytować.

Żeby uwolnić łydkę od kościstych palców osobnika o imieniu Dolly, Krome odgiął mu kciuk tak, że wypadł ze stawu. Skowyt wypełnił bar i uciszył rozmowy. JoLayne Lucks była pod wrażeniem. Chciała wiedzieć, gdzie Krome się tego nauczył.

Transwestyta opadł na kolana, popiskując i przyciskając do łona bolącą rękę. Na ratunek pośpieszyli mu dwaj skinheadzi, uzbrojeni w błyszczące sztucce. Zaczęli się spierać, kto powinien dźgnąć białasa pierwszy i ile razy. W tym momencie zjawił się przyjaciel JoLayne i na jego widok napastników wymiotło.

Nazywał się Moffitt i nie zapytał ani o skinheadów, ani o wyjącego transwestytę. Zbudowany był jak bokser wagi średniej, ubrany jak wzięty adwokat. Szary garnitur szyty na miarę, jedwabny krawat. Na nosie miał okrągłe okulary w cienkiej rogowej oprawce, w rękę mały telefon komórkowy. Uścisnął JoLayne i ledwo spojrzał na Toma Krome'a.

Barman podał dietetyczną colę i miseczkę oliwek. Moffitt wrzucił jedną do ust i poprosił JoLayne, żeby zdjęła okulary.

Obejrawszy jej twarz, zwrócił siedo Krome'a:

- JoLayne podała mi przez telefon swoją wersję wydarzeń, teraz chcę usłyszeć twoją. Ty jej to zrobiłeś?

- Nie.
- Bo gdyby było inaczej, wybierzesz się, bracie, na przejażdżkę ambulansem...
- Nie zrobiłem tego.
- ...w plastikowym worku.
- Moffitt, to nie on - powiedziała JoLayne.

Przeszli do stolika. Moffitt poprosił o kartę, po czym powiedział, że nigdy nie słyszał o piśmie „The Register”. JoLayne kazała mu się wyluzować.

- Przykro mi - powiedział Moffitt. - Nie ufam pismakom.
- Jestem zaszokowany - powiedział Krome. - Tak przywykliśmy do uwielbienia i adoracji.

Moffitt nawet się nie uśmiechnął.

- Jaki masz plan, Jo? Czego ode mnie żądasz?
- Pomocy. I nie mów mi, żebym poszła na policję, bo jeżeli to zrobię, nigdy nie odzyskam kuponu.

Zadzwonił telefon komórkowy, ale Moffitt go wyłączył.

- Dobrze, zrobię, co będę mógł - obiecał.
- Znamy się od przedszkola - powiedziała JoLayne do Toma. - Moffitt troszczy się o mnie, a ja o niego.
- Nie okłamuj człowieka. Cieszę się, jak dostanę od niej kartkę na święta. - Jego palce zabębniły o blat. - Opowiedz mi o facetach, którzy to zrobili.
- Psychole - odparła JoLayne. - Kompletne czubki. Nazwali mnie, między innymi, śmierdzącą czarną kurwą.

- Ładnie. - W głosie Moffitta pojawiło się napięcie. Kiedy sięgnął po colę, Krome zauważył charakterystyczne wybrzuszenie pod jego lewą pachą.

- Śledzimy ich - powiedziała JoLayne.
- Śledzicie. - Moffitt był nastawiony sceptycznie. - W jaki sposób?
- Jej karta kredytowa - wyjaśnił Krome. - Zostawiają ślad.

Moffitt wyraźnie się ożywił. Wyjął złote wieczne pióro i sięgnął po stosik serwetek. Drobnym, wyraźnym pismem zanotował szczegóły - zakup kuponu loteryjnego, spotkanie z Tomem Krome'em, włamanie, napad, czerwony pikap, brakująca taśma wideo w Grab N'Go. Zapisał trzy serwetki po obu stronach, złożył starannie i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Teraz ja mam pytanie - odezwał się Tom.

JoLayne szturchnęła go pod stołem i powiedziała, żeby sobie darował. Moffitt zdradzał objawy zniecierpliwienia.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał Krome.
- Proszę wysilić wyobraźnię - powiedział Moffitt, po czym zwrócił się do JoLayne: - Zadzwoń do mnie za dzień lub dwa, ale nie do biura. - Wstał i wyszedł.
- Biedny Moffitt - powiedziała JoLayne ze współczuciem. - Ma ze mną same kłopoty. I bardzo się o mnie martwi.
- To by wyjaśniało, dlaczego nosi broń - powiedział Krome.
- Ach to! Pracuje dla rządu.
- Jako kto?
- Niech ci sam powie. Znowu jestem głodna, a ty?

Chłopak Amber miał na imię Tony. Nalegał, żeby rzuciła posadę aż do chwili, gdy została pierwszą Miss Września w „Kalendarzu Hootersa”. Potem Tony przychodził do restauracji trzy, cztery razy w tygodniu, taki był dumny. Im więcej piwa wypijał, tym głośniejsze się nią pysznił. Prawdopodobnie chciał w ten sposób pokazać klientom, że dziewczyna ma opiekuna.

Kilka miesięcy wcześniej ludzie od Hootersa poprosili Amber i jeszcze trzy kelnerki, by pozowały do kalendarza promocyjnego, który miał być rozdawany za darmo napalonym studentom na plaży w Fort Lauderdale. Kiedy Amber powiedziała Tony'emu o kalendarzu, zapisał się na siłownię i zaczął wstrzykiwać sobie steroidy. W miesiąc przybrał szesnaście kilogramów i dorobił się takich pryszczycy na ramionach, że Amber zakażała mu nosić bokserskie koszulki.

Z początku pochlebiali jej, że przychodzi do restauracji, zwłaszcza że inne kelnerki uważały go za przystojniaka - taki kawał chłopca! Amber nie zwierzyła się nikomu, że Tony nie potrafi utrzymać pracy, żeruje bezwstydnie na rodzicach, nie przeczytał książki od ukończenia ósmej klasy, a w łóżku nie jest znów taki wspaniały. A odkąd zaczął treningi na siłowni, zrobił się ponury i brutalny. Któregoś razu wyciągnął ją spod pryszczycy za włosy i rzucił na łóżko. Zastanawiała się, czy go nie zostawić, ale nic lepszego nie miała na oku. Tony wyglądał dobrze (przynajmniej w koszuli z długimi rękawami), a w świetle Amber to się liczyło.

Pragnęła tylko, żeby przestał przychodzić do restauracji. Nie przeszkadzał jej w pracy, ale ograniczał przychody. Amber zauważyła, że ilekroć Tony znajduje się w knajpie, jej napiwki spadają co najmniej o jedną trzecią. Tak więc widok ukochanego wchodzącego

do lokalu tej srodowej nocy - która stawała się zwolna czwartkowym porankiem - nie wzbudził w byłej Miss Września ani radości, ani innych ciepłych uczuć. Swawolna klientka Hootersa wyzwała u Tony'ego chęć popisania się i przy każdej okazji obdarzał swoją obladowaną tacami księżniczkę uściskiem albo klepnięciem w pupę. Demonstrując prawa posiadacza, Tony chciał zniechęcić klientów do flirtów z Amber i cel osiągał. Niestety, zniechęcał ich również do dawania napiwków.

Jej jedyną nadzieją tej nocy byli psychole przy stoliku numer siedem, ci sami, którzy poprzedniego dnia zostawili jej sto dolarów napiwku na karcie kredytowej. Niski przyszedł w nowym kamuflażu, jego długowłosa towarzysz nie zmienił chyba bielizny. Oko miał przesłonięte gumową opaską i Amber wołała nie myśleć, co znajduje się pod spodem. Twarze mężczyzn nadal nosiły ślady głębokich zadrapań, jakby rzucili się na siebie z żyłkami. Amber uznała, że nie sposób wykluczyć tej możliwości.

Ale w jej oczach nie mogli być chamscy, obleśni i prymitywni. Byli przystojni, seksowni i wyrafinowani: Mei Gibson i Tom Cruise częstujący się nawzajem kurzymi skrzydełkami. Tak właśnie Amber ich traktowała. Nie było to łatwe, ale dla stu dolców warto się wysilić.

- Słodziutka - powiedział facet z kucykiem. - Małaś rację z tym Bractwem Białych Rebeliantów. To cholerna grupa rockowa.

- Powinien zobaczyć ich pan na żywo. - Amber postawiła na stole dwa piwa.

Zakamuflowany zapytał, czy nazwa zespołu ma być żartem, czy co?

- Są w nim dwaj Murzyni - wyjaśnił.

- To chyba dla jaj - przyznała.

- Bode nie uważa tego za śmieszne. - Facet z kucykiem roztarł na dłoniach pianę z kufła. - Mnie to też nie bawi.

Kalendarzowy uśmiech Amber nie stracił nic ze swego uroku.

- Wiem tylko, że muzyka jest zabójcza.

Odeszła z pustymi kufłami i zamówieniem na więcej chrupków cebulowych. W drodze do kuchni musiała przejść koło Tony'ego, który oczywiście skorzystał z okazji i przytrzymał ją za elastyczny pasek szortów.

- Nie teraz - powiedziała.

- Co to za łążęgi? - zapytał.

- Klienci. Puść mnie, muszę wrócić do pracy.

- Mają na ciebie ochotę, to widać - warknęła.

- Narobisz mi kłopotów. Puść mnie!

- Jak dostanę buzi. - Przyciągnął ją do siebie.

- Tony!

- Daj Tony'emu buzi.

Oczywiście musiał zrobić to z języczkiem, na środku restauracji. Kątem oka Amber zauważyła, że psychole patrzą. Tony też musiał to widzieć, bo kiedy się w końcu uwolniła, promieniał zadowoleniem.

Parę minut później, kiedy wróciła do ich stolika z nową porcją chrupków cebulowych, facet z kucykiem zagadnął:

- Mówił ci już ktoś, że jesteś podobna do Kim Bassinger?
- Naprawdę? - Udawała, że jej to pochlebia, chociaż osobiście wolała typ Daryl Hannah.

- Bode też tak myśli, no nie?
- Pierwsza liga - powiedział Bode. - A jestem lepszym sędzią, bo widzę na oba oczy.
- Dzięki za komplement. Macie panowie ochotę na coś jeszcze?
- Jakżeby nie - powiedział facet z kucykiem. - Co powiesz na taki gorący całus jak z tamtym gościem?

Amber obląła się rumieńcem.

- No właśnie - odezwał się zakamuflowany z lubieżnym uśmiechem. - Tego nie było w karcie.

Chub zauważył, że pomysł z całowaniem nie przypadł Amber do gustu. Zadarł głowę i brudnym paluchem postukał w gumową przepaskę.

- Może to przeze mnie. Może masz wstręt do upośledzonych.
- Nie, nie! - zawołała Amber czując (jak każda dobra kelnerka), że jej napiwek wisi na włosku. - Mogę wszystko wyjaśnić. To mój chłopak.

Mężczyźni odwrócili się zgodnie, by obejrzeć Tony'ego po drugiej stronie restauracji. Posłał im szyderyczy uśmiech.

- Bez jaj! Kto zacz? Kubaniec?

Amber powiedziała, że nie, Tony jest z Los Angeles.

- Czasem go ponosi. Przepraszam, jeżeli panów zdenerwował.

- Meksyk, założę się - powiedział Bode. - Podobno pełno ich w Kalifornii.

W drodze do baru Amber zatrzymała się przy stoliku Tony'ego i zrelekcjonowała mu zwięźle przebieg wypadków.

- Przez ciebie myślą, że całuję wszystkich klientów. Że to część usługi. Zadowolony? Oczy Tony'ego pociemniały.

- Sukinkoty chciały, żebyś ich pocałowała?

- Wyświadczyć nam wszystkim przysługę. Idź do domu - wyszeptła.

- Ani myślę, kurwa. Nie teraz.

- Tony, przysięgam na Boga...

Tony rozdał nozdrza, wypiął pierś i pokazał mięśnie. Brakuje tylko lustra z siłowni, pomyślała Amber.

- Naprostuję cwaniaczków - zadeklarował.

- Nie zrobisz tego - powiedziała Amber z goryczą, obrzucając wzrokiem puste krzesła. - Poszli sobie.

Pośpieszyła do stolika licząc na to, że zostawili pieniądze. Niestety, ulotnili się bez płacenia rachunku. Cholera! - pomyślała. Ściągną mi z pensji.

Owiał ją zapach wody kolońskiej Tony'ego, subtelny jak rozpuszczalnik. Odwróciła się, wściekła.

- Niech cię licho! - Wycofała się do kuchni, a obrażony Tony opuścił lokal.

Dwie godziny później klienci Amber wrócili i zakotwiczyli się przy tym samym stoliku. Próbowwała nie okazać, jak jej ulżyło.

- Gdzie byliście, chłopcy?
- Zakamuflowany zamówił cztery piwa, po dwa na głowę i świeżą porcję chrupków.
- Dolicz to do rachunku - powiedział, machnąwszy kartą kredytową.
- Amber czekała na piwo, kiedy barmanka podała jej słuchawkę telefonu.
- Do ciebie, złotko. Zgadnij kto?
- Był to oczywiście Tony. Wrzeszczał do telefonu.
- Przyhamuj - powiedziała. - Nic nie rozumiem.
 - Mój samochód - wyszochał Tony. - Ktoś podpalił mi samochód!
 - Och, Tony!
 - Na moim własnym podjeździe! Podpalili go!
 - Kiedy?
 - Podczas meczu. Jeszcze się pali i pięciu facetów próbuje go ugasić.
- Barmanka podała jej tacę z kuflami i Amber powiedziała Tony'emu, że bardzo jej przykro z powodu samochodu, ale musi wrócić do pracy.
- Zadzwoń do ciebie - obiecała.
 - Moja miata!
 - Wiem, Tony, wiem.
- Kiedy przyniosła piwa dwóm psychologom, facet o imieniu Bode zagadnął:
- Złotko, jesteś naszym ekspertem muzycznym. Istnieje grupa o nazwie Biali Heroldowie Aryjscy?
- Amber zastanowiła się chwilę.
- Nigdy o takiej nie słyszałam.
 - Dobrze! - powiedział Bode.
 - Mało dobrze - dodał jego przyjaciel. - Fan-tas-tycznie!

JoLayne zażądała, żeby Tom Krome nauczył ją sztuczki z wybijaniem kciuka. Kiedy zatrzymali się na światłach, Krome ujął jej lewą rękę i zademonstrował chwyt.

- Ostrożnie! - pisnęła.
- Pokazał jej, jak obezwładnić przeciwnika odginając i wykręcając mu kciuk jednym ruchem. Zapytała, gdzie się tego nauczył.
- Robiłem kiedyś reportaż z kursu samoobrony - powiedział Krome. - Instrukctorem był ninja. Ważył nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów, ale znał różne paskudne chwyt-y.
 - Tak?
 - Na przykład wsadzenie palców do oczu - powiedział Krome. - Chwyt za mosnę też przynosi dobre rezultaty.
 - Umiejętności przydatne w dziennikarskiej pracy?
 - Dzisiaj wykorzystałem je po raz pierwszy.

Ku zadowoleniu JoLayne puścił jej dłoń dopiero wtedy, gdy zmieniło się światło. Wstąpili do Burger Kinga na Northwest Seventh Avenue i zjedli w wozie, przy opuszczonych szybach. Było przyjemnie, mimo hałasu dobiegającego z autostrady. Po lunchu wybrali się na turę po miejscach z dzieciństwa JoLayne: przed szkole, szkoła podstawowa,

liceum. Sklep zoologiczny, w którym pracowała latem. Sklep z artykułami metalowymi, będący kiedyś własnością ojca. Zakład naprawy samochodów, gdzie poznała swojego pierwszego chłopaka.

- Zajmował się grand prixem taty - powiedziała. - Z samochodami nieźle sobie radził, z ludźmi szło mu gorzej.

- Gdzie jest teraz?

- Boże! Nie mam pojęcia.

Krome prowadził, a ona opowiadała mu o sześciu mężczyznach swojego życia.

- Nie żałujesz, że zostawiłeś notatnik w hotelu?

Uśmiechnął się, nie odrywając oczu od szosy.

- Mam świetną pamięć - powiedział. Wyprzedził autobus i dodał: - Moffitt też znajduje się na twojej liście?

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - JoLayne była ciekawa, czy zainteresowanie Krome'a ma charakter wyłącznie zawodowy. - Chodził z moimi siostrami, z najlepszą przyjaciółką, kuzynką, a także z moją szefową w szpitalu, ale nie ze mną.

- Dlaczego?

- Tak się umówiliśmy.

Krome w to nie wierzył. Jego zdaniem, Moffitt aż do śmierci będzie zadawał sobie pytanie, dlaczego JoLayne Luks go nie chciała.

- Byliśmy kumplami tak długo - powiedziała - że zbyt dużo o sobie wiemy.

- Aha. - Krome zjechał na pobocze, ustępując z drogi karetce pogotowia na sygnale i dwóm wozom policyjnym.

- Poza tym Moffitt jest dla mnie za poważny - ciągnęła JoLayne. - Sam widziałeś. Naprawdę nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię.

- Ciekawisz mnie.

- Ale to nie należy do historii z Lotto.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Nie należy i już!

Wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego wciągnęłam cię w tę sprawę - powiedziała JoLayne. - Po pierwsze, jesteś mężczyzną, a ja mam paskudne doświadczenia z mężczyznami. Po drugie, jesteś dziennikarzem, na litość boską! Trzeba być świrem, żeby zafascynować reporterowi, no nie? I rzecz nie mniej ważna...

- Jestem strasznie biały.

- Właśnie

- Ale ufasz mi, tak czy inaczej.

- To dla mnie zagadka. - JoLayne zdjęła kapelusz i rzuciła na tylne siedzenie. - Możemy zatrzymać się przy budce telefonicznej? Chcę zadzwonić do Clary, zanim będzie za późno.

Clara Marham była agentką nieruchomości, która zajmowała się sprzedażą Simons Wood. Clara wiedziała, że JoLayne chce je kupić, ponieważ JoLayne zadzwoniła do niej w dniu wygranej. Dwa dni później zadzwoniła ponownie, powiedziała, że coś się wydarzyło i opóźni się z wpłaceniem zaliczki. Clara obiecała, że nie przyjmie żadnej oferty, dopóki JoLayne się z nianie skontaktuje.

Krome zatrzymał samochód przy budce na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Clara była w biurze.

- Tak długo w pracy? - zapytała JoLayne.
- Kupa roboty.
- Jak tam mój ulubieniec Kenny?

Kenny był kotem perskim. Przez wzgląd na jego wyjątkowo obfite bokobrody Clara nazwała go po Kenny Rogersie, piosenkarzu country.

- O wiele lepiej - oznajmiła Clara. - Możesz powiedzieć doktorowi Crawfordowi, że kryzys z polkniętymi włosami minął. Ale mam inne wieści.

JoLayne głęboko wciągnęła powietrze.

- Co tym razem, u licha?!
- Fundusz emerytalny z Chicago.
- Który buduje takie centra?
- Kobieto! Oni budują wszystko!
- Ile dają?
- Równe trzy. Dwadzieścia procent z góry.
- Cholera... Niech to cholera...!
- Trzeba im odpowiedzieć w ciągu tygodnia - powiedziała Clara.
- Mogę załatwić więcej niż trzy miliony. Czekaj jeszcze.
- Będę czekać tak długo, jak tylko to możliwe.
- Jestem ci wdzięczna.
- Podziękuj doktorowi Crawfordowi za lekarstwo. Powiedz, że Kenny mu też dziękuje.

JoLayne Lucks odwiesiła słuchawkę i przysiadła na krawężniku. Ze sklepu wysypała się grupa nastolatków i omal jej nie stratowała. Krome wysiadł z wozu.

- Znalazł się inny kupiec?

JoLayne skinęła głową, niepocieszona.

- Mam tydzień, Tom. Siedem dni na odzyskanie biletu Lotto.
- Więc bierzmy się do roboty. - Wziął ją za rękę i pomógł się podnieść.

Od 1959 roku Simmons Wood należał do Lighthorse'a Simmonsa, którego ojciec był jednym z założycieli Grange. Lighthorse traktował las jako prywatny teren łowiecki i odwiedzał regularnie, dopóki nie wystrzelał wszystkiego, co w nim żyło. Wtedy zainteresował się wędkarstwem. I chociaż zarzucanie wędki nie przyspiesza tak biegu krwi jak strzał ze sztucera, Lighthorse Simmons polubił wylawianie paszczastych okoni. Z czasem przestał je nawet zabijać.

Należy więc uznać za złośliwość losu, że właśnie kula myśliwego położyła kres jego odwiedzinom w Simmons Wood. Incydent wydarzył się o zmierzchu. Simmons pochylał się nad strumieniem, próbując wykaszleć mentosa, który utkwił mu w przelyku. W przyćmionym świetle jego słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, płowa zamszowa kurtka i zgięte plecy mogły przywodzić na myśl - zwłaszcza krótkowidzowi - pijącego kozła.

Kula strzaskała prawe kolano i po trzech operacjach Lighthorse nadal nie mógł przejść przez Simmons Wood bez przejmującego bólu. Elektryczny wózek inwalidzki, który otrzymał w ramach ubezpieczenia, okazał się nieprzydatny na wyboistym terenie. Pewnego dżdżystego poranka wyrócił się o korzeń sosny. Simmons został unieruchomiony na cztery godziny i wielokrotnie splugawiony przez nadpobudliwego knura - potomka świni, sprowadzonej do Simmons Wood dla celów sportowych przez dziada Lighthorse'a.

Po tym incydencie noga Lighthorse'a nie pozostała już w Simmons Wood. Załatwił zmianę statusu ziemi z rolniczej na komercyjną, ale nie mógł się zdecydować na sprzedaż. Las pozostawiono w spokoju na tak długo, że powróciły do niego dzikie zwierzęta. Kiedy jednak Simmons zmarł, dożywszy siedemdziesięciu pięciu lat, zarządca jego majątku wystawił Simmons Wood na sprzedaż. Syn i córka zmarłego nie mieli sentymentu do tego lasu, a przysły dochód ze sprzedaży jawił im się pod postacią szybów naftowych w Wenezueli w pierwszym wypadku i luksusowego bungalowu w górach New Hampshire w drugim.

Stroną kupującą był Bernard Squires, dyrektor do spraw inwestycji w Stowarzyszeniu Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu. Na Bernarda Squiresa spadło delikatne zadanie rozdzielenia pracowniczego funduszu emerytalnego w taki sposób, by ukryć miliony dolarów pobierane corocznie przez organizacje przestępcze, konkretnie przez Richarda Tarbone'a z Chicago.

Zarobki Bernarda Squiresa, a najprawdopodobniej również jego życie, zależało od tego, czy potrafi zebrać portfolio akcji, w których dałoby się utopić duże sumy. Rzecz prosta, wybrał budownictwo. Ani przez chwilę nie łudził się, że centrum handlowe w Simmons Wood okaże się zyskowną inwestycją. Wręcz przeciwnie, trudno było sobie wyobrazić gorszą lokalizację niż Grange, jedno z niewielu miast na Florydzie, którego populacja zmniejszyła się w latach boomu demograficznego lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. I chociaż jego mieszkańcy żyli dostatnio z turystów i autostrady, z punktu widzenia handlowca detalicznego Grange przedstawiało niewielką wartość i Bernard Squires dobrze o tym wiedział.

Zaplanował sobie drogie fiasko. Za fundusz emerytalny kupi się Simmons Wood, po czym zawrze kontrakty z firmami budowlanymi kontrolowanymi potajemnie przez Richarda Tarbone'a. Las zostanie wycięty, teren oczyszczony. Zaleje się fundamenty, postawi ściany lub dwie.

Po czym nastąpi seria niepowodzeń. Niedobory materiałów i ludzi. Opóźnienia z racji złej pogody. Przeoczone spłaty rat od pożyczek bankowych. Niespodziewane bankructwa firm budowlanych. Jakby tego było mało, przygnębiony agent oznajmi, że prawie nikt nie jest zainteresowany wynajmem lokalu użytkowego w Simmons Wood Mall. Projekt umrze śmiercią naturalną, pozostanie niedokończona ruina. Floryda była ich pełna.

Suma zaprzepaszczona w Simmons Wood zostanie podwojona w księgach rachunkowych Stowarzyszenia Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu. Inni pracownicy związku, nawet jeżeli będą podejrzewali oszustwo, przymkną oko. Koniec końców fundusz emerytalny się powiększy, Squires o to zadba. Nawet urzędnicy podatkowi nie

kwestionowali jego zeznań. Inwestowanie w budownictwo jest ryzykowne, wszyscy o tym wiedzieli.

Kiedy inwestycja w Simmons Wood przestanie mu być potrzebna, wcisnie ją Japończykom albo komuś, kto będzie miał dość pieniędzy, by zburzyć grupie centrum i zbudować coś innego. Na razie jednak Bernard Squires chciał dobić targu i kupić las.

Richard Tarbone życzył sobie, by zrobić to jak najprędzej.

- I nie dzwoń do mnie - powiedział Squiresowi - dopóki nie będziesz miał do przekazania dobrych wiadomości, rozumiesz?

Bernard rozumiał.

Dzień zaczął się kiepsko. Najpierw Madonna nie łzawiła tak, jak powinna, tym razem na skutek wygięcia rurki między butelką a powieką. Jedno oko było suche, z drugiego tryskało jak z przeciętej tętnicy. Pielgrzym z Gwatemali, któremu opryskało głowę, głośno wyrażał wątpliwości. Na szczęście tyrada wygłoszona po hiszpańsku była niezrozumiała dla innych odwiedzających. Trish, która obsługiwała Madonnę tego dnia, przedłożyła mężowi problem przy śniadaniu. Kazał jej wyłączyć pompę; koniec płaczu na dzisiaj.

- Ale przyjedzie wycieczka pielgrzymów - przypomniała. - Z Wirginii Zachodniej.

- O cholera!

Demencio zmieniał rozkład płaczu Madonny co tydzień. Konieczne były „suche” i „mokre” dni, inaczej cud utraciłby cechy tajemniczości. Co więcej, Demencio zauważył, że niektórzy pielgrzymi wołają, gdy Madonna nie płacze przy ich pierwszej wizycie. Dzięki temu zyskiwali pretekst, by przyjechać ponownie do Grange, jak turyści, którzy wracają co roku do Yellowstone z nadzieją ujżenia łosia.

Tak więc Demencio nie czuł niepokoju, kiedy żona powiedziała mu o awarii Marii Dziewicy. Środek tygodnia był dobrym momentem na „suchy” dzień. Niestety zapomniał o cholernym autokarze misyjnym: sześćdziesięciu pielgrzymów z Wheeling. Duchowny nazywał się Mooney albo Moody, jakoś tak, i co roku objeżdżał Florydę z nowymi rekrutami. Trish stawiała na stół ciasto cytrynowe, Demencio butelkę whisky, a w dowód wdzięczności pastor zachęcał swoich wiernych naśladowców do składania hojnych datków w przybytku bożym. Nic więc dziwnego, że Demencio czuł się zobowiązany dostarczyć lzy.

W ten sposób hydrauliczna awaria przerodziła się w kryzys ogólny. Demencio nie chciał przerywać odwiedzin i zabierać posągu do naprawy; wzbudziłoby to podejrzenia nawet u najgorliwszych wyznawców. Zerknąwszy przez szparę w zasłonach, naliczył dziewięć ofiar wpatrzonych wyczekująco w posąg.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała Trish.

- Cicho! Daj mi pomyśleć.

Wprawdzie Trish umilkła, ale coś nadal nie pozwalało mu się skupić. Chrupanie dobiegające z akwarium! Żółwie JoLayne Lucks zajały ze smakiem śniadanie.

Zatroskane spojrzenie Demencia spoczęło na akwarium. Zamiast rozdrobnić sałatę, wrzucił do środka całą główkę. Widok takiej ilości pożywienia sprawił żółwika w ekstatyczne podniecenie i wspinały się teraz na sałatowe wzgórze.

Demencio musiał przyznać, że robiło to wrażenie. Czterdzieści pięć rozochoconych żółwików. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Masz jeszcze tę ilustrowaną Biblię? - zapytał żony.
- Gdzieś jest.
- Będę potrzebował farby, takiej do malowania modeli samolotowych. Widziałem w sklepie dla hobbystów.
- Mamy tylko dwie godziny.
- Nie martw się, to nie zajmie dużo czasu. - Demencio podszedł do akwarium. - No dobra, który chce zostać gwiazdą?

10.

Dwudziestego ósmego listopada rano Mary Andrea Finley Krome wymeldowała się z Mona Pacifica na wyspie Maui. Poleciała do Los Angeles, gdzie następnego dnia miała przesłuchania do reklamy domowego testu ciążowego. Potem udała się do Scottsdale i dołączyła do zespołu teatralnego, wystawiającego muzyczną wersję „Milczenia owiec”. Mary Andrea grała nieustraszoną młodą agentkę FBI. Plany pokrzyżował jej urzędnik sądowy, który czekał na nią za kulisami teatru w Arizonie.

Jednak Mary Andrea zwietrzyła zasadzkę, która zastawił na nią adwokat Toma Krome'a. W samym środku sceny finałowej, kiedy chór śpiewał: „Och, Hannibal Kani-bal, jesteś rozkosznie podły!” Mary Andrea upadła na deski w epileptycznych drgawkach. Bezradny urzędnik sądowy patrzył, jak sanitariusze wynoszą aktorkę na noszach do ambulansu. Zanim Dick Turnquist dowiedział się o wypadku, Mary Andrea Finley Krome odzyskała cudem przytomność, wymeldowała się ze szpitala w Scottsdale, wynajęła thunderbirda i zniknęła na pustyni.

Dick Turnquist przekazał Tomowi Krome'owi złe wiadomości faksem. Przeczytawszy raport adwokata, Krome podarł go na drobne kawałki.

- Wiem, czego chce ta kobieta - powiedziała JoLayne.
- Ja też. Chce pozostać moją żoną do śmierci.
- Mylisz się. Zgodzi się na rozwód, pod warunkiem że ona o niego wystąpi.

Krome nie chciał myśleć o swojej przyszłej byłej żonie, ponieważ myślenie o niej powodowało, że budził się w środku nocy z rozdzierającym bólem głowy i krwawiącymi dziąsłami.

- Nie rozumiesz - powiedział. - Zrobiła sobie z tego zabawę. Rodzaj współzawodnic-twa. To zaspokaja jej perwersyjną potrzebę dramaturgii.

- Mogę spytać, ile jej dajesz?

Krome zaśmiał się z goryczą.

- Nic. Ani pensa. Próbowałem wszystkiego: unieważniłem karty kredytowe, zamknąłem wspólne konta, zapominam o jej urodzinach, naszych rocznicach, obraziłem

jej matkę, spałem z innymi kobietami, i mówiłem o tym znacznie zawyżając ich liczbę, a ona i tak odmawia mi rozwodu. Nie chce się nawet stawić do sądu.

- Jednej rzeczy nie próbowałeś.
- To niezgodne z prawem.
- Powiedz, że sypiasz z Murzynką. Podziała.
- Ona kicha na to. Patrz! - Tom Krome wskazał samochód po drugiej stronie parkingu. - Czy to nie nasza furgonetka?
- Nie jestem pewna. - JoLayne pochyliła się naprzód. - Niewykluczone.

W dniu, w którym przyszły negatywy, Katie zaniósła je do zakładu fotograficznego. Tom nieźle się spisał, tylko na dwóch klatkach widniał jego kciuk, reszta zdjęć przedstawiała wnętrze kaplicy. Na zbliżeniach oczy Madonny połyskiwały przekonująco.

Katie wsunęła zdjęcia do torebki i pojechała do śródmieścia na lunch z mężem. Zgodnie ze swą nową polityką małżeńską opartą na obopólnej szczerości, położyła fotografie na stole, między koszykiem z chlebem a dzbanem sangrii.

- Tom dotrzymał obietnicy - powiedziała tonem usprawiedliwienia.
- Sędzia Arthur Battenkill junior, odłożył widelec do sałaty i przerzucił zdjęcia.
- Tępotą malująca się na jego twarzy i miarowy ruch szczęk skojarzyły się Katie z przeżuwaną owcą.
- Co to ma być?
 - Matka Boska. Ta, która płacze.
 - Płacze.
 - Widzisz? - Katie wskazała palcem odpowiednie miejsce. - Mówią, że to prawdziwe łyzy.

- Kto mówi?
 - To naukowo stwierdzone, Arthurze.
- Sędzia Battenkill oddał żonie zdjęcia.
- Dał ci to twój kochanek dziennikarz?
 - Prosiłam go o to. I on nie jest moim kochankiem. Zerwaliśmy. Mówiłam ci.
- Jej mąż pociągnął łyk wina i skubnął kubańskiego chleba.

- Pozwól, że uściśzę; zerwaliście ze sobą, ale on nadal robi ci prezenty?
- Ukryła irytację, stukając łyżeczką w nóżkę kieliszka.
- Nieuważnie słuchasz, jak na sędziego - powiedziała.

Parsknął pogardliwie. Jego stanowisko obudziło w Katie wątpliwość, czy heca z małżeńską uczciwością ma szanse powodzenia. Wobec kogoś tak zazdrosnego jak Arthur należało zachować parę niewinnych sekretów.

Gdyby tylko się postarał, pomyślała Katie. Gdyby odważył się na szczerość, jak uczyniła to ona.

- Dana zdrowa? - wypaliła. Dana była jedną z dwóch sekretarek, które sędzia Battenkill regularnie pieprzył.

- Całkiem dobrze się czuje - odparł z zimną krwią.
 - A Willow? Dalej chodzi z tym koszykarzem?
 Willow była drugą sekretarką, kochanką rezerwową.
 - Nadal razem mieszkają - raportował sędzia - ale Oscar zrezygnował z koszykówki.
 Chyba zwichnął sobie nadgarstek.
 - Wielka szkoda - powiedziała Katie.
 - Może to było ściętno. W każdym razie wrócił na studia. Zarządzanie, mówi Willow.
 - Mądra decyzja - przyznała Katie i pomyślała: Dość o Oscarze.
 Sędzia powitał z zadowoleniem swoje kraby w sosie śmietankowym. Katie zamówiła zieloną sałatę i skubała ją bez apetytu. Nie oczekiwała, że mąż opowie jej o wszystkich swoich zdradach, ale nic by mu się nie stało, gdyby się przyznał do jednej.
 - Rzucałeś się w nocy jak ryba wyjęta z wody.
 - Zauważyłaś!
 - Znowu żołądek?
 - Wstałem - powiedział Arthur z pełnymi ustami - i przeczytałem jeszcze raz tę twoją zdumiewającą epistolę.
 A to pech! - pomyślała Katie.
 - Ty i ten młody człowiek. - Przelknął głośno. ~ Każdy mocny, pieprzny szczegół. W głowie się nie mieści, że mi to wszystko wyliczyłaś.
 - Na tym polega szczerze wyznanie. Przepraszam, jeżeli mnie poniosło.
 - Trzydzieści aktów seksualnych w czternaście dni! - Nawijał jasnozieloną nitkę makaronu na widelec. - W tym trzy obciążania... nawiasem mówiąc, o dwa więcej niż zrobiłaś mnie przez czternaście miesięcy.
 I kto tu prowadzi wyliczankę? - pomyślała Katie. - Arthurze, zjedz kraby, zanim wystygną.
 - Nie rozumiem cię, Katherine. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, wbijasz mi nóż w serce.
 - Przestań! - powiedziała. - Robisz wiele hałasu o nic.
 - Trzy obciążania to jest nic?
 - Nie w tym rzecz, naprawdę nie w tym rzecz. - Sięgnęła pod stół i strąciła z uda rękę męża.
 - Gdzie jest teraz ten twój młody człowiek? Jerozolima? Turyn?
 - Arthur, on nie jest moim młodym człowiekiem. I nie wiem, gdzie teraz jest. A ty jesteś zakłamanym dupkiem.
 Sędzia starannie otarł usta serwetką.
 - Przepraszam, Katherine. Wiesz co? Chodźmy do motelu.
 - Idź do diabła!
 - Proszę!
 - Pod jednym warunkiem. Zostawisz Tommy'ego w spokoju.
 - Umowa stoi - powiedział Arthur Battenkill junior. Jowialnym gestem przywołał kelnera i poprosił o rachunek.
 Parę godzin później dom Toma Krome'a wyleciał w powietrze.

W drodze na śniadanie Bodean Gazer i Chub zatrzymali się, żeby podręczyć robotników imigrantów łapiących okazję na szosie numer jeden. Chub wymachiwał bronią, podczas gdy Bode przeprowadzał test:

Podaj nazwisko czternastego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Gdzie opisano Konstytucję?

Wyrecytuj Drugą Poprawkę.

Kto grał główną rolę w „Czerwonym świecie”?

Osobiście Chub był zadowolony, że to nie on musi odpowiadać. Najwidoczniej Meksykanie wypadli nie najlepiej, bo Bode kazał im pokazać zielone karty. Zalęknieni wyciągnęli portfele, a Bode wyrzucił ich zawartość na zwirowe pobocze.

- Legalni? - zapytał Chub.

- Akurat!

Czubkiem buta roztrzącił skromniutką zawartość imigranckich portfeli: prawa jazdy, legitymacje robotników rolnych, paszportowe zdjęcia dzieci, znaczki pocztowe, bilety miesięczne. Chubowi wydawało się, że dostrzega kartę imigracyjną, ale Bode wdeptał ją obcasem w ziemię. Opróżnił portfele z pieniędzy i kazał imigrantom zjeżdżać, *muchachos!*

W samochodzie Chub zapytał, ile mieli pieniędzy.

- Osiem dolców.

- Rany!

- Te dolary należą w takim samym stopniu do nas, co do nich. Nielegalni, Chub! Zgadnij, kto płaci za ich leczenie i przydziały żywnościowe? Ja i ty. Miliony dolarów rok w rok na cudzoziemców.

W takich sprawach Chub nie podawał w wątpliwość wiedzy przyjaciela.

- I kiedy mówię miliony, mam na myśli miliony! - ciągnął Bode Gazer. - Więc nie można uważać tego za kradzież. To była rewaloryzacja.

- Pewnie masz rację.

Kiedy wrócili z 7-Eleven, obok przyczepy Chuba stała wysłużona impala w piaskowym kolorze. Na tylnym zderzaku widniała jedna z inwalidzkich plakietek Chuba.

- Tylko spokojnie! - powiedział Chub, wyciągając pistolet zza paska.

Przez otwarte drzwi przyczepy widać było połyskujący ekran telewizora. Chub przyłożył do ust dłońie zwinięte w trąbkę i krzyknął:

- Wyłaż, kimkolwiek jesteś! I trzymaj łapy w górze!

W drzwiach ukazał się Shiner, goły do pasa i łysy jak kolano.

- Jestem! - obwieścił z uśmiechem beztroskiego idioty.

Bode go nie poznał.

- Hej! - zawołał Shiner. - To ja, wasz nowy biały brat. Gdzie milicja?

Chub opuścił pistolet.

- Co ty, kurwa, ze sobą zrobiłeś, synu?

- Ogotłem głowę.

- Wolno zapytać dlaczego?

- Żeby zostać skinheadem - brzmiała odpowiedź.

Chub zagwizdał.

- Bez obrazy, synu, ale nie do twarzy ci.

Problem tkwił w czasie Shinera; na nagim ciemieniu połyskiwała niby stempel ostra, szeroka blizna.

Chub zapytał, czy naznaczył go szalony czarnuch z Miami. A może Kubaniec.

- Nie. Usnąłem na skrzyni korbowej.

Bode skrzyżował ramiona.

- A ta skrzynia korbowa była ciągle w samochodzie?

- Aha, i silnik pracował. - Shiner wytłumaczył im to, najlepiej jak potrafił. Wypadek wydarzył się przed dwoma laty, pewnego sobotniego popołudnia. Shiner wypił parę piw, wypalił kilka skrętów, wciągnął może z pół działki i postanowił wyregulować silnik impali. Otworzył maskę i odpłynął, padając głową na skrzynię korbową.

- Skurwiel był już porządnie rozgrzany - powiedział Shiner.

Chub nie mógł tego znieść. Wszedł do przyczepy, wyłączył telewizor i wlał w siebie zimnego budweisera. Kiedy wrócił, Bode i Shiner siedzieli na masce impali.

Bode przywołał go gestem.

- Chłopak zrobił, co mu kazaliśmy.

- Znaczy?

- Murzynka przyszła do jego domu, pytając o bilet Lotto.

- A ja powiedziałem, że to nie jej kupon wygrał - ciągnął Shiner. - Powiedziałem, że pomyliło się jej z inną sobotą.

- Super - pochwalił Chub. - Co zrobiła?

- Strasznie się wkurwiła i wybiegła z domu. Była okropnie pobita. Domyśliłem się, że to pewnie wasza robota.

- Opowiedz, jak rzuciłeś sklep - zachęcił go Bode.

- Pan Singh powiedział, że nie wolno mi parkować na miejscu dla inwalidy, nawet z tą naklejką na zderzaku. Więc chwyciłem forszę z kasy i w nogi.

- Kasetę wideo też zabrał - powiedział Bode. - Tak jak mu kazaliśmy.

- Jest w schowku. - Shiner ruchem głowy wskazał samochód.

- Sprytne posunięcie - powiedział Chub, mrugając zdrowym okiem. Ale w gruncie rzeczy nie był zachwycony Shinerem. Również Bode Gazzo miał wątpliwości. Chłopak zdradzał ten rodzaj pokornej tępoty, który jest zwykle zapowiedzią smutnej przyszłości w instytucjach zamkniętych.

- Spójrzcie na to. - Shiner napiął mięśnie ramienia. - Nowy tatuaż: BBR. Żeby było oficjalnie.

Chub rzucił Bode'owi spojrzenie ponad kuflem piwa

- Ty mu powiedz.

- Podoba się wam? - dopytywał się Shiner radośnie. - Siedemdziesiąt pięć dolców, gdybyście też chcieli.

Bode zsunął się z maski i otrząpął z kurzu siedzenie spodni.

- Prawda wygląda tak, że musieliśmy zmienić nazwę.

Shiner przerwał napinanie bicepsów.

- To nie nazywamy się już Bractwem Białych Rebeliantów? Jak to?
- Miałeś rację z tym zespołem rockowym - powiedział Bode.
- Nie chcieliśmy wprowadzać zamieszania - wtrącił Chub.
- Więc jak się teraz nazywamy?

Bode mu powiedział. Shiner poprosił, żeby powtórzył.

- Biali Heroldowie Aryjscy - powiedział Bode, bardzo wolno.

Shiner zacisnął wargi. Posepnie wpatrywał się w litery na swoim bicepsie.

- A więc skróty... BHA?
- Zgadza się.

Cholera! - mruknął Shiner pod nosem. Uśmiechnął się z wysiłkiem. - A zresztą!

Zapadło kłopotliwe milczenie. Shiner próbował ustawić się tak, żeby nie było widać tatuażu. Nawet Chub mu współczuł.

- Ale wiesz co? - zwrócił się do Shinera. - Masz tu superoskiego orła.

- Racja - przyznał Bode Gazer. - Kawał skurczybyka. Co on trzyma w szponach, M15?

- Gość od tatuażu mówił, że zrobi M15.
- Nieźle mu wyszło. Napijesz się piwa?

Później pojechali do sklepu sportowego i (używając kradzionej Visy) kupili namioty, śpiwory, materace dmuchane, moskitiery, paliwo do lampy i inny sprzęt biwakowy. Bode powiedział, że powinni mieć wszystko spakowane i pod ręką, na wypadek gdyby oddziały szturmowe NATO zaatakowały z morza. Bode stwierdził z zadowoleniem, że Shiner, w przeciwieństwie do Chuba, jest prawdziwym miłośnikiem odzieży maskującej. W nagrodę Bode kupił mu panterkę. Shiner nie mógł się doczekać, kiedy będzie ją mógł przymierzyć.

Pobiegł do przyczepy zmienić ubranie, a Bode odezwał się do Chuba:

- Zupełnie jak dzieciak na Wigilię.

Debilny dzieciak, pomyślał Chub.

- Masz zapasowy kapelusz? - zapytał Bode'a. - Bo nie będę patrzył dłużej na łeb tego skinheada.

W samochodzie Bode znalazł wymiętoszony kapelusz myśliwski, tak wytarty, że wzorek przypominał plamisty kamuflaż. Shiner nosił go dumnie, zawieszony na karku.

Spędzili popołudnie nad jeziorkiem i wkrótce stało się jasne, że młodemu rekrutowi nie można powierzyć prawdziwej broni. Chub przerobił (niezgodnie z prawem) AR-15 na broń automatyczną, która okazała się zbyt wielkim wyzwaniem dla nowego członka Białych Heroldów Aryjskich. Wziąwszy karabin z rąk Chuba, Shiner wydał okrzyk wojenny Komanczów i zaczął wrzeszczeć: „Z której strony są Bahamy? Gdzie są jebane komuchy NATO?” Zatoczył koło, opróżniając magazynek - kule ślizgały się po wodzie, ryły poszycie leśne, żłobiły bruzdy w skałach piaskowca.

Bode i Chub przykucnęli za samochodem.

- To mi się nie podoba - mamrotał Bode. - To mi się bardzo nie podoba.

Chub zaklął szpetnie.

- Muszę się napić.

Minęło parę hałaśliwych minut, zanim Shiner opróżnił magazynek i dostał do zabawy nieszkodliwego maruna 22.0 zmroku cała trójka pachnąca prochem i piwem wróciła do przyczepy Chuba. Na pytanie Bode'a Gazzera, czy ktoś jest głodny, Shiner odparł, że zjadłby wołu.

Chub nie był w stanie wytrzymać obecności debila ani chwili dłużej.

- Ty musisz zostać - poinstruował Shinera - i pilnować.

- Pilnować czego? - zapytał chłopak.

- Broni. I tego wszystkiego, co kupiliśmy dzisiaj - powiedział Chub. - Nowi zawsze trzymają straż. Dobrze mówię, Bode?

- Pewnie. - Bode'a również znużyło towarzystwo Shinera.

- Namioty i cały ten sprzęt są niezbędne do przeżycia. Nie możemy ich tak po prostu zostawić.

- Boże, umieram z głodu - powiedział Shiner.

Chub klepnął go w ramię.

- Przyniesiemy ci kurze skrzydełka. Lubisz na ostro?

Według źródeł bankowych, karta JoLayne została użyta dwukrotnie w tej samej restauracji Hootersa - lekkomyślne posunięcie, które napełniło Krome'a nową nadzieją. Złodzieje nie zaliczali się widocznie do czołówki kryminalistycznej.

JoLayne twierdziła, że nikt nie może być tak głupi, by pójść tam po raz trzeci z rzędu, ale Krome powiedział, że to jedyny trop. Teraz stali z JoLayne przed restauracją i przyglądali się czerwonej furgonetce stojącej na miejscu dla inwalidy.

- To oni? - zapytał Tom.

- Faceci, którzy do mnie przyszedli, nie byli ułomni - powiedziała JoLayne ponuro.

Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni - wysoki i niski. Dotarli do restauracji bez pomocy wózka inwalidzkiego, kul, czy choćby laski.

- To cud - powiedział Krome.

JoLayne nie potrafiła ich zidentyfikować.

Jesteśmy za daleko powiedziała.

- Więc podejźmy bliżej.

Wszedł sam i zajął stolik w rogu. Chwilę później dołączyła do niego JoLayne - kapelus z szerokim rondem, okulary słoneczne w stylu Lolity. Usiadła plecami do baru.

- Zanotowałeś numery? - zapytała.

- Tak, psze pani. A widziałaś nalepkę? „Fuhrman na prezydenta”.

- Gdzie oni są? - zapytała nerwowo. - Zauważyli mnie?

- Nie zauważyli ani mnie, ani ciebie.

Na drugim końcu sali dwaj charakterystyczni klienci gawędzili z przystojną kelnerką o jasnych włosach. Na widok jej elektryzującego uśmiechu Krome zrozumiał, dlaczego gównojady wracały tu co wieczór z trefną kartą kredytową. Byli zaświergoleni. Jeden z

mężczyzn ubrany był od stóp do głowy w kamuflaż, łącznie z czapką. Jego towarzysz miał brudne włosy związane w kucyk, a na oku gumową przepaskę. Na twarzach obu widniały głębokie zadrapania.

- Mówiłaś, że jeden przypominał myśliwego?

JoLayne skinęła głową.

- Rzuć okiem.

- Boję się.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją.

Obejrzała się błyskawicznie przez ramię.

- Boże! - Zaczerpnęła głęboko powietrza.

Tom Krome poklepał ją po ręce. Miała nieodgadniony wyraz twarzy.

- Daj mi kluczyki do samochodu.

- Po co? - zapytał Krome, chociaż znał odpowiedź.

Nie chciała otwierać samochodu, chciała się dostać do bagażnika.

- Poczekamy, aż wyjdą...

- Nie. Nie tutaj.

- Tom, mamy remingtona. Co mogą zrobić?

- Zapomnij o tym.

Podeszła kelnerka, ale JoLayne obrzuciła ją tylko roztargnionym spojrzeniem. Krome zamówił hamburgery i colę dla obojga. Kiedy znów zostali sami, spróbował jej wytłumaczyć, że zatłoczony parking samochodowy nie jest najlepszym miejscem, by schować broń kogokolwiek, zwłaszcza dwóch pijanych psychopatów.

- Chcę mój kupon Lotto!

- I dostaniesz go. Znaleźliśmy drani, to najważniejsze. Teraz już nam nie uciekną.

Obejrzała się jeszcze raz i zadrżała na widok bandyty z kucykiem.

- Nigdy nie zapomnę tej twarzy. Ale nie miał przepaski.

- Może go oślepiłaś - powiedział Krome.

JoLayne uśmiechnęła się blado.

- Boże! Mam nadzieję.

11.

Pożar domu Toma Krome'a wywołał najpoważniejszy kryzys w menedżerskiej karierze Sinclaira. Przez całe popołudnie polerował swoje memorandum uniewinniające i czekał na wezwanie do redaktora naczelnego. Podobnie jak Krome, redaktor naczelny specjalizował się w ostrych wiadomościach i świat jawił mu się w czarnych barwach. Był zwalistym, dużym mężczyzną po czterdziestce, przedwcześnie posiwiiałym, skłonny do alergii, burkliwym i bezceremonialnym. Słyszał ze swojego laserowego spojrzenia i braku cierpliwości.

Po raz ostatni komunikował się z Sinclairem przed paroma tygodniami. Była to zwięzła rozmowa telefoniczna: „Żadnej pieprzonej kroniki sądowniczej, słyszysz mnie?!” Stała kolumna poświęcona kryminalistom była kolejnym wynalazkiem Sinclaira. Redaktor naczelny uznał pomysł za bzdurny i Sinclair niezwłocznie przypisał go jednemu ze swoich pracowników.

Nawet w normalnych warunkach bezpośredni kontakt z naczelnym wstrząsał systemem nerwowym. Toteż Sinclair okrył się błądźcią, kiedy parę minut po szóstej został wezwany w sprawie Toma Krome'a. Wszedł do gabinetu, gdzie krótkim gestem wskazano mu fotel. Po drugiej stronie mahoniowego biurka jego szef przeglądał raport policyjny. Sinclair jeszcze go nie czytał; o spaleniu domu Krome'a dowiedział się od reportera z działu stołecznego, podczas krótkiej rozmowy przy pisuarach. Sinclair był zaniepokojony informacją, ale przede wszystkim urażony, że nie otrzymał jej drogą oficjalną. Był przecież bezpośrednim przełożonym Krome'a. Czy nikt już nie korzystał z e-maila?

Naczelny parsknął i odłożył raport policyjny na biurko. Sinclair wykorzystał okazję, by podsunąć mu swoje memorandum, które naczelny zmiął w kulkę i rzucił w Sinclaira. Wylądowało mu na kolanach.

- Już to widziałem - powiedział naczelny.
- Jak... kiedy?
- We wszystkich wersjach, idioto.
- Och!

Sinclair zrozumiał, co się stało. Wciskając jeden klawisz w terminalu komputerowym, naczelny mógł przywołać każdy edytowany materiał. Sinclair był przekonany, że szefa gazety nie interesuje dział reportażu, ale najwyraźniej się pomylił. Naczelny śledził elektronicznie dzieje memorandum od chwili jego perfidnego poczęcia.

Sinclairowi zrobiło się gorąco i duszno. Wziął zmięte memorandum z kolan i wsunął ukradkiem do kieszeni.

- Zafascynował mnie proces twórczy - mówił tymczasem naczelny. - Z każdą nową wersją pogarszał się stan zdrowia psychicznego Toma. I te szczegóły, które dodawałeś. Obsmiałem się jak norka. Może minąłeś się z powołaniem, Sinclair. Może powinieneś zostać pisarzem. - Naczelny spoglądał na niego jak na łajno na dywanie. - Napijesz się wody? Kawy?

- Nie, dziękuję - bąknął anemicznie Sinclair.

- Możemy uznać, że twoje memorandum to stek bzdur?

- Tak.

- Dobrze. A teraz mam parę pytań. Po pierwsze, jak ci się wydaje: dlaczego podpalono dom Toma Krome'a?

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz o kimś, kto mu źle życzy?

- Nie wydaje mi się.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Mówią, że na Bermudach.

Redaktor naczelny zachichotał.

- Nie pojedziesz na Bermudy, Sinclair. Pojedziesz tam, gdzie ostatni raz wysłałeś Toma, i go znajdziesz. A propos, niedobrze wyglądasz.

- Z pewnością.

- Ostatnie pytanie: Czy Tom nadal u nas pracuje?

- Z mojego punktu widzenia tak - odparł Sinclair z całą pewnością, na jaką go było stać. Miał trudności z oddychaniem.

Redaktor naczelny zdjął okulary i zaczął energicznie czyścić szkła chusteczką higieniczną.

- A z punktu widzenia Toma? Istnieje możliwość, że myślał poważnie o odejściu?

- Wydaje mi się... że istnieje taka możliwość.

Niedotleniony Sinclair pomyślał, że lada chwila dostanie zawału. Czytał wiele artykułów o ludziach, którzy przeżyli śmierć kliniczną. Sam doświadczał teraz czegoś podobnego - unosił się nad biurkiem redaktora naczelnego i oglądał sekcję własnych włók. Wrażenie nie było ani tak bezbolesne, ani płynne, jak opisywano.

- Spece od podpałek badają zgłiszczą - powiedział naczelny. - Chcą wiedzieć, czy pożar może mieć związek z artykułem, nad którym pracował Tom.

- Nie przypuszczam. - Sinclair chwycił powietrze jak hipopotam. Z wolna wracało mu czucie w rękach i nogach.

- Powiedz mi dokładnie, nad czym pracował - zażądał naczelny.

- Krótki materiałik. Jednodniówka.
- O czym?
- O kobiecie, która wygrała na loterii - rzekł Sinclair, po czym dodał impulsywnie: - O czarnej kobiecie. - Żeby szef wiedział, że Sinclair jest wyczulony na dobre materiały o mniejszościach. Może polepszy to jego położenie, może nie.

Naczelny rzucił mu spojrzenie z ukosa.

- Reportaż o loteryjnej wygranej?
- Zgadza się.

Sinclair nie chciał ujawnić, że odrzucił prośbę Toma Krome'a o bliższe zbadanie sprawy. Obawiał się, że zostanie posądzony o brak energii i krótkowzroczność, zwłaszcza jeżeli Krome dał się zamordować.

- Gdzie mieszka ta kobieta? - zapytał redaktor naczelny.
- Małe miasteczko. Grange.
- Zwykły reportaż?
- Tak.

Redaktor naczelny skrzywił się.

- Znowu kłamiesz, Sinclair. Moja wina, że cię zatrudniłem. - Wstał i ściągnął marynarkę z oparcia krzesła. - Pojedziesz do Grange. I nie wracaj bez Toma.

Sinclair skinął głową. Zadzwoi do siostry. Ulokują go u siebie, w gościnnym pokoju, obwiozą po mieście, podadzą kontakty.

- W przyszłym tygodniu ogłoszą zwycięzcę Amelii - powiedział naczelny, wkładając marynarkę. - Nominowałem Krome'a.
- Naprawdę?

Sinclair został wzięty przez zaskoczenie. Amelia, krajowy konkurs dziennikarski, nazwany imieniem świętej pamięci Amelii J. Lloyd, uznanej powszechnie za matkę współczesnego reportażu. Żadne wydarzenie, choćby najbardziej prozaiczne i trywialne, nie umknęło nigdy jej uwagi. Konkursy pieczenia ciast, kiermasze, imprezy charytatywne, konkursy ortograficzne, otwarcia domów handlowych - cudowna proza Amelii tchnęła w te wydarzenia nowe życie. W swej krótkiej, lecz burzliwej karierze zaszczyliła twórczością wiele gazet i tygodników. Zginęła tragiczną śmiercią pod kołami platformy dekoracyjnej podczas parady masonów w Cleveland. Miała trzydzieści jeden lat.

Zaledwie garstka gazet zgłaszała swoich kandydatów do Amelii, ponieważ był to jedyny konkurs dziennikarskiego chlamu.

W „The Register” typowanie dziennikarzy do tego rodzaju nagród leżało w kompetencji pomocnika zastępcy kierownika działu reportażu. Sinclair nie wysunął kandydatury Krome'a po pierwsze dlatego, że jego zdaniem reportaże Toma miały pewien sarkastyczny wydźwięk, który mógł zrazić jurorów, a po drugie bał się, że jeżeli, okrutnym zrzędzeniem losu, Krome uplasuje się w pierwszej trójce albo, nie daj Boże, wygra, publicznie go pobije. Krome napomknął przy jakiejś okazji, że nie pohańbiłby się uczestnictwem w Ameliach nawet za pięćset dolarów, które płacono zwycięzcy.

- Czy wiesz, kiedy po raz ostatni „The Register” zdobył nagrodę? - zapytał naczelny, pakując aktówkę. - Jakąkolwiek nagrodę?

Sinclair potrząsnął głową.

- Osiem lat temu - powiedział naczelny. - Trzecie miejsce w kategorii bieżących informacji. Amerykańskie Towarzystwo Redaktorów Naczelnych. Osiem pieprzonych lat temu.

- O czym traktował artykuł? - zapytał Sinclair, ponieważ odniósł wrażenie, że naczelny tego oczekuje.

- O tornadzie, które zmiotło z powierzchni ziemi szkołę podstawową. Dwie ofiary śmiertelne, dwadzieścia trzy ranne. Zgadnij, kto był autorem. Ja.

- Naprawdę?

- Co cię tak dziwi? - Naczelny zatrząsnął aktówkę. - A teraz mamy pierwsze miejsce w Ameliach w kategorii reportażu. I życzę sobie, żeby Tom Krome był tutaj w przyszłym tygodniu, kiedy ogłoszą wyniki.

Sinclairowi szumiało w głowie.

- Skąd wiesz, że wygrał?

- Powiedział mi ktoś z jury. Była żona, jeżeli cię to ciekawi. Jedyna, która jeszcze ze mną rozmawia. Kiedy można spodziewać się twojego wyjazdu do Grange?

- Jutro z samego rana.

- Tylko nie przynieś nam wstydu!

Naczelny był trzy kroki od drzwi, kiedy Sinclair się odezwał:

- Mam do ciebie dzwonić?

- Dzień w dzień, przyjacielu. I lepiej tego nie schrząń!

Chub uważał, że robi postępy. Amber była coraz bardziej przyjacielska i skora do pogawędki. Zdaniem Bodeana Gazzera, przyjaciel popuścił wodze wyobraźni - dziewczyna rozmawiała z każdym klientem.

- Głupoty gadasz! - powiedział Chub. - Widziałeś, jak na mnie patrzy?

- Patrzy, bo fascynuje ją twoja przepaska na oko.

- Pieprz się! - powiedział Chub, choć obawiał się, że Bode ma rację. Amber mogła nie należeć do kobiet, których podniecają blizny, przepaski na oko i tym podobne.

- Zdejmij to - doradził Bode.

- Próbowałem.

- Ico?

- To przez ten klej do opon - wyjaśnił Chub. - Trzyma jak cement, cholera! Zdaniem Bode'a Gazzera dobrze się stało, że Chub zakłajstrował sobie lewe oko, skoro prawe było mu potrzebne do strzelania.

- Ale wolałbym, żebyś nie ograniczał sobie widoczności - dodał. - Taka przepaska tworzy czarną plamkę na linii ognia.

Chub wgrzył się w kurze skrzydełko, rozchrupał je na miążgę i połknął.

- Strzelać to ja mogę i z czarną plamką, niech cię o to głowa nie boli.

Kiedy Amber przyszła zabrać puste kufle, Chub zagadnął ją żartobliwie o narzeczonego.

- Nie ma go tutaj - odparła.
- To widzę, kochanie.

Chub miał ochotę napomknąć o pożarze miaty tego dupka Tony'ego, zasugerować, że to robota jego i Bode'a Gazzera; dałby jej w ten sposób poznać, że ma poważne zamiary. Ale nie był pewien, czy jest dość bystra, by pojąć aluzję, ani czy należy do kobiet, którym imponują podpalenia.

- Jeszcze jedna kolejka? - zapytała.
- O której kończysz pracę? - zapytał Chub.
- Późno.
- Jak późno?
- Bardzo późno.
- Jeszcze cztery piwa - wtrącił Bode Gazzer.

- Już niosę - powiedziała Amber z wdzięcznością i umknęła.
- Cholera! - mruknął Chub. Może rzeczywiście wszystkim winno oko. Pewnie by jej nie przeszkadzało, gdyby wiedziała, że wkrótce zostanie milionerem.

Bode poradził, żeby sobie odpuścił, tylko straszy dziewczynę. Kciukiem i palcem wskazującym Chub wyrwał sobie z ręcznika z podniebienia drzazgę z kości kurczaka.

- Kiedy ostatnim razem pieprzył coś poza wnętrzem własnej ręki? - zapytał.
- Bode Gazzer odparł, że jako biały musi bardzo uważać, gdzie rozsiewa nasienie.
- Rozsiewasz co?
- Nasienie. Tak to się nazywa w Biblii.
- Broni i cipiek nigdy nie dość, sam tak mówiłeś.

Faktycznie mówiłem, pomyślał Bode z żalem. Prawda wyglądała tak, że nie chciał, by dziewczyna z Hootersa, ani żadna inna, rozpraszała uwagę Chuba, przynajmniej do czasu odebrania wygranej. Potem będzie dość czasu na ekscesy. Postanowił improwizować.

- Wszystko ma swoją dobrą i złą stronę, Chub. My, biali, mamy obowiązki. Jesteśmy zagrożonym gatunkiem. Jak jednoróżce.

Chub się z nim nie zgadzał. Kiedyś był właścicielem czterdziestkiątki wyprodukowanej w Jugosławii, czy innej Rumunii, która zaciniała się co czwarty strzał.

- To była zła broń - powiedział Chub. - Ale nie ma złej cipki.

Dyskutowali aż do zamknięcia lokalu. Bode trwał w przekonaniu, że milionerzy powinni utrzymywać stosunki cielesne tylko z białymi chrześcijankami pochodzenia europejskiego, na wypadek gdyby kontakty zaowocowały potomstwem. Chub zaś (nie chcąc ograniczać i tak rzadkich okazji) był zdania, że jako biali mężczyźni są zobowiązani przekazywać geny, a co za tym idzie, uprawiać seks z każdą kobietą, która ma na to ochotę, niezależnie od rasy, wiary i pochodzenia.

- Poza tym Amber jest biała jak śnieg - dodał.
- Tak, ale jej chłopak to Meksyk. To czyni ją Meksykanką przez iniekcję - powiedział Bode.

- Zamknij się.
- Mówię tylko, że trzeba zachować ostrożność.

Kierownik restauracji dwukrotnie zgasił i zapalił światła. Sala opustoszała. Bode zażądał kurzych skrzydełek na wynos, ale powiedziano mu, że kuchnia jest już zamknięta. Zapłacił za kolację kradzioną Visa, zostawiając suty napiwek. Chub nalegał, żeby pokreć się trochę po parkingu, bo może trzeba odwieźć Amber do domu. Ukazała się po piętnastu minutach, szła czesząc włosy. Chubowi wydała się równie piękna w wytartych dżinsach jak w skąpych szortach. Kazał Bode'owi zatrzeć, ale przyjaciel odmówił. Chub wychylił się, żeby ją zawołać, kiedy podjechał Tony nowym czarnym mustangiem z opuszczanym dachem. Amber wsiadła i tyle ją widzieli.

- Co jest, do kurwy nędzy?! - zawołał zrozpaczony Chub.
- Daj sobie spokój.
- Dupek musi być nadziany, skoro stać go na dwie bryki.
- Na litość boską, pewnie wynajął wóz. Mówię, daj spokój.

Dobrze podchmielony Bode próbował wyjechać tyłem z miejsca parkingowego. Nie zwrócił uwagi na niebieską hondę po drugiej stronie parkingu i nie zauważył, że ruszyła w ślad za nim na południe szosą numer jeden.

Zanim los zetknął ją z Bode'em Gazerem i Chubem, w całym życiu JoLayne uderzyli ją tylko dwaj mężczyźni; jeden biały i jeden czarny. Obaj byli jej kochankami.

Murzyn miał na imię Robert i był funkcjonariuszem policji. Uderzył JoLayne w twarz, kiedy oskarżyła go o napastowanie kierowców kobiet. Następnego ranka Robert znalazł żywego grzechotnika zwiniętego w szufladzie z jego bielizną, na co zareagował niemęskim popiskiwaniami. JoLayne zręcznie chwyciła węża i wypuściła na pobliskiej łące. Potem śmiała się z Roberta, tłumacząc, że ugryzienie grzechotnika rzadko bywa dla człowieka śmiertelne. Tej nocy spał z służbowym pistoletem pod poduszką i utrzymał ten zwyczaj aż do dnia rozstania z JoLayne.

Białym mężczyzną był Neal kręglarz, choć po nim najmniej można się było tego spodziewać. Stało się to pewnej nocy, kiedy JoLayne wróciła ze szpitala Jackson Memorial godzinę później niż zwykle. Spóźniła się z winy nerwowego importera kokainy, który wystrzelał swój personel. Czterech rannych przywieziono jednocześnie do izby przyjęć, gdzie miała dyżur. Informację o strzelaninie podano w wiadomościach o jedenastej, ale nie przekonało to Neala kręglarza. Był pewny, że JoLayne spóźniła się, ponieważ flirtowała z przystojnym chirurgiem piersi albo z jednym z nowych anestezjologów. Oślepiony zazdrością wymierzył potężny cios, który wylądował na torebce JoLayne. JoLayne złamała mu nos prawym sierpowym. Wkrótce Neal kręglarz błagał o przebaczenie. Wybiegł z domu i kupił jej brylantową bransoletkę, którą oddała mu w dniu rozstania.

Nie była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni ją biją, obojętnie jaki mają kolor skóry, nie prosiła się o to i tego nie tolerowała, a sprowokowana wymierzała prędką, okrutną zemstę. Dlatego nie mogła zapomnieć o strzelbie w bagażniku.

- Masz plan? - zapytała Toma Krome'a. - Bo ja tak.
- Nie wątpię.

Zwolnił, żeby odsunąć się na bezpieczną odległość od czerwonej furgonetki, która posuwała się skokami, na przemian tracąc i zyskując prędkość. Kierowca był zbombardowany - nawet ślepy glina by to zauważył. Krome nie chciał, żeby psychole przejechali kogoś, nie chciał również, żeby nadziali się na patrol. Kto wie, co mogą zrobić policjantowi! A jeżeli pozwolą się wpakować do więzienia, miną tygodnie, zanim wyjdą, zależnie od ilości popełnionych wykroczeń. JoLayne Lucks nie miała tyle czasu.

Plan Krome'a zakładał, że pojedą za facetami, zdobędą ich adres, a następnie przeszukają dom.

- Innymi słowy, gramy na zwłokę - powiedziała JoLayne.

Krome miał nadzieję, że w jej głosie pobrzmiewa nuta zniecierpliwienia, nie drwiny.

- Może się mylę, ale wydawało mi się, że twoim celem jest odzyskanie kuponu Lotto. Jeżeli wolisz po prostu zastrzelić facetów i wrócić do domu, powiedz mi, żebym mógł się wycofać.

Uniosła rękę.

- Przepraszam, przepraszam!
- Jesteś zła. To zrozumiałe.
- Jestem wściekła.
- Zachowaj zimną krew. Jesteśmy blisko.
- Zapamiętałeś numery rejestracyjne? - zapytała.
- Już ci mówiłem, że tak.
- Hej, znowu przyśpieszają.
- Widzę.
- Nie zgub ich!
- JoLayne!
- Przepraszam. Już się nie odzywam.

Śledzili furgonetkę aż do Homestead. Oszołomy zatrzymały się trzy razy, żeby oddać moc na poboczu. Za każdym razem Tom jechał dalej. Wyminąwszy bandytów, stawał w nieoświetlonym miejscu i czekał. W końcu psychole zjechali z szosy na piaszczystą drogę, która przecinała pole pomidorów. Nie było tu żadnego ruchu, tylko chmura kurzu oddzielała furgonetkę od hondy Krome'a. Kurz pachniał nawozami.

JoLayne wystawiła głowę za okno i udawała, że upaja się powietrzem.

- Zielone pola! I rolnicy, sól tej ziemi! - krzyknęła.

Krome zwolnił i wyłączył reflektory. Po kilku kilometrach pola pomidorów ustąpiły karłowatym palmom i sosnom, a droga biegła równolegle do szerokiego kanału irygacyjnego. Po drugiej stronie połyskliwej wody majaczyły w półmroku rudery, przyczepy kempingowe i porzucone samochody.

Ujechali kawałek piaszczystą drogą, kiedy tylne światła furgonetki błysnęły poprzez tumany kurzu. Krome natychmiast stanął i wyłączył silnik. Cisza była oznaką, że kierowca wrogiego pojazdu zrobił to samo.

- Miła okolica - zauważył Krome.
- Nie jest to Star Island. - JoLayne dotknęła jego ramienia. - Czy teraz możemy stworzyć bagażnik?
- Za chwilę.
Nie widzieli czerwonej furgonetki, ale usłyszeli trzaśnięcie drzwiczek. Potem rozległy się wrzaski, które woda niosła daleko.
- Co się dzieje? - wyszeptła JoLayne.
Zanim Krome zdążył odpowiedzieć, ciszę nocy rozdarła seria z karabinu automatycznego.

Shiner, pozostawiony w głuszy, dostał pietra. Odgłosy były takie same jak w lasach wokół Grange - żaby, świerszcze, szopy - ale tutaj każdy trzask i szelest wydawał się głośniejszy i bardziej złowieszczy. Shiner nie mógł przestać myśleć o wojskach NATO biwakujących na Bahamach.

Tylko sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, powiedział Bodean Gazzer, po drugiej stronie Gulf Stream.

Shiner nie grzeszył bystrością, potrafił sobie jednak wyobrazić wrogów w niebieskich hełmach, nacierających flotyllą. Nękała go myśl, że Stany Zjednoczone Ameryki zostaną zaatakowane w czasie, gdy Bode i Chub będą pili piwo.

Łamiąc wyraźny rozkaz, Shiner wydobył AR-15 z domu na kółkach i wszedł po kracie na krachy dach. I czekał, w swoim wypłowiałym kapeluszu i nowej panterce w wojskowe cętki. Nie mógł wprawdzie dojrzeć Bahamów, ale miał doskonały widok na piaszczystą drogę i kanał irygacyjny.

Łądem lub morzem, pomyślał, niech tylko skurwiele spróbują.

Karabin mile ciążył mu w rękę, dotyk stali działał uspokajająco. Shiner zaczął się zastanawiać, jaką bronią dysponują komuniści z NATO. Postanowił, że skonfiskuje gnata pierwszemu zastrzelonemu przez siebie żołnierzowi, na pamiątkę. Może odetnie mu ucho - słyszał o takim przerażającym zwyczaju podczas trzytygodniowego pobytu w armii, opowiadał mu o tym sierżant od musztry. Shiner nie wiedział, co uczyni z obciętych uchem natowca, w każdym razie schowa dobrze, żeby mama nie znalazła. Broń też. Od czasu odkrycia Jezusa na Drodze matka była przeciwniczką broni.

Po godzinie spędzonej na dachu Shinera dopadł głód. Ukradkiem wszedł do przyczepy i zrobił przegląd lodówki Chuba. Znalazł w niej dwa kawałki zeschniętej pizzy pepperoni i sardynki w puszcze. Zaniósł zapasy na swój posterunek. Starał się jeść wolno, rozkoszując się każdym kęsem - kiedy dojdzie do inwazji, nie będzie pizzy przez długi, długi czas.

Dwukrotnie wystrzelił z AR-15 do podejrzanych odgłosów. Za pierwszym razem był to niezdarny opos (a nie wrogi saper), który przewrócił pojemnik na śmieci, za drugim dzika kaczka (a nie komandos na scubie) taplająca się pośród wodnych lilii.

Lepiej na zimne dmuchać, pomyślał Shiner.

Po chwili usnął z policzkiem przyciśniętym do chłodnej lufy karabinu. Śniło mu się, że jest z powrotem na obozie ćwiczebnym i próbuje robić pompki, podczas gdy czarny sierżant stoi nad nim nazywając do pedziem, ciotą, złamanym kutasem. W tym śnie pompki szły Shinerowi nie lepiej niż na jawie, więc sierżant wrzeszczał coraz głośniejsze, a w końcu wyciągnął rewolwer i powiedział, że strzeli Shinerowi w dupę, jeżeli jeszcze raz dotknie kolanami ziemi, co wydarzyło się przy następnej pompce. Rozsierdzony sierżant przygniótł mu plecy butem, przyłożył lufę do drżących pośladków i wystrzelił...

Huk poderwał Shinera z miejsca. Usiadł, przyciskając do piersi AR-15. Dźwięk rozległ się ponownie i Shiner zrozumiał, że to nie strzał, lecz trzaśnięcie drzwiczek. Ktoś tam był, w tej rozszepowanej ciemności, kto wie, czy nie żołnierze NATO. Może to, co trzasnęło, było włazem sowieckiego czołgu.

Bodeana Gazzera i Chuba zatrzymał chrapliwy, zdławiony krzyk dochodzący z dachu:

- Stój! Kto idzie?!

Mieli odpowiedzieć, kiedy ciemność eksplodowała pomarańczowo-niebieskim światłem. Uciekając przed ogniem z broni automatycznej, dali nura pod furgonetkę i leżeli tam, klnąc i zakrywając uszy, dopóki Shiner nie skończył. Wtedy Chub zawołał:

- Tomy, ty fiucie!

- Co za „my”?! - Kto idzie?!

- My! My.

- Określić się!

- Biali Heroldowie Aryjscy. Twoi bracia - odezwał się Bode Gazzer.

Po dłuższej chwili usłyszeli:

- O kurwa, wychodźcie!

Wyczołgując się spod ciężarówki, Chub powiedział:

- Ten skinhead ma porąbane w głowie.

- Cicho! - szepnął Bode. - Słyszysz?

- Słodki Jezu!

Drugi samochód na piaszczystej drodze - oddalający się pośpiesznie! Chub sięgnął po pistolet.

- Co robimy?

- Pojedziemy za nim - powiedział Bode. - Jak tylko ściągniemy z dachu Johna Wayne'a juniora.

12.

Ujrzawszy reflektory we wstecznym lusterku, Tom Krome poczuł nieprzyjemny ucisk w piersiach. JoLayne spojrzała przez tylną szybę.

- Zupełnie jak na filmie - stwierdziła.

Krome powiedział, żeby się czegoś przytrzymała. Bez tykania hamulców zjechał z drogi. Podskakując na wertepach, dojechali do zagajnika karłowatych sosenek.

- Martha Stewart miałyby tu pole do popisu - odezwała się JoLayne.

Oszalała ze strachu, pomyślała Krome.

- Mówię poważnie - ciągnęła. - Znasz ten typ, potrafi wszystko. Na pewno widziałeś ją w telewizji. Sadzi kwiatki, piecze ciasta i robi frędzle.

- Weź się w garść - powiedział Krome. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

- Ja mam do tych rzeczy dwie lewe ręce. Zwłaszcza do robótek. Potrafię jednak użyć broni...

- Cicho!

- ...którą, tak się składa, mamy w bagażniku.

- Uwaga!

- Jest to naprawdę znakomita strzelba.

W ciemności wyczuł, że JoLayne przysuwa się bliżej. Dotknęła policzkiem jego twarzy. Pocałował ją, nie zastanawiając się, co robi. Nic wielkiego, braterski pocałunek, na uspokojenie. Przynajmniej tak uważał Krome.

JoLayne odwróciła głowę, ale się nie odezwała. Furgonetka zbliżała się szybko. Krome poczuł, jak dłoń dziewczyny muska mu ramię. Jakby wyciągała ku niemu ręce.

Nie wyciągała ku niemu rąk. Jej celem były kluczyki samochodowe. Zręcznie wyjęła je ze stacyjki, otworzyła drzwi i jednym susem była na zewnątrz.

- Nie! - krzyknął Krome, ale JoLayne stała już przy bagażniku. Kiedy ją dopadł, trzymała remingtona.

Droga pojaśniała; w białym świetle reflektorów wirowały owady. Krome pociągnął JoLayne za pień sosny, otoczył mocno ramionami, przyciskając do siebie ją i strzelbę.

- Puść mnie! - zawołała.
- Broń jest zabezpieczona?
- Nie wygłupiaj się, Tom!
- Ciii...

Samochód przejechał, usłyszeli chór podnieconych męskich głosów. Tom Krome puścił dziewczynę dopiero wtedy, gdy tylne światła pikapa zniknęły im z oczu i znów zapanował spokój.

- Było blisko - powiedział.
- JoLayne wrzuciła broń z łoskotem do bagażnika.

Demencio płał w ciepłe aprobaty wielebnego Joshuy Moody'ego, który przed odjazdem zwrócił się do swojej trzódki i oznajmił, że ogląda cuda od trzydziestu trzech lat, ale czegoś tak zdumiewającego jeszcze nie widział.

Mówił o żółwiach apostołów.

Kiedy pielgrzymi chrześcijanie z Wirginii Zachodniej napatrzyli się do syta i złożyli w ofiarnym koszyczku Trish dwieście jedenaście dolarów (nie licząc tego, co wydali na napoje chłodzące, bawełniane koszulki, ciasto i okulary przeciwsłoneczne), wielebny Moody odciągnął Demencia na bok.

- Musisz mi powiedzieć, skąd je wzięłeś.
- Już mówiłem.
- Hej, robiłem w tym interesie, zanim przyszedłeś na świat. - Duchowny uniósł śnieżnobiałą brew. - Daj spokój, synu. Nie wydam cię.

Demencio niewzruszenie powtarzał swoje:

- Jednego dnia żółwie są normalne, drugiego zaglądam do akwarium, a tam siedzą apostołowie. Cała dwunastka.
- Tak, tak. - Duchowny westchnął zniecierpliwiony. - Widywałem już wizerunki świętych na różnych rzeczach, ale nigdy na żółwiach!

Pomysł wykorzystania żółwi zaintrygował wielebnego Moody'ego. Jakim cudem laik zdobył się na tak oryginalny wyczyn? Było to niewytłumaczalne. Zgniół w uścisku rękę Demencia.

- Synu, ale z ciebie genialny drań - powiedział, po czym zapędził pielgrzymów do autokaru.

Demencio machał im ręką, dopóki autokar nie zniknął z oczu. Z pełnym zadowolenia uśmiechem odwrócił się do żony, która sortowała banknoty, zwilgotniałe od łez.

- Udało się! - powiedziała radośnie.
- Kurde, nie do wiary!
- Miałeś rację, kochany. Dadzą się nabrać na wszystko.

Jako dziecko Demencio widział malowane żółwie sprzedawane na pchlim targu w Hialeah. Niektóre miały na pancierzach róże lub słoneczniki, inne flagi, serca przebite

strzałą, postaci z kreskówek Disneya. Uznał więc, że równie dobrze można ozdobić żółwie JoLayne portretami świętych. Po awarii Matki Boskiej była to jedyna szansa ocalenia zysków z wizyty wielbnego Moody'ego.

Kiedy Trish przyniosła do domu przybory artystyczne, Demencio wybrał tuzin najpiękniejszych okazów z akwarium JoLayne. Delikatny proces malowania poprzedziła krótka dyskusja o tym, jak sportretować apostołów, nie uwłaczając ich godności. Ani Demencio, ani jego żona nie potrafili wymienić nawet połowy uczniów Jezusa, odwołali się więc od Biblii (w której nie było niestety pełnego zestawu portretów). Trish przejrzała zawartość skrzyni z rzeczami świętej pamięci ojca i znalazła album z fotografiami największych dzieł sztuki, a wśród nich zdjęcie „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci. Wydarła interesującą ją stronę i położyła przed mężem na stole.

- No dobra - powiedział. - Ale kto tu jest kim?
- To jest Judasz, zdaje się. - Trish wskazała palcem. - A może Andrzej.
- Chrystus?
- W środku - odpowiedziała.

Demencio odprawił żonę i zabrał się do dzieła. Nie było sensu bawić się w detale; chropowate pancerze żółwi, wielkości srebrnego dolara, bardzo utrudniały pracę. Trzeba postawić na brody, powiedział sobie. Wszystkie biblijne szychy mają brody.

Wkrótce złapał rytm. Przytrzymał żółwia lewą ręką, w prawej dzierzył pędzel. Po trzech godzinach wytężonej pracy ukończył dzieło. Wprawdzie wszyscy apostołowie mieli bujny zarost, ale można się było dopatrzeć pewnych cech indywidualnych.

- Który jest który? - zapytała Trish, przeglądając miniaturową wystawę.
- Niech mnie licho, jeśli wiem.

I zgodnie z przewidywaniami Demencia nie miało to żadnego znaczenia. Mateusz dla jednego pielgrzyma był Janem dla drugiego.

Chciwi wrażeń wierni od wielbnego Moody'ego zbili się w gromadkę nad kojcem, który Trish zbudowała z siatki ogrodowej. Demencio wywoływał imiona apostołów, wyławiając z rojowiska odpowiedniego żółwia. Pielgrzymi nie tylko uwierzyli - byli zachwyceni! W środku kojca Demencio ustawił Madonnę z włókna szklanego i zapowiedział, że tego dnia nie będzie płakała. Pielgrzymi okazali pełne zrozumienie - Matka Boska pocieszyła się widocznie niespodziewanym przybyciem osób z najbliższego otoczenia Syna.

Żółwie odniosły wielki sukces i Demencio postanowił wykorzystać je następnego ranka. W południe podwórze było już tak zapchane ludźmi, że szpilki nie dało się wsadzić. Demencio szykował sobie kanapkę w kuchni, kiedy przybiegła Trish z wiadomością, że żółwie wysychają na słońcu i farba na pancerzach blednie. Demencio rozwiązał problem kopiąc niewielką fosę wokół Madonny i wypełniając ją wodą za pomocą węża ogrodowego. Po południu pielgrzym z Karoliny Południowej zapytał, czy woda, w której pływają żółwie, jest święta. Kiedy Demencio zapewnił, że tak, mężczyzna zaproponował cztery dolary za kubek. Pozostali odwiedzający ustawili się w kolejce i wkrótce Demencio musiał dolewać do fosy.

Cóż za niespodziewana gratka! Wielebny Moody miał rację - Demencio był genialny.

Odwiedziny przebiegały gładko aż do późnego popołudnia, kiedy pojawił się Dominick Amador i skupił na sobie zainteresowanie tłumu, ukazując krwawiące rany w najbardziej wulgarny sposób. Trish odgoniła go grabiami. Działo się to na oczach burmistrza Jerry'ego Wicksa, który nie podjął żadnej próby interwencji.

Burmistrz Wicks przybył do kaplicy w towarzystwie trzech osób, z całą pewnością niebędących pielgrzymami. Dwóch z nich Demencio rozpoznał jako miejscowych, trzeci był mu obcy. Demencio przywitał przybyłych z miną biznesmena zdążającego do banku, co było zgodne z prawdą.

- Bardzo proszę - rzekł burmistrz. - To nie potrwa długo.

- Trafiliście na złą chwilę - powiedział Demencio, upychając w kieszeni ostatnią z trzech grubych kopert.

- Chodzi o JoLayne Lucks - powiedział burmistrz.

- Tak? - Cholera, pomyślał Demencio, wiedziałem, że to za piękne, żeby mogło być prawdziwe. Żółwie są pewnie kradzione.

Trish wsunęła głowę do salonu.

- Więcej sałaty! - zawołała.

Demencio zamknął depozyty bankowe w szufladzie i ruszył do kuchni.

- Mam urwanie głowy - powiedział gościom. - Zaraz się wami zajmę.

Roddy i Jean byli zachwyceni, mogąc asystować Sinclairowi w jego dziennikarskiej misji; prawdę mówiąc, byliby zachwyceni, mogąc pomagać przy sporządzaniu tygodniowego sprawozdania ze zbioru kukurydzy. Roddy pracował dla rządu jako inspektor dystrybutorów benzynowych, Jean uczyła w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Nie cierpieli na nadmiar rozrywek w Grange i przyjazd Sinclaira w sprawie loteryjnej wygranej stanowił wielkie wydarzenie w ich życiu. Ponieważ to oni nadali bieg sprawie, udzielając gazecie pierwszej wskazówki, Roddy i Jean czuli się zobowiązani pomóc w poszukiwaniach zaginionego reportera i JoLayne Lucks. Tajemnica wygranej Lotto była jedyną sensacją, jaka wstrząsnęła Grange od lat, i Roddy wraz z Jean cieszyli się, że tkwią w centrum wydarzeń. Sinclair był wmieście dwadzieścia minut, a już zdążyli przedstawić go burmistrzowi. Jerry Wicks wysłuchał relacji z zaginięcia Toma Krome'a za zdumieniem, nie kryjąc lekkiego oburzenia.

- Cokolwiek się stało - powiedział - zapewniam, że grangianie nie są za to odpowiedzialni. Jesteśmy najbardziej gościnną społecznością na Florydzie.

Sinclair spisywał każde słowo. Zakładał, że tak pracuje prawdziwy reporter; niby superkspresowy stenotypista, odnotowujący każde bąknięcie rozmówcy. Tak to sobie wyobrażał, a był zbyt dumny, by przed wyjazdem poprosić jakiegoś zawodowca o wskazówki.

Główną wadą metody Sinclaira były przewlekłe okresy ciszy. Sinclair pisał niezwykle wolno; lata nad klawiaturą komputera odzwyczaiły go od długopisu. Na domiar złego,

był pedantem. Nie tylko spisywał każdą banalną uwagę, ale dbał o interpunkcję.

Roddy i Joan lojalnie udawali zainteresowanie podczas długich, nużących przerw, burmistrz jednakże zaczynał się niecierpliwić.

- Nie będzie mi przeszkadzało, jeżeli użyje pan dyktafonu - powiedział w końcu.

W odpowiedzi Sinclair rzucił się na notatnik. Jeny Wicks zwrócił się do Roddy'ego.

- Dlaczego on to zapisuje?

- Nie jestem pewien.

- Chyba lepiej byłoby użyć dyktafonu.

- Naprawdę nie wiem, panie burmistrzu. Musi być jakiś powód.

Sinclair ocknął się w połowie zdania. Podniósł otumaniony wzrok i pstryknął długopisem. Jerry Wicks odetchnął z ulgą. Zaproponował, żeby poszli wszyscy z wizytą do ostatniej osoby, która widziała JoLayne Lucks. Według burmistrza był to Demencio, który prowadzi bardzo popularną kaplicę. Sinclair przyznał, że powinien jak najszybciej się z nim zobaczyć. Wepchnął notatnik do tylnej kieszeni spodni, jak to podpatrzył u dziennikarzy „The Register”.

Wsiadając do samochodu burmistrza, Joan szepnęła bratu, że ma w domu przenośny magnetofon.

- Dziękuję - powiedział Sinclair sztywno - ale nie jest mi potrzebny.

I przy spotkaniu z Demencio znowu wyciągnął notatnik.

- Mógłby pan przeliterować swoje nazwisko? - poprosił, z długopisem zawieszonym w powietrzu.

- Jest pan glina? - Demencio odwrócił się do burmistrza. - Czy to glina?

Jerry Wicks wyjaśnił, kim jest Sinclair i dlaczego przyjechał do Grange. Znajdowali się w salonie Demencia - burmistrz, Roddy, Joan i Sinclair. Demencio siedział w swoim ulubionym fotelu telewizyjnym, nerwowo przerzucając z ręki do ręki główkę lodowej sałaty. Nie lubił obcych, ale zmarnować okazję darmowej reklamy w prasie byłoby głupotą.

- Kiedy po raz ostatni widział pan JoLayne Lucks? - zapytał Sinclair.

- Wczoraj wieczorem - powiedział Demencio - kiedy przyniosła żółwie.

Roddy i Joan bardzo chętnie dowiedzieliby się czegoś o żółwikach w akwarium, jak również o malowanych w fosie, ale nie wiadomo dlaczego Sinclair nie drażył tego tematu. Skrupulatnie zapisał odpowiedź Demencia, po czym zapytał:

- Była w towarzystwie mężczyzny?

- Białego?

- Tak. Trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt wzrostu - powiedział Sinclair.

- To ten gość. Zrobił zdjęcia mojej Marii Panny Dziewicy. Ona płacze prawdziwymi łzami.

- Ludzie przyjeżdżają z całego kraju, żeby się do niej pomodlić - wtrącił Roddy, chcąc pomóc.

- Odwiedziny co rano. Powinien pan przyjść zobaczyć - dodał Demencio.

Sinclair się nie odezwał. Był dopiero przy pierwszej części wypowiedzi Demencia. Dotarł do słowa „dziewica”, kiedy wtręt Jerry’ego wybił go z rytmu, przez co reszta cytatu umknęła mu z pamięci. Teraz był zmuszony zrekonstruować wypowiedź.

- Powiedział pan: „płacze”, czy „ona płacze”?
- Ona płacze - odparł Demencio. - Jak pijany ksiądz.

Ani Roddy, ani Joan nie wyobrażali sobie, by można wydrukować tak drastyczną uwagę, ale Sinclair ją zanotował.

- A tuzin moich żółwi ma apostołów na plecach - mówił dalej Demencio. - W życiu pan czegoś takiego nie widział. Proszę zajrzeć do fosy.

- Proszę wolniej - warknął Sinclair. Palce zaczynały mu drętwieć. - Ten mężczyzna z JoLayne Lucks. Odjechali razem?

- Jego samochodem.

Sinclair pisał, a burmistrz, Roddy i Joan czekali w kompletnym milczeniu. Każda uwaga groziła dalszym opóźnieniem. Jednakże Demencio zrobił się niespokojny. Zaczął obrywać liście sałaty i układać je, według wielkości, na otomanie. Bał się, że dziennikarz zapyta o finansowy układ z JoLayne. Demencio nie łudził się, że tysiąc dolarów jest zwyczajową stawką za opiekę nad żółwiami. Poza tym dziennikarz mógł nie uwierzyć, że był to pomysł JoLayne. Ale kiedy Sinclair podniósł w końcu wzrok znad notatnika, powiedział tylko:

- Wspominali, dokąd jadą?
- Miami - odparł Demencio z ulgą.
- Słyszeliśmy, że na Bermudy - wtrąciła Joan, chcąc ratować swoją reputację informatorki. - Wspominali coś o Bermudach?
- Powiedzieli, że jadą do Miami. JoLayne wspomniała, że ma tam interes.
- Wolniej! - zaprotestował Sinclair w pozie zreumatyzowanego jubilera. -Proszę!

W tym momencie wyczerpała się gościnność Demencia. -Pisze się em, i, a...

- Wiem, jak się to pisze! - warknął Sinclair.

Burmistrz zakrył usta dłonią.

Przebyli wiele kilometrów piaszczystych dróg, ale nie wpadli na ślad obcego samochodu. Bode Gazer był zbyt pijany i zmęczony, by kontynuować poszukiwania. Chub zaproponował, że przejmie kierownicę, ale Bode nie chciał o tym słyszeć; nikomu nie wolno było tknąć jego nowego dodge'a. Zaparkował na obrzeżu pola pomidorów i zasnął przy akompaniamencie podniesionego głosu Chuba, który zmywał Shinerowi głowę za strzelaninę. Bode uważał, że Chub jest zbyt ostry dla dzieciaka, ale zmienił zdanie rano, kiedy zobaczył dwie dziury po kulach w bocznych drzewczkach.

- Odstrel mu jaja - powiedział do Chuba.
 - Chłopaki, nie wiedziałem, że to wy! - zaprotestował Shiner.
- Bode sięgnął po broń u paska Chuba.

- Daj mi to!

Chub odtrącił jego rękę.

- Ktoś usłyszy.

- Ale ja myślałem, że to NATO! - zakwilił Shiner. - Przeprosiłem was, no nie?

- Zobacz, co zrobiłeś z moim wozem!

- Zapłacę za wszystko, przysięgam!

- Pewnie że zapłacisz.

Shiner był wrakiem człowieka.

- Dajcie mi jeszcze jedną szansę - błagał.

- Szansę? Cholera! - powiedział Chub.

Spisał już chłopaka na straty. Beznadziejny patałach! Muszą się go pozbyć. Rozstrzygną, kto mu to powie, rzucając monetę.

Chub wysiadł, żeby się odlać, i nadepnął na zardzewiałą puszkę farby w aerozolu - na środku pola pomidorów! Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ponieważ Bode nie akceptował wdychania, Chub odwrócił się plecami do wozu. Ukłął w piachu i, mile podniecony, potrząsnął puszką. Zagrzecotało i znajomy dźwięk podział na niego kojąco. Przytknął dyszę do nosa i nacisnął, ale farba nie wystrzeliła. Spróbował jeszcze raz, wciągając spazmatycznie powietrze, ale na darmo. Zaklął, wstał i odrzucił puszkę w pole.

Kiedy odpiął spodnie, żeby oddać mocz, giez usiadł mu na końcu fiuta. Chub nie wyobrażał sobie, by mógł się jeszcze kiedyś poczuć milionerem. Zrezygowany odegnał gza i sikał długo. Potem wyjął kolta pythona zza paska i umieścił pod lewą pachą. Wsunął rękę w nogawkę, namacał plaster. Bilet Lotto był bezpieczny. Ciekawe, jak zareagowaliby rodzice, gdyby wiedzieli, że ma czternaście melonów przyklejone do uda!

Zanim wrócił do samochodu, Bode Gazer zdążył ochłonąć. Shiner dopytywał się chciwie o atak NATO na Stany Zjednoczone, a zwłaszcza, czy powinien wypatrywać jakichś szczególnych oznak napaści - jasnej wskazówki, że można sięgać po broń.

- Na przykład helikoptery. Podobno latają czarnymi helikopterami - mówił. - Było o tym w Internecie.

- Nie wiem, czy helikoptery są aktualne. Mogli się przetrzucić na sterowce wywiadowcze. Wszystko zależy.

- Cholera! - zaklął Shiner.

- Coś ci powiem, wcale bym się nie dziwił, gdyby to się odbyło w środku nocy, bardzo cicho. Budzisz się pewnego ranka, a pieprzony listonosz chodzi w niebieskim helmie.

Shiner się wzdrygnął.

- A wtedy co? Pozabijają nas, białyech?

- Kobiety zgwałcą. Zabiją mężczyzn - wtrącił się Chub.

- Nie - powiedział Bode Gazer. - Najpierw sprawią, że staniemy się tak biedni, że nie będzie nas stać na jedzenie, lekarstwa ani ubrania.

- Jak to zrobią? - dopytywał się Shiner.

- To proste. Wystarczy, że uznają nasze pieniądze za nielegalne. Wszystko co masz, wszystkie oszczędności będą tyle warte co papier toaletowy. Wydrukują nowe dolary i rozdadzą je Murzynom, Kubańcom i innym kolorowym.

Chub siedział na masce wozu i masował sobie skronie, próbując pozbyć się kaca. Był zaznajomiony ze spiskową teorią Bode'a wymiany waluty amerykańskiej. Temat wypłynął poprzedniej nocy, u Hootersa, kiedy Chub doradził, żeby pozbyli się kradzionej karty kredytowej, zanim ktoś ich nakryje. Bode powiedział, że powinni ją zachować, na wypadek gdyby Trybunał Nowego Świata przejął banki i wprowadził nową walutę. Ciężko zarobione dolary staną się wtedy bez wartości.

Jakie dolary? - zaciekał się Chub. Byli splukani do zera.

- A na nowych pieniądzach - tłumaczył Bode Shinerowi - zamiast Waszyngtona i Granta będzie Jesse Jackson i Fidel Castro.

- Kurde blaszka! Co my wtedy?

- Plastik - odparł Bode. - Użyjemy plastiku. Zgadza się, Chub?

- Jasne. - Chub wstał, drapiąc się po kroczu. Od tak dawna nie widział banknotu pięćdziesięciodolarowego, że nie pamiętał, czyja twarz na nim widnieje. I Bogiem a prawdą niewiele go to obchodziło.

- Wrzucimy coś na ruszt - powiedział.

W drodze do Florida City Shiner spał z odsłoniętymi zębami, jak kundel. Bode i Chub wykorzystali chwilę spokoju, by przedyskutować wydarzenia ostatniej nocy. Śledzono ich, czy jakiś turysta po prostu zgubił drogę pośród pól?

Bode Gazer opowiedział się za zbłąkanym turystą. Zauważyłby, gdyby ktoś za nimi jechał.

- Może, gdybyś był trzeźwy - powiedział Chub.

- Nikt za nami nie jechał, gwarantuję. Ta strzelanina wytrąciła nas po prostu z równowagi.

- Nie jestem pewny - powiedział Chub.

Miał przecucie, że szczęście się od nich odwróciło. Upewnił się o tym po śniadaniu, kiedy kelnerka zwlekała z oddaniem karty kredytowej. Chub zauważył, że rozmawia z kierownikiem przy kasie. W jednej ręce kierownik trzymał kradzioną kartę, w drugiej słuchawkę telefonu.

- Wsypa! - szepnął do Bode'a przez stół.

Bodean Gazer zeszytniał. Wkładając w pośpiechu kowbojskie buty, kopnął Chuba w gołęń. Zirytowany Chub uniósł obrus i zajrzał pod stół.

- Ty, uważaj!

Shiner miał w rękach papierową serwetkę. Oczy wyszły mu z orbit.

- Co robimy?! - zapytał.

- Wiejemy, chłopcze, a myślałeś, że co? - Chub puknął Shinera kłykciami w nagi czerep. - W długą!

13.

Słabość Bode'a Gazzera do kradzionych kart kredytowych potwierdzała jego kartoteka policyjna. Figurowało w niej również dziewięć wyroków za fałszowanie czeków, pięć za wyłudzenie odszkodowania, cztery za kradzież elektryczności, trzy za okradanie łodzi do połowu homarów oraz dwa za celowe zniszczenie mienia publicznego (parko-
mierza i bankomatu).

Moffitt dowiedział się tego wszystkiego wkrótce potem, jak JoLayne Lucks podała mu telefonicznie numery rejestracyjne samochodu bandytów. Numery rejestracyjne wrzucono do komputera, który wypłuł nazwisko, imię i datę urodzenia Bodeana Jamesa Gazzera. Informacja ta została następnie wrzucona do innego komputera, który przedstawił kartotekę policyjną pana Gazzera.

Nic w przeszłości Bode'a nie zaskoczyło Moffitta, zwłaszcza nie zdziwił go fakt, że mimo licznych przestępstw Bodean Gazzer spędził za kratkami zaledwie dwadzieścia trzy miesiące ze swego pasożytniczego życia.

Nie zaskoczyłaby go również wiadomość - gdyby komputer mógł ją podać - że Bode Gazzer jest białym rasistą i założycielem skrajnie prawicowej milicji. Natomiast Bode Gazzer byłby zaszokowany i zde gustowany faktem, że ściągnął na siebie uwagę Biura do spraw Alkoholu, Wyrobów Tytoniowych i Broni Palnej, oraz że agent prowadzący jego sprawę jest Murzynem.

Dla Moffitta widok JoLayne był zarazem bolesny i niewymownie przyjemny. Nigdy z nim nie flirtowała. Nie musiała. Wystarczyło, żeby się roześmiała, odwróciła głowę, przeszła przez pokój.

Stan Moffitta był poważny, ale nie żalorny. Potrafił nie myśleć o niej miesiącami, a kiedy już myślał, nie było to cierpiętnicze rozpamiętywanie, lecz tęsknota pełna stoicyzmu. Był realistą - czuł to, co czuł. Kiedy dzwoniła, oddzwaniał. Kiedy czegoś potrzebowała, śpieszył z pomocą. Sprawiało mu to największą, jedyną w swoim rodzaju przyjemność.

Spotkali się w knajpie przy szosie numer jeden, w południowym Miami. JoLayne spytała bez wstępów o kierowcę czerwonej furgonetki.

- Kto to jest? Gdzie mieszka? Przy plantacjach pomidorów?
- Nie - powiedział Moffitt.
- Więc jaki jest jego adres?
- Zapomnij o tym.
- Dlaczego? Co zamierzasz?
- Przeszukać jego mieszkanie. Unieważnij kartę, mamy już jego nazwisko. Cała trójka zamówiła talerz mięs i mrożoną herbatę. JoLayne prawie nie jadła, czuła się wykluczona z łowów.

- Chcę być przy tym przeszukiwaniu - powiedziała.

Moffitt potrząsnął stanowczo głową.

- Nawet mnie przy tym nie będzie. Oficjalnie. - Wyjął legitymację i położył, otwartą, na stole, przed Tomem Krome'em. - Wyjaśnij jej - powiedział, wskazując legitymację kotлетem schabowym.

Zobaczywszy legitymację ATF, Krome wszystko zrozumiał. Agencja została postawiona pod pręgierzem po akcji Vaco. Pacyfiści domagali się likwidacji ATF i porównywali jej pracowników do nazistów. Sprawę badał Kongres, pospadały głowy, obcięto budżet.

- To była prawdziwa rzeź niewinnych - powiedział Krome do JoLayne.
- Czytam gazety, Tom. - Rzuciła Moffittowi palące spojrzenie. - Nie rozmawiaj ze mną jak z dzieckiem.
- Nie pchać się na pierwsze strony gazet, takie mamy rozkazy z Waszyngtonu - powiedział agent. - Dlatego dokonam tego włamania sam.

JoLayne dziobała plastikowym widelcem sałatkę z kapusty. Marzyła o tym, by dowiedzieć się, kim są psychole, jak mieszkają i co ich napadło, żeby ją okradać, właśnie ją, spośród setek szczęśliwców, którzy wygrywali na loteriach. Po co tłuc się do Grange, kiedy można czekać spokojnie, aż ktoś z Miami czy Lauderdale rozbije bank?

To nie miało sensu. JoLayne chciała pojechać z Moffittem, włamać się do mieszkania złodzieja. Poszperać w szafach, zajrzeć pod łóżko, przejrzeć korespondencję. Łaknęła odpowiedzi.

- Mogę ci tylko obiecać, że dostaniesz bilet. Jeżeli tam jest, ja go znajdę - powiedział Moffitt.

- Powiedz mi przynajmniej, jak się drań nazywa.
- Żebyś mogła sprawdzić w książce telefonicznej i mnie ubiec? Nie ma mowy.

Skończyli posiłek w milczeniu. Krome odprowadził Moffitta do samochodu, a JoLayne została nad kawałkiem szarlotki.

- Ona nie zadowolili się zwrotem biletu - powiedział agent. - Wiesz o tym?
- Może jednak.

Moffitt się uśmiechnął.

- Nie ma na nią mocnych, jeżeli wbije sobie coś do głowy. - Wsiadł do służbowego behemota i podłączył telefon do sieci. - Dlaczego to robisz? - zapytał Krome'a. - Mam nadzieję, że masz lepszy powód niż ja.

- Obawiam się, że nie. - Oczekiwał ostrzeżenia w rodzaju: „Opiekuj się JoLayne, bo popamiętasz”, ale Moffitt powiedział tylko:

- Jeżeli chodzi o nas, mamy na koncie dwie randki. Kino i mecz Delfinów. Nienawidzi futbolu.

- Jaki to był film?

- Coś z Nicholsonem. Dziesięć, jedenaście lat temu. Delfiny dostały porządnie w skórę, tyle pamiętam. Zostaliśmy przyjaciółmi. Jej decyzja, nie moja.

- Ja nic od niej nie chcę.

Moffitt zachichotał.

- Człowieku, chyba nie słuchałeś. Decyzja należy do niej. Zawsze. - Uruchomił silnik.

- Bądź ostrożny - powiedział Krome.

- To samo radziłbym tobie. - Moffitt mrugnął znacząco.

Kiedy Krome wrócił do restauracji, JoLayne zakomunikowała, że szarlotka była znakomita. Potem zapytała, o czym rozmawiał z Moffitem na parkingu.

- O futbolu.

- Akurat!

- Zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje?

- Doceniam to.

- Okazujesz to w dość specyficzny sposób.

JoLayne poruszyła się niespokojnie na krzeselku.

- Widzisz, muszę bardzo uważać na to, co mówię przy Mofficie. Jestem oschła, bo nie chcę wydać się zbyt serdeczna. Nie chcę... No wiesz. Facet nadal żywi do mnie silne uczucia.

- Ma ciągoty, tak to się chyba nazywa.

JoLayne spuściła powieki.

- Przestań - powiedziała. Miała wyrzuty, że wciągnęła Moffitta w tę sprawę. - Wiem, że powinien mieć nakaz rewizji, wiem, że straci pracę, jeżeli wpadnie...

- Raczej pójdzie do więzienia.

- Tom, on chce mi pomóc.

- W najgorszy możliwy sposób. Zrobi wszystko, by cię uszczęśliwić. Los beznadziejnie zakochanych. Pytanie: chcesz pieniędzy czy zemsty?

- Jednego i drugiego.

- A gdybyś musiała wybierać?

- A więc pieniądze - powiedziała, myśląc o Simmons Wood. - Wybieram pieniądze.

- Dobrze! Trzymajmy się tego. Wyświadczysz agentowi Moffittowi wielką przysługę.

A przy okazji mnie, pomyślał.

Champ Powell był najlepszym pisarzem sądowym, jakiego sędzia Arthur Battenkill junior kiedykolwiek zatrudnił; najbardziej przedsiębiorczym, ambitnym i najciężej

pracującym. Arthur Battenkill darzył go dużą sympatią. Champa Powella nie trzeba było uczyć lojalności; zanim wstąpił na studia prawnicze, przez pięć lat był policjantem - zastępcą szeryfa okręgu Gadsden. Champ znał prawo ulicy. Kumple trzymają się razem, pomagają sobie wzajemnie, kryją jeden drugiego, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Był to sposób na przetrwanie.

Tak więc Champ Powell był mile połączony, kiedy sędzia Battenkill zwrócił się do niego o radę w drażliwej sprawie osobistej. Chodziło o faceta nazwiskiem Tom Krome, który stanął między wybitnym sędzią a jego uroczą małżonką, Katie. Champ Powell pracował do późna w bibliotece prawniczej, kiedy poczuł rękę Battenkilla na ramieniu. Sędzia usiadł i poważnym głosem wyjaśnił sytuację. Zapytał Champa Powella, co by zrobił, gdyby go żona zdradzała. Champ (który znajdował się, bywało, po obu stronach tego paskudnego równania) powiedział, że przede wszystkim porządnie by faceta nastraszył, spróbował przepędzić z miasta. Sędzia Battenkill odparł, że wszystko pięknie, ale jak to zrobić, by przy okazji nie wpakować się w tarapaty? Champ Powell na to, by sędzia się nie martwił, zajmie się tym osobiście. Sędzia był tak wdzięczny, że Champ Powell już widział swoją przyszłość prawniczą usłaną różami. Jednym telefonem Arthur Battenkill mógł załatwić mu robotę w każdej kalifornijskiej firmie.

Podjechał pod dom Toma Krome'a i ze sztucera do polowań na jelenie wystrzelał mu szyby w oknach. Następnego ranka sędzia wynagrodził go porozumiewawczym mrugnięciem. Uniósł również kciuk w geście pochwały. Jednak dwa dni później zirytowany Arthur Battenkill zadzwonił do Champa Powella z wiadomością, że ten sukinkot Krome nadal komunikuje się z Katie za pośrednictwem zdjęć religijnej natury. Champ nie posiadał się z oburzenia. Z błogosławieństwem sędziego wyszedł z pracy wcześniej, żeby zdążyć do sklepu przed zamknięciem. Kupił dwanaście galonów terpentyny oraz mop. Każdy doświadczony podpalacz powiedziałby mu, że dwanaście galonów to o wiele za dużo; same opary zwaliłyby z nóg słonia.

Ale asystent nie miał czasu na konsultacje. Z determinacją w sercu i chustką na twarzy przeszedł przez dom Krome'a, obficie zlewając podłogi i ściany terpentyną. Kiedy stracił przytomność, był w kuchni. Upadł na piecyk, w ostatnim przeblysku świadomości próbując się czegoś przytrzymać. Naturalnie natrafił na pokrętko piecyka gazowego. Eksplozję słychać było w promieniu kilometra. Dom spłonął do fundamentów w półtorej godziny.

Szczałki Champa Powella znaleziono kilkanaście godzin po ugaszeniu pożaru, kiedy strażacy podnieśli na wpół stopioną lodówkę i znaleźli coś, co przypominało ludzką szczękę. Większe kości oraz skrawki zwęglonej skóry zapakowano do czarnego worka i oddano lekarzowi policyjnemu, który stwierdził, że ofiara była trzydziestoparoletnim białym mężczyzną, mającym około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Identyfikacja zwłok była niemożliwa bez kartoteki dentystycznej.

Bazując na kolorze skóry, domniemanym wzroście i wieku ofiary uznano, że zwłoki należą do Toma Krome'a, który został zamordowany lub pozbawiony przytomności, kiedy zaskoczył podpalacza.

Przerażające szczegóły i tajemnicze okoliczności śmierci Krome'a znalazły się w raporcie policyjnym, który następnego ranka trafił na biurko reportera działu stołecznego. Reporter niezwłocznie powiadomił redaktora naczelnego. Naczelnzy zwołał pracowników i ponurym głosem powiadomił ich o odkryciu strażaków. Zapytał, czy ktoś zna nazwisko dentysty Krome'a, ale nikt nie znał (choćby czyniono uwagi o zniewalającym uśmiechu Krome'a, który musiał być dziełem wysokiej klasy specjalisty). Sekretarka otrzymała zadanie obdzwonienia wszystkich klinik dentystycznych w mieście w poszukiwaniu zdjęć rentgenowskich szczęki Krome'a. Naczelnzy oznajmił, że gazeta wstrzyma się z publikacją materiałów, jak długo będzie to możliwe, ale muszą się przygotować na najgorsze. Po zebraniu pośpieszył do swojego gabinetu i spróbował złapać telefonicznie Sinclaira. Kobieta, która przedstawiła się jako jego siostra, powiedziała, że „brat jest w kaplicy żółwi”, ale może mu coś przekazać. „Zadzwoń do redakcji do dwunastej, a jak nie, to może zacząć szukać roboty”, brzmiała wiadomość od naczelnego.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności Champ Powell i Tom Krome, oprócz koloru skóry i wzrostu, mieli jeszcze jedną cechę wspólną - ukruszoną prawą dolną szóstkę. Champ Powell uszkodził sobie ząb żując nakrętkę z butelki buscha podczas studenckiej popijawy, Toma Krome'a trafiła w szczękę cegła podczas pełnienia obowiązków służbowych w Bronksie.

Chcąc się okazać pomocnym, jeden z kuzynów Krome'a wspomniał o złamanym zębie reporterowi „The Register”, który wspomniał o tym lekarzowi policyjnemu, który skrupulatnie zbadał nadpaloną szczękę odzyskaną z domu Krome'a. Prawa dolna szóstka wyglądała jak trafiona łopata. Usatysfakcjonowany patolog podyktował raport identyfikujący resztki jako Toma Krome'a.

„The Register” opublikował artykuł na pierwszej stronie, pod czterokolumnową kolorową fotografią Toma Krome'a. Zdjęcie pochodziło ze służbowej legitymacji i było średnio udane, ale Katie zupełnie wystarczyło. Załamała się i wybiegła z płaczem do sypialni. Sędzia Arthur Battenkill pozostał przy stole i przeczytał artykuł kilka razy. Mimo najszczerzych chęci nie potrafił przypomnieć sobie stanu użębienia Champa Powella.

Po przybyciu do sądu dowie się, że Champ Powell nie stawiał się do pracy drugi dzień z rzędu. Sekretarka zaproponuje, że pojedzie do mieszkania Powella, ale sędzia nie uzna tego za konieczne. Uda, że przypomina sobie, iż Powell miał wyjechać na parę dni do Cedar Key, odwiedzić rodziców. Następnie sędzia Battenkill pójdzie do swojego gabinetu i zamknie za sobą drzwi. Włoży czarną togę, rozsznuruje buty i usiądzie, by zastanowić się, co jest dla niego gorsze - z punktu widzenia karygodności - zwęglone ciało Champa Powella czy Toma Krome'a.

W obu wypadkach oznaczało to kłopoty, rozumował sędzia, ale żywy Krome przysporzy mu chyba większych problemów niż martwy Champ. Arthur Battenkill żywił więc nadzieję, że gazeta ma rację - uwędzone kości Krome'a znaleziono w jego domu, a Champ Powell przyczał się gdzieś - taki sprytny glina - i czeka, aż sprawa przyschnie. Prawdopodobnie skontaktuje się z nim za parę dni i wspólnie spreparują jakieś wiarygodne alibi. A tymczasem musiał się zająć Katie, która oskarżała go między jednym

szlocham a drugim o to, że z zimną krwią zaaranżował zamordowanie jej byłego kochanka. Sędzia patrzył na nią bezradny, zastanawiając się, czy nowy brylantowy wisior nie uśmierzyłby gniewu małżonki.

W przerwie na lunch pójdzie do jubilera.

Po powrocie do motelu JoLayne przebrała się w strój do joggingu i poszła pobiegać. Tom Krome dzwonił: do automatycznej sekretarki w „The Register”, gdzie jego agent ubezpieczeniowy zostawił dziwnie naglące życzenie skontaktowania się z nim w sprawie hipoteki; do automatycznej sekretarki w domu, która najwyraźniej nie działała; do Dicka Turnquista, który doniósł mu o zlokalizowaniu (w Jackson Hole, w stanie Wyoming!) przyszłej byłej żony.

Usnął, oglądając transmisję z europejskich mistrzostw w golfie. Obudził się, kiedy zabrakło mu powietrza. JoLayne Lucks siedziała na nim okrakiem i wbijała mu w boki niebieskie paznokcie.

- Hej! - zawołała. - Hej, ty! - Zejdź...
- Najpierw powiesz mi, co jest grane.
- JoLayne, nie mogę oddychać!
- Cholerne ryzyko, powiedziałaś. I wtedy mnie olśniło: Dlaczego urzędnik federalny, prawnik, powiedział dziennikarzowi, że zamierza się włamać do cudzego domu?

- JoLayne!

Uniosła się tylko na tyle, by Krome mógł oddychać.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma za co.

Pochyliła się, dotykając niemal nosem jego nosa.

- Moffitt jest mądrym facetem. Nie paplałby tak głupio w obecności pismaka, gdyby ten pismak zamierzał coś napisać. Ale ty nie zamierzasz, prawda? Dlatego nie zabrałeś ze sobą notatnika!

Krome próbował osłonić zębra przed następnym atakiem.

- Mówiłem ci, że nie spisuję wszystkiego jak leci.

- Tomie Krome, chrzanisz! - Ścisnęła go kolanami. - Wiesz, co zrobiłam? Zadzwoiłam do Moffitta. Zgadnij, co mi powiedział? Już nie pracujesz dla gazety, jesteś na zwolnieniu lekarskim. Sprawdził cię.

Krome spróbował się podnieść. Zwolnienie lekarskie? Ten idiota Sinclair potrafił zepsuć wszystko, nawet tak piękną rezygnację.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytała JoLayne. - Co się z tobą dzieje?

- No dobra! - Delikatnie zepchnął ją z siebie.

Została na łóżku, wsparta na łokciach.

- Czekam, Tom.

Wbił oczy w sufit.

- Mój szef odrzucił temat, więc złożyłem rezygnację. Zwolnienie lekarskie to dla mnie nowość. Sinclair wymyślił je prawdopodobnie na użytek naczelnego.

JoLayne popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Rzuciłeś robotę przeze mnie?
- Nie przez ciebie. Rzuciłem robotę, bo mój szef jest skończonym durniem.
- I to jedyny powód?
- No i obiecałem ci pomóc.
- Posłuchaj, nie możesz rzucić gazety. Absolutnie nie możesz. Czy to zrozumiałe?
- Wszystko się ułoży, nie martw się
- Cholerni faceci! Nie do wiary! Trafiłam na kolejnego kretyna!
- To takie dziwne, że chcę dotrzymać obietnicy?
- Boże! - jęknęła JoLayne. Ten facet mówi poważnie! Kompletny czubek! - Nie ruszaj się. Zrobię coś nieodpowiedzialnego.

Krome chciał się odwrócić, ale go powstrzymała, lekko nakrywając mu oczy dłonią.

- Jesteś głuchy? Kazałam ci się nie ruszać.
- O co chodzi?
- Jestem ci winna pocałunek - powiedziała. - Z ostatniej nocy. Nie ruszaj się, proszę, albo odgryzę ci wargę.

14.

Był pod wrażeniem.

- No, powiedz coś - zagadnęła.
- O rany!
- Szalenie oryginalne.
- Smakujesz jak certy.

Pocałowała go jeszcze raz.

- Mentolowe. Chyba wpadłam w nałóg.

Krome przekreślił się na bok. Stwierdził, że JoLayne bawi jego zdenerwowanie.

- W pocałunkach jestem kiepski.
- Innymi słowy, wolisz ominąć grę wstępną i przystąpić od razu do pieprzenia.

Krome poczuł, że się czerwieni.

- Nie to miałem na...
- Żartowałam!

Usiadł. Było mu głupio. Zupełnie nie wiedział, co teraz zrobić.

- Tom, jesteś słodki, że rzuciłeś pracę. Niemądry, ale słodki. Pomyślałam, że należy ci się jakaś rekompensata.

- To było... bardzo miłe.

- Spróbuj się opanować - powiedziała JoLayne. - Plan jest taki: wsiadasz do samochodu i wracasz do domu. Do pracy. Do własnego życia. Dla mnie zrobiłeś więcej niż dużo.

- Mowy nie ma.
- Poradzę sobie, naprawdę. Moffitt odbierze mój bilet i znikam stąd.
- Uważaj, bo uwierzę.
- Przysięgam, Tom. Wracam do Grange i zostaję obszarniczką.
- Jeszcze się nie zdarzyło, żebyś nie dokończył tego, co zacząłem.
- Daj mi żyć.

- A jeżeli Moffitt nie znajdzie biletu?
JoLayne wzruszyła ramionami.
- Znaczy się, nie było mi pisane. No, pakuj się.
- Dopiero jak odbierzesz pieniądze. - Opadł z powrotem na poduszkę. - A jeżeli skończysz w mokrym podkoszulku? Nigdy bym sobie nie wybaczył.

Położyła głowę na jego piersi.

- Czego ty chcesz?
- Jeszcze jednego mentolowego certa.
- Mówię ogólnie. Czego się spodziewasz po tym całym szaleństwie?
- W miarę szczęśliwego zakończenia - powiedział Krome.
- To podnosi walory reportażu?
- Nie, pozwala spokojnie spać.

JoLayne jęknęła.

- Nie jesteś prawdziwy. Nie możesz być!

Krome spróbował ocenić motywy swojego postępowania. Nie chciał, żeby Moffitt odzyskał bilet, ponieważ skończyłaby się przygoda i musiałby wrócić do domu? A może chciał sam odzyskać bilet, w jakiś spektakularny sposób, by zrobić wrażenie na JoLayne? Jego pobudki wcale nie były szlachetne; czcza duma i hormony.

- Jeżeli chcesz, żebym wrócił do domu, wrócę.
- Burczy ci w brzuchu. Jesteś głodny?
- JoLayne, nie słuchasz!

Uniosła głowę.

- Poleżmy tak chwilę razem. Zobaczmy, co z tego wyniknie.
- Zobaczmy - powiedział Krome.

Chub analizował sytuację. Nie udałoby się uciec, gdyby samochód Bode'a nie stał na miejscu dla inwalidy, przy samych drzwiach restauracji. Facet przy kontuarze jeszcze nigdy nie widział, żeby niepełnosprawny poruszał się tak szybko.

Shiner oglądał się, żeby sprawdzić, czy są ścigani. Bode Gazer prowadził, w napięciu. Spodziewał się, że Murzynka unieważni kartę, ale fakt, że to zrobiła, głęboko nim wstrząsnęła. Kierownik restauracji zadzwonił na policję, bez dwóch zdań.

- Musimy zwołać naradę - powiedział Bode. - Natychmiast.
- Z kim? - zapytał Shiner.
- Z nami. Białymi Heroldami Aryjskimi. - Najwyższa pora, by zaczęli działać jak sprawna bojówka. - Narada odbędzie się dziś popołudniu.
- Czemu nie teraz? - zapytał Chub.
- Nie w samochodzie. Nie mogę jednocześnie przewodniczyć zebraniu i prowadzić wozu.

- Jednocześnie nie można tylko sikać i gwizdać. - Chub przejechał obłożonym językiem po przednich zębach. - Nie trzeba nam cholernego zebrania. Trzeba nam pieniędzy z Lotto.

- Nie, jeszcze za wcześnie.

Chub wyjął kolta zza pasa i położył na podłodze.

- Na wypadek różnicy zdań - powiedział.

Wcisnięty między kłócących się kryminalistów, Shiner czuł się niewymownie bezpieczny. Chub był twardzielem, nie tylko z uwagi na giwerę. Bode też potrafił być ostry, ale stawiał bardziej na rozum - człowiek idei. Shinerowi podobał się pomysł z naradą bojówkarzy, nacisk kładziony na regulamin i strategię. Ale przed naradą chciał dokonać korekty tatuażu. Litery dadzą się łatwo zmienić, a orzeł mógł pozostać, jaki był.

Kiedy poprosił, by zatrzymali się przy salonie tatuażu, Chub się roześmiał.

- Tylko tego ci potrzeba.

- Mówię poważnie.

Bode zeszytniał za kierownicą.

- Nie zatrzymujemy się dla głupot - powiedział.

- Ale ja muszę!

- Człowieku, spójrz tylko na swoje ramię. Nadal przypomina nadgniętego banana.

- Nie rozumiecie. - Shiner opuścił głowę, nadąsany.

Tylko nie to, pomyślał Chub. Chwycił kolta i wcisnął lufę w pachwinę chłopaka.

- Synu, jesteś największym partaczem, jakiego ziemia nosiła!

Shiner poderwał głowę.

- Prze-przepraszam!

- To mi nie wystarcza.

Bode kazał mu się uspokoić.

- Wszyscy jesteśmy podenerwowani po ostatniej nocy. Wiecie co? Zajedziemy do przyczepy po karabiny i wybierzemy się nad jeziorko postrzelać. To nam dobrze zrobi.

- Czadowo! - powiedział Shiner z nadzieją.

- A potem zwołamy naradę.

- Trele-morele - powiedział Chub. Zatknął pistolet za pas. - Pieprzyć jeziorko. Chcę zastrzelić coś, co się rusza. Coś większego i szybszego niż żółw.

Mianowicie?

- Poczekaj, to zobaczysz

Bode'owi pozostało tylko mieć nadzieję, że nastrój przyjaciela minie, zanim naładują broń.

Moffitt nie miał prawa się wściekać. Był zawodowcem. Miał do czynienia z wszelkim draństwem na co dzień.

Ale myszkując w zagraconym mieszkaniu Bode'a Jamesa Gazzera, agent czuł, jak wzbiera w nim gniew.

Na ścianie plakat z Davidem Koreshem. Moffitt stracił przyjaciela w tej poronionej akcji.

Dziury po kulach w plakacie. Puste łuski. Stosy magazynów militarystycznych, między innymi „Soldier of Fortune”. Młynek do kawy ze swastyką. Broszurka traktująca o tym, jak spreparować bombę domowym sposobem. Humorystyczny komiks o eksterminacji Żydów. Szafa pełna wojskowych ciuchów. Na ścianie za toaletą flaga Konfederacji, a w sypialni portret Davida Duke'a malowany na perkalu.

Faceci musieli mieć używanie z JoLayne, pomyślał Moffitt.

Drzwi wejściowe podparł krzesłem. Otworzył okno na tyłach mieszkania i wyciągnął siatkowy ekran, na wypadek gdyby musiał uciekać. Zresztą mieszkanie aż się prosiło o wietrzenie. Cuchnęło brudną bielizną, dymem papierosowym i stęchłym piwem. Moffitt rozpoczął metodyczną rewizję. Z doświadczenia wiedział, że nawet najbardziej tępy bandzior potrafi wykazać się geniuszem ukrywając kontrabandę - a łatwiej schować bilet Lotto niż AK-47 albo kilo haszu.

Na pierwszy ogień wziął kuchnię. Rzut oka na brudne naczynia wystarczył, by Moffitt pogratulował sobie chirurgicznych rękawiczek. Jednym ruchem wymiół wszystko z szafek, po czym obejrzał każdą puszkę i każdy słoik - cukier, mąkę, kawę rozpuszczalną, czekoladowe płatki kukurydziane wysypał na podłogę.

Biletu Lotto nie było.

Zanim otworzył lodówkę, wziął głęboki oddech, ale nie cuchnęło tak, jak się spodziewał. Była pusta, jeżeli nie liczyć piwa, czekoladowych herbatników, ketchupu i kawałka zapleśniałego sera. Moffitt otworzył zamrażalnik, ulubiony schowek kontrabandyzistów amatorów. Dwulitrowy pojemnik prastarych lodów wylądował w misce do sałaty, a miska zawędrowała do piecyka. Kiedy zawartość stopniała, Moffitt przelał ją przez sito. Potem opróżnił tackę na lód i sprawdził każdą kostkę.

Ani śladu biletu Lotto.

Chwycił nóż do steków i ruszył do sypialni, gdzie wybebeszył poduszki i rozpruł materac, podważył rogi zbutwiałej wykładziny dywanowej natknął się na coś, czego jeszcze nie widział - bieliznę we wzór kamuflażu. Znalazł również bagnet z czasów drugiej wojny światowej, wymięty numer „Penthouse'a” i stos upomnień z Krajowego Związku Strzeleckiego o zaległe składki. Pod brudnymi skarpetami w dolnej szufladzie leżało pięć świeżutkich biletów Lotto.

Liczy się nie zgadzały, a i data była nie ta: drugiego grudnia.

To jutro, pomyślał Moffitt. Nie do wiary - nie zadowolili się czternastoma milionami JoLayne. Mieli apetyt na więcej.

Skonfiskował bilety i z lekkim strachem skierował się do łazienki. Kolonia tłustych mrówek zaanektowała umywalkę, demonstrując wyraźne upodobanie do szczoteczki do zębów Bodeana Jamesa Gazzera. Moffitt otworzył szafkę nad lustrem i opróżnił fiołki z lekami. Następnie spędził sporo czasu z tubką pasty do zębów i maścią przeciwko hemoroidom. Obie wycisnął butem, a potem rozciął nożycami do drutu.

Nic.

Zaintrygowało go puste pudełko po prezerwatywach. W mieszkaniu Bodeana Jamesa Gazzera nie było śladu obecności kobiety - przynajmniej takiej, która lękałaby się

zarażenia. Może Gazer jest homo, pomyślał agent, ale odrzucił możliwość jako mało prawdopodobną. Militaryści są zwykle heteroseksualni. O preferencjach seksualnych lokatora świadczyły zresztą tytuły kaset wideo z filmami porno, walające się wokół telewizora.

Może psychol wyżywał się poza domem. Może chodził do burdelu.

Odpowiedź Moffitt znalazł w plastikowym pojemniku na śmieci; pięć kondomów w opakowaniu i żyletka. Rozłożył znalezisko na pokrywie sedesu i ostrożnie wyjął prezerwatywy. Wszystkie nosiły wyraźne ślady uszkodzeń.

Skoncentrował się na kolorowych opakowaniach. Było jasne, że nie rozerwano ich w pośpiechu, jak to zwykle z kondomami bywa. Zostały rozcięte ostrożnie na brzegach, bez wątpienia żyletką. Bode Gazer zniszczył w ten sposób pięć kondomów.

Z szóstym musiało się udać. Moffitt był niemal pewny, gdzie jest teraz i co znajduje się w środku.

- Skurczybyk - powiedział na głos.

Pan Gazer zwraca uwagę na drobiazgi, pomyślał. Inaczej nie troszczyłby się, czy kondom, w którym ukryje bilet Lotto, jest cały.

W drodze do drzwi natknął się na tłustego szczura raczącego się cukrem i płatkami kukurydzianymi. W pierwszym odruchu chciał go zastrzelić, ale pomyślał: Dlaczego wyświadczać przysługę panu Gazerowi?

Moffitt nie był z natury złośliwy, ale wpadł w grząską zasadzkę nienawiści. Wyobrażał sobie Bodeana Gazera i jego sadystycznego kumpla - jeden rozciągnięty w gaciach na kozetce, drugi na krześle we wnęce jadalnej. Żłopia piwo i śmieją się z tego, co zrobili JoLayne Lucks. Próbuje sobie przypomnieć szczegóły, jak ją bili. Wyraz jej oczu. Jej jęki, może płacz...

Moffitt po prostu nie mógł się wymknąć cichaczem i pozwolić, by wiedli dalej swoje parszywe życie jakby nigdy nic. W końcu jak często ma człowiek okazję wyrzucić wrażeńie na paranoicznym socjopacie?

Zbyt rzadko. Moffitt czuł się zobowiązany wypieprzyć mentalnie Bodeana Jamesa Gazera. Zajęło mu to tylko parę minut, ale kiedy wyszedł, nawet szczur wydawał się ubawiony.

Sinclair przepadł w chwili, gdy dotknął żółwia. Przeszył go dziwny dreszcz, który biegł od wnętrza dłoni w górę obu ramion do kręgosłupa.

Siedział po turecku nad brzegiem fosy, na podwórku Demencia. Odwiedziny się skończyły, pielgrzymi odjechali. Sinclair nigdy przedtem nie trzymał w ręku żółwia.

- Nie krępuj się - powiedział Demencio. - Nie gryzą i w ogóle są niegroźne.

Sinclair wziął malowanego żółwia i delikatnie położył go sobie na kolanie. Brodata twarz zerkająca z chropawego pancerza napelniła go zachwytem, podobnie jak samo stworzonko - połyskliwe oczy, aksamitna szyjka w zielono-żółte paski. Sinclair z fosy wyłowił jeszcze jednego żółwia, a potem jeszcze jednego. Po paru minutach był dosłownie nimi pokryty; gumiaście nóżki laskotały mu skórę, małe szczęki chwytaly

spodnie. Wrażenie było hipnotyzujące, niemal mistyczne. Żółwie wydzielały ciepłe, kojące fluidy.

Demencio, który napełniał fosę świętą wodą, zapytał gościa, czy dobrze się czuje. Sinclair drżał i mruczał. Demencio próbował rozpoznać melodię i stwierdził, że nie chciałby jej usłyszeć w radio. Zwrócił się do Joan i Roddy'ego:

- Wedle mnie, trzeba zabrać go do domu.

Sinclair nie chciał iść. Podniósł wzrok na Roddy'ego.

- Czy to nie zachwycające? - Wyrzucił w górę ręce pełne żółwików. - Popatrz!

- Ostrożnie! - krzyknął Demencio. - Nie są moje.

Tylko tego brakło, żeby jakiś miastowy półgłówek zgniótł ukochane maleństwa Jo-Layne Lucks. *Adiós* tysiąc docłów!

Demencia kusilo, żeby połączyć faceta z wężą ogrodowego - znakomita metoda, którą wypróbował na kocie Trish. Twarz Sinclaira zastygła w maskę koncentracji. Głowa zaczęła mu się kiwać, szyja sflaczała.

- Chagyrdop w kewóchop - powiedział.

Roddy zerknął na żonę.

- Po jakiemu to?

- Nie mam pojęcia.

- Chagyrdop w kewóchop! - krzyknął Sinclair.

Był to tytuł artykułu, który kiedyś wymyślił, czytany od tyłu: „Pochówek w podrygach”. Nawet gdyby Demencio to wiedział, wcale by się nie uspokoił.

- Zamykamy! - powiedział stanowczo.

Pod wpływem perswazji Roddy'ego Sinclair oddał dwanaście malowanych żółwi. Roddy zaprowadził go do samochodu, Joan usiadła za kierownicą. Po przyjeździe do domu Roddy zaczął układać węgiel pod grillem w ogródku, ale Sinclair powiedział, że nie jest głodny. Idzie do łóżka. Kiedy Joan obudziła się rano, już go nie było. Pod cukiernicą leżał jego dziennikarski notatnik, otwarty na czystej stronie.

„Jestem w świątyni” - przeczytali.

Tam go znaleźli, w ekstazie, z zamglonym wzrokiem.

Demencio wziął Joan na bok i szepnął:

- Bez obrazy, ale prowadzę tu interes.

- Rozumiem - powiedziała Joan. Podeszła do fosy i przykucnęła przy bracie. - Co słyhać?

- Widzisz? - Sinclair wskazał Madonnę. - Ona płacze.

Demencio naprawił uszkodzenie i łyzy połyskiwały na policzkach Madonny. Joan czuła się zażenowana stanem brata.

- Dzwonił twój szef- powiedziała.

- To miło.

- Miał chyba jakąś ważną sprawę.

Sinclair westchnął. W skulonych dłoniach trzymał żółwika.

- To jest Bartłomiej. A tamten to chyba Szymon.

- Są milutkie.

- Joan, proszę! Mówisz o apostołach.
- Kochanie, powinieneś zadzwonić do redakcji.

Demencio zaproponował, żeby skorzystał z jego telefonu. Zrobiliby wszystko, by odciągnąć głupka od świątyni, zanim pielgrzymi zaczną napływać.

Sekretarka naczelnego połączyła go natychmiast. Monotonnym tonem Sinclair przeprosił, że nie zadzwonił wcześniej, jak obiecywał.

- Nieważne - powiedział naczelny. - Mam kiepskie wiadomości. Tom Krome nie żyje.

- Nie!
- Na to wygląda. Strażacy znaleźli jego ciało w zgliszczach.
- Nie! - upierał się Sinclair. - To niemożliwe.
- Zwęglone. Nie do rozpoznania.
- Ale Tom pojechał do Miami z tą babką od loterii!
- Kto ci to powiedział?
- Facet od żółwi.

- Rozumiem - powiedział naczelny. - A co na to facet od żyrafy? A brodata baba z pingwinami? Pytałeś ją?

Sinclair zachwiał się i zakręcił w miejscu, wplątując się w przewód telefoniczny. Joan pośpiesznie podsunęła mu krzesło.

- Tom żyje na pewno - powiedział bez tchu.
- Badają DNA, ale to on, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Przygotowujemy materiał na jutro.
- Mój Boże! - jęknął Sinclair. Czy to możliwe, że stracił reportera?
- Nie wracaj do domu.
- Co?!
- Nie wracaj, dopóki nie opracujemy strategii.
- Wobec kogo? - zapytał Sinclair.

- Dziennikarzy. Agencji informacyjnych. Stacji telewizyjnych. Nie co dzień morduje się dziennikarzy - wyjaśnił naczelny. - Będzie o tym głośno.

- Ale...

- Będą zadawać mnóstwo niewygodnych pytań: Dokąd go wysłałeś? Nad czym pracował? Czy to było niebezpieczne? Lepiej ja się tym zajmę. W końcu za to mi płacą, i to nieźle.

Sinclair czuł się coraz bardziej otumaniony.

- Nie mogę uwierzyć!

- Może nie miało to nic wspólnego z gazetą. Może to było włamanie albo zemsta zazdrosnego męża - snuł przypuszczenia redaktor naczelny. - Może wybuchły płatki owsiane, kto wie. W każdym razie Tom zostanie bohaterem. Zawsze się tak dzieje, kiedy ginie dziennikarz. Weź choćby Amelię Lloyd. Nie potrafiłaby sporządzić listy zakupów, a nazwali jej imieniem wielką nagrodę dziennikarską.

- Niedobrze mi - powiedział Sinclair

- Wszystkim nam niedobrze - odparł redaktor naczelny. - Zostań w tym Grange przez parę dni. Mówiłeś, że masz tam siostrę. Baw się dobrze. Będziemy w kontakcie.

Przez jakiś czas Sinclair siedział nieruchomo przy telefonie. Joan wyjęła mu słuchawkę z ręki, delikatnie wyplątała brata z przewodu i otarła mu chusteczką pot z czoła. Potem zmoczyła drugą i starła żółwiową kupkę z jego rękawa.

- Co on powiedział? - zapytała. - Co się stało?
- Tom nie pojechał do Miami. Nie żyje.
- Och, nie! Tak mi przykro.

Sinclair wstał.

- Teraz rozumiem - rzekł.

Siostra popatrzyła na niego z niepokojem.

- W końcu zrozumiałem, dlaczego tu jestem. Co mnie przywiodło do tego miasta - powiedział. - Dotąd nie miałem pewności. Coś mną owładnęło, kiedy dotknąłem żółwi, ale nie wiedziałem co ani dlaczego. Teraz wiem.

- Napijesz się wody mineralnej? Sinclair uderzył się w pierś.
- Zostałem tu przysłany, żeby się reinkarnować.
- Reinkarnować?

- Nie istnieje inne wytłumaczenie - powiedział Sinclair i poszedł do kaplicy.

Tam rozebrał się do naga i położył w błotnistej wodzie między żółwiami.

Chagyrdop w kewóchop!

Trish, która układała T-shirty na wystawie, aż przysiadła.

- On chyba mówi w obcym języku - powiedziała.
- Akurat! - odparł Demencio. I poszedł do garażu po oszczep do połowu tuńczyków.

Krome wygląda na zatroskanego, pomyślała JoLayne. Szczęśliwego, ale zatroskanego.

- Zdałeś - powiedziała.
- Test dla białego?
- Śpiewająco.

Roześmiał się w głos. Był to miły dźwięk. JoLayne chciałaby, żeby śmiał się częściej, nie tylko wtedy, gdy uda się jej powiedzieć coś dowcipnego.

- Kiedy się na to zdecydowałaś? - zapytał.

Leżeli pod kołdrą, obejmując się ciasno. Jakby na dworze był mróz, nie dwadzieścia pięć stopni ciepła.

- Przed czy po pocałunkiem? - zapytał Krome.
- Po.
- Żartujesz!
- Nie. Zrobiłam to pod wpływem chwili.

Nie była to do końca prawda, ale po co mówić mu wszystko? Nie musiał wiedzieć, kiedy się zdecydowała ani dlaczego.

Mężczyźni zawsze próbowali dociec, jak to się stało, że trafili z kobietą do łóżka - jakie słowa wyzwoliły pokłady wrażliwości.

Dla JoLayne to, co się stało, nie kryło żadnej tajemnicy. Krome był porządnym facetem. Troszczył się o nią. Był silny, odpowiedzialny i nie miał napakowane w głowie. To się liczyło. Nie wiedział nawet jak bardzo.

Poza tym bała się. Pogoń za bandytami przez całą Florydę była szaleństwem, nie dziwnego, że mieli z Tomem pietra. Może dlatego lgnęli do siebie jak para nastolatków.

JoLayne podjęła typowo łóżkową pogawędkę.

- O czym myślisz?

- O Moffitcie - powiedział Krome.

- Szalenie jesteś romantyczny.

- Mam nadzieję, że nie będzie się śpieszył z rewizją. Niech poczeka tydzień, dwa. A my tu zostaniemy, tak jak teraz.

- Sympatyczny pomysł - powiedziała i uszczypnęła go w udo. - Myślisz, że znajdzie bilet?

- Tak, jeżeli tam jest. Wygląda na superkompetentnego gościa.

- A jeżeli biletu tam nie ma?

- Wtedy będzie nam potrzebny dobry plan i kupa szczęścia.

- Moffitt obawia się, że zrobię coś szalonego.

- Nie mów!

- Poważnie, Tom. Nie chciał mi zdradzić nawet nazwiska faceta.

- Znam jego nazwisko - powiedział Krome. - Adres też.

JoLayne usiadła gwałtownie, odrzucając koldrę.

- Co powiedziałaś?

- Z całym szacunkiem dla twojego przyjaciela, nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby odnaleźć właściciela samochodu. Wystarczy kumpel w drogówce. - Krome wzruszył ramionami z niewinną miną. - Oszołom z furgonetką nazywa się Bodean James Gazer. I możemy go znaleźć bez nieustraszonego agenta Moffitta.

- Cholera! - powiedziała JoLayne.

Facet jest sprytniejszy, niż myślała.

- Powiedziałbym ci wcześniej, ale byliśmy zajęci.

Drgnęli na dźwięk telefonu. Krome podniósł słuchawkę, a JoLayne przysunęła się bliżej i zapytała szeptem, czy to Moffitt.

Krome potrząsnął głową. JoLayne wyskoczyła z łóżka i poszła pod prysznic. Kiedy wróciła, Tom stał przy oknie, skąd rozciągał się widok na tory kolejowe. Zdawał się nie widzieć, że przemalowała paznokcie na zielono i ma na sobie jedynie turban z ręcznika.

- Kto dzwonił? - zapytała.

- Mój adwokat.

A to pech, pomyślała sięgając po szlafrok.

- Złe wiadomości?

- Coś w tym rodzaju. Wygląda na to, że umarłem. - Był bardziej zdumiony niż zły. -

Napiszą o tym jutro na pierwszej stronie w „The Register”.

- Mówisz, że umarłeś? - JoLayne wydeła usta. - Prawie dałam się nabrać.

- Upiekłem się na skwarki we własnym domu. Musi to być prawda, skoro piszą o tym w gazecie.

JoLayne uznała, że ma podstawy wątpić, czy naprawdę zna tego faceta, z pozoru spokojnego i sympatycznego. Spalony dom to było coś, nad czym należało się zastanowić.

- Chryste, co teraz zrobisz?! - zapytała.

- Pozostanę martwy przez jakiś czas - odparł Krome. - Tak radzi adwokat.

15.

Bodean Gazer zakazał Chubowi strzelać z samochodu.

- Ale to on!
- Wcale nie - powiedział Bode. - Przestań strzelać.
- Jeszcze tylko chwilę.
- Moje bębenki! - krzyknął Shiner.
- Mięczak! - Chub strzelał do chwili, gdy czarny mustang wypadł z szosy na nagich obręczach. Miotając przekleństwa, Bode przyhamował i zjechał na pobocze. Chub i Shiner nie zamierzali go słuchać, karabiny maszynowe wydobywały najgorszą stronę ich natury.

Chub wyskoczył z furgonetki i z morderczymi zamiarami pognął w stronę uszkodzonego wozu. Bode śledził wzrokiem pomarańczowy żar z jego papierosa. Facet dawał zły przykład Shinerowi. Regulamin bojówki nie przewidywał strzelania do kierowców na publicznej autostradzie. To zwykła samowola.

- Co robimy? - zapytał Shiner.
- Wsiadamy, synu. - Bode Gazer wyszarpnął latarkę ze schowka i pobiegł za współnikiem. Chub mierzył z karabinu do młodego Latynosa, który, na swoje nieszczęście, trochę przypominał Tony'ego znienawidzonego narzeczonego kelnerki z Hootersa, która trochę przypominała Kim Bassinger.

- Dobra robota, kretynie - powiedział Bode.

Chub wypluł niedopałek.

- To ten facet czy nie? - zapytał Shiner.
- Nie, cholera, nie on. Jak masz na imię? - zapytał Bode.
- Bob. - Młody człowiek trzymał się za prawe ramię, obolałe po uderzeniu.

Chub trącił go lufą.

- Bob, he? Nie wyglądasz mi ty na Boba.

Kierowca skwapliwie podsunął mu swoje prawo jazdy. Chub uśmiechnął się zwycięsko, przeczytawszy nazwisko: Roberto Lopez.

- Tak jak myślałem. Łgał. Cholerny Kubaniec!

Kierowca mustanga był przerażony.

- Pochodzę z Kolumbii.
- A ja z Timbaktu!
- Bob i Roberto to jest to samo!
- Na jakim świecie? - zakpił Chub.

Bode Gazzer zgasił latarkę. Niepokoił go ruch na autostradzie. Nawet w okręgu Dade podziurawiony kulami pojazd mógł przyciągnąć uwagę.

- Daj no tu trochę światła. - Chub gmerał w portfelu młodego człowieka. - Skoro już straciliśmy tyle czasu i nabojów.

Radośnie pomachał Bode'owi czterema banknotami studolarowymi. Shiner wydał okrzyk bojowy.

- Co my tu mamy! American Express - powiedział Chub, wyjmując złotą kartę kredytową.

- Weźcie, co chcecie - odezwał się Roberto Lopez. - Tylko mnie nie zabijajcie.

Chub kazał Shinerowi przeszukać bagażnik. Bode był kłębkiem nerwów. Lada moment spodziewał się ujrzeć migającego koguta. Wiedział, jak trudno będzie wytłumaczyć policjantom z patrolu, dlaczego strzelali do Kolumbijczyka.

- Pośpieszcie się, chłopaki, do ciężkiej cholery! - ryknął.

Znaleźli aktówkę, berettę model 84 i nową parę butów do gry w golfa.

- Rozmiar dziesiąty. Mój - powiedział Shiner.

- Weź je sobie - odezwał się Roberto Lopez z przedniego siedzenia.

Bode oświetlił wnętrze aktówki; wydruki komputerowe, raporty finansowe. Wizytówka informowała, że pan Roberto Lopez jest maklerem giełdowym.

Chubowi błysnęła nadzieja, że jednak uda mu się wyciągnąć korzyść z przestępstwa. Facet nie był wprawdzie dupkowanym narzeczonym Amber, ale był cholernym cudzoziemcem w fikuśnych ciuchach i kupą szmalu. Bode musi przyznać, że atak nie był zupełną stratą czasu.

- Przyjeżdżacie, skurwiele, do tego kraju - spokojnym tonem Chub zwrócił się do Kolumbijczyka - zabieracie nam pracę, a potem zabieracie nam pola golfowe. Co dalej, jeżeli wolno spytać, panie Roberto Makler? Będziecie kandydować na prezydenta?

Shiner był tak poruszony, że w uniesieniu patriotycznym kopnął samochód, pozostawiając gumowe ślady na karoserii. Jednak Bode Gazzer pozostał obojętny.

Chub odłożył karabin i chwycił Roberta Lopeza za koszulę na piersiach.

- No, spryciarzu! - powiedział, przypomniawszy sobie przesłuchanie robotników-immigrantów przy drodze. - Nazwisko czternastego prezydenta USA!

- Franklin Pierce - odparł młody Kolumbijczyk drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Ha! Frankie kto?

- Pierce - rzekł Bode z goryczą. - Prezydent Franklin Pierce. Facet dobrze mówi.

Chub odsunął się. Jakby uszło z niego powietrze.

- Słodki Jezu!
- Ja się zmywam - powiedział Bodean Gazzer i ruszył w stronę dodge'a. Chub wyładował złość waląc nieszczęsnego maklera z nos, podczas gdy Shiner skoncentrował się na karoserii mustanga.

Żeby zmylić urzędników sądowych nasyłanych na nią przez męża, Mary Andrea Finley Krome przybrała nazwisko Julie Channing, w hołdzie dwóm ulubionym aktorom broadwayowskim. Tak bardzo pragnęła uniknąć stawienia się w sądzie rozwodowym, że posunęła się o krok dalej. W toalecie zajazdu pod Jackson Hole obcięła gęste rude włosy i domalowała sobie grube brwi. Tego popołudnia pojechała do miasta i zgłosiła się na przesłuchanie do roli w nieco chropawej, lecz natchnionej wersji „Oliwera Twista”.

A w Brooklinie przedsiębiorczy Dick Turnquist uzyskał z World Wide Web listę agentów teatralnych w zachodnich stanach. Rozesłał najświeższe zdjęcie Mary Andrei Finley Krome wraz z krótką informacją o zaistniałym kryzysie rodzinnym. Czy ktoś wie, gdzie ona przebywa? Dyrektor w Jackson Hole odpowiedział telefonicznie. Kobieta na fotografii bardzo przypomina aktorkę, która wczoraj czytała do roli Fagin. I choć melodyjny głos panny Julii Channing nadawał się znakomicie, jej wyszukany akcent wymagał korekty.

- Byłaby niezła jako Ryszard Drugi - powiedział. - A mnie trzeba złodzieja, kieszonkowca.

Zanim Dick Turnquist znalazł i zatrudnił miejscowego detektywa, Mary Andrea Finley Krome zdążyła wyjechać z miasta.

Turnquist był pod wrażeniem jej determinacji zawodowej. Wiedząc, że jest ścigana, Mary Andrea nie rezygnowała z życia na scenie, które siłą rzeczy wystawiało ją na widok publiczny. Mogła wtopić się w tłum w każdym większym mieście i podjąć anonimową pracę - kelnerki, recepcjonistki, barmanki - z niewielkim tylko uszczerbkiem w budżecie. A jednak wybrała aktorstwo mimo ryzyka, że zostanie zdemaskowana i sprowadzona do sądu. Może była przywiązana do wykonywanego zawodu, ale Turnquist podejrzewał, że istnieje inne wytłumaczenie: światła reflektorów, choćby najbardziej przydymione i słabe, były niezbędne Mary Andrei do życia.

Mogła przybrać dowolne nazwisko - Julie Channing, Liza Bacali, nie miało to znaczenia. Turnquist wiedział, że w końcu dopadnie przyszłą byłą panią Krome i dostarczy ją przed oblicze sprawiedliwości.

Toteż wcale się nie zmartwił, kiedy zadzwonił do niego „The Register” z informacją, że Tom Krome zginął w podejrzanym pożarze swojego domu. Odbyszwy przed półgodziną pogawędkę ze swoim klientem, żywym i niezwęglonym w motelu Coral Gables, Turnquist uświadomił sobie, że gazeta zamierza popełnić komiczny błąd - poświęcić całą pierwszą stronę nieboszczykowi cieszącemu się dobrym zdrowiem.

Jednak adwokat nie ujawnił prawdy młodemu dziennikarzowi. Pilnował się, żeby nie skłamać - nie byłoby to pożądane. Szczęśliwie młody człowiek nie zapytał, czy

Turnquist rozmawiał z Tomem tego dnia ani czy ma podstawy sądzić, że Tom Krome się nie upiekl.

Zapytał natomiast, jak długo znał swojego klienta, jak go wspomina i jak, jego - Turnquista - zdaniem, Krome chciałby, żeby go pamiętać.

Dick Turnquist odpowiedział z łatwością na wszystkie pytania. Nie wyraził tego głośno, ale był wdzięczny „The Register” za to, że oszczędził mu dalszych irytacji związanych z poszukiwaniem żony Krome'a. Mary Andrea przestała uciekać z chwilą, gdy dowie się o śmierci męża. Nie chodziło jej przecież o ratowanie małżeństwa, lecz o uniknięcie piętna rozwodu. Ostatnia prawdziwa katoliczka, jak mawiał Krome.

Nie należało zapominać, że jest aktorką. Dick Turnquist spodziewał się, że przyleci na Florydę pierwszym samolotem, żeby zagrać rolę zrozpaczonej wdowy - udzielając wzruszających wywiadów telewizyjnych, uczestniczyć w smętnych nabożeństwach przy świecach, ogłaszać utworzenie stypendiów dziennikarskich imienia męża-męczennika.

Będziemy tu na nią czekali, pomyślał Dick Turnquist.

Na zakończenie rozmowy młody dziennikarz „The Register” powiedział:

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas w tak trudnych chwilach. Ostatnie pytanie: Jako bliski przyjaciel Toma, co pan teraz czuje?
- To mi się wydaje nierzeczywiste - oparł adwokat zgodnie z prawdą.

Drugiego grudnia rano Bernard Squires zadzwonił do Clary Markham w Grange, by się dowiedzieć, czy jego hojna oferta została przedstawiona właścicielom Simmons Wood.

- Minęły dopiero trzy dni - powiedziała agentka.
- Nawet pani z nimi nie rozmawiała?
- Dzwoniłam. Powiedziano mi, że pan Simmons jest w Las Vegas. A jego siostra na wakacjach na wyspach.
- Skądinąd wiem, że istnieje telefoniczne połączenie z Las Vegas - powiedział zgryźliwie Bernard Squires.

Zazwyczaj Bernard nie był tak niecierpliwy, ale Richard „The Icepick” Tarbone gwałtownie zapragnął wycofać pieniądze z funduszu emerytalnego związku. Natura rodzinnego kryzysu była Bernardowi nieznana i wykazał w tej kwestii demonstracyjny brak ciekawości. Ale ponieważ nabycie ziemi na Florydzie było zasadniczym elementem prania pieniędzy, Icepick interesował się osobiście przebiegiem transakcji. Bernard nie mógł zwierzyć się ze swych trudności Clarze Markham.

- Skontaktuję się z nimi dzisiaj rano, obiecuję - powiedziała Clara.
- Nie ma innych ofert?
- Nic nie wpłynęło - powiedziała Clara, ani na jotę nie rozmiijając się z prawdą. Jak tylko człowiek z Chicago odłożył słuchawkę, wykręciła numer w Coral Gables. Recepcjonistka w motelu poinformowała ją, że panna Lucks i jej znajomy już się wymeldowali.

Bardzo niechętnie Clara Markham zadzwoniła do adwokata prowadzącego sprawę Lighthorse'a Simmons'a. Przedstawiła mu ofertę związku emerytalnego na dwadzieścia hektarów pod Grange. Adwokat powiedział, że trzy miliony to godziwa cena. Był przekonany, że spadkobiercy zaakceptują ją ze śpiewem na ustach.

Clara też była tego pewna. Żałowała przyjaciółki, ale interes był interesem. Tylko cud mógł uratować Simmons Wood.

Kiedy godzinę później zadzwonił telefon, Bernard Squires był przekonany, że dzwoni Clara Markham z dobrą wiadomością. Dzwonił Richard Tarbone.

- No, dosyć tego, koleś - powiedział. - Zbieraj tyłek w troki i jazda na Florydę. Squires wykonał polecenie.

Wymeldowali się z Comfort Inn wkrótce po spotkaniu z Moffittem. Agent przyszedł wprost z mieszkania oszołomów, a jego zacięta twarz mówiła wszystko - nie ma biletu Lotto.

- Cholera! - powiedziała JoLayne.

- Chyba wiem, gdzie go trzyma.

- Gdzie?

- W gumie. Ten w kamuflażu.

- W gumie. - JoLayne przycisnęła kłykcie do czoła, walcząc o spokój.

- Założę się, że ma to przy sobie.

- W portfelu - zasugerował Tom Krome.

- Prawdopodobnie. - Moffitt opowiedział im pokrótce o rewizji mieszkania Gazzera, o antyrządowych plakatach, swastyce, czasopismach militarystycznych, robactwie i prezerwatywach w koszu na śmieci.

- Co teraz? - zapytał Krome. - Jak odzyskamy bilet?

- Dajcie mi tydzień.

- Nie. - JoLayne potrząsnęła głową. - Nie mogę. Czas nagli.

Moffitt obiecał, że zajmie się sprawą natychmiast po powrocie z San Juan. Musiał zbadać sprawę chińskich karabinów maszynowych przemycających z Haiti.

- Zajmę się tymi facetami po powrocie. Zorganizuje się kontrolę dokumentów na drodze, przeszuka furgonetkę.

- A jeżeli...

- Jeżeli tam nie będzie biletu to... cholera, nie wiem! - Moffitt spoglądał ponuro w okno.

- Na jak długo wyjeżdżasz?

- Trzy dni. Może cztery.

Wręczył JoLayne bilety loteryjne z komody Bodeana Gazzera.

- Sobotnie - powiedział. - Na wszelki wypadek.

- Bardzo śmieszne.

- Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. JoLayne wrzuciła bilety do torebki.

- Á propos, Tom nie żyje. Będzie o tym w jutrzejszych gazetach.

Moffitt spojrzał pytająco na Krome'a, który wzruszył ramionami.

- To długa historia.
- Zamordowany?
- Najprawdopodobniej. Chwilowo mi to odpowiada. Nie masz nic przeciwko?
- Nigdy cię nie widziałem - odparł Moffitt. - Ty mnie zresztą też nie.

JoLayne uściśliła go serdecznie w drzwiach.

- Dzięki za wszystko. Wiem, że nadstawiłeś karku.
- Nie ma sprawy.
- Nic się nie stało? Jesteś pewny?

- Kaszka z mleczkiem. Ale mieszkanie jest przewrócone do góry nogami. Gazer pomyśli, że grasował w nim szaleniec.

Zaczęli się pakować w chwili, gdy za Moffitem zamknęły się drzwi. Adres bandyty znajdował się w notatniku Krome'a, tym, którego - zdaniem JoLayne - już nie używał.

Oficjalna narada Białych Heroldów Aryjskich odbyła się przy świetle latarni na pustej arenie do walki kogutów. Pierwszy punkt obrad dotyczył nazewnictwa; Bode Gazer twierdził, że dyscyplina wojskowa wymaga ścisłego określenia rang. Oznajmił, że zgodnie z powyższym, powinni zwracać się do niego per „pułkowniku”.

Chub zaprotestował.

- Jesteśmy partnerami - powiedział. - Z wyjątkiem jego. - Miał na myśli Shinera.

Bode zaproponował mu rangę majora, zapewniając, że pod względem ważności major jest równorzędny z pułkownikiem. Chub rozważał to między łykami Jacka Daniela, zakupionego (wraz z piwem, benzyną, papierosami, stekami i mrożonym sernikiem) za pieniądze kolumbijskiego maklera.

Major Chub. Nie brzmiało to szczególnie dystyngowanie. Major Gillespie. Tak było o niebo lepiej, ale Chub nie czuł się psychicznie gotów do powrotu do rodzowego nazwiska.

- Głupi pomysł - mruknął.

Shiner podniósł rękę.

- Czy mogę być sierżantem?

Bode skinął głową.

- Synu, czytasz w moich myślach.

Rozdał uczestnikom broszurę wydaną przez Pierwsze Przymierze Patriotyczne, osławioną komórkę supremasistów z kwaterą główną w zachodniej Montanie. Pierwsze Przymierze Patriotyczne rezydowało w bunkrze i głosiło, że Żydzi i Murzyni są dziećmi szatana, a papież jego kuzynem w pierwszej lub drugiej linii. Broszura zatytułowana „Początki” zawierała praktyczne rady, jak zorganizować bojówkę: zbieranie funduszy, unikanie podatków, regulamin, zasady naboru, ubioru, relacje z prasą i arsenał. Shiner nie mógł się doczekać, kiedy rozpocznie lekturę.

- Strona ósma - powiedział Bode. - „Zachowaj dyskrecję”. Wszyscy wiedzą, co to znaczy? To znaczy, że nie strzelamy z karabinów maszynowych na autostradzie.

- Wypchaj się! - mruknął Chub.

Shiner był zdziwiony. Milicja Bodeana Gazzera w niczym nie przypominała armii. Nagle poczuł, jak obejmuje go lepkie ramię. Odwrócił głowę i owionął go oddech przeżycyony whisky.

- Zabawne - powiedział Chub, bawiąc się kucykiem. - Wszystko jest superosko, kiedy on natnie roboli na osiem marnych dolców, ale kiedy ja zdobędę cztery stówy na biednym Bobie Lopezie, jestem gównianym żołnierzem. Powiedz pułkownikowi, żeby się wypchał!

Rozległ się wściekły ryk i zanim się Shiner rozeznał w sytuacji, Bodean Gazer i Chub tarzali się w piachu i kogucich odchodach. Shiner miał wątpliwości, czy jest to prawdziwa walka, skoro nie padają ciosy, ale niepokoiło go nieprzystojne gryzienie i wrywanie włosów. Mężczyźni na ziemi nie wyglądali jak oficerowie przed bitwą. Wyglądali jak barowe ochlapusy i w duszę Shinera wkradła się wątpliwość, czy Biali Heroldowie Aryjscy mają szansę w starciu z wojskami NATO.

Walka trwała, dopóki strony nie opadły z sił. Bode miał podartą koszulę i rozkrwawiony nos, Chub stracił przepaskę na oko. Pułkownik oznajmił, że pojedą usmażyć stecki. Shiner był zdumiony, że jazda do mieszkania Bode'a przebiega tak spokojnie. Nikt nie wspomniał o bójce. Bode rozprawiał o rozmaitych milicjach działających w Montanie i Idaho. Gdyby nie ostre zimy, chętnie by się tam przeniósł. Tymczasem Chub ustawił wsteczne lusterko tak, by obejrzeć swoją powiekę. Stwierdził, że pod gumową przepaską napuchła i poczerwieniała. Shiner zalecił antybiotyki, a Bode powiedział, że ma coś pomarańczowego i bardzo skutecznego w apteczce w łazience.

Bode Gazer zaparkował starannie na miejscu dla inwalidy. Karcące spojrzenie sąsiada nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Bode kazał białym braciom zebrać broń, podczas gdy on zajmie się zakupami.

Chub i Shiner marudzili na klatce schodowej, dopijając piwa, kiedy usłyszeli straszny dźwięk - ni to jęk, ni krzyk. Brzmiała w nim taka groza, że włosy zjeżyły się im na karku. Rzucili się w stronę mieszkania Bode'a, Chub z pistoletem w ręku.

W korytarzu, nieświadomy tego, że pułkownik upuścił torbę z zakupami, Shiner poślizgnął się na cebulowej bułce i poleciał przed siebie głową naprzód. Chub, wdepnąwszy w sernik, zwałił się na telewizor, który zleciał z hukiem.

Bodean Gazer nawet nie odwrócił głowy. Stał w salonie jak wrośnięty w podłogę. Jego błada twarz połyskiwała od potu. Obiema rękami przyciskał kamuflujący kapelusz do brzucha.

Mieszkanie było rozbebeszone od kuchni po kibel. I była to robota złośliwego szaleńca.

Ogłupiony Chub zatknął kolta za pas.

- Na rany słodkiego Jezusa! - wyszeptał zdławionym głosem.

Dopiero teraz zobaczył to, na co Bode patrzył od dłuższej chwili. Zobaczył to również Shiner znad kafelkowej podłogi kuchni.

Najeżdźca zerwał ze ściany plakat Davida Koresha i innych patriotów, a na nagiej ścianie wypisał półmetrowymi wołami krwistoczerwoną wiadomość. Pierwsza linijka brzmiała:

WIEMY WSZYSTKO

Druga:

STRZEŻ SIĘ CZARNEJ FALI

Zapakowanie furgonetki zajęło Białym Heroldom Aryjskim niecałe piętnaście minut. Brali tylko to, co najpotrzebniejsze: broń, sprzęt biwakowy, pościel, wodę i naręcza odzieży maskującej. Bez słowa upchnęli się w szoferce, Shiner jak zwykle pośrodku. Chub wsparł głowę o boczną szybę; był zbyt wstrząśnięty, by spytać Bode'a Gazzera o teorię.

Shiner natomiast odniósł wrażenie, że pułkownik doskonale wie, dokąd zmierza. Kierując furgonetkę na drogę ku autostradzie numer jeden, wyglądał na osobę zdeterminowaną.

Na południe, stwierdził Shiner. Może do Everglades. Albo Key Largo.

Bode zapalił wewnętrzną lampkę i powiedział:

- Pod siedzeniem jest mapa.

Shiner rozłożył ją sobie na kolanach.

- Przewróć na drugą stronę - polecił Bode.

Zamiast na mapę, powinien spojrzeć w lusterko. Może zauważyłby światła wozu, który jechał za nimi od domu. JoLayne ściszyła radio i zapytała:

- Skąd wiedziałeś, że uciekną?

- Ponieważ nie grzeszą odwagą. Potrafią tylko bić kobiety. Ucieczka jest ich drugą naturą.

- Zwłaszcza że goni ich Czarna Fala. - JoLayne zachichotała z cicha.

Przyjechali na miejsce godzinę przed Bode'em i zerknęli w okno mieszkania, żeby sprawdzić, czy trafili pod właściwy adres. Wtedy właśnie zobaczyli groźne przesłanie Moffitta.

- Myślisz, że trzymają bilet przy sobie? - zapytała JoLayne.

- Aha.

- Nadal nie mamy planu?

- Nie.

- Lubię szczerość.

- To dobrze. Bo powiem ci jeszcze coś: ja też nie grzeszę nadmiarem odwagi.

- W porządku. Kiedy dostaniemy się do Oz, poprosimy Czarownika o sporą dawkę.

JoLayne przechyliła się i włożyła mu w usta cytrynowego dropsa, Kiedy chciał coś powiedzieć, zręcznie wsunęła następnego. Krome czuł się obezwładniony. Nie wiedział, dokąd prowadzi ich czerwona furgonetka, ale wiedział, że odwrotu nie ma. Jaki wspomniały tytuł wymyśliłby Sinclair: „Zmarły dziennikarz na tropie niebezpiecznych desperados”.

16.

Im dalej odjeżdżali od Coconut Grove, tym mocniej Chub utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy więcej nie zobaczy ukochanej Amber. Owładnęła nim panika, ból ścisnął serce.

Jego towarzysze nic nie zauważyli. Shiner snuł rozważania o tajemniczej Czarnej Fa-li, a Bodean Gazer wypluwał z siebie jedną teorię za drugą. Obaj byli wstrząśnięci sceną w mieszkaniu, a pogawędka o czarnuchach i komunistach działała na nich uspokajająco. Ponadto płynny bieg rozmowy dawał złudzenie zorganizowanego, planowego odwrotu. W rzeczywistości plan Bode'a sprowadzał się do tego, by zmykać gdzie pieprz rośnie. Ścigano ich. Deptała im po piętach nieznana siła zła. Pragnieniem Bode'a było schować się w jakimś odległym, niedostępnym miejscu, możliwie prędko. Naiwne pytania Shinera, które w normalnym warunkach wywołałyby jedynie sarkastyczne uwagi, teraz dawały mu poczucie, że nadal jest niekwestionowanym przywódcą milicji. Chociaż nie miał zielonego pojęcia, kto stoi za Czarną Fałą, snuł najdziwsze spekulacje z przekonaniem znawcy przedmiotu. W ten sposób zajmował czymś umysł i podnosił morale, a Shiner spijał każde słowo z jego ust. Brak zainteresowania ze strony Chuba nie martwił go w najmniejszym stopniu; był przyzwyczajony do tego, że współnik zasypia w środku dyskusji.

Toteż zdziwił się niepomierne, czując na karku zimny dotyk lufy. Shiner (który zauważył ruch Chuba, sięgającego na tylne siedzenie, ale myślał, że major się przeciąga) drgnął na ostry trzask zwalnianej iglicy. Odwrócił się na tyle, by zobaczyć kolta pythona wymierzonego w pułkownika.

- Zjedź na pobocze - rozkazał Chub.
- Dlaczego?
- Dla własnego dobra.

Zabezpieczył broń w chwili, gdy współnik zatrzymał wóz.

- Synu - powiedział do Shinera. - Mam dla ciebie kolejną misję. Zakładam, że chcesz pozostać w bractwie?

Shiner skulił się jak skarcony psiak. Myślał, że miejsce w bractwie ma już zapewnione.

- To nic trudnego. Dasz sobie radę. - Wsiadł i gestem kazał Shinerowi zrobić to samo.

Fakt, że był na wpół pijany, nie złagodził irytacji Bodeana Gazzera. Hierarchia wojskowa najwyraźniej niewiele znaczyła dla Chuba, ówkok działał pod wpływem impulsu i emocji. Jeżeli tak dalej pójdzie, wyładują wszyscy w pierdlu o zaostrzonym reżimie. Nie był to wymarzony koniec krucjaty supremacji białych.

- To się musi skończyć - powiedział, kiedy Chub wrócił do samochodu. - Gdzie chłopak?

- Odesłałem go z powrotem.

- Po co?

- Musi coś załatwić. Jedziemy. - Chub położył rewolwer na siedzeniu między nimi; na miejscu Shinera.

- Do jasnej cholery! - Bode słyszał jeszcze kroki chłopca na żwirowym poboczu.

- Jedziemy! - powiedział Chub.

- W jakieś konkretne miejsce?

- Jedź, gdzie ci się żywnie podoba, byle nie za daleko od Jewfish Creek. - Chub splunął za okno.

- W porządku, ale dlaczego akurat Jewfish Creek?

- Bo nazwa mi się podoba.

- Aha.

Bo jesteś dyplomowanym kretynem, pomyślał Bode, O świcie ukradli łódź w porcie w Key Largo.

Mimo że o śmierci Krome'a doniósł dramatyczny nagłówek na pierwszej stronie „The Report”, wiadomość nie wstrząsnęła światem dziennikarskim. „The New York Times” w ogóle ją zignorował, Associated Press przerobił melodramatyczną czołówkę „The Report” na zwięzłą notatkę. W wewnętrznym biuletynie AP napisano, że choć lekarz policyjny jest pewny wstępnych ustaleń, ciało znalezione w domu Toma Krome'a nie zostało zidentyfikowane. Redaktor naczelny „The Report” był pewny najgorszego - zamach na Toma Krome'a pozostawał w ścisłym związku z jego zawodową działalnością. Naciskany o szczegóły, redaktor naczelny odparł, że nie może ich podać z uwagi na dobro śledztwa.

Wiele gazet w całym kraju wykorzystało informację AP i zredukowało ją do czterech, pięciu akapitów. Odrobinę dłuższy materiał ukazał się w „The Missoulian”, dzienniku wychodzącym w dolinie Bitterroot w Montanie. Właśnie tutaj Mary Andrea Finley Krome zahaczyła się w małym teatrze wystawiającym „Szklaną menażerię”. Nie przepadała za Tennessee Williamsem (przedkładała musicale nad dramaty), ale potrzebowała pracy. Perspektywa grania w małomiasteczkowym teatrze ją przygnębiła, ale na szczęście zaprzyjaźniła się z inną aktorką, studiującą taniec na uniwersytecie stanowym. Miała na imię Lorie, a może Loretta - Mary Andrea zanotowała w pamięci, żeby to

sprawdzić na plakacie z obsadą. Drugiego dnia pobytu Mary Andrei w mieście Lorie, czy też Loretta, zaprowadziła ją do przytulnej kafejki, gdzie spotykali się studenci i miejscowi artyści. Mary Andrea i jej nowa znajoma usadowiły się na miękkich sofach z kawą i croissantami, po czym rozłożyły gazetę.

Mary Andrea zwykła rozpoczynać dzień lekturą relacji ze świata kultury i sztuki; temat ten „The Missoulian” traktował obszernie. Tom Cruise otrzymał honorarium wysokości dwudziestu dwóch milionów dolarów za rolę w filmie o narkoleptycznym chirurgu kardiologu, który musi przeprowadzić sześciogodzinną operację na swojej dziewczynie (Mary Andrea była ciekawa, która z hollywoodzkich specjalistek od obciążania druta dostała rolę). Dziennik donosił również, że zniechęcony przez nią serial „Sag Harbor Saga” został po trzech latach zdjęty z wizji. (Mary Andrea obawiała się, że Ameryka jeszcze nieraz ujrzy Siobhan Davies, nieznośną irlandzką wiedźmę, która pobiła ją w wyścigu do roli Darien, drapieżnej heroiny). Przeczytała również o ostatnim wybruku aktora narkomana, z którym grała kiedyś Szekspira w „Park”. Został aresztowany w Nowym Jorku za zakłócanie porządku publicznego, gdyż rozebrał się do naga w westybulu „Trump Tower”. (Mary Andrei nie ucieszyło nieszczęście aktora, ponieważ okazał jej życzliwość w „Kupcu weneckim”, kiedy to zdezorientowany owad wpadł Mary Andrei do prawego oka i przerwał na kilka ciężkich chwil słynną tyradę Portii o cnocie liłości.)

Kiedy już przeczytały i dokładnie omówiły kolumnę pod tytułem „Ludzie”, Mary Andrea Finley Krome wróciła na początek gazety. Nagłówek, który przyciągnął jej uwagę, znajdował się na trzeciej stronie: „Dziennikarz zginął w tajemniczym pożarze”. Zaczęła czytać z uwagi na słowo „tajemniczy”. Uwielbiała tajemnice. Natknąwszy się na nazwisko męża w drugim akapicie, doznała szoku. Gazeta wypadła jej z rąk. Mary Andrea wydała przesywający jęk, który klienci kafejki wzięli za technikę medytacyjną nowej generacji.

- Julie, dobrze się czujesz? - zapytała Lorie, a może Loretta.
- Nie bardzo - wyjąkała Mary Andrea.
- Co się stało?

Mary Andrea przycisnęła kłykcie do powiek i poczuła prawdziwe łzy.

- Chcesz iść do lekarza? - zapytała nowa przyjaciółka.
- Nie - odparła Mary Andrea. - Do biura podróży.

Joan i Roddy kupili „The Register” w Grab N'Go i zanieśli Sinclairowi do kaplicy. Odmówił czytania.

- Jest tu twoje nazwisko - kusiła Joan, podsuwając mu pierwszą stronę. - Piszą, że byłeś szefem Toma Krome'a.
- I że jesteś poza miastem i nie możesz udzielić wyjaśnień - dodał Roddy.
- Chagyrdop w kewóchop - brzmiała odpowiedź Sinclaira.

Przez tłumek pielgrzymów skupionych wokół fosy przeleciał szmer. Niektórzy kłęczeli, inni stali pod parasolami lub siedzieli na składanych krzeselkach i turystycznych łódkach. Sinclair leżał krzyżem u stóp Madonny.

Joan była tak zaniepokojona zachowaniem brata, że postanowiła powiadomić rodziców. Czytała o fanatykach religijnych oddających cześć węzom, ale fiksacja na tle żółwi graniczyła ze zbrodnią. Roddy powiedział, że o niczym takim nie słyszał.

- Osobiście cieszę się, że to żółwie - dodał - a nie na przykład grzechotniki, bo już zamawialibyśmy trumnę.

Sinclair otulił się białym prześcieradłem jak togą i posypał pokruszoną sałatą. Z zadziwiającą szybkością święte żółwie porzuciły nasłonecznione kamienie, by wspiać się na połyskujący biały bufet. Oblazły go od stóp do głowy, podczas gdy on gaworzył i uśmiechał się do pędzących po niebie chmur. Trzaskały aparaty fotograficzne, szumiały kamery wideo.

Trish i Demencio śledzili przebieg odwiedzin z okna salonu.

- On jest zupełnie wyjątkowy - powiedziała Trish. - Musisz przyznać.

- Kompletnie stuknięty.

- Nie jesteś zadowolony, że pozwoliłeś mu zostać?

- Kasa - powiedział Demencio.

- Musiało mu coś zaszkodzić. Pewnie się przepracował.

- Może - odparł z roztargnieniem. Dominick Amador kręcił się pośród pielgrzymów. Facet był pozbawiony skrupułów. - Sukinsyn kupił sobie kule!

- Wiesz dlaczego - powiedziała Trish. - W końcu przewiercił sobie stopy. Podobno zapłacił chłopakowi w sklepie tekstylnym trzydzieści dolców.

- Czubek - stwierdził Demencio.

Dominick Amador zauważył go w oknie i pomachał kulą na powitanie. Demencio nie oddał pozdrowienia.

- Mam go odgonić? - zapytała Trish.

Demencio skrzyżował ramiona na piersiach.

- A to kto, u licha? - Wskazał wiotką postać odzianą w białą powłóczystą szatę. Poruszała się ze zwinnością duszpasterza krążącego wśród wiernych, w rękę miała kartkę.

- Babka z Sebring Street - wyjaśniła Trish. - Ta, co to odkryła Jezusa na Drodze. Zbiera podpisy pod petycją do wydziału dróg.

- Akurat! Odbiera mi klientelę.

- Nie, kochanie. Chcą zalać asfaltem jej kaplicę.

- To nie mój problem, no nie? Ja mam tu firmę.

- No dobrze. - Trish poszła rozmówić się z kobietą. Demencio lubił zostawać konkurencją daleko w tyle. Denerwowało go, kiedy Dominick wchodził mu w paradę. Trish dobrze go rozumiała. Interes z cudami to niełatwy kawałek chleba.

Załamaniem nerwowe dziennikarza dodatkowo wytrąciło Demencia z równowagi. Potrafił poradzić sobie z awarią hydrauliczną płaczącego posągu, ale wariat z krwi i kości to zupełnie inna sprawa. Na razie gaworzący Sinclair przyciągał klientów, ale co będzie, jeżeli sfiksuje do reszty? Jeżeli jego nieszkodliwe mamrotanie przejdzie w szal?

Demencio usiadł ciężko w fotelu i zapatrzył się na akwarium, gdzie nie malowane żółwie czekały niecierpliwie na śniadanie. JoLayne dzwoniła, żeby się dowiedzieć o

małe śmierzdiele, i Demencio uspokoił ją, że są zdrowe i w humorze. Nie wspomniał o historii z apostołami. JoLayne zapowiedziała, że za parę dni odbierze swoje cenne małeństwa.

Dla mnie one też są cenne, dumal Demencio. Muszę wyciągnąć z nich ile się da.

Kiedy Trish wróciła, powiedział:

- Pomalujmy resztę. - Ruchem głowy wskazał akwarium.
- Po co?
- Im więcej malowanych gadzin, tym więcej kasy. Pomyśl, jak się ucieszy zreinkarnowany. - Rzucił okiem przez okno. - Będzie się mógł pod nimi pogrzebać.
- Ale kochanie, apostołów jest dwunastu.
- A kto mówi, że to będą apostołowie? Idź po Biblię. Potrzeba nam trzydziestu trzech świętych. Obojętnie skąd. Nowy Testament, Stary Testament...

Czyż mogła powiedzieć „nie”? W takich sprawach instykt męża nigdy nie zawodził. Przygotowując warsztat pracy, podsunęła mu pierwszą stronę „The Register”, którą dostała od Joan i Roddy'ego.

- Czy to ten facet pojechał do Miami z JoLayne?
- Tak, z tą różnicą, że jest żywy. - Demencio odsunął pogardliwie gazetę. - Kiedy dzwoniła rano, ten cały Tom był z nią. Dzwonili z budki w Keys.
- Keys?!
- Tak, ale na razie nie mów o tym Żółwiowemu Chłopcu.
- Chyba masz rację - powiedziała Trish.
- Dowie się, że facet żyje, i zarzuci modły. A tego nie chcemy, prawda?
- Nie.
- Albo przestanie słyszeć anielskie głosy. Ten żaloszny kretyn rozruszał nam interes.
- Nic nie powiem. Spójrz, o nim też piszą w tym artykule.

Siłując się z zakrętką od butelki rozpuszczalnika, Demencio przeleciał wzrokiem pierwsze akapity.

- O, tutaj. Pomocnik zastępcy działu reportażu. Co to za robotą? Ha, nic dziwnego, że gość tarza się w błocie!

Trish wręczyła mężowi bukiet z pędzli.

- Co powiesz na koszulki ze świętym żółwiem?

Demencio podniósł wzrok i uśmiechnął się, po raz pierwszy tego dnia.

Również Tom Krome skorzystał z budki telefonicznej. Zadzwonił do rodziców na Long Island i powiedział, żeby nie wierzyli w to, co przeczytają w gazetach.

- Ja żyję.
 - A miałeś nie żyć? - zapytał ojciec.
- „Newsday” nie opublikował informacji w dziale sportowym, więc starszy pan Krome ją przeczytał.

Tom opowiedział mu pokrótce o podpaleniu, poinstruował, co mówić dziennikarzom, następnie zadzwonił do Katie. Był naprawdę wzruszony, kiedy usłyszał, że płacze.

- Gdybyś widział pierwszą stronę, Tommy!
- Nic mi nie jest. To pomyłka.
- Dzięki Bogu! - Katie siąknęła nosem. - Arthur też twierdzi, że nie żyjesz. Kupił mi nawet brylantowego pocieszyciela.
- Na pogrzeb?
- Myśli, że ja myślę, że miał coś wspólnego z zabójstwem, i faktycznie tak myślałam.
- Jestem pewien, że to on spalił mój dom.
- Nie osobiście.
- Zwłoki w kuchni to pewnie asystent, wierny, lecz nieostrożny.
- Champ Powell. Tom, co ja mam robić? Nie mogę znieść widoku Arthura, chociaż nie sądzę, żeby świadomie chciał kogoś skrzywdzić...
- Spakuj walizkę i jedź do matki.
- A brylant jest naprawdę piękny. Bóg jeden wie, ile kosztował. Sam więc widzisz, że nie jest do końca zły.
- Katie, muszę lecieć. Proszę, nie mów nikomu, że ze mną rozmawiałaś. To ważne.
- Tak się cieszę, że nic ci się nie stało. Modliłam się.
- Rób to nadal - powiedział Tom Krome.

Ranek był pogodny i wietrzny. Port trwał w rozleniwieniu, stan typowy dla tej pory roku, między Świętem Dziękczynienia a Nowym Rokiem, kiedy turyści nie zjechali jeszcze z Północy. Dla mieszkańców Key Largo był to wspaniały, wyjątkowy okres, mimo zastoju w interesach. Szansa podłapania klienta była tak nikła, że większość kapitanów czarterowych nie fatygowała się nawet do doków.

JoLayne Luicks przysnęła w samochodzie. Krome dotknął jej ramienia i otworzyła oczy. W ustach czuła gorycz, w gardle ją drapało.

Przeciągnęła się, ziewnęła. Krome podał jej kubek z kawą.

- Długa noc.
- Gdzie nasi chłopcy?
- Nadal w samochodzie.
- Myślisz, że umówili się tu z kimś? - zapytała.
- Nie wiem. Chodzili po nadbrzeżu, oglądając łodzie.

JoLayne dostrzegła czerwoną furgonetkę zaparkowaną po drugiej stronie portu, przed sklepem ze sprzętem żeglarskim.

- Znowu na miejscu dla inwalidy?
- Aha.
- Dranie!

Doszli do wniosku, że kierowcą furgonetki jest Bodean Gazer, ponieważ pod takim nazwiskiem zarejestrowano samochód. Wyjawszy dziury po kulach, stan wozu był idealny i wskazywał na właściciela, który niechętnie rozstaje się z pojazdem, a już z pewnością nie wypożycza go szurniętym kryminalistom. Tom i JoLayne nadal nie znali

nazwiska partnera Gazzera, faceta z kucykiem i chorym okiem.

Natknęli się na jeszcze jedną tajemnicę; trzeciego mężczyznę, który został wysadzony z wozu w środku nocy. JoLayne i Tom obserwowali scenę z parkingu przed sklepem z kasetami wideo. Coś w ruchach trzeciego mężczyzny wydało się JoLayne znajome, ale nie potrafiła rozpoznać rysów twarzy. Reflektory przejeżdżającego samochodu wyłowiły pękata, nieszczęśliwą postać, oddalającą się ciężkim krokiem. A także stary myśliwski kapelus.

Mężczyzna ten nie pojawił się w porcie i Krome nic już nie rozumiał.

JoLayne spytała, czy zadzwonił do rodziców.

- Nawet nie wiedzieli, że umarłem. Dopiero teraz namieszałem im w głowie. Kto ma prawo do radia?

- Ja. - JoLayne sięgnęła do gałki.

Podczas długich godzin spędzonych w samochodzie odkryli potencjalnie niebezpieczną różnicę muzycznych gustów. Tom uważał, że jazda przez południową Florydę wymaga stałego akompaniamentu hard rocka, podczas gdy JoLayne wolała spokojne, kojące nerwy melodie. Aby było sprawiedliwie, postanowili dzielić się prawem użytkowania radia. Ona słuchała Sade, on Toma Petty. On wyłapywał Kinks, ona Anne Lennox. Czasem odnajdywali wspólny grunt. Van Morrison. Dire Straits. „The Girl with the Faraway Eyes” odśpiewali razem, jadąc przez Florida City. Mieli nawet kilka wspólnych antypatii (duet Paul McCartney i Michael Jackson).

- Zauważyłam coś - powiedziała JoLayne, zwiększając głośność.

- Kto to jest?! - przerwał jej Krome.

- Celine Dion.

- Jezu! Jest sobota rano. Miej litość!

- Odegrasz się, kiedy przyjdzie twoja kolej. - Posłała mu krzywy uśmiech. - Zauważyłam, że nie przepadasz za murzyńskimi piosenkarzami.

- Bzdura! - Był naprawdę urażony.

- Wymień jednego.

- Mavin Gaye, Jimi Hendrix...

- Jednego żyjącego.

- B.B King. Al Green. Billy Preston. Ten seksowny gość, jak on się nazywa...

- Wygłupiasz się.

- Prince!

- Daj spokój!

- A co? Nie mam racji? „Little Red Corvette” - przypomniał jej.

- Przypuszczam, że to możliwe.

- A gdybym ja ci coś takiego powiedział?

- No tak - odparła. - Cofam wszystko.

Patrzyła na niego znad oprawek okularów słonecznych.

- Jesteś dosyć drażliwy w tych sprawach, prawda? To pewnie kompleks winy białego człowieka. Liberalnego białego.

- Kto ci powiedział, że jestem liberalny?
- Podobasz mi się, kiedy się złościś. Chcesz resztę mojej kawy? Muszę iść siusiu.
- Nie teraz - powiedział Krome. - Zdejmij kapelusz i schyl się.

Czerwona furgonetka toczyła się ku nim tyłem. Kierowca podjechał do pochylni, gdzie cumowała dwudziestostopowa łódź. Miała dwa bliźniacze silniki zewnętrzne, niebiesko-szare wykończenia i składany dach typu Bimini. Zacumowana między łodzią mieszkalną a pękatym jachtem była niewidoczna ze sklepu żeglarskiego.

Zerkając znad deski rozdzielczej JoLayne widziała, jak wysoki nieogolony pasażer wysiada z furgonetki. Gość z kucykiem. Niósł butelkę piwa i garść narzędzi - śrubokręt, nożyce do drutu, klucz maszynowy. Trochę chwiejnie wdrapał się na pokład i usiadł za konsolą sterowniczą.

- Co się dzieje? - zapytała JoLayne, podnosząc głowę.

Krome znowu kazał się jej schylić. Ujrzał chmurkę niebieskiego dymu, potem dobiegł go pomruk silnika. Facet z kucykiem machnął niedbale kierowcy furgonetki, odwiązał cumy i obiema rękami odepchnął łódź od pomostu.

- Kradną łódź - zakomunikował Krome.
- Boli mnie szyja. Mogę usiąść?
- Za chwilę.

Zaledwie sto metrów od doku facet z kucykiem pchnął wajchę, łódź skoczyła naprzód jak wystrzelona z katapulty i pomknęła przez Florida Bay, zostawiając za sobą warkocz piany. W tej samej chwili czerwona furgonetka wystartowała w stronę bramy portu.

- Co teraz? - zapytała JoLayne.
- Wszystko jasne - powiedział Krome.

Usiadła, spoglądając najpierw za czerwona furgonetką, potem na niknącą wstęgę piany.

- No i co, mądralo? Który z nich ma mój bilet?
- Niech mnie licho, jeśli wiem!

17.

Było to pierwsze porwanie Shinera, całkiem udane, mimo niefortunnego początku.

Autostopem dojechał do Grove, gdzie zasnął w parku. Obudził się w południe i poszedł na Grand Avenue kupić pistolet. Próbował zasięgnąć informacji u przechodniów, ale zostało to bardzo źle odebrane i grupa latynoskich wyrostków przepędziła go z dzielnicy. Uciekając zgubił golfowe pantofle i kapelusz myśliwski.

Uzbrojony w serdelkowaty śrubokręt, który znalazł pod bananowcem w parku, Shiner przybył do Hootersa tuż przed piątą. Pamiętny instrukcji Chuba, nawiązał rozmowę z barmanką, która pokazała mu Amber. Shiner przyjrzał się jej - gorąca sztuka, tak jak mówił Chub, ale dla Shinera wszystkie kelnerki wyglądały na gorące sztuki. I chociaż Chub położył ogromny nacisk na podobieństwo Amber do Kim Bassinger, informacja ta była bezużyteczna dla Shinera. Nie wiedział, jak wygląda Kim Bassinger. Szykując się duchowo do popełnienia przestępstwa, miał coraz większe wątpliwości, czy złapie właściwą dziewczynę. A jeżeli u Hootersa pracuje więcej niż jedna Amber? Chub go zastrze-
li.

Kiedy w końcu wyszła z pracy, Shiner czekał na nią przycupnięty za żywoplotem. Wsunęła się za kierownicę wielkiego forda sedana, co do reszty zdezorientowało Shinera (oczekiwał sportowego wozu - w jego mniemaniu gorące sztuki jeździły sportowymi samochodami). Szybko jednak zapanował nad sobą, skoczył na siedzenie pasażera i przytknął końcówkę śrubokręta do białej szyi Amber.

- O! - zawołała.

I to wszystko, żadnych krzyków.

- Jesteś Amber?

Ostrożnie skinęła głową.

- I przypominasz aktorkę, Kim jakąś tam?

- Jesteś drugim facetem w tym tygodniu, który mi to mówi.

Shinera załaza fala ulgi.

- W porządku. Ruszaj!

- To nóż?

Shiner zabrał śrubokręt. Zardzewiały koniec zostawił brązowy ślad na jej szyi. Shiner widział plamę w zielonkawej poświacie deski rozdzielczej. Pośpiesznie wsunął narzędzie do kieszeni.

- Pistolet też mam - powiedział.

- Wierzę ci.

Po kilku złych zjazdach udało mu się skierować ją na południe. Nie zapytała, dokąd jadą, ale gdyby to uczyniła, Shiner miał gotową odpowiedź. Brzmiałaby: „do bazy”. Do bazy Białych Heroldów Aryjskich! To by jej dało do myślenia.

- Twój samochód? - zapytał.

- Prezent od taty. Świetnie się spisuje.

Wcale nie jest nieśmiała, pomyślał Shiner. To fajosko!

- Mój narzeczony ma miatę - dodała Amber. - To znaczy, miał miatę. Ale ja wolę swojego forda. Więcej miejsca na nogi. Mam strasznie długie.

Shiner poczuł rumieniec na policzkach. Z bliska Amber była bardzo piękna. Ilekroć mijali ich samochód jadący z naprzeciwka, widział jej długie rzęsy podmalowane złotym tuszem. Do tego pachniała absolutnie fantastycznie jak na kogoś, kto ma na co dzień do czynienia z kurzymi skrzydełkami, hamburgerami, nie wspominając chrupków cebulowych. Shiner uznał, że pachnie tysiąc razy lepiej niż kwiaty pomarańczy, które jego matka zanosila Jezusowi na Drodze. Wprawdzie były to tygodniowe kwiaty pomarańczy, kupowane w sklepie z pamiątkami przy autostradzie, ale trochę jeszcze pachniały.

- Co ci się stało w głowę? - zapytała Amber, zerkając na bliznę na jej nagiej czaszce.

- Wypadek.

- Samochodowy?

- Coś w tym rodzaju. - Był zdumiony, że zauważyła. Od czasu gdy ruszyli spod restauracji, prawie nie odrywała wzroku od szosy.

- Lepiej zapnij pas - doradziła.

- Ani mi się śni. - Shiner pamiętał, co Bodean Gazer powiedział o pasach bezpieczeństwa. Były częścią spisku rządowego, mającego na celu „unieszkodliwienie obywateli”. Wpiętemu człowiekowi, wyjaśnił Bode, trudno będzie wyskoczyć z wozu i uciec, kiedy helikoptery NATO zaczną lądować na autostradach. Nakaz zapinania pasów wprowadzono właśnie po to, by unieruchomić miliony Amerykanów w chwili inwazji. Choć teoria Bode'a wydała się Shinerowi bardzo intrygująca, uznał, że informacja jest zbyt poufna, by dzielić się nią z Amber.

- A co masz na ramieniu? - Zapaliła wewnętrzną lampkę, żeby przyjrzeć się tatużowi.

- Orła - powiedział zakłopotany.

- Pytałam o litery. BBR. Skrót od Bractwo Białych Rebeliantów?

- Oj, to długa historia!

- Byłam na ich koncercie. Super!

- Tak?

- Najlepsza jest „Nut-Cutting Bitch”. Lubisz hip-hop?
 - Metal. - Shiner napiął dyskretnie bicepsy. Nieczęsto piękna dziewczyna obdarzała go swoją niepodzielną uwagą.
 - Więc po co ci tatuaż BBR? Oni wcale nie są tacy bardzo metalowi.
- Shiner wyznał, że tatuaż okazał się pomyłką. Ucieszył się, kiedy powiedziała, że może go poprawić.
- Ale tylko wtedy, jeżeli mnie puścisz.
 - Mowy nie ma.
 - Moja najlepsza przyjaciółka przepracowała w salonie tatuażu całe lato. Siedziałam tam godzinami. To wcale nie takie trudne.
- Shiner zacisnęła wargi.
- Nie mogę cię puścić - powiedział z żalem. - Nie od razu.
 - A! - Amber zgasła lampkę. Długo się do niego nie odzywała. Kiedy dwaj szaleńcy jadących na masce otwartego beemera omal nie zepchnęli ich z drogi, powiedziała: „Ćwoki”, ale był to jedynie szept, a nie zagajenie rozmowy. Shiner poczuł narastające zdenerwowanie. Wszystko było w porządku, dopóki Amber z nim gawędziła, ale teraz zrobiło mu się miękko w nogach. Do tego czuł się jak kretyn. Czuł się jak ktoś, kto zaważił sprawę.
 - Zgwałcisz mnie, prawda? - odezwała się w końcu.
 - Coś ty!
 - Nie kłam. Wole znać prawdę.
 - Wcale nie kłamię!
 - Więc o to tu chodzi? - Dłonie trzymała na kierownicy, szczupłe ramiona były rozprostowane i całkiem nieruchome. - Co jest grane?
 - Wyświadczam przysługę koledze - powiedział.
 - Rozumiem. Ten kolega mnie zgwałci.
 - Po moim trupie! - Shinera zdumiał własny wybuch.
- Amber rzuciła mu spojrzenie pełne nadziei.
- Mówisz poważnie?
 - Jak tu siedzę.
 - Dzięki. - Znowu skupiła znów uwagę na drodze. - Tak naprawdę to nie masz broń, prawda?
 - No... nie.
 - Jak ci na imię? - zapytała Amber.

Sekretarki Battenkilla wiedziały, że coś jest nie w porządku, ponieważ sędzia przestał je nagabywać o seks. Nie uskarżyły się; wołały pisać na maszynie i katalogować. Zachowanie sędziego w łóżku nie różniło się niczym od jego zachowania w biurze - było aroganckie i obcesowe.

Dana i Willow często omawiały między sobą intymne przeżycia z sędzią Battenkilem i czyniły to bez śladu zazdrości. W ten sposób wspierały się wzajemnie - sędzia był krzyżem, który dźwigały wspólnie.

- Nie poprosił, żebym została po godzinach - raportowała Willow.

- Ani mnie - powiedziała Dana. - Drugi dzień z rzędu!
- Co o tym sądzisz?
- Zdenerwował się odejściem Champa.
- Możliwe.
- Jeżeli on naprawdę odszedł - dodała Dana ze znaczącym uniesieniem brwi. Obie panie były zdumione nagłym zniknięciem Champa Powella, pisarza sądowego. Z początku Arthur Battenkill utrzymywał, że Powell wyjechał w sprawach rodzinnych. Potem powiedział: nie, to była tylko przykrywka. Tak naprawdę Champ został wysłany do okręgu Gadsden z tajną misją. Operacja była tak tajna i niebezpieczna, że o jego wyjeździe nie wiedziała nawet najbliższa rodzina.

Dlatego pani Powell wydzwania do biura w poszukiwaniu syna.

Dana i Willow miały wątpliwości.

- Nie wyglądał na tajnego agenta - zauważyła Dana. - Poza tym naprawdę lubił tu pracować.

- A sędzię wprost uwielbiał - powiedziała Willow.

Przywiązanie Champa Powella do szefa było niemal nienaturalne. Pisarz był tak zakochany w Arthurze Battenkillu, że podejrzewały go o odmienne gusta seksualne. Rozważyły szanse, że Powell uwiedzie sędziego - idealne rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych.

Niestety, nic podobnego się nie zdarzyło, a przynajmniej one nic o tym nie wiedziały.

- Obojętnie, co wstąpiło w Arta, niech trwa! - powiedziała Dana.

- Amen!

- Możemy rozkoszować się spokojem.

- Nareszcie!

- Hej, może on odnalazł Boga?

Willow śmiała się tak bardzo, że dietetyczna cola wyciekła jej nosem. Oczywiście na tę chwilę trafił sędzia.

- Bardzo elegancko - powiedział, kiedy Willow chwyciła pudełko chusteczek higienicznych.

- Przepraszam.

- To prawie tak, jakby w recepcji siedziała księżna Grace.

Z tymi słowami sędzia zamknął się w gabinecie. Poranny sarkazm szefa wytrącił Willow z równowagi, więc kawę zaniósł mu Dana. Powiedziała sędziemu, że nie wygląda dobrze.

- Jest sobota - burknął. Sędzia najwyższy nękał go o zamknięcie sprawy, nadrabiał więc zaległości w weekendy.

- Nie spałeś? - Dana przybrała ton macierzyński.

Arthur Battenkill siorbnął kawy.

- Sypiam znakomicie.

To scena przy śniadaniu wzbudziła jego niepokój - Katie pochłaniająca czwarty naleśnik z syropem klonowym, najlepszy dowód, że zakończyła żałobę. A talerze zebrała tak dziarsko, że utwierdził się w podejrzaniach. Istniało tylko jedno wytłumaczenie nagłego

ożywienia żony - dowiedziała się, że jej ukochany Tommy żyje.

Wprawdzie niechętnie, ale sędzia doszedł do tego samego wniosku. Najlepszym dowodem była całkowita cisza ze strony Powella, który dawno już powinien zadzwonić, dopominając się o pochwałę i wyrazy wdzięczności. Co gorsze, harley Champa został odholowany z parkingu trzy przecznice od domu Toma Krome'a. Sędzia był pewien, że Champ nigdy w życiu nie porzuciłby motoru.

Eksplozja dobrego humoru Katie była ostatnią wskazówką. Rozgrzebując widelcem naleśniki, Battenkill przypomniał sobie, że słyszał dzwonek telefonu, kiedy brał prysznic. Prawdopodobnie dzwonił Krome, by uspokoić Katie. Pieprzony skurczybyk, jaki troskliwy!

- Masz rozprawę za dziesięć minut - powiedziała Dana krzyżując ramiona. - Czy odprasować togę?

- Nie. Kto to?

- Pani Bensinger.

- Boże, miłosierdzia!

- Sprawa o alimenty. - Dana zniżyła głos.

- Co za okropni ludzie. Dzięki Bogu, nie mają dzieci.

- Ciszej! Ona jest w holu.

- Tak? - Sędzia zwinął dłonie w trąbkę. - Pazerna zdzira!

Dana popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

- A jej mąż to złodziejski pomiot - dokończył sędzia.

- To prawda.

- Á propos, postanowiłem zrobić sobie wolne. Ty i Willow jakoś przeżyjecie beze mnie. Takie odnoszę wrażenie.

Dana wbiła wzrok w filiżankę kawy.

- Jak długo cię nie będzie?

- Trudno powiedzieć. Jedziemy z panią Battenkill na wakacje. - Sędzia postukał w kalendarz. - Sprawdź, czy sędzia Beckman będzie mógł mnie zastąpić. Możesz to zrobić?

- Oczywiście.

- Dana, to ma być niespodzianka dla mojej żony, więc nie roztrąb tego po całym biurze.

Willow zadzwoniła z informacją, że przybył pan Bensinger i atmosfera w holu robi się napięta.

- Pieprzyć ich - prychnął Arthur Battenkill. - Mam nadzieję, że się wzajemnie porzną ostrym narzędziem. Podatnicy zaoszczędzą parę dolców. Dana, czy to sędzia Tigert ma bungalow w Exuma?

- W Abacos.

- To obojętne. Sprawdź, czy można będzie skorzystać.

Myśl, że sędzia zabierze żonę na romantyczne wakacje na Bahamy, zupełnie oszołomiła Danę. Facet załamał się nerwowo. Dana nie mogła się już doczekać, kiedy omówi to z Willow. Odwróciła się, żeby wyjść z gabinetu.

- Dana, prawie udało ci się ukryć rozbawienie! - zawołał za nią sędzia. - Moje uznanie!
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Nie udawaj, że wszystko o mnie wiesz. Niech ci się nie wydaje, że mnie rozgryzłaś. Mam dużo uczucia dla pani Battenkill.
- Och, wierzę w to - powiedziała Dana. - A jak się jej podobał naszyjnik? Zadowolony z siebie uśmiech zniknął z twarzy sędziego.
- Wprowadź Bensingerów.

JoLayne Lucks nie była w Keys od czasów dzieciństwa. Zdumiało ją, jak bardzo miasteczko się zmieniło. Swojskie, podupadłe knajpki i hoteliki zniknęły, wyparte przez koncesjonowane bary szybkiej obsługi, wielkie domy towarowe i luksusowe ośrodki wypoczynkowe. Żeby odwrócić myśli od turystycznego motłochu, JoLayne wyrecytowała Krome'owi rejestr miejscowych ptaków, osiadłych i wędrownych: rybołowy, czaple białe, czaple zielonoskrzydłe, zimorodki, mu-chołówki, kardynały, drozdy wędrowne, jastrzębie, gołębie, dzięcioły północnoamerykańskie, warzęchy białe...

- Kiedyś były tu nawet flamingi - poinformowała. - Zgadnij, co się z nimi stało?
- Krome nie odpowiedział. Patrzył, jak Bodean James Gazzer, cały w kamuflażach, czyści duży karabin maszynowy. Nawet z odległości stu metrów lufa połyskiwała złowieszczą w słońcu.
- Tom, ciebie to w ogóle nie obchodzi.
- Lubię flamingi - powiedział - ale tutaj możemy obserwować rzadki okaz zielonego oprycha. Bawi się bronią w biały dzień...

- Widzę.

Tom odrzucił jej ostatni plan, zakładający, że dopadną Bodeana Gazzera samego, przycisną mu lufę remingtona do krocza i grożąc kastracją zażądają zwrotu skradzionego biletu Lotto.

- Nie tutaj - powiedział. - Jeszcze nie teraz.
- Zaparkowali samochód na płaskiej wapiennej skale, na skraju mangrowego lasu. Niedaleko znajdowała się rampa, zablokowana w tej chwili przez furgonetkę Bodeana Gazzera. Był doskonale widoczny; w kamuflażu, kowbojskich butach i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Przed nim, na masce wozu leżał rozłożony na części karabin.

- Trzeba przyznać, że ma stalowe nerwy - zauważył Tom.
 - Jest po prostu głupi. Bezdennie głupi.
- Bała się, że Bodeana Gazzera zauważy jakiś policjant, aresztuje kretyna i pogoń się zakończy. Nie będzie mogła udowodnić swojego prawa do biletu Lotto i wszystko przepadnie.

- Mały czarny ptaszek przysiadł na gałęzi i zaczął śpiewać.
- No dobra - powiedział Krome. - Jak się nazywa?
 - Drozd rdzawoboczny - odparła JoLayne sztywno,

- Gatunek zagrożony?
- Jeszcze nie. Nie wydaje ci się to obsceniczne? Ich obecność tutaj? Są jak... śmieci.
- Mówiła o bandziorach. - Nie zasługują na to, żeby czuć słońce na karku, oddychać tym powietrzem. To marnotrawstwo.

Krome spuścił szybę i wystawił twarz na chłodną, słonawą bryzę.

- Mógłbym to polubić - powiedział sennie. - Jak już wrócę z Alaski.

Jak on może być taki spokojny? - pomyślała JoLayne. Widok Gazzera czyszczącego rytualnie broń był tak denerwujący, że nie potrafiła już skupić uwagi na faunie wyspy. Nie mogła wyrzucić z pamięci okropnej sceny w domu, głosu mężczyzny, który zwracał się do swojego obleśnego, długowłosego kumpla: „Ty, geniusz! Ona nie może mówić z lufą w ustach. Chcesz zrobić wrażenie, to patrz!”

Wyciągnął z akwarium żółwika, postawił na drewnianej podłodze i namówił długowłosego, żeby go zastrzelił.

Zrobił coś takiego, a teraz wygrzewa się w słońcu Florydy. Z biletem na czternaście milionów schowanym w prezerwatywie.

- Nie mogę tu beczynnie siedzieć - powiedziała.

- Masz absolutną rację. Jedź do spożywczego. - Krome wyjął portfel. - A potem wstąp do jakiegoś motelu i wynajmij łódź. Dam ci pieniądze.

- Mam lepszy pomysł. Zostanę tutaj i będę piłowała tego arcypatrioty. Ty jedź po łódź.

- Zbyt ryzykowne.

- Poradzę sobie - nalegała.

- JoLayne, w to nie wątpiłem ani przez chwilę. Myślałem o sobie. Nieboszczyk nie powinien narzucać ludziom swojej obecności. Moja twarz ukazała się w „The Herald”, może nawet w telewizji.

- To było marne zdjęcie. Nikt cię nie rozpozna.

- Nie zaryzykuję.

- Wyglądasz na nim jak Pat Sajak.

- Odpowiedź brzmi „nie”.

Nie ufał jej, oczywiście. Podejrzewał, że zadrze z psychologami.

- To śmieszne - powiedziała. - Nigdy w życiu nie pływałam łodzią.

- A ja nie strzelałem z karabinu. Możemy wiele się od siebie nauczyć. Nieodzowny warunek udanego romansu.

Tom wysiadł, otworzył bagażnik i wydobyl remingtona.

- Na wszelki wypadek.

- Mam dla ciebie złe wieści, Rambo. Naboje są w mojej torbecce.

- Nie szkodzi. Mamy czterdzieści pięć minut, może godzinę. Najważniejszy jest lód.

Kup tyle lodu i wody, ile zdołasz udźwignąć.

- Czterdzieści pięć minut do czego?

- Do przybycia żeglarza w kucyku - odparł Krome.

- Doprawdy? Kiedy zamierzasz poinformować mnie, co się dzieje?

- Kiedy zdobędę pewność.

JoLayne zrobiła grymas, mający wyrażać sceptycyzm.

- Uważasz, że ruszą dalej morzem?

- Aha.
- Dokąd?
- Nie mam pojęcia. Dlatego potrzebna nam łódź.

Proszę, proszę, pomyślała JoLayne. Przejmujemy dowodzenie!

Zastanawiała się, czy nie obstawać przy swoim, ale zrezygnowała. Dzień był jakby stworzony, żeby go spędzić na wodzie, zwłaszcza jeżeli alternatywą było sześć godzin w aucie.

- Jaka duża ma być ta łódź? - zapytała.

Chub czuł się na wodzie prawie dobrze. Jedno z niewielu znośnych wspomnień dzieciństwa dotyczyło rodzinnej motorówki i weekendowych wypraw na jezioro Rabun. Wprawdzie otyłość przeszkodziła mu zostać pierwszorzędnym narciarzem wodnym, ale lubił sterować.

Dawne wzruszenia odżyły teraz, za sterem „Reel Luv”, którą zarekwirował w imieniu Białych Heroldów Aryjskich. Łódź wyposażona w dwa bliźniacze silniki Merc 90S, była o wiele szybsza niż motorówka, którą prowadził jako chłopiec. To mu nie przeszkadzało; radził sobie z dużymi prędkościami. Nie radził sobie natomiast z nieregularnym brzegiem Florida Bay, z jej zmienną barwą, wijącymi się kanałami i zdradzieckimi mieliznami. Florida Bay w niczym nie przypominała jeziora Rabun, które było głębokie i pozbawione nieruchomych przeszkód takich jak wyspy mangrowe. Marna widoczność (lewe oko zakrywała mu przepaska kupiona za dwa dolary na stacji benzynowej) oraz stosunkowo wysoki poziom alkoholu we krwi dodatkowo ograniczały cokolwiek zaniebywane umiejętności nawigatorskie Chuba.

Wpakował się na mieliznę niemal natychmiast. Wysoki brzeg był widoczny z daleka; z racji brązowej barwy odcinał się ostro od lazurowego odcienia głębokich kanałów. Również obecność brodzącego ptactwa sygnalizowała dramatyczną zmianę głębokości. Chub niczego nie zauważył.

Łądowanie było bardzo widowiskowe, wielkie silniki ryczały, wzbijając gejzery błota w kolorze kakao. Chub wbił się w konsolę, tracąc na jakiś czas oddech. Czaple poderwały się w panice, po czym zatoczywszy koło nad kłębowiskiem, odleciały na zachód. Kiedy silniki w końcu umilkły, „Reel Luv” tkwiła na głębokości dwudziestu centymetrów.

Odzyskawszy oddech Chub stwierdził, że istnieje tylko jeden sposób wydostania się z mielizny: wysiąść i pchać. Klnąc gorzko, zdjął buty i ześlizgnął się za burtę. Momentalnie utonął po biodra w gęstym marglu. Z ogromnym trudem udało mu się dobrać do rufy i uwiesić się całym ciężarem na poprzecznicy.

Łódź drgnęła i w Chuba wstąpiła nadzieja.

Każdy centymetr tej drogi okupywał katorżniczym wysiłkiem. Przypominało to marsz w mokrym cemencie. Błoto czepiało się jego ud, oblażyły go wszy morskie i małe fioletowe komary, nie większe od ziarenek ryżu. Chub strząsał je brutalnie. Najbardziej jednak niepokoiło go dziwne swędzenie w kroku. Przyszło mu do głowy, że jakieś

egzotyczne stworzenie mogło dostać się do jego wnętrza przez otwór penisa. Żaden milioner na świecie, pomyślał rozżalony, nie doświadczał podobnych trudności. Dziękował Bogu, że Amber nie jest świadkiem tej upokarzającej sceny.

W końcu łódź wypłynęła na czyste wody. Chub wskoczył na pokład i zerwał z siebie ubranie, żeby dokonać inspekcji genitalii.

I wtedy sobie przypomniał.

Bilet!

- Jezu! - zawołał chrapliwie. - Na rany słodkiego Boga!

Jego prawe, ociekające wodą udo było nagie. Plaster zniknął, a z nim razem bilet Lotto.

Chub wydał nieludzki skrzek i rzucił się z powrotem w mętne wody.

Bodeana Gazzera prześladowało widmo Czarnej Fali. Nie pamiętał, by kiedykolwiek natknął się na podobną nazwę w broszurach białych supremasistów.

Czarne Pantery, Nation of Islam, NAACP - Bode wiele czytał o tych organizacjach. Ale nic o Czarnej Fali.

Splądrowali mu mieszkanie. Czarnuchy, to pewne! Bode zrozumiał, dlaczego go namierzili: dowiedzieli się o Białych Heroldach Aryjskich.

Ale jak? BHA zawiązała się dopiero przed tygodniem - nie wydali jeszcze nawet manifestu. Z bijącym sercem rozważał dwie możliwości: czarna siła dysponowała wyrafinowanym aparatem wywiadowczym albo w szeregach BHA był przeciek. To ostatnie wydało się Bode'owi Gazerowi nie do pomyślenia.

Uznał więc, że Czarna Fala jest organizacją wyjątkowo przebiegłą i przedsiębiorczą, kto wie, czy nie powiązaną z jakąś agencją rządową. Zrozumiał również, że dokądkolwiek schronią się Biali Heroldowie Aryjscy, piekielne czarnuchy wyśledzą ich prędzej czy później.

I bardzo dobrze, pomyślał Bode. Do tego czasu zorganizuje już swoją milicję i będzie gotów.

Zaraz, zaraz, gdzie się podziewa Chub z łodzią?

Ścisnęło go w dołku ze strachu. Pomyśl, by porzucić narwanego przyjaciela, zaczynał nabierać sensu. Bądź co bądź, Bode miał w kondomie bilet na czternaście milionów. Kiedy już zainkasuje pieniądze, będzie mógł jechać wszędzie, robić wszystko - zbudować sobie fortecę w Idaho.

Ostatnio Bode wiele myślał o Idaho, o parszywych zimach i w ogóle. Słyszał, że tamtejsze góry i lasy pełne są praworządnych białych chrześcijan. Nabór do BHA byłby w Idaho o wiele łatwiejszy. Bode miał po dziurki w nosie Miami - gdzie się człowiek obrócił, wpadał na cudzoziemca. A kiedy w końcu znalazł anglojęzycznego białego, był to Żyd albo liberalny chłystek. Bode miał dość ukrywania się, chciał wykrzyzczyć publicznie swoje prawdy. W Miami trzeba było zachowywać ostrożność, broń Boże kogoś niechcący obrazić. I dotyczyło to nie tylko Kubańców.

Bodean Gazer był przekonany, że na zachodzie mniejszości są bardziej uległe i dają się łatwiej zastraszyć. Uznał, że warto się tam przenieść, zakładając oczywiście, że przystosuje się do chłodnego klimatu. Bode czuł, że zaopatrzone w zimowe kamuflaże da radę.

Jeżeli chodzi o Chuba, nie pasował do Idaho. Zniechęciłby tylko uczciwych białych do sprawy Aryjczyków. Nie, pomyślał Bode, Chub przynależy tutaj.

Zresztą nie zostawiał faceta na lodzie. Chub miał drugi bilet Lotto, ten, który odebrali Murzynce w Grange. Będzie dość bogaty, by założyć własną milicję i zostać pułkownikiem.

Bode zerknął na zegarek. Jeżeli wyruszy zaraz, powinien dotrzeć do Tallahassee przed północą. Jutro o tej porze zainkasuje pierwszy czek Lotto.

Chyba że dopadną go parszywcy, którzy rozbebeszyli mu mieszkanie.

Jak na ironię, właśnie w takich sytuacjach Chub okazywał się najbardziej przydatny - w obliczu przemocy. Nielatwo go było przestraszyć i robił prawie wszystko, co mu się kazało. Cholernie by się przydał w razie strzelaniny. Bode uznał, że warto się nad tym zastanowić, Chub miał swoje zalety. Kto wie, czy nie należałoby zatrzymać go przy sobie mimo wszystko.

Przemierzając rampę wzdłuż i wszerz, Bode Gazer pocił się w swoich kamuflażach. Ruch na drodze nasilał się i Bode czuł na karku ciekawskie spojrzenia podróżnych - nie wszyscy byli turystami i wędkarzami, tego był pewny. Niewątpliwie w szeregach Czarnej Fali znajdowało się wielu wywiadowców, którzy w tej chwili szukali czerwonego dodge'a z nalepką „Fuhrman na prezydenta” (Bode próbował zdrapać ją nożem ze zderzaka, ale bez powodzenia).

Wtedy postanowił wyciągnąć AR-15. Niech skurwiele wiedzą, na co się porywają.

Nakrył maskę kawałkiem irchy i rozłożył giwerę dokładnie tak, jak uczył go Chub. Miał nadzieję, że Czarna Fala to widzi. Liczył na to, że uznają go za niezrównoważonego psychicznie. Tylko wariat bawiłby się karabinem maszynowym w biały dzień, przy autostradzie międzystanowej.

Kiedy przyszło do złożenia AR-15, Bodean Gazer napotkał trudności. Niektóre części pasowały do siebie, inne nie. Bode'owi zrobiło się ich za dużo. Części były śliskie, dłonie Bode'a wilgotne od potu. To i owo wyleciało mu z ręki i zginęło w trawie.

To nie może być takie trudne, pomyślał z irytacją. Chub robi to po pijanemu.

Po półgodzinie Bode dał za wygraną. Zwinął irchę razem z luźnymi częściami karabinu i wsadził zawiniątko do bagażnika. Starał się zachowywać nonszalancko - na użytek murzyńskich szpiegów.

Usiadł za kierownicą i rozkręcił klimatyzację. Omiótł wzrokiem butelkowo-zieloną płachtę wody. Dostrzegł rybacką łódź mozolnie tnącą fale. Śliczną dziewczynę na żaglówce. Dwóch owłosionych grubych facetów na nartach wodnych, podskakujących na falach.

Ani śladu Chuba w skradzionej łodzi. Może kretyn nie przyplynie, pomyślał Bode. Może to on wykiwał mnie.

Jeszcze pięć minut, powiedział sobie.

Samochody sunęły autostradą na południe jak po sznurku. Bode zrobił się senny. Nie spał przez dwie doby i prawdę mówiąc, nie dojechałby do Cutler Ridge, co dopiero Tallahassee. Zdrzemnąłby się z przyjemnością, gdyby nie oznaczało to samobójstwa. Musiał zachować czujność.

Kiedy przymknął oczy, w mózgu błysnęło mu pytanie: Czego oni chcą?

Nie musiał się długo nad tym zastanawiać. Podobno wiedzieli wszystko, tak? Kim był, gdzie mieszkał. Wiedzieli o Białych Heroldach Aryjskich.

Musieli więc wiedzieć przynajmniej o jednym, jeżeli nie o dwóch, biletach Lottto. Dlatego pazerne bydlaki przeszukały mu mieszkanie!

Raz w życiu los się do niego uśmiechnął i teraz chcą mu to wydrzeć! Świadomość zagrożenia wyrwała Bodeana Gazzera ze stanu półsnu. Sam na trasie, z AR-15 w kieszeniach, był wystawiony na odstrzał jak kulawa kaczką.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął portfel, a z portfela paczuszkę i zerknął do środka. Kupon był bezpieczny. Odłożył wszystko na miejsce. Nie musiał patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że pięć minut minęło. Może Chub poszedł własną drogą. Może zgarnął go patrol morski. A może naćpał się klejem żywicznym, wypadł za burtę i utonął.

Adiós, muchacho.

Serce mu waliło jak u ściganego zająca. Przeciął brawurowo autostradę numer jeden i wylądował na pasie północnym. Drżącymi palcami ustawił wsteczne lustro, co powinien zrobić poprzedniego dnia. Mając jedynie ciężarówkę na ogonie, Bode dotarł do Whale Harbor i odetchnął lżej. Kiedy przejeżdżał przez most, zerknął na zachód i noga skoczyła mu do hamulca, jakby chwycił go skurcz.

Niebiesko-szara motorówka sunęła zygzakiem przez zatokę. Kucyk kierowcy powiewał jak szara szmata.

- Niech mu będzie! - powiedział Bodean Gazzer. Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął w stronę rampy.

Zakupy w sklepie spożywczym okazały się przyjemnością, wszyscy starali się być pomocni i mili. W portowym motelu było zupełnie inaczej. Staruszek w wypożyczalni łodzi - szara, umęczona twarz z trzydniowym zarostem - guzdrał się, zirytowany i niezdeterminowany.

- Jakiś problem? - zapytała JoLayne, dobrze wiedząc, co go gnębi. Zastukała zielonymi paznokciami w odrapaną ladę.

Zakaszła.

- Trza mieć prawo jazdy - powiedział.

- Oczywiście.

- I złożyć depozyt. - Pokasływanie.

- To zrozumiałe.

Stary gryzł przez chwilę dolną wargę.

- Robiła to kiedyś? Nie woli spróbować najpierw na rowerze wodnym?

- Boże, nie! - Roześmiała się. Zauważyła brązowego kota zwiniętego za lodówką z napojami. Podniosła go z podłogi i podrapała pod broda. - Biedna mała, uszy śwędzą,

co? Ma świerz - zwróciła się do starego. - Krople chloreksydyny. Dostępne w każdej aptece.

Stary człowiek bawił się długopisem.

- Ta łódź ma być do łowienia ryb, nurkowania, czy czego tam? I jak daleko chce ją zabrać?

- Myślałam o Borneo.

- Bez nerwacji. Właściciel każe mnie robić tę papierkową robotę.

- Rozumiem.

Na ścianie szopy dostrzegła morską mapę Florida Bay. Rzuciła na nią okiem i powiedziała:

- Cotton Key. Tam właśnie chcę popłynąć.

Wydawał się rozczarowany, wpisując nazwę miejscowości na formularzu wynajmu.

- Mają tam duże ryby. Cały świat już o tym wie.

- Ja nikomu nie powiem. - Kot zeskoczył z jej ramion. Otworzyła torebkę. - Ile za mapę?

Chęć nabycia mapy wywarła dodatnie wrażenie na starym. W zaczerwienionych oczach ukazał się błysk nadziei, że bezcenny motelowy skiff powróci do portu w jednym kawalku. Z zadowoleniem wręczył jej mapę.

- Dzięki. Można prosić o rozgrzanie silnika? Zaraz wracam. Skoczę tylko do samochodu po wodę i jedzenie.

Zgodził się, co szczerze ucieszyło JoLayne, która nie wiedziała, jak uruchomić łódź. Kiedy wróciła z zapasami, stary zapalił silnik i pomógł jej nawet załadować pokładową lodówkę.

- Trza wrócić o zmroku.

- Pamiętam. - JoLayne przyjrzała się konsolce. Próbowwała przypomnieć sobie, co Tom mówił o operowaniu wajchą. Stary wygramolił się z łodzi i z chrapliwym stęknieniem odepchnął ją od pomostu. JoLayne przesunęła wajchę do przodu.

Stary stał na molo, przyglądając się jej, niby kościsty bocian.

- O zmroku! - zawołał.

JoLayne uniosła kciuk i odpłynęła wolno, celując w oznakowany kanał. Stary zawołał coś jeszcze, ramiona obwisły mu żałobnie.

- Hej!

JoLayne pomachała mu, mechanicznie jak robot.

- Hej, nie trza jej przynęty?

JoLayne pomachała jeszcze raz.

- Jak chce łowić rybę bez przynęty? - krzyknął. - Bez cholernej wędki i kołowrotka?

Uśmiechnęła się i puknęła palcem w skroń. Stary zassał policzki i powłócząc nogami, poszedł do szopy. JoLayne przyśpieszyła tylko o tyle, o ile to było konieczne, koncentrując się na tym, żeby nie rozbić łodzi. Niebezpieczeństwo groziło jej przede wszystkim ze strony innych łodzi wycieczkowych, z których większość prowadzona była przez młodych ludzi z butelkami piwa w rękę. Przyglądali się JoLayne, jakby była egzotyczna

kałamarnicą. Widocznie Murzynki prowadzące samotnie łodzie nie były częstym zjawiskiem na Florida Bay. Jakiś dowcipniś zawołał nawet: „Zgubiłaś się? Nassau tamtędy!”

Żeby uniknąć spotkania z Bodeanem Gazerem, umówili się w bezpiecznej odległości od rampy, przy której parkował czerwony dodge. Tom wskazał jej przerwę w mangucach, nagi kawałek skalistego brzegu po stronie oceanu. Czerwono-niebieskie boje miały jej ułatwić odnalezienie tego miejsca.

Wprowadziła łódź bardzo ostrożnie, taranując dwie styropianowe kule u wejścia do zatoczki. Tom czekał na brzegu, gotowy złapać cumy.

- Ahoj! - zawołał. - Już nas tu nie ma. Mają nad nami dziesięć minut przewagi.
- Nie zapomniałeś o czymś?
- Daj spokój, JoLayne!
- Karabin!

Spodziewała się oporu z jego strony, ale powiedział tylko: - A, prawda! Wyskoczył z łodzi i pobiegł do samochodu. Po minucie wrócił z remingtonem ukrytym w plastikowym worku na śmieci.

- Naprawdę zapomniałem.

JoLayne wierzyła Tomowi. Objęła go w pasie i popłynęli przez zatokę.

Zgodnie z zaleceniem Chuba, rozmowy z Amber w drodze powinny dotyczyć wyłącznie kierunku jazdy. Shiner stwierdził, że to zupełnie niewykonalne. Jego doświadczenia z pięknymi dziewczynami ograniczyły się do trzydziestosekundowej przejażdżki windą ze stenotypistką sądu okręgowego w Osceola. Shiner pragnął usłyszeć wszystko, co Amber miała do powiedzenia. Musiała znać niezłe historie! Poza tym czuł się podle z racji tego, że dźgnął ją śrubokrętem. Pragnął ją przekonać, że nie jest jakimś krwiożerczym kryminalistą.

- Chodzę do college'u - odezwała się w końcu, przypinając Shinera o ściskanie w dolku.

- Naprawdę?
- Kosmetologia. Co o tym sądzisz?

I co powinien teraz zrobić? Mimo wszystkich swoich wad, Shiner był w gruncie rzeczy uprzejmym młodym człowiekiem. Matka nauczyła go uprzejmości pasem, kiedy jeszcze był bardzo młody.

Zawsze powtarzała, że niegrzecznie nie odpowiadać, kiedy ktoś pyta.

Więc Shiner powiedział do Amber:

- Kosmetologia... tam uczą na astronautę?

Śmiała się tak bardzo, że omal nie zwróciła kolacji. Shiner zrozumiał, że powiedział coś głupiego, ale nie był zażenowany. Amber uroczo się śmiała. Z przyjemnością gadałby bzdury przez całą noc, żeby tylko słyszeć ten śmiech.

Zatrzymali się przed całodobowym barze przy autostradzie. Shinerowi nie śpieszyło się do Jewfish Creek. Było prawdopodobne, że biali bracia już tam na niego czekają, ale mało go to obeszło. Nie pozwoli odebrać sobie tych czarownych chwil z Amber. W skąpym uniformie Hootersa przyciągała chciwe spojrzenia całej klienteli. Na myśl, że

przyjdzie ją oddać Chubowi, Shinera ogarniała rozpacz.

- A ty, Shiner? - zapytała. - Co ty robisz?
- Jestem w milicji - powiedział bez chwili wahania.
- Rany!

- Ratujemy Amerykę przed pewną zgubą. Wojska NATO zaatakują lada dzień z Bahamów. To się nazywa spisek międzynarodowy.

Amber zapytała, kto za tym stoi. Shiner odparł, że komuniści i Żydzi na pewno, a może również czarni i homoseksualiści.

- Jak do tego doszliście?
- Dowiesz się wkrótce.
- Jak duża jest ta wasza milicja?
- Nie mogę powiedzieć. Ale jestem sierżantem!
- Fajnie. Nazywacie się jakoś?
- Jasne! Biali Heroldowie Aryjscy.

Amber powtórzyła to na głos.

- Pamiętasz, co mówiłaś o moim tatuażu? Potrzebuję kogoś, kto przemieni BBR na BHA.

- Chciałabym ci pomóc. Naprawdę. Ale najpierw musisz mnie puścić.
- Chryste, a ta znowu swoje, pomyślał Shiner. Nerwowo obracał śrubokręt w dłoni.

- Nie wolisz, żebym ci zapłacił?
- Zapłacił? - W jej głosie zabrzmiała nuta powątpiewania.

Shiner pochwyił spojrzenie, jakim obrzuciła jego brudne gołe stopy.

- Milicja ma kupę szmalu - powiedział szybko. - To znaczy, będzie miała lada dzień.

Amber skończyła niespiesznie swoją zupę i dopiero wtedy spytała, jakich wpływów się spodziewają.

- Czternastu milionów - odparł Shiner. - Czternastu milionów dolarów.

Ależ się śmiała! Tym razem ocknęła się w nim chęć obrony.

- Nie kłamie! Wiem to na pewno.
- Ach tak?

Zapalił papierosa, po czym powiedział twardym głosem:

- Sam pomagałem je ukraść.

Milczała przez chwilę, patrząc jak biały jacht przepływa pod zwodzonym mostem. Shiner przestraszył się, że powiedział za dużo i ona nie uwierzy w nic.

- Klnę się na Boga! - zawołał.
- No dobra - powiedziała Amber. - A jaka jest w tym moja rola?

Shiner pomyślał: Gdybym to ja wiedział. Wtem go olśniło.

- Wierzysz w białą rasę?
- Złotko, uwierzę w żabę Kermita, jeżeli zapewni mi to dwadzieścia procent napiwku. - Sięgnęła nad stołem i ujęła Shinera za lewe ramię. Zadrżał w upojeniu. - Zobaczmy, co ty tu masz.

Chub nie zamierzał odprawiać żaloby po furgonetce.

- Zostaw ją - rzucił ostro.
- Tutaj! Na brzegu?
- Nikt ci jej nie tknie. Masz nalepkę inwalidy na zderzaku.
- Akurat ich to obchodzi.
- Kogo?
- Czarną Falę!

- Posłuchaj - powiedział Chub. - Z tą łodzią to był twój pomysł, więc nie wymiękaj. Miałem paskudny dzień.

- Ale...

- Zostaw pieprzoną furgonetkę! Jezu Chryste, mamy dwadzieścia osiem milionów dolców. Kupisz sobie fabrykę Dodge'a.

Posępny Bode zabrał się za przeładunek. Na końcu wydobył irchowe zawiniątko.

- A to co? Puszki z piwem? - zapytał Chub.
- AR-15 - powiedział Bode. - Rozebrałem go do czyszczenia.
- Boże dopomóż! No, jazda!

Bode wiedział, że nie należy prosić o ster; wygląd łodzi świadczył o tym, że przeszła niejedno. Chub ociekał wodą, a jego kucyk przybrany był wodorostami koloru cynamonu. Po pokładzie i winylowych siedzeniach walały się okruchy czegoś, co przypominało niebieską porcelanę. Jakby Chub tłukł talerze.

Kiedy odpływali od rampy, Bode rzucił ostatnie spojrzenie dodge'owi, spodziewając się, że do wieczora zostanie rozebrany do osi lub skradziony w całości. Zauważył mężczyznę stojącego przy lasku mangrowym. Mężczyzna był biały, więc nie wzbudził podejrzeń Bodeana Gazzera. Prawdopodobnie jakiś wędkarz.

Kiedy łódź nabrała szybkości, Bode krzyknął:

- Jak chodzi?!
- Jak jednonoga dziwka!
- Skąd to błoto i śmieci?
- Nie słyszę cię! - odrzyknął Chub.

Biorąc pod uwagę syf na pokładzie i opłakany stan silników, nie było sensu zaprzeczać, że wpakował kobyłę na mieliznę. Ale nie widział powodu, by mówić Bodeanowi Gazzerowi, jak utracił połowę wygranej.

Jak rzucił się z powrotem w mętne wody.

Jak babrał się w marglu i trawach, dopóki nie znalazł biletu, na półmetrowej głębokości. Mały cud.

Oczywiście kupon tkwił w szczypcach kraba błękitnego. Skurwiel zawiądnął płastrem, do którego przyczepiony był bilet. Nieprzytomny Chub rzucił się na żarłoczną bestię, która dziabnęła go bezlitośnie szczypcem, w drugim dzierżąc zdobycz. Z krabem przyczepionym do prawej ręki, Chub wdrapał się na pokład i roztrzaskał drania na kawałki o okrężnicę. W ten sposób odzyskał bilet Lotto, ale drogo opłacił zwycięstwo. Jedyny nietknięty fragment kraba, kremowo-niebieski kleszcz tkwił w skórze między kciukiem a palcem wskazującym Chuba niby makabryczna broszka.

Bodean Gazer zauważył ją natychmiast, ale nie powiedział nic. Powinienem jechać prosto do Tallahassee, pomyślał. Nie trzeba było zawracać.

- Mam mapę! - zawołał przekrzykując charkot zamulonych silników.

Chub wydał jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Wybrałem też wyspę.

Chub skinął głową.

- Pearl Key! - wrzasnął Bode. - Tam będziemy bezpieczni.

- Najpierw musimy zrobić przystanek! - ryknął Chub ponad przednią szybą.

- Wiem, wiem. - Bode Gazer pozwolił, by jego słowa zginęły w huku silników. - Jewfish Creek.

19.

Demencio spędził cały dzień na malowaniu żółwi JoLayne. Bez odpowiedniego archiwum biblijnego trudno było znaleźć trzydzieści trzy portrety świętych nadające się do skopiowania na gadzich skorupach. Aby zaoszczędzić na czasie, Demencio wypracował ogólny portret świętego, różniący się jedynie detalami. Żółwie schły już, kiedy do domu wpadła Trish.

- Czterysta dwadzieścia dolarów! - wykrzyknęła.
 - Brwi Demencia wystrzeliły w górę - padł rekord!
 - Mają bzika na punkcie tego faceta - powiedziała Trish.
 - Przypisałbym zasługę apostołom.
 - Kochanie, nie tylko. Oferujemy przecież cały pakiet. On, płacząca Maria, żółwie...
- Każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Była to prawda; Demencio jeszcze nigdy nie widział tak poruszonych pielgrzymów.

- Pomyśl tylko, ile moglibyśmy zgarnąć w święta. Kiedy wraca JoLayne?
- Lada dzień. - Demencio zaczął zakręcać pojemniczki z farbą.
- Na pewno pożyczysz nam żółwiki!

Trish wierzyła niezłomnie w dobrą stronę ludzkiej natury.

- Pożyczysz, czy wynajmie? A nawet jeżeli, to co z nim?
- Sinclairem?
- Ta toga długo nie wytrzyma. Dzień, dwa i facet zacznie świecić tyłkiem.
- Powinieneś z nim porozmawiać.

Demencio przypomniał jej, że nie rozumie języka, w jakim mówi Sinclair.

- No cóż, pan Dominick Amador nie ma takich trudności. - Trish stanęła przy oknie salonu i rozchyliła zasłony. Demencio zerwał się na równe nogi.
- Sukinsyn!

Wybiegł z domu i przepędził natręta z posesji. Umykając przed pogonią Dominick porzucił swoje kule, śliskie od płynu Crisco. Demencio pochwycił je i połamał o słup

wysokiego napięcia. Niech to będzie ostrzeżeniem. Obrzucił wzrokiem fikusowy żywopłot, za którym zniknął Dominick, mając nadzieję, że konkurencja wszystko widziała.

- Ten facet oznacza kłopoty - zakomunikował Sinclairowi.

Sinclair siedział w pozycji Buddy między żółwiami. Spowijające go białe prześcierało było zmięte i poznaczone błotnistymi śladami.

- Czego od ciebie chciał ten chłystek? - zapytał Demencio. - Prosił, żebyś dla niego pracował?

Wyraz twarzy Sinclaira, zagadkowy i nieobecny, oddawał stan jego umysłu.

- Pokazał ci swoje dłonie? - indagował Demencio.

- Tak. I stopy.

- Ha! Mam dla ciebie wiadomość. Sam sobie zrobił te krwawe dziury. Ten Dominick to szczwany lis. Jeżeli będzie cię nachodził, daj mi znać.

- Och, wszystko w porządku - powiedział Sinclair zgodnie z prawdą. Nigdy dotąd nie czuł takiego wewnętrznego spokoju. Obserwowanie chmur było jak żeglowanie: dawało takie samo wrażenie lekkości, oderwania się od ziemskich trosk. Z wyjątkiem przerw na lemoniadę, Sinclair nie ruszył się przez cały dzień. Żółwie łąziły po nim - w dół jednego ramienia, w górę drugiego, tam i z powrotem po klatce piersiowej. Dotyk malutkich łapek łaskotał i koił. Jedno gadziatko - czy był to Szymon? - wspięło się na strome zbocze czaszki Sinclaira i usadowiło na jego szerokim, gładkim czole, gdzie wygrzewało się godzinami w słońcu. Wrażenie wprawiło Sinclaira w trans, tarzał się pośród żółwików jak Guliwer pozbawiony więzów. Miażdżące poczucie winy, że wysłał Toma Krome'a na śmierć, wyparowało jak poranne mgły. Praca, którą kiedyś traktował tak poważnie, stała się bladym wspomnieniem. Powracała jako hałaśliwe, niezrozumiałe majaki. Od czasu do czasu tytuły artykułów przewijały mu się przed oczami i wtedy pojękiwał boleśnie. Rozumiał, że skończył z dziennikarstwem, i świadomość ta przyczyniła się w niemalym stopniu do jego obecnego stanu upojenia.

Demencio przykucnął, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z Sinclairem.

- Przynieść ci coś? Wodę mineralną, kanapkę?

- Nie - powiedział Sinclair.

- Zostaniesz na kolacji? Trish upiekła ciasto na deser.

- Jasne. - Sinclair był zbyt słaby, by dojść do domu Joan i Roddy'ego.

- Przenocuj, jeżeli chcesz. W gościnnym pokoju jest kozetka - zaproponował Demencio. - I mnóstwo czystych prześcierań, na wypadek gdybyś chciał spędzić tu jutrzejszy dzień.

Sinclair nie myślał jeszcze o przyszłości, ale na razie nie potrafił wyobrazić sobie rozstania z żółwiami.

- Mam dla ciebie niespodziankę - ciągnął Demencio.

- Hm?

- Ale obiecaj, że nie zemdlejesz.

Demencio pobiegł do domu i wrócił targając akwarium, które ustawił w nogach Sinclaira. Z zapiętym tchem Sinclair patrzył na świeżo malowane żółwie. Wyciągnął rękę ostrożnie, jak dziecko próbujące dotknąć hologramu.

- Proszę! - powiedział Demencio. - Baw się dobrze.

Przewrócił akwarium na bok i trzydzieści trzy nowo beatyfikowane żółwie dołączyły do kolegów w fosie. Sinclair nabrał ich pełne dłonie i uszczęśliwiony uniósł w powietrze, mamrocząc pod nosem.

Demencio wycofał się tyłem i wrócił do domu. Trish była w kuchni.

- Pytałeś go o koszulki? Da nam pozwolenie?

- Facet kompletnie odjechał. Dałby nam pozwolenie na wyjęcie sobie nerki, gdybyś poprosiła.

- Więc mam przygotować gościnnie pokój?

- Aha. Gdzie są kluczyki od samochodu? Muszę jechać po sałatę.

Również Tom Krome uwalniał się z więzów dziennikarstwa, choć w nieco inny sposób niż jego szef. Podczas gdy Sinclair uciekł w niebyt od gazetowych nagłówków, Tom Krome dostał się na pierwsze strony. Rzucił się w wir wydarzeń, stał się ich głównym uczestnikiem, zamiast jak dotąd - kronikarzem.

Nie mógł już pisać o JoLayne Lucks, jeżeli nadal drogie mu są zasady dziennikarstwa, a były mu drogie. Uczciwe dziennikarstwo wymaga obiektywizmu, a przynajmniej obojętności. Po kradzieży biletu loteryjnego i pobiciu czarnej kobiety w Grange nie stać go było ani na obiektywizm, ani na obojętność. Uwolniony od swoich reporterskich obowiązków Tom Krome czuł się wyzwolony i żądny czynu. Dziwny stan u kogoś, kogo właśnie uśmiercono, z wszystkimi szykanami, na pierwszej stronie gazety.

Mimo to Krome nadal łapał się na tym, że w duchu sięga po notatnik, którego już nie nosił. Czasem czuł nawet jego kształt w tylnej kieszeni - niby dodatkową część ciała.

Tak jak teraz, kiedy obserwował zлочyńców.

W innych warunkach miałyby notatnik otwarty na kolanach, a jego zapiski wyglądałyby mniej więcej tak:

75:55 Jewfish Creek

Zakamuflowany, Kucyk tankuje łódź.

Kłótnia - o co?

Zakupy - piwo, jedzenie.

Dołączają dwie osoby, mężczyzna, kobieta, niezidentyfikowane. On - bosy, łysy. Ona blond, pomarańczowe szorty.

Tom Krome czynił te obserwacje automatycznie, siedząc z JoLayne w wysłużonej łodzi. Oboje byli obolali i zmęczeni po nocy spędzonej na pokładzie skiffu. Dogonili szajbusów tylko po to, by obserwować, jak motorówka wpada z hukiem na trawiasty brzeg. Było to pierwsze z wielu lądowań; bandyci miotali się godzinami, taranując różne

przeszkody. Tom i JoLayne, zdumieni nieudolnością ściganych, podążali za nimi w przyzwoitej odległości.

Teraz ich skiff przycumował u ujścia płytkiej zatoki, skąd mieli widok na doki w Jeffish Creek, gdzie oszłomom w końcu udało się wylądować.

- Szkoda, że nie mam lornetki - narzekał Krome.

JoLayne powiedziała, że nie potrzebuje lornetki.

- To on, jestem pewna.

- Jaki on?

- Shiner z Grab N'Go.

- Hej! Kto wie, czy nie masz racji.

- Parszywy gówniarz. Teraz rozumiem, dlaczego skłamała, kiedy pytaliśmy o bilet Lotto. Zlecili mu zadanie, diabli ich nadali!

Krome uznał, że JoLayne zniosła to bardzo spokojnie, zważywszy na okoliczności.

- I wiesz co? - mówiła dalej. - Dziewczyna w szortach przypomina tę małą z Hootersa.

Krome rozciągnął usta w uśmiechu.

- Tę, którą podrywali poprzedniej nocy. Tak! - Patrzył, jak Bodean Gazzer, łysy Shiner i facet z kucykiem holujący blondynkę wsiadają do skradzionej łodzi.

- Ich czworo na nas dwoje - stwierdziła JoLayne z zadumą.

- Fantastycznie! - Krome pocałował ją w czoło. - Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić.

- Zwariowałeś?

- Mówię o tej małej. Jej obecność wszystko zmienia.

- Ciekawe, jak do tego doszedłeś.

- Choćby nie wiem jaki wspaniały mieli plan, w tym momencie legł w gruzach.

JoLayne nigdy jeszcze nie widziała go w stanie takiego podniecenia.

- Na małej łódce mamy trzech nawiedzonych kretyków i jedną piękną kobietę - powiedział. - Skarbie, burza na horyzoncie.

- Zamierzam się obrazić w imieniu wszystkich kobiet.

- Nie musisz. Mówię przecież o mężczyznach. O tym, jacy są. Spójrz na tych półgłówków. Uważasz, że potrafią poradzić sobie z taką dziewczyną?

JoLayne uzmysłowiła sobie, że Tom ma rację. Kradziona łódź zmieniła się w bombę z opóźnionym zapłonem. Wybuchnie przy pierwszej kłótni - o papierosy, ostatnie zimne piwo... albo kradziony bilet loteryjny.

- Potrzebne nam było coś, co rozproszy ich uwagę - cieszył się Tom. - Nasze modły zostały wysłuchane.

- A więc niech Bóg błogosławi Hootersa. - JoLayne ruchem głowy wskazała doki. - Tom, oni idą w naszą stronę.

- Widzę.

- Nie powinniśmy się schować?

- Nie. Zachowaj spokój i poczekaj, aż nas miną. Odwróć się do mnie.

- Hej, chwileczkę! Czy to będzie pocałunek?

- Długi i romantyczny. Żeby nie zobaczyli naszych twarzy.
- Już się robi kapitanie.

Sędzia Arthur Battenkill junior był inteligentnym człowiekiem. Wiedział, że szczątki Champa Powella zostaną w końcu zidentyfikowane. Niedosmażony kawałek skóry był już w drodze na badania DNA w laboratorium FBI.

Niełatwo wyjaśnić obecność martwego pisarza sądowego w podpalonym domu kochanka żony, zwłaszcza jeżeli kochanek wróci i podniesie raban. A ten drań Tom Krome z pewnością to zrobi.

Arthur Battenkill wiedział, że jego kariera prawnicza zakończy się niesławnie, jeżeli nie weźmie byka za rogi. Będąc człowiekiem nie tylko mądrym, ale i praktycznym, postanowił złożyć rezygnację i wyjechać z kraju.

Zaczynanie wszystkiego od nowa będzie kosztowne. Sędzia postanowił, że nowe życie na Bahamach - lub tam, gdzie zdecydują się z Katie osiedlić - sfinansuje mu firma ubezpieczeniowa supermarketu Save King. Dlatego zadzwonił do adwokata Emila LaGorta.

Emil LaGort był powodem w procesie cywilnym w sądzie Arthura Battenkilla. Jeżeli chodzi o ścisłość, był powodem w wielu procesach od Apalachicola do Key West, naciągaczem ubezpieczeniowym, specjalistą od „potknąłem się i upadłem”. Miał siedemdziesiąt cztery lata, co zdaniem sędziego oznaczało, że może się faktycznie potknąć i upaść.

Dlaczego nie teraz? - dumał Arthur Battenkill. Dlaczego nie w sprawie z Save King Supermarket?

Emil LaGort pozwał sklep na pięć milionów, ale chętnie zrezygnowałby z roszczeń za pięćdziesiąt patoli plus zwrot kosztów. Robił to zawodowo. Toteż jego adwokat zdumiał się niepomierne, otrzymałszy telefon od sędziego Arthura Battenkilla juniora.

Zazwyczaj Emil LaGort stronił od sędziów - jeżeli strona nie chciała pójść na ugodę, cichutko wycofywał zarzuty. Proces był czasochłonną niedogodnością, na którą po prostu nie mógł sobie pozwolić. Preferował szybkie ugody.

Większość firm ubezpieczeniowych nawet nie podejmowała walki z sędziwym renciastą uskarżającym się, że doznał obrażeń na terenie obiektów posiadaczy polis. Większość firm ubezpieczeniowych wolała oszczędzić ławie przysięgłej widoku Emila LaGorty na wózku i w gorsecie ortopedycznym. Płacili mu więc, żeby się odczepił.

Skarga przedłożona w sądzie Arthura Battenkilla była dość typowa. Emil LaGort twierdził, że robiąc pewnego ranka zakupy w Save King poślizgnął się i upadł, co spowodowało trwałe uszkodzenie kręgosłupa. Suponowano, że wypadek miał miejsce w wyniku poważnego zaniedbania ze strony obsługi sklepu, która pozwoliła, by tuba maści na hemoroidy leżała na podłodze w dziale zdrowia i higieny, gdzie została rozjechana przez jeden lub więcej wózków sklepowych, co spowodowało rozmazanie się śliskiej zawartości. Pracownicy Save King nie podjęli żadnych wysiłków zmierzających do usunięcia niebezpiecznej tuby bądź ostrzeżenia klientów o zagrożeniu, które to zaniedbanie

było bezpośrednią przyczyną poważnego i trwałego uszczerbku na zdrowiu Emila LaGorta.

Prawnik Emila LaGorta zakładał, że sędzia Arthur Battenkill junior, jak wszyscy zaznajomieni ze sprawą, wie, że Emil celowo zrzucił tubę z półki, podeptał i ułożył się w malowniczej pozie na podłodze działu zdrowia i higieny. Z całą pewnością nie spodziewał się, że sędzia zadzwoni do niego w niedzielny poranek i powie:

- Lenny, w interesie twojego klienta jest przyjęcie twardej linii.
- Ależ panie sędzio, chętnie pójdziemy na ugodę.
- To byłaby duża strata.
- Zaproponowano nam sto tysięcy.
- Możecie wyciągnąć więcej, Lenny. Zaufaj mi.

Adwokat próbował zachować zimną krew.

- Ale ja nie jestem przygotowany do procesu!

- Coś wymyślisz - powiedział Arthur Battenkill. - Ten zasmarkany facet, którego powołujesz zawsze jako naoczego świadka, ten z myszaty tupecikiem. Albo ten kłamczuch neurolog z Lauderdale. Poradzisz sobie przecież.

- Chyba tak. - Adwokat zaczynał się orientować w sytuacji.

- Pozwolisz, że spytam: czy pan LaGort byłby usatysfakcjonowany sumą, powiedzmy... dwustu pięćdziesięciu tysięcy?

- Panie sędzio, pan LaGort byłby uszczęśliwiony jak cholera! - I ja również, dodał w myślach, przy moich trzydziestu pięciu procentach.

- W porządku, Lenny, spróbujmy wobec tego zaoszczędzić pieniądze podatników. Jutro z samego rana spotkamy się wszyscy w sądzie. Zakładam, że po tym spotkaniu pozwani będą skłonni zawrzeć ugodę.

- Za dwieście pięćdziesiąt.
- Nie, za pół miliona. Czy mnie rozumiesz, Lenny?

W słuchawce zapadła krępująca cisza.

- Może powinniśmy omówić tę sprawę osobiście - powiedział w końcu adwokat.

- Telefon jest czysty - zapewnił sędzia.

- Skoro pan tak twierdzi.

- Pięć stów to w sam raz - ciągnął sędzia. - Firma ubezpieczeniowa Save King będzie to w stanie przelknąć. Proces jest zbyt ryzykowny, nigdy nie wiadomo, kto ci się trafi na ławie przysięgłych.

- Amen - powiedział prawnik.

- Następne pytanie: Czy pan LaGort da się przekonać, że koszty sądowe są w tej sprawie wyjątkowo wysokie?

- Panie sędzio, za takie pieniądze pan LaGort da się przekonać, że krowy dają drop-sy.

- Dobrze - powiedział sędzia Arthur Battenkill. - Wiesz, co zrobić z połową sumy odszkodowania.

- Wiem?
- Umieścić w depozycie bankowym.
- Rozumiem.

- Następnie przelać je na konto, którego numer podam ci później.
- A!
- O co chodzi tym razem?
- Nigdy tego nie robiłem w ten sposób.
- Lenny, czy ja wyglądam na ulicznego oprycha? Uważasz mnie za pospolitego cymbała?
- Nie, panie sędzio.
- Mam nadzieję. Á propos, w przyszłym tygodniu zostanie ogłoszona moja rezygnacja z powodów zdrowotnych. Powiedz panu LaGortowi, że to nie ma nic wspólnego z jego sprawą.
- Adwokatowi udało się wykrzesać z siebie szczerą troskę.
- To bardzo przykre. Nie wiedziałem, że pan choruje.
- Sędzia roześmiał się sardonicznie.
- Lenny, nie jesteś specjalnie bystry, co?
- Chyba nie, panie sędzio.

Mary Andrei Finley Krome w głowie nie powstało, że gazeta może się mylić w sprawie śmierci jej męża. Wyjechała otoczona wzmożonym współczuciem Loretty (a może była to Lorie?) i nowych znajomych z obsady „Menażerii”, otrzymawszy od dyrektora teatru obietnicę, że rola Laury Wingfield będzie na nią czekała w Missoula.

Mary Andrea nie zamierzała tam wracać. Zakładała, że przed sławną wdową otworzą się zupełnie nowe możliwości.

W czasie długiego lotu przygotowała się do roli popularnej osoby publicznej, którą spodziewała się zostać na Florydzie. Wiedząc, że czekają ją wywiady, próbowała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni widziała Toma. I tu pamięć ją zawiodła. Zapewne miało to miejsce w mieszkaniu w Brooklynie, przy śniadaniu w kuchni. Tam zwykle Tom inicjował tak zwane poważne rozmowy o ich małżeństwie. Zapewne wstała od stołu i udała się do sypialni, żeby wyregulować sobie brwi - tak zwykle reagowała na próbę dyskusji o rozwodzie.

Całkowicie pewna była tylko tego, że pewnego ranka, mniej więcej cztery lata temu, nie zastała go rankiem przy stole. I tyle.

Poprzedniej nocy wróciła z próby bardzo późno i usnęła na kanapie. Spodziewała się, że obudzi ją, jak zwykle, odgłos chrupania płatków kukurydzianych. Ulubione płatki Toma miały konsystencję granitu.

Z tego poranka najlepiej zapamiętała ciszę panującą w mieszkaniu. No i krótką wiadomość, której nie można było wziąć poważnie (z racji tego, że została przyczepiona taśmą klejącą do pudełka płatków).

JEŻELI MNIE OD SIEBIE NIE UWOLNISZ, ZNAJDĘ KOGOŚ, KTO TO ZROBI,

Znacznie później odkryła, że Tom ściągnął to z piosenki Warrena Zevona, irytujący szczegół, który tylko umocnił ją w postanowieniu, że pozostanie zameżna.

Kiedy naprawdę widziała męża po raz ostatni, co do niej powiedział, co miał na sobie, w jakim był humorze - tego Mary Andrea na pamiętała.

Pamiętała natomiast, co robiła tego popołudnia, kiedy zadzwonił adwokat, ten gnój Turnquist. Czytała „Daily Variety” i robiła ćwiczenia wokalne. Turnquist powiedział, że Tom daje jej ostatnią szansę, żeby się spotkać i omówić szczegóły, zanim wystąpi o rozwód. Pamiętała, że udało się jej zachichotać beztrudnie. Powiedziała adwokatowi, że padł ofiarą żartu, który jej mąż robi co roku, w rocznicę ślubu. Pamiętała, że odłożyła słuchawkę, wybuchnęła płaczem i zjadła trzy batony czekoladowe.

W porównaniu z rozstaniem, o jakich czyta się w gazetach, rozpad jej małżeństwa wypadł trochę blado. Mary Andrea nie zamierzała rozpoczynać wdowieństwa od zanudzenia prasy. Spoglądając przez okienko samolotu na strome zbocza Gór Skalistych, wymyśliła scenę rozstania, którą mogła bez wstydu opisać dziennikarzom. To się stało, powiedzmy, sześć miesięcy temu. Tom przyjechał do niej, powiedzmy, do Lansing, gdzie występowała w „Bulwarze Zachodzącego Słońca”. Przyszedł już po rozpoczęciu przedstawienia i usiadł w ostatnim rzędzie, a potem zjawiał się za kulisami z bukietem bladoróżowych róż. Powiedział, że za nią tęskni, że powinni zacząć wszystko od nowa. Umówili się nawet na kolację, powiedzmy, w następnym miesiącu, kiedy Mary Andrea wróci na Wschód z „Owcami”.

Brzmi całkiem niezłe, pomyślała Mary Andrea. I kto powie, że tak nie było? Albo mogło być, gdyby Tom nie zmarł?

Stewardesa dołała jej dietetycznej coli. Łzy nie stanowią problemu, myślała dalej Mary Andrea. Na widok kamery mam ich litry. Do licha, już teraz mogłabym zacząć płakać.

Wszystko to było takie smutne. Bezsensowna śmierć młodego, utalentowanego i w gruncie rzeczy dobrego człowieka.

I co z tego, że nie leżała nocami bezsennie, chora z tęsknoty? Nie znała go na tyle, by za nim tęsknić. To też było trochę smutne. Wyobrazić sobie intymność i bliskość, jakiej nie zaznała.

Mary Andrea Finley pogmerala w torebce i wyłuskała różaniec, który kupiła w sklepiku z dewocjami w Missoula. Wsiadając z samolotu będzie go trzymała w dłoni i zdławionym głosem napomknie, że to prezent od Toma.

Bo mógłby być, gdyby biedaka nie zamordowali.

20.

JoLayne Lucks usiadła tak gwałtownie, że łódź się zachybotwała.

- Boże, co za koszmarny sen!

Krome położył palec na ustach. Zgasił silnik i dryfowali w ciemności w stronę wyspy.

- Byliśmy w balonie - ciągnęła JoLayne. - W żółtym, tak jak poprzednio, i ty nagle zażądałeś połowy wygranej.

- Tylko połowy?

- To było zaraz po tym, jak odzyskailiśmy bilet. Zażądałeś podziału pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Dziękuję ci, agencie Moffitt, gdziekolwiek jesteś.

- Co?

- On ci podsunął taką myśl.

- Wcale nie. Wręcz przeciwnie, powiedział, że nie wyglądasz na typowego ciułacza.

- Przestań, bo się zarumienię.

Była to wietrzna noc, po niebie pędziły pierzaste chmury, z północy nadciągał front chłodny. Podchodzili do wyspy szerokim łukiem. Na lesistym brzegu, czarnym i cichym, nie było widać śladu życia. Krome miał nadzieję, że bandyci, zajęci rozładowaniem ekwipunku, nie zdążyli wysłać nikogo na zwiady.

- Jesteś pewny, że nas nie zauważyli?

- Niczego nie jestem pewny.

Możemy sobie podać ręce, pomyślała JoLayne.

Najwyraźniej Tom zamierzał trwać przy niej do końca. Dlaczego? Co z tego miał? W końcu musiała zadać pytanie, które odsuwała od siebie od pierwszego dnia ich znajomości.

Krome nie powiedział nic, co mogło zrodzić wątpliwości JoLayne; jej nieufność była wynikiem wieloletnich doświadczeń z mężczyznami.

Skiff zbliżył się do mangrowców i usłyszała głos Toma:

- Uwaga!

Łódź przechylała się, kiedy wskoczył do wody. Ruszył ku brzegowi, holując motorówkę na linie.

- Bądź ostrożny - szepnęła.

- Woda jest ciepła.

- A komary?

- Nienachalne.

To dzięki tej bryzie, pomyślała JoLayne. Komary lubią gorące, bezwietrzne noce. Gdyby to był sierpień, zjadłyby nas żywcem.

- Widzisz miejsce na przycumowanie? Może tam?

- Tam właśnie idę.

Wyrwa w lesie nie była większa niż skiff. Krome kazał JoLayne położyć się na dnie łodzi i zakryć twarz. Gałęzie drapały jej nagie ramiona, kiedy przepychał łódź przez płataninę mangrowców, fragment pajęczyny dostał się w jej włosy. Bardziej przeraził ją chrobot korzeni o kadłub, ale Tom nie zdradzał oznak niepokoju. Doholował łódź do brzegu i pomógł JoLayne wysiąść.

Rozpakowali się w piętnaście minut. Przy świetle latarki rozwinęli i naładowali remingtona. Po raz pierwszy od zachodu słońca JoLayne zobaczyła twarz Toma i poczuła się różniej.

- Może rozpalimy ogień? - zaproponowała.

- Jeszcze nie teraz. - Oparł karabin o drzewo i wyłączył latarkę. - Posiedźmy tak chwilę i posłuchajmy.

Wibrująca cisza działała kojąco; nic, tylko bzyczenie owadów i chlupot fal. Ten spokój przypomniał JoLayne wieczór w Simmons Wood, kiedy obserwowali jelenia przy wodopoju.

Tylko że tym razem Tom ścisnął jej rękę.

- Znalazłeś dobre miejsce. Tutaj jesteśmy bezpieczni.

- Coś słyszę.

- To tylko wiatr.

- Nie wiem.

- Tom, to wiatr. - Od razu było widać, że nieczęsto nocuje pod gołym niebem. -

Rozpalmy ognisko.

- Wyczują dym.

- Tylko wtedy, jeżeli nie palą własnego - powiedziała. - Założę się o pięć dolców, że palą. Założę się, że tej małej marznie pupa w fikuśnych szortach.

Tom połamał dużą gałąź, a JoLayne wykopała dołek w piasku. Na rozpałkę użyli wyschniętych wodorostów, które znaczyły linię brzegu. JoLayne przysunęła się do ognia, grzejąc nagie ramiona. Tom zdjął brezentowy dach ze skiffa i rozpostarł na ziemi. JoLayne zasugerowała, żeby przesunął płachtę na nawietrzną. Inaczej dym będzie im leciał do oczu.

- Dobra myśl. - Był spięty.

Usiedli blisko ognia - Tom z colą i batonem muesli, JoLayne z piwem imbirowym, paczką krakersów i remingtonem.

- Wszystkie wygodny domowe - powiedziała.

- Aha.
 - Brakuje tylko radia. Whitney byłaby bardzo na miejscu. - Żeby go rozśmieszyć, zaśpiewała wysokim głosem: „Aahheeeayyy will all-ways love youaaaaoooo...”
 - Uśmiechnął się blade.
 - Coś nie tak? - zapytała.
 - Jestem po prostu zmęczony.
 - Najwyższa pora.
 - Musimy iść na przespjegi o świcie, kiedy będą jeszcze spali.
 - Mogą wstać bardzo wcześnie.
 - Wątpię. Kupili skrzynkę piwa - powiedział Tom.
 - A więc o świcie. I co dalej?
 - Podchodzimy tak blisko, żeby widzieć i słyszeć, co się dzieje. W ten sposób będziemy wiedzieli, kiedy atmosfera zacznie się psuć.
 - Mam nadzieję, że się nie mylisz. Co potem?
 - Wyeliminujemy ich jednego po drugim.
 - Mówisz poważnie?
 - Nie za pomocą karabinu, JoLayne. Chyba że nie pozostawią nam wyboru.
 - Rozumiem.
- Tom otworzył puszkę tuńczyka i wyłożył zawartość na papierowy talerz. JoLayne podziękowała gestem, zanim zdążył zaproponować jej kolację.
- Myślałem o twoim śnie - powiedział.
 - O!
 - Nie dziwię się, że jesteś podejrzliwa. Tylko głupiec nie miałby wątpliwości.
 - Nie jestem podejrzliwa...
 - Posłuchaj - przerwał jej. - Gdybym nie uczestniczył w tej historii, tylko ją opisywał, moje pierwsze pytanie brzmiałoby: „Skąd wiesz, że facet nie dybie na twoje pieniądze?” Mogę cię tylko zapewnić, że nie dybie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy, taka jest prawda. Co rodzi pytanie: Dlaczego nadstawiam karku dla kobiety, którą znam od tygodnia?
 - Ponieważ jestem kimś wyjątkowym? - zapytała JoLayne z ustami pełnymi krakersów.
 - Hej, próbuję z tobą poważnie porozmawiać.
 - Nie potrafisz wyjaśnić, dlaczego tu jesteś, chociaż zawodowo trudnisz się składaniem słów do kupy. Inteligentny mężczyzna, znakomity dziennikarz rzuca wszystko, całe dotychczasowe życie dla nie wiadomo czego.
 - Niewiarygodne, wiem. - Zapatrzył się w przestrzeń ponad ogniskiem. - To się wydawało... konieczne.
- JoLayne pociągnęła łyk piwa imbirowego.
- Skoro żadne z nas nie potrafi wyjaśnić motywów twojego postępowania, rozważmy możliwości.
 - Ognisko przygasa.
 - Siedź spokojnie - powiedziała JoLayne. - Na początek weźmy seks.
 - Seks?

- Tak. Seks to coś, co robiliśmy wczoraj w nocy w motelu. Pamiętasz? Rozbieramy się do naga i jedno z nas wchodzi na...
- Twoim zdaniem ryzykuję, że zostanę zmasakrowany przez psychopatów, po to tylko, by zaciągnąć cię do łóżka?
- Niektórzy faceci są gotowi na wszystko.
- Nie obraż się, ale nie jestem do tego stopnia spragniony uczucia.
- Doprawdy? Wyjąwszy ostatnią noc, kiedy ostatnim razem kochałeś się z kobietą?
- Tydzień temu.

JoLayne zatrzepotała powiekami.

- Żona sędziego. - Krome wstał, żeby dorzucić do ognia. - Wygląda na to, że prowadzi rejestr naszych spotkań. Mógłbym poprosić o kopię, jeżeli ci na tym zależy.

JoLayne zniosła to bardzo dobrze.

- Jeżeli nie seks, to może szaleńcza odwaga?

Tom zaśmiał się niewesoło.

- Chciałbym!

- Poczucie winy białego człowieka?

- To możliwe.

- Albo próbujesz coś sobie udowodnić.

- Blisko, blisko, coraz bliżej. - Położył się, zakładając ręce za głowę. Widać było, że jest wyczerpany.

- Hej, przegapiliśmy losowanie Lotto.

- Faktycznie! To było wczoraj, tak? Coś nam przeszkodziło. - W torebce znalazła kupony Lotto skonfiskowane przez Moffitta w mieszkaniu Bodeana Gazzera. Rozłożyła je, jak królewski sekwens.

- Czujesz się zwyciężcą?

- Szczęściarzem.

- Ja też. - Wrzuciła kupony do ognia.

Bodean Gazer i Chub pokłócili się, zanim jeszcze dotarli do Pearl Key. Kością niezgody stała się nowo nabyta mapa morska Florida Bay, której żaden z nich nie potrafił odcyfrować. Chub obwiniał za to Bode'a, a Bode obwiniał kartografów z Krajowego Zarządu Oceanicznego i Atmosferycznego, którzy celowo zmienili nazwy kanałów, by udaremnić ucieczkę zbawcom Ameryki takim jak Biali Heroldowie Aryjscy. Tym razem Chub nie uwierzył.

W rezultacie wpakowali się parokrotnie na mieliznę, co spowodowało poważne uszkodzenie aluminiowych śrub. Motorówka trzeszczała w spojeniach.

W Chubie wszystko gotowało się ze złości. Zamierzał zaimponować Amber marynarskimi umiejętnościami, a tymczasem po trzeciej pomyłce nawigacyjnej usłyszał: „To żart, prawda?”

Stał akurat po pas w wodzie, walcząc z falą i ze wszystkich sił pchał pawęż. Bode Gazer taplał się obok, na sterburcie. Amber była w łódce z Shinerem.

- To żart, prawda?
- Dobrze by było - odpowiedział Shiner.

Pieprzony gnojek, pomyślał Chub.

Dysząc z wysiłku, zwrócił myśli ku dwóm biletom loteryjnym. Oba zostały przełożone do konsoli sterowniczej; Chub wsadził tam swój, ponieważ był nadal mokry po ostatnim wypadku, Bode zaś musiał to zrobić, kiedy Chub zażądał, żeby kumpel włożył z nim do wody.

Konsola miała lipne, plastikowe drzwiczki, które się nie domykały. Chub postanowił, że strzeli Shinerowi w kolano, jeżeli się tylko do nich zbliży.

Noc zapadła, zanim wylądowali na Pearl Key. Bode Gazer zapalniczką rozpalil ognisko. Chub rozebrał się do majtek i rozwiesił ubranie w mangrowcach. Shiner otrzymał polecenie rozładowania łodzi. Nie mógł uwierzyć, że Chub paraduje po obozie w dezabilu, na oczach Amber.

- Chcesz płynu na komary? - zapytał ją Chub.
- Zimno mi - powiedziała.

W mgnieniu oka Shiner zjawil się z wojskowym kocem. Chub wyrwał mu go z ręki i otulil ramiona Amber. Wręczył jej pojemnik z aerosolem i powiedział:

- Opryskaj mi nogi, dobra?

Wykonała polecenie. Nie widzieli wyrazu jej twarzy ukrytej w cieniu przysadzistego Chuba. Bode Gazer podniósł wzrok znad kupki drewnienek. Uważał, że to szczyt głupoty - jednostka paramilitarna to nie miejsce dla takiej dziewczyny. Shiner był nie mniej oburzony, choć z zupełnie innego powodu.

- W plecaku są suche ciuchy - powiedział piskliwym głosem.

Chub go zignorował. Czuł się zupełnie swobodnie w upakowanych błotem slipach.

- No, Amber - powiedział. - Gdzie spaliście poprzedniej nocy?
- W samochodzie.

Chub rzucił ostre spojrzenie Shinerowi, który powiedział:

- Przy drodze.
- Ach tak?

- O co ci właściwie chodzi? - Shinerowi nie podobał się inkwizytorski ton Chuba. Czuł się przy majorze jak winowajca.

Amber pośpieszyła chłopcu z pomocą.

- Mam forda sedana. Można upchnąć w nim drużynę futbolową - powiedziała. - Ja spałam na tylnym siedzeniu, Shiner z przodu. Coś jeszcze chciałbyś wiedzieć?

Chub zaczerwienił się po korzonki włosów. Wcale nie chciał jej zdenerwować - kurczę, niektórym dziewczynom zazdrość pochlebia. Poczęstował ją budweiserem.

- Nie, dziękuję.
- Suszonego mięska?
- Chyba nie.

- Musimy zwołać naradę - powiedział Bode Gazer. - Złotko, czy mogłabyś zostawić nas samych na pół godziny?

Amber spojrzała w stronę czarnej linii drzew i przeniosła wzrok na Bode'a.

- Dokąd niby mam pójść?

Shiner przekonywał, że dziewczyna może zostać.

- Wie, kim jesteśmy, i popiera w stu procentach nasz program.

Tym razem złe spojrzenie rzucił mu pułkownik. Shiner się nie uląkł.

- Naprawi mój tatuaż!

- Szkoda, że nie rozum - warknął Chub.

Bodean Gazer czuł, jak nowo powstała milicja wymyka mu się z rąk. Amber będzie musiała się zamknąć i słuchać poleceń, to wszystko. Jej obecność wprowadzała ferment w jednostkę - jej obecność, a zwłaszcza jej zapach. Choć Bode witał z radością każdą woń dość silną, by zabić smród Chuba, perfumy Amber go dławily. Zamulały mu umysł nieczystymi wizjami, czasem aż prawie namacalnymi. Bode był wściekły na siebie, że fantazjuje, kiedy powinien skupić wszystkie siły na przetrwaniu.

Rozpostarł brezent na ziemi i wezwał zebranych do zajęcia miejsc. Amber usiadła po turecku na środku płachty, z Shinerem i Chubem po bokach.

- Jak wiecie - zaczął Bode - znaleźliśmy się na tej wyspie ponieważ coś... ktoś, kto przyjął nazwę Czarnej Fali, chce nas zniszczyć. Nie mam wątpliwości, że jest to operacja czarnych, bardzo sprawna, trzeba przyznać. Spodziewam się, że odnajdą nas prędzej czy później. Przyjechaliśmy tutaj, żeby się przegrupować, doprowadzić uzbrojenie do porządku i okrzepnąć.

Całym swoim chrześcijańskim sercem wierzę, że oprzemy się tej sile. Jednak żeby zniszczyć tych czarnych skurwieli, musimy być gotowi, musimy być drużyną: uzbrojoną, zdyscyplinowaną i zorganizowaną. Wkrótce Ameryka zostanie zaatakowana - o tym nie muszę wam przypominać. Trybunał Nowego Świata, komuniści, NATO i tak dalej. Walka z Czarną Falą będzie naszą próbą ogniową... O co chodzi?

Dziewczyna Hootersa trzymała rękę w górze.

- Masz pytanie?

- Aha. O co wam chodzi?

- Słucham?

- Jaki macie program?

- Jesteśmy Białymi Heroldami Aryjskimi. Wierzymy w czystość i wyższość rasy eurokaukaskiej. Uznajemy, że nasze wartości chrześcijańskie zostały zdradzone przez rząd Stanów Zjednoczonych...

Mówiąc rzucił palące spojrzenia Chubowi. Jak zamierza wygrać wojnę rasową z kelnerką płaczącą się pod nogami?

Chub nie był zirytowany wystąpieniem Amber; był zajęty zaglądaniem jej w nogawki szortów. Za to Shiner słuchał z nabożną uwagą. Idąc za przykładem Amber, podniósł rękę.

- Co znowu?!

- Pułkowniku, powiedziałeś euro-coś...

- Eurokaukaska.

- Mógłbyś wyjaśnić co to takiego? - poprosił Shiner.

- Biali ludzie - warknął Bode Gazer. - Biali ludzie, których przodkowie pochodzą z takich miejsc jak Anglia albo Niemcy.

- Irlandia? - zapytała Amber.

- Tak. Dania, Kanada... - Nie do wiary, co za kretyni! Idea czystości rasy nie jest przecież aż tak skomplikowana.

- Mają białych w Meksyku - zauważył Shiner.

- Bzdura!

- Jeden chłopak pracował na dzienną zmianę w Grab N'Go. Miał na imię Billy. Wydawał się bardzo biały, pułkownik.

Bode stracił panowanie nad sobą. Podeszedł do Shinera i kopnął go w skroń. Shiner krzyknął i upadł na kolana Amber. Chub przyglądał się temu chory z zazdrości.

Bode pochylił się, ujmując Shinera za podbródek.

- Posłuchaj, gówniarzu! Nie istnieje coś takiego na bożym świecie jak biały Meksyk, obojętnie jak mu na imię. Białych Kubańców i Latyńców też nie ma.

- Ale Hiszpania leży w Europie- zauważyła spokojnie Amber, głaszcząc Shinera po ostemplowanej czaszce.

- Ona ma trochę racji - wtrącił Chub, zirytowany brakiem uwagi ze strony Amber. Odwrócił się w stronę dziewczyny i powiedział kpiąco: - Ten facet nie potrafi nawet powiedzieć „czarnuch”.

Bodean Gazer wziął głęboki oddech i obszedł wolno ognisko. Musiał odparować, musiał zachować spokój i trzeźwość myślenia.

- Kiedy mówię o rasie eurokaukaskiej, mówię o bardzo białych ludziach. Inaczej nie potrafię wam tego wyjaśnić. Mówię o dziedzictwie aryjskim, które łączy nas czworo.

- No dobra, wal dalej - powiedział Chub niecierpliwie. Ku jego niebotycznej uldze, Shiner usiadł, uwalniając nogi Amber. Blask płomieni nadawał ciepły połysk jej nylonowym rajstopom; Chub hamował się z najwyższym trudem, żeby ich nie pogłaskać. Uległ już po paru minutach.

Amber grzmotnęła go w twarz.

- Zobacz, co zrobiłeś! - krzyknęła.

Chub przyczepił się czymś do rajstop. Stwierdził z przygnębieniem, że są to krabie szczypcy.

Amber zamierzyła się po raz drugi. Chciała pokazać porywaczom, że jest bojowniczką i drogo zapłaci za każde dotknięcie. Była to kardynalna zasada kelnerstwa: bronić swojej godności.

Próbując wyplątać się z rajstop, Chub przewrócił piwo.

- Ja to zrobię! - warknęła Amber.

Bode Gazer splunął z oburzeniem w ogień. Shiner był wstrząśnięty sceną rozgrywającą się przed jego oczami. Strach Amber przed gwałtem nie wydawał się już przesadzony, a on nie potrafił wypełnić rycerskiego przyrzeczenia, że będzie jej bronił. Chub był o tyle większy i bardziej bezwzględny; Shiner mógł zgładzić go tylko podczas snu, nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Szczypcy kraba pozostawiły poszarpaną dziurę w rajstopach Amber.

- Cholera! - mruknęła. - Jesteś zadowolony, Romeo? - Były to zalecanki wstyłu Tony'ego.

Chub kazał jej się uspokoić. Sięgnął do lodówki po kolejne piwo. Potem przyniósł irchę i rozłożył na niej (rechocząc szyderczo) zbywające elementy AR-15. Bode udawał, że nie zwraca na to uwagi.

Amber wzięła latarkę i poszła do lasu zmienić ubranie. Po chwili ukazała się w jednym z kamuflażowych garniturków Bode'a Gazzera.

Na jej widok Chub spochmurniał. Żałował króciutkiej bluzeczki i jedwabnych szortów. Próbował sobie wyobrazić Kim Bassinger w myśliwskich portkach i nie potrafił. Natomiast zjawisko w kamuflażach zupełnie oszołomiło Bode'a Gazzera. W jego kamuflażach!

- Zamykam zebranie - powiedział i usiadł ciężko.

Amber zaczęła się naprawdę bać, ale postanowiła, że tego nie okaże. Podeszła prosto do Chuba i powiedziała:

- Musimy porozmawiać.

- Jak złożę karabin.

- Nie! Zaraz.

Wzięła go za rękę - tę z kleszczem! - i zaprowadziła w cień drzew mangrowych. Shiner patrzył za nimi z wyrazem niedowierzania na twarzy. Czy ta dziewczyna zwariowała?

Bode Gazzer również nie był zachwycony. Złapał się na tym, że zaciska zęby; tylko kobieta była zdolna doprowadzić go do takiego stanu. Nie bądź głupi, powiedział sobie. Nie czas na zaloty. A jednak nie mógł przestać o niej myśleć, o tym, jak będą pachniały kamuflaże, kiedy ona je z siebie zdejmie. Lub kiedy Chub je z niej zerwie, a wtedy on, Bode Gazzer, będzie go musiał zastrzelić. Wyłącznie dla zachowania dyscypliny.

Zagłębiwszy się dziesięć kroków w las, Amber odwróciła się i zaświeciła Chubowi latarką w twarz.

- Wiem, czego chcesz - powiedziała.

- Geniusza do tego nie trzeba.

- Można to załatwić na dwa sposoby. Możesz mnie zgwałcić, a ja będę cię nienawidziła do śmierci, albo możemy się bliżej poznać i spróbuję cię polubić.

Chub mrużył zdrowe oko przed światłem. Nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy.

- Powiedziałbym, że już mnie lubisz. Na to wyglądało, tam w restauracji.

- Pozwól, że coś wyjaśnię; to, że się uśmiecham do klienta, nie oznacza, że chcę się z nim pieprzyć!

Chub zadrżał od stóp do głowy na dźwięk tego słowa.

- Jeżeli mnie zgwałcisz - ciągnęła Amber - będzie to najgorszy stosunek, jaki miałeś z kobietą. Najgorszy!

- Bo co?

- Bo nie ruszę nawet palcem, nie odetchnę. Będę leżała jak worek piachu, jak martwa kłoda. Kto wie, czy nie będę patrzyła na zegarek.

Podsunęła mu pod nos przegub z zegarkiem.

- Jezu Chryste! - Chub teraz żałował, że nie włożył spodni.
 - Albo możemy się zaprzyjaźnić - mówiła Amber. - Myślisz, że dasz radę?
 - Jasne. - W uszach mu dzwoniło. Klepnął się w głowę otwartą dłonią.
 - Komary - powiedziała Amber. Odgoniła je.
 - Dzięki.
 - Umowa stoi? - Wyciągnęła rękę i Chub podał jej swoją. Przez chwilę zastanawiał się, czy od razu nie rzucić dziewczyny na ziemię i nie wypieprzyć, ale zrezygnował. Pieprzenie zimnej kłody nie może należeć do przyjemności, nawet jeżeli ta kłoda wygląda jak gwiazda filmowa. Cholera, dziwki przynajmniej udają, że im się to podoba.
 - To jakich facetów lubisz? - zapytał. - Ten twój narzeczony nie jest za uprzejmy.
 - Faktycznie nie jest.
 - Dlaczego z nim trzymasz? Bogaty?
 - Radzi sobie. - Wielkie kłamstwo.
 - Założę się, że ja jestem bogatszy - powiedział Chub.
 - Akurat!
 - Co powiesz na czternaście milionów dolarów?
- Światło latarki zgasło. Zapach perfum wzmógł się, jakby Amber podeszła bliżej. W ciemności dobiegły go słowa Amber:
- Wolne żarty.
 - Wcale nie żartuję. Czternaście milionów dolców.
 - Opowiedz mi o tym.
- Wiatr rozgonił chmury i przez parę chwil Chub widział jej oczy w świetle księżyca. Poczul swędzenie w pachwinie, jakby wracał do życia. Jego zakleszczona ręka powędrowała bezwiednie do krocza.
- Może wybierzemy się jutro na przechadzkę, tylko we dwoje - zaproponowała.
 - Mnie to odpowiada. - Był mile podekscytowany i dziwnie bez troski.
- Kiedy znów się odezwała, mówiła szeptem.
- Mam coś dla ciebie. - Ujęła jego rękę, rozwarła delikatnie dłoń i wsunęła w nią coś miękkiego.
- Wiedział, co to jest, nie patrząc. Jej pomarańczowe szorty.
- Drobny upominek dla przyjaciela - powiedziała.

21.

Po północy spadł zimny deszcz. Bodean Gazzer leżał skulony przy dogasającym ognisku, tam gdzie padł z wyczerpania. Chub spał w kokpicie „Reel Luv”. Do piersi przyciskał szorty Amber, butelkę piwa i tubkę kleju poliuretanowego, na który się natknął szukając miejsca na głowę. Odkręcił nakrętkę i umieścił klej w papierowej torbie na zakupy, żeby sobie powciągać. Amber wątpiła, czy burza go obudzi. Jego chrapanie przypominało dźwięki wydawane przez lokomotywę. Shiner stał na straży, mokry i opuszczony. Amber otrzepała z wody brezentową płachtę, umocowała ją między dwoma mangrowcami i zabrała Shinera z deszczu.

- Zaziębisz się na śmierć - powiedziała.
 - Nie wolno mi usiąść.
 - Nie bądź śmieszny.
 - Ale pułkownik...
 - Pułkownik odpłynął. Wyluzuj się - powiedziała Amber. - Co to za pistolet? Strasznie brzydki.
 - TEC-9.
 - Bałabym się wziąć go do ręki.
 - Jest niezły!
 - O niebo lepszy od śrubokrętu.
 - Ale wolę AR-15 - powiedział Shiner. - Boże, co za psia pogoda. Słyszałaś coś?
 - To tylko fale.
 - Mam nadzieję. - Poprzez drzewa majaczył zarys łodzi. Chub zarzucił kotwicę w wąskim kanale biegnącym wzdłuż brzegu.
 - Widoczność zerowa - stwierdził Shiner. Zauważył latarkę w dłoni Amber. - Chyba nie zamierzasz prysnąć?
- Roześmiała się głucho.
- Dokąd?

- Musiałbym cię zatrzymać. Taki mam rozkaz.

- Nigdzie się nie wybieram - rzekła Amber. - Opowiedz mi o forsie.

Shiner milczał przez chwilę. Wydawało mu się, że słyszy warkot helikoptera.

- NATO ma blackhawki. Pułkownik mówi, że stoją wzdłuż plaży na Andros.

Woda spływała z płachty potokami.

- Dzisiaj nie przylecą żadne helikoptery. Nie w taką burzę. Już prędzej możesz się spodziewać łodzi podwodnych.

- Uważasz, że to śmieszne?

- Aha! A najbardziej bawi mnie to, że zostałam wprowadzona.

- Czego chciał od ciebie Chub?

- A jak myślisz?

- Nie próbował niczego, no nie?

- Owszem, próbował. Próbował powiedzieć mi, że jest milionerem.

- Miał na myśli bractwo.

- Nie, miał na myśli siebie.

- Nie sądzę. - Shiner wydawał się zatroskany.

- Wspomniał o czterech milionach. To te pieniądze, które pomogłeś im ukraść, tak? - Amber trąciła go w ramię. - Tak czy nie?

Shiner odwrócił się w stronę łodzi.

- Czy on zabrał twoje spodenki? Tak powiedział.

Prawie go nie słyszała poprzez wiatr i szum drzew.

- Pokazał je nam. Te pomarańczowe szorty.

- Niczego nie zabrał. Sama mu je dałam. - Amber skierowała promień latarki na jego twarz. - Nie martw się, dam sobie radę.

- Skoro tak mówisz

- Jestem dorosła.

- Tak, ale on jest stuknięty - powiedział Shiner.

Zimne krople deszczu spłynęły po czole Amber. Zerknęła w górę i zobaczyła poły-skliwą bulwę na powierzchni brezentu, gdzie gromadziła się woda.

- Uważaj, kapie na twojego texa - powiedziała, zwracając promień światła na broń.

- Nie tex, tylko tec. - Wytarł pękatą lufę rękawem.

- Nadal niepokoją cię helikoptery?

- Nie.

- Forsa?

- No!

- Gdzieście zgarnęli tyle szmalu? Obrabowaliście Fort Knox, czy co?

- Ukradliśmy bilet Lotto.

- Żartujesz!

- To było łatwe.

- Opowiedz mi o tym.

I Shiner opowiedział.

Tom Krome nie mógł spać z powodu deszczu. Cienie chwiały się na wietrze, ognisko wygasło i zrobiło się zimno. Kulili się z JoLayne pod płóciennym dachem zdjętym z łodzi. Krople deszczu bębniły o sztywny materiał.

- Zimno - powiedziała.

- Nie jest tak źle.

JoLayne potarła energicznie kolana.

- Niesamowite - zauważył Tom. - Przez cały dzień świeciło słońce.

- Floryda.

- Podoba ci się tu?

- Podoba mi się to, co jeszcze zostało.

- Byłaś kiedyś na Alasce?

- Nie - powiedziała. - Są tam Murzyni?

- Nie jestem pewien. Trzeba by to sprawdzić.

Próbowali zlokalizować wyspę na mapie. Tom twierdził, że znajdują się na jednej z trzech grup w środkowej części Florida Bay - Calusa, Spy lub Pearl. Pewność zdobędą dopiero rano, kiedy ukaże się horyzont.

- I tak nie ma to większego znaczenia. One wszystkie są niezamieszkane - powiedział Tom.

JoLayne uciszyła go gestem. Jakiś długonogi ptak przysiadł na sterze. Przekrzywił łebek i przyglądał się im płonącymi żółtymi oczami. Deszcz skapywał z jego dzioba przypominającego lancę.

- Czapla zielonoskrzydła - szepnęła JoLayne.

Ptak był naprawdę wspaniały.

- Hej, kolego - powiedział Tom. - Co słyhać?

Czapla odfrunęła, krzycząc gniewnie.

- Jest wściekła. Widocznie zajęliśmy jej miejsce.

- Albo coś ją przestraszyło.

Nasłuchiwali przez chwilę. Karabin spoczywał pod plandeką u stóp JoLayne.

- Nic nie słyszę - powiedziała.

- Ja też nie.

- Ci faceci to nie są Niebieskie Berety. Nie włóczyliby się po lesie w taką pogodę.

- Racja.

Chcąc zabić czas, zwierzyli się sobie z życiowych planów. Tom powiedział JoLayne o swoim zamiarze zamieszkania na Alasce i napisania powieści o mężczyźnie, któremu żona za żadne skarby nie chce udzielić rozwodu. JoLayne uznała, że fabuła jej się podoba.

- To będzie bardzo śmieszne.

- Nie chciałem, żeby było śmieszne - powiedział Tom.

- A!

- Zamierzałem uderzyć w poważniejszy ton.

- Rozumiem. Bardziej Cheever niż Roth.

- Żaden z nich. Już prędej Stephen King.

- Powieść grozy?

- Właśnie. Tytuł: „Oziębienie stosunków”.

- Przeróżający.

Ona opowiedziała mu o Simmons Wood. Zamierzała porozmawiać z prawnikiem o ustanowieniu rezerwatu przyrody, żeby posiadłość już nigdy nie mogła zostać zużytkowana w inny sposób.

- Nawet po mojej śmierci - powiedziała. - To załatwi wszystkich chciwych drani.

- Zostaniesz w Grange?

- To zależy.

- Od czego?

- O tego, czy na Alasce mieszka jakiś Murzyn. Wystarczy jeden, o ile będzie nim Luther Vandross.

- Trzeba mierzyć wysoko - stwierdził Tom.

- Hej, wprosiłam się!

Zastanawiał się, czy mówi poważnie. Wszystko na to wskazywało.

- Tom, spróbuj pohamować entuzjazm.

- Myślałem właśnie, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. - Otoczył ją ramieniem.

- Mówisz serio?

- Zamierzałem spytać cię o to samo.

- Powiedzmy, że tak. Powiedzmy, że oboje mówiliśmy poważnie - westchnęła JoLayne. - A jeżeli nie odzyskamy biletu? Jeżeli będziemy spłukani i bezrobotni?

- Pojedziemy tak czy inaczej. Nie chcesz zobaczyć grizzly, zanim wymrą?

JoLayne podobała się myśl o północnej dzicy, ale niepokoił ją konserwatyzm tamtych rejonów. Alaska była znana nie tylko ze swoich pięknych krajobrazów, ale i ze swojej zaściankowości.

- Czytałem, że roi się tam od orłów - powiedział Tom.

- To byłoby coś!

Usnęła z głową na jego ramieniu. On nie spał, wypatrując intruzów. Wolną ręką przysunął do siebie remingtona. Gwałtowny poryw wiatru sprawił, że zatrzęsł się z zimna. Osiemnaście stopni, pomyślał, a ja zmarzłem na kość. Może pomysł na Alaskę wymaga dopracowania. Poza tym odniósł wrażenie, że JoLayne nie jest zachwycona fabułą powieści rozwodowej. Powiedziała, że jej się podoba, żeby mu zrobić przyjemność.

Bawił się fabułą, kiedy przestraszyło go chlapanie za plecami - wróciła stateczna czapla. Tym razem stanęła na dziobie łodzi. Tom Krome zasalutował. Ptak nie zwracał na niego uwagi. W jego dziobie migotała srebrna rybka.

Dobra robota, pomyślał Krome, zwłaszcza w taką burzę.

Wtem czapla zrobiła coś nieoczekiwanego. Wypuściła rybę, która odbiła się od śliskiego pokładu i wylądowała na trawiastej plaży. Ptak nie zdradzał zamiaru odzyskania posiłku. Zamarł w bezruchu jak wiatrowskaz, z uniesioną głową i wyciągniętą szyją.

Ciekawe, co usłyszał, pomyślał Krome.

Nie czekał długo na odpowiedź. Huk strzałów złał się z krzykiem kobiety. Czapla rozpostarła skrzydła i wystartowała. Odleciała na dobre, w sam środek burzy, i tym razem nie wydała głosu.

Amber nigdy dotąd nie była świadkiem strzelaniny.

Słyszała strzały, oczywiście, każdy mieszkaniec w okręgu Dade znał dźwięk pistoletu automatycznego. Ale eksplozję niebieskawych ogników zobaczyła dopiero wtedy, gdy Shiner wygarnął z TEC-9. Jej przeraźliwy krzyk wdarł się jak ostrze w letargiczny sen Bodeana Gazzera i Chuba. Miotając przekleństwa wytoczyli się na polankę - najpierw Bodean Gazzer wywijając pistoletem kalibru .380 ukradzionym Kolumbijczykowi, w chwilę później Chub w opadającej bieliźnie, z koltem w dłoni.

Shiner spotkał się z nimi na skraju wyrębu.

- Widziałem kogoś! Naprawdę! - Emanował niepewością i wstydem.

Bode wyrwał mu TEC-9 i zwrócił się do Amber.

- Mów prawdę!

- Coś tam było. Słyszałam.

- Człowiek?

- Trudno powiedzieć, jest za ciemno.

- Kurwa, nie wierzę! - powiedział Chub. Splunął Shinerowi pod nogi.

Chłopak zrozumiał, że ma kłopoty. Po ostatniej wpadce na przyczepie pułkownik obtańcował go za marnowanie amunicji.

- Tam była głowa - mamrotał nerwowo. - Głowa czarnucha.

Niecierpliwym gestem Bode Gazzer zażądał latarki i Amber podała mu swoją. Kazał im zostać na miejscu, a sam ruszył zygzakiem w las. Wrócił po dziesięciu minutach nie znalazłszy śladu intruza, ani czarnego, ani żadnego innego.

- Panikarze! - mamrotał Chub. Próbował naciągnąć na siebie kamuflaż Bodeana Gazzera, ale irytacja i nadmiar alkoholu szalenie mu to utrudniały. Jego własne ciuchy ociekały wodą rozwieszoną na deszczu.

Amber widząc, że akcje Shinera spadają, próbował mu pomóc.

- To robiło mnóstwo hałasu - powiedziała, wskazując miejsce, do którego strzelał Shiner. - Tam.

- Aha! - mruknął Bode Gazzer. Z kieszeni kurtki wydobyl kawałek zakrwawionego futerka. - Zdjąłem to z liścia.

Amber nie wyraziła chęci obejrzenia dowodu hańby. Shiner skulił się ze wstydu.

- Zastrzelełeś królika - powiedział Chub z kpiącym uśmiechem. - Albo mysz.

Amber wstała. Chub zapytał, dokąd idzie.

- Przespać się. A co, nie wolno? - Weszła pod płachtę.

- Mamy tu harcerkę - powiedział Chub. - Zrobiła sobie namiot.

Bode kazał Shinerowi wrócić na łódź.

- Muszę porozmawiać z majorem Chubem w cztery oczy.

- Nie nazywaj mnie tak - warknął Chub. Wyglądał absurdalnie w kamuflażach; spodnie sięgały mu do połowy łydek, opinały się na tyłku. A jednak nie mógł wzniecić w sobie gniewu; był jeszcze pod wpływem kleju. Oznajmił, że jest skonany i idzie pod płachtę do swojej dziewczyny.

- Nie teraz - przerwał mu Bode. - Masz bilety? - zapytał, zniżając głos do szeptu.

- Aha. Gdzieś są. - Chub obmacał ostrożnie nos. Miał wrażenie, że jest odarty ze skóry od środka. - Zostały chyba w łodzi.

- Chyba! - Bode zakręcił się w miejscu jak ugodzony kulą, po czym zawołał do Shinera: - Hej, sierżancie, zmiana planów! - Wskazał płachtę. - Śpisz tam, my z majorem bierzemy łódź.

Shiner wykonał polecenie bez słowa. Wyciągnął się obok Amber, której piękne oczy były zamknięte. Wiatr osłabł znacznie, a ulewa przeszła w nieregularny deszcz, który bębnił cichutko o brezent. Shiner drzemał już, kiedy dobiegł go głos Amber:

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie wydaje mi się.

- Nie doceniasz samego siebie - powiedziała mu.

Nic nie mogło wprawić Shinera w większe zdumienie.

Czekali, aż chłopak i kelnerka usną, potem sprawdzili „Reel Luv”. Bilety loteryjne spoczywały w konsoli. Bodean Gazer schował cenny kondom z powrotem do portfela, Chub zwinął drugi kupon, kradziony, i wsunął go w pustą komorę kolta. Chichotał głupkowato, ubawiony własnym sprytem.

- Pif, paf! - zawołał.

Bode'a zachwyił widok Chuba w kamuflażach, nawet jeżeli nie zostały uszyte na miarę. W końcu byli umundurowani, jak na milicję przystało; Bode, Chub, Amber i Shiner.

Shiner, Boże odpuść...

Znowu dopisało im szczęście. Dzięki burzy nikt nie słyszał strzelaniny i krzyku dziewczyny. Żadna łódź nie podpłynęła do wyspy, żeby zbadać sprawę. Usytuowanie grupy pozostało więc tajemnicą.

- Ten patałach wpakuje nas kiedyś w tarapaty.

- Jak Bóg w niebie!

- Trzeba go wysiudać.

- Jestem za.

Doszli do wniosku, że Shiner nie przedstawia już żadnej wartości dla Białych Heroldów Aryjskich. Współdziałał przy kradzieży biletu Lotto i dostarczył Amber do Jewfish Creek, jak mu kazano, ale stanowił zagrożenie dla grupy. Było kwestią czasu, zanim wystrzela ich przez pomyłkę.

- Albo zabije dziewczynę - powiedział Chub, chociaż bardziej obawiał się, że Shiner spróbuje poderwać Amber, niż że ją zastrzeli. Otaczała przyszatego skinheada niemal matczyną opieką. To też nie podobało się Chubowi.

- Wykopiemy go, to będzie nam bruździł - powiedział. - Lepiej go zabić.
Bode odmówił stanowczo.

- Nigdy nie zabijam białego chrześcijanina, jeżeli mogę tego uniknąć.

- Więc zapłaćmy skurwielowi.

- Ile?

- Bo ja wiem. Tysiaka? - Pod wpływem oparów kleju Chub zrobił się hojny.

- Chyba ci odbiło - stwierdził Bode Gazer.

Tysiąc dolarów nie stanowiło wyłomu w dwudziestu ośmiu milionach, ale kto widział płacić półgłówkowi tyle szmalu? Zwłaszcza że Bode nadal podejrzewał Shinera o podwójną grę. A jeżeli gówniarz jest agentem Czarnej Fali? Jeżeli jego strzeleckie parkoszyzmy nie są wynikiem skretynienia, lecz służą interesom czarnej organizacji? Bode nie miał dowodów, ale nękały go wątpliwości.

- No dobra - powiedział. - Tysiąc dolców. Więcej będą mnie kosztowały nowe drzwi do dodge'a.

- Powiedz mu, że dostanie forszę, jak tylko odbierzemy swoją. I niech trzyma język za zębami.

Postanowili, że z samego rana poinformują Shinera o wykluczeniu z organizacji. Chub odstawi go łodzią do miejsca, skąd będzie mógł złapać autostop do Homestead i odzyskać samochód.

- Przy okazji dokupię piwa - powiedział Chub.

- I papierosów. I lodu.

- I sosu do jajecznicy.

- Lepiej zróbmy listę.

- Zrób ją zaraz.

Chub wydobył torbę zawierającą klej, wycisnął wilgotną maź i poczęstował Bode'a, który odmówił. Chub zagrzebał twarz w torbie i łapczywie wciągnął opary.

- Powoli - doradził Bode.

Chub zapał z wielkiego szczęścia. Miał na oku gumową opaskę i gnijące szczypce kraba w dłoni, ale czuł się kurewsko dobrze. Czarna Fala, NATO i komuniści nie niepokoiili go w najmniejszym stopniu! Nikt ich nie znajdzie na tej samotnej wyspie, nikt, nawet najsprytniejszy czarnuch. Mógł się nawalić po uszy tej nocy, ponieważ byli z Bode'em biali, wolni i uzbrojeni, a co najważniejsze, byli milionerami.

Bode uznał, że lepiej nie przypominać mu w tej chwili, iż wygrana loteryjna zostanie użyta wyłącznie na cele milicji. Będzie po temu lepszy czas.

- Mała Amber - mówił Chub. - Szkoda, że nie widziałeś jej twarzy, kiedy powiedziałem jej o forsie. Nagle zapragnęła pójść na spacer do lasu, tylko we dwoje.

- O cholera! - Bode pomyślał, że to było do przewidzenia. - Co jeszcze jej powiedziałaś?

- Tylko to, że jestem wart czternaście milionów. Można powiedzieć, że to zmieniło jej stosunek do mnie.

Kąpiel odniosłaby ten sam skutek, pomyślał Bode.

- A jak na mnie spojrziała! - ciągnął Chub marząco. - Jakby chciała wessać piłkę golfową przez wąż ogrodowy.

- Uważaj, co do niej mówisz. Rozumiesz?

Chub czknął i przycisnął otwór torby do twarzy.

- Rzuć to świństwo! - zawołał Bode. - Posłuchaj: cipka jest w porządku, ale wszystko w swoim czasie. W tej chwili tocymy bitwę o serce i duszę Ameryki!

Chub wydał odgłos przebitej dętki.

- Hilton Head! - zawołał ekstatycznie.

- Co?

- Kupię nam chałupę na Hilton Head. To też wyspa, tyle że sto razy lepsza od tej.

- Nie mówisz tego serio!

Ale później, kiedy Chub odpłynął, Bode Gazzer złapał się na tym, że pomysł przyjaciela zaczyna mu się podobać. Spacer słoneczną plażą z na wpół gołą kelnerką Hootersa był o wiele bardziej pociągający niż zamieszkanie w betonowym pudle z bandą owłosionych facetów.

Ciekawe, jaki byłby stosunek Amber do niego, Bode'a, gdyby się dowiedziała, że i on zostanie wkrótce krezusem.

Kiedy JoLayne się obudziła, Tom Krome otrzymał w dłoniach karabin. Uzmysłowiła sobie, że krzyk nie był częścią snu.

- Widać coś? - zapytała cicho. - Kochanie, nie zapomnij odbezpieczyć.

- Jest odbezpieczony. - Opuścił lufę i czekał. - Słyszałaś strzały?

- Ile?

- Pięć lub sześć. Jakby z broni maszynowej.

JoLayne pomyślała, że psychole zastrzelili kelnerkę. Istniała również możliwość, że wystrzelali się wzajemnie w bitwie o kelnerkę.

Było jej wszystko jedno, o ile kelnerka nie załatwiła psycholi. Najpierw mój bilet Lotto, pomyślała.

- Słuchaj! - powiedział Tom. Położył palec na cynglu.

JoLayne również to usłyszała - ktoś biegł przez las.

- Czekał, to coś małego. - Dotknęła łokcia Toma. - Nie strzelaj.

Szelest się zbliżył, potem zmienił kierunek. Krome wiódł za nim lufą karabinu aż do powalonego pnia, gdzie wszystko ucichło.

JoLayne chwyciła latarkę i wyczołgała się spod plandeki.

- Tylko mnie nie zastrzel przez pomyłkę. Dość dobrze wtapiam się w noc.

Nic nie mogło jej zatrzymać. Tom opuścił lufę i patrzył, jak podkrada się do pnia. Rozległ się nieludzki, wysoki krzyk, który przeszedł w charczenie. Tom dostał gęsiej skóry.

Usłyszał głos JoLayne.

- Ciii, bądź grzeczna - mówiła jak do dziecka.

Wróciła niosąc małego szopa. Na jej swetrze widniała smuga krwi; szop miał roztrzaskaną przednią łapę.

- Bydlaki - powiedziała. Kiedy dotknęła szopa, zwierzę warknęło i obnażyło zęby. Zdaniem Krome'a mogło z łatwością rozszarpać człowiekowi gardło.

- JoLayne...

- Mógłbyś przynieść apteczkę?

Było to barachło za dziesięć dolarów, które kupiła w sklepiku, zanim wynajęła łódź.

- Pogryzie cię - powiedział Tom. - Oboje nas pogryzie.

- Jest tylko przestraszona. Uspokoi się.

- Ona?

- Mógłbyś przygotować bandażę?

Pracowali nad nogą szopa niemal do świtu. Oboje zostali pogryzieni. JoLayne uśmiechnęła się radośnie, kiedy szop pokuśtykał w las, złorzecząc pod nosem.

- A jeżeli zaraziła nas wścieklizną? - zapytał Krome, opatrując zraniony palec.

- Wtedy znajdziemy kogoś do gryzienia - odparła JoLayne. - Wiem nawet kogo.

Spróbowali znowu rozpalić ogień, ale deszcz się wzmógł, choć nie był już tak zimny jak nocą. Skuleni pod plandeką, starali się ochronić przed wilgocią jedzenie i amunicję. Nareszcie wstał blade, zimny świt. JoLayne usiadła i zrobiła dwieście skłonów tułowia. Tom trzymał ją za kostki. Zjedli batony muesli i płatki kukurydziane na sucho. Smakowały solą. O świcie wyprowadzili łódź z drzew mangrowych na otwarte wody, żeby zapewnić sobie szybką drogę ucieczki. Zabrali z obozu, co im było potrzebne, i ruszyli na drugą stronę wyspy.

22.

Kiedy Mary Andrea Finley Krome wysiadła z samolotu, była pewna, że pomyliła lotniska. Ani śladu fotoreporterów, żadnych kamer telewizyjnych. Powitał ją jedynie energiczny mężczyzna o ostrych rysach twarzy i przedwcześnie posiwiałych włosach. Przedstawił się jako redaktor naczelny „The Register”.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała Mary Andrea.

- Kto?

- Reporterzy. Spodziewałam się tłumu.

- Jestem tylko ja, do usług.

Wziął torbę Mary Andrei. Aktorka poszła za nim do samochodu.

- Jedziemy do redakcji?

- Tak.

- Czy media tam będą?

- Pani Krome, media to my.

- Wie pan, co mam na myśli. Telewizję.

Redaktor naczelny poinformował Mary Andreeę, że zainteresowanie śmiercią jej męża jest trochę mniejsze, niż się spodziewano.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Dziennikarz spala się na wiórki...

- Mnie pani to mówi!

Prowadził z nadmierną prędkością, z jedną ręką na kierownicy. Drugą wciskał z irytacją guziki radia, skacząc po stacjach z muzyką poważną. Mary Andrea marzyła, żeby się na coś zdecydował.

- Wiem, że wiadomość trafiła do wszystkich gazet stąd aż do Montany - upierała się.

- O tak! Nawet do telewizji - przyznał redaktor naczelny. - Na krótko.

- Co się stało?

- Opisałbym reakcję społeczeństwa jako umiarkowaną i przelotną ciekawość.

Mary Andrea była zdruzgotana. Ogarnęło ją przygnębienie; można je było wziąć za autentyczny żal, gdyby nie aktorska przeszłość Mary Andrei.

- Proszę nie brać tego osobiście. To było pouczające doświadczenie dla nas wszystkich.

- Ale powinni zrobić z Toma bohatera! - zaprotestowała.

Redaktor naczelny wyjaśnił, że zawód reportera nie cieszy się już takim prestiżem jak w czasach Watergate. Lata dziewięćdziesiąte są świadkiem upadku poważnego reportażu i celowego „złagodzenia produktu” przez wydawców. W rezultacie dzienniki rzadko kiedy wywołują poruszenie u odbiorcy. Ludzie przykładają do nich coraz mniejszą wagę.

- Śmierć pani męża nie wywołała niepokojów społecznych.

Mary Andrea gapiała się posepnie w okno. Gdyby Tom pracował w „The New York Times” albo „The Washington Post”, sprawa miałaby się zgoła inaczej!

- Pracował nad czymś ważnym? - zapytała z nadzieją.

- Nie. W tym problem. To był rutynowy reportaż.

- O czym?

- O jakiejś kobiecie, która wygrała na loterii.

- I dlatego wyleciał w powietrze?

- Policja ma wątpliwości. I, jak już mówiłem, w tym problem. Jest mało prawdopodobne, by Tom zginął pełniąc obowiązki służbowe. Mógł to być napad w celach rabunkowych, mogła to być sprawa osobista.

Mary Andrea rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Niech mi pan nie mówi, że pieprzył cudzą żonę.

- To tylko plotki, pani Krome. Niestety dość głośne, by odstraszyć co lepsze programy telewizyjne.

- Cholera! - powiedziała Mary Andrea. Napiłaby się płynu hamulcowego, żeby dostać się do „Nightline”.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy - ciągnął naczelny - ale oni żądają akcji mafijnej albo zemsty kokainowego barona. Byli rozczarowani, że Tom jest tylko reporterem. A kiedy rozeszły się plotki o cudzołóstwie, w ogóle przestali się nami interesować.

Mary Andrea osunęła się na drzwi. To było jak zły sen. Fakt, że media już teraz straciły zainteresowanie zabójstwem Krome'a, oznaczał ograniczoną ekspozycję osieroconej żony. I wyrzucone pieniądze na samolot, pomyślała Mary Andrea z goryczą. Co gorsze, naraziłaby się na upokorzenie, gdyby „tajemniczy pożar” okazał się dziełem zazdrosnego męża, a nie mściwego mafioza.

Żeby cię pokręciło, Tom! - pomyślała. Tu chodzi o moją karierę!

- Jak hotel? - zapytała pochmurnie.

- Zarezerwowaliśmy pokój dla niepalących, zgodnie z pani życzeniem. - Redaktor naczelny żuł wykałaczkę.

- Jest sala gimnastyczna ze StairMasterem?

- Przykro mi, nie ma sali gimnastycznej i nie ma StairMastera.

- Wspaniale!

- Hotel HoLo, pani Krome. Wszystkich tam lokujemy.

Po dziesięciu minutach milczenia Mary Andrea oznajmiła, że zmieniła zamiar; chce natychmiast wracać na lotnisko. Powiedziała, że jest tak pogrążona w bólu, że chyba

nie zdoła pojechać do redakcji, by odebrać nagrodę zdobytą przez Toma.

- Jak to się nazywa? Emilio?

- Amelia - powiedział redaktor naczelny. - To duża rzecz. Tom jest pierwszym dziennikarzem, który otrzymał ją pośmiertnie. Byłoby bardzo dobrze, gdyby odebrała ją pani w jego imieniu.

Mary Andrea parsknęła.

- Bardzo dobrze dla kogo?

- Dla mnie. Dla zespołu. Dla jego kolegów. - Redaktor naczelny przerzucił. wykalczkę językiem w drugi koniec ust. - Dla pani.

- Przed chwilą mówił pan...

- Zorganizowaliśmy konferencję prasową.

Mary Andrea przewierciła go spojrzeniem na wskroś.

- Prawdziwą konferencję prasową?

- Będzie telewizja, jeżeli o to pani pyta.

- Skąd pan wie?

- Bo to jest bezpieczne.

- Bezpieczne?

- Lekkie. Materiał o ludziach - wyjaśnił naczelny. - Nie chcą się wdawać w niejasne szczegóły morderstwa, ale z przyjemnością zrobią dwadzieścia sekund o ślicznej młodej wdowie odbierającej statuetkę w imieniu uśmierconego męża.

- Rozumiem.

- Nie będę ukrywał, że mojej gazecie przyda się reklama. To duża nagroda, a nieczęsto coś wygrywamy.

- Mówiąc „telewizja” miał pan na uwadze sieć...?

- CBS, ABC i Fox.

- A, Fox też?

Będzie mi potrzebna nowa kiecka, pomyślała Mary Andrea. Coś kusego.

- Zrobi to pani? - zapytał naczelny.

- Postaram się opanować - odparła.

Dwadzieścia sekund na wizji!

Katie Battenkill wypisała sobie na kartce powody, dla których powinna wybaczyć Arthurowi, ponieważ był sędzią, a mąż sędziego ma swoją wartość. Powody, dla których nie powinna tego robić, były ważne: irytujące maniere przy stole, chamstwo wobec jej przyjaciół i krewnych, wyszydzenie jej religii, szalona zazdrość, chroniczne zdrady, przedwczesny wytrysk i - drobiazg nie bez znaczenia - fatalny dobór wody kolońskiej.

Jednak korzyści wynikające z faktu bycia panią Arthurową Battenkill - ostatni model samochodu, duży dom, zaproszenia na wszystkie liczące się imprezy w mieście, coroczna wycieczka na Bermudy i okolicznościowe prezenty, takie jak brylantowy wisior, który właśnie podziwiała w lustrze - przeważały szalę.

Nie uważała się za materialistkę, lecz kobietą trzeźwo myślącą. Art był niepoprawnym grzesznikiem, niemniej godziła się z tym przez osiem lat współżycia. Nie próbowała go zmienić, przeciwnie, pozwoliła, by zastraszył ją zjadliwością swoich uwag i udo-bruchał prezentami. Łatwiej było ignorować jego postęпки, niż toczyć o nie boje. Katie powiedziała sobie, że jej małżeństwo nie jest całkowicie pozbawione miłości; naprawdę kochała pozycję żony sędziego okręgowego, choć nie żywiła głębszych uczuć dla Arthura.

Co niedziela szła do kościoła i pytała Boga, co robić. Nie doradził jej wprawdzie nawiązania romansu z dziennikarzem prasowym, ale tak się właśnie stało. Została wzięta przez zaskoczenie i nie miała sił się opierać. Taką nieprzepartą ochotę miewała tylko na czekoladę Godiva. Wiedziała, że to się stanie, w chwili gdy ujrzała Toma Krome'a.

Uczestniczyła w marszu na rzecz dzieci specjalnej troski, kiedy od strony James Street nadbiegł szalenie przystojny facet i zaplątał się w demonstrantów. Mijając Katie zwołnił biegu i wcisnął jej do ręki pięciodolarowy banknot. „Na dzieci”, powiedział i pobiegł dalej. A Katie, niewiele myśląc, odwróciła się i pobiegła za nim.

Tom Krome był pierwszym mężczyzną, którego uwiodła. Jeżeli szybki numer na przednim siedzeniu samochodu można nazwać uwiedzeniem.

Wspominając te szalone, występne tygodnie, Katie rozumiała, jaki był ich cel. Nic nie dzieje się bez przyczyny; boska siła przywiodła do niej Tommy'ego. Bóg próbował jej w ten sposób powiedzieć, że są na świecie dobrzy ludzie, troskliwi i porządni mężczyźni, którym kobieta może zaufać. I choć w intencjach Boga nie leżało chyba, by kochała się zapamiętale z pierwszym, jakiego spotka, Katie miała nadzieję, że Pan jej wybaczy.

Tom uzmysłowił jej, że może obejść się bez Arthura, kłamliwego gada. Potrzebowała tylko odrobiny wiary w siebie, odwagi, by spojrzeć trzeźwym okiem na swoje małżeństwo. Nie miała czasu zakochać się w Tommym, ale lubiła go bardziej niż Arthura. Przeprosił ją za to, że nie zadzwonił z Grange. Katie nie przypominała sobie, by Arthur ją kiedykolwiek za coś przeprosił. Tom Krome nie był wyjątkowy ani niezwykły, był po prostu miłym, wrażliwym facetem. To wystarczyło. Fakt, że Katie Battenkill dała się tak łatwo sprowadzić z drogi cnoty, źle wróżył jej małżeństwu. Uznała, że najwyższy czas je zakończyć.

Przypomniała sobie cytat z wielkanocnego kazania: „Tolerować grzech, to na niego przyzwalać, a przyzwalać znaczy współgrzeszyć”. Pomyślała o grzechach Arthura, o Danie, Willow i innych, których imion nawet nie знаła. Zdrady były wystarczającym złem, a teraz sędzia dokonał podpalenia, zginął człowiek.

Żaden anioł, to pewne; podstępne ladaco, niemniej cenne w oczach litościwego Boga.

Tego grzechu Katie nie mogła tolerować, jeżeli chciała zbawić duszę. Co powinna zrobić?

W lustrze brylantowy wisiołek połyskiwał niby gwiazda pośród kolonii piegów. Nie miała wątpliwości, że jest to zapłata za milczenie, ale, Boże, jaka piękna!

Drzwi łazienki otworzyły się i w progu stanął jej mąż z „The Register” zwiniętym pod pachą.

- Art, musimy porozmawiać.

- Tak. Chodźmy do kuchni.

Katie odetchnęła z ulgą. Wolała nie zrzucić swojej bomby w sypialni. Ręce jej drżały, kiedy nalewała wody do ekspresu.

- Katherine - usłyszała za sobą głos męża - postanowiłem złożyć rezygnację. Co powiesz na przeprowadzkę na wyspy?

Odwróciła się wolno.

- Co?!

- Mam dosyć. Ta praca mnie zabija - powiedział sędzia. - Zgłosiłem wprawdzie swoją kandydaturę na przyszły rok, ale nie mam zdrowia na następną kampanię. Wypaliłem się, Katie.

- Nie stać nas na to. - Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Dziękuję ci za troskę.

Nie cierpiała tego zjadliwego tonu.

- Choć może ci się to wydać szokujące - ciągnął sędzia - dokonałem paru inwestycji, nie zasięgając twojej rady. Jedna z nich okazała się bardzo intratna. Przyniosła nam ćwierć miliona dolarów.

Katie nie zdradziła niczym wrażenia, chociaż kosztowało ją sporo wysiłku.

- Jaka inwestycja?

- Trochę to skomplikowane.

- Wyobrażam sobie.

- Handel nieruchomościami, Katherine.

- Masz czterdzieści trzy lata i chcesz przejść na emeryturę?

- Marzenie każdego Amerykanina - powiedział sędzia, wydymając wargi.

- Dlaczego wyspy? I jakie wyspy? - Dotąd nie mogła go nawet zaciągnąć na plażę.

- Roy Tigert zaproponował, że wynajmie nam swój bungalow na Bahamach. W Marsh Harbour. Na próbę. Jeżeli nam się nie spodoba, przeprowadzimy się na Kajmany albo Wyspę Świętego Tomasza.

Katie zaniemówiła. Bungalow na Bahamach - brzmiało to jak tekst wodewilowej piosenki.

Mąż sięgnął niezgrabnie ponad stołem i pogłaskał ją po policzku.

- Wiem, że ostatnio trochę nam się nie układa. Musimy coś zmienić, Katherine, żeby uratować to, co mamy. Wyjedziemy i zaczniemy wszystko od początku, ty i ja, bez osób trzecich.

Ma na myśli Toma Krome'a czy swoje sekretarki?

- Kiedy? - zapytała.

- Zaraz.

- Ach tak!

- Pamiętasz, jak ci się podobało w Nassau?

- Nigdy tam nie byłam. To pewnie Willow.

Sędzia desperacko popijał kawę.

- Tu nie chodzi o ratowanie naszego małżeństwa - powiedziała Katie. - Tu chodzi o pożar domu Toma i zwęglone zwłoki. Obleciał cię strach, bo to twoja wina.

Arthur Battenkill patrzył nie widzącym wzrokiem w filiżankę.

- Masz bujną wyobraźnię, Katherine.
- Uciekasz. Przyznaj to, Arthurze. Ukradłeś gdzieś pieniądze i chcesz wyjechać z kraju. Uważasz, że jestem głupia?
- Nie - powiedział sędzia. - Uważam, że jesteś praktyczna.

Tego poniedziałkowego ranka, czwartego grudnia, w biurze nieruchomości Clary Markham zjawiał się nieoczekiwany gość: Bernard Squires, kierownik do spraw inwestycji w Stowarzyszeniu Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu. Przyleciał na Florydę prywatnym samolotem, wynajętym dla niego przez Richarda „The Icepick” Tarbone. Zadaniem Bernarda Squiresa było złożenie dużego depozytu tytułem zakupu Simmons Wood i zaklepanie go dla funduszu emerytalnego, z którego rodzina Tarbone systematycznie podkradała spore sumy. Przejechawszy przez Grange, Bernard Squires upewnił się, że centrum handlowe w Simmons Wood okaże się kompletnym fiaskiem.

- Rozmawialiśmy przez telefon - zwrócił się do Clary Markham.
- Tak, oczywiście, ale obawiam się, że nie mam nic nowego do zakomunikowania.
- Dlatego tu jestem.

Clara Markham zapytała, czy mógłby przyjść nieco później, właśnie finalizuje ważną transakcję.

Squires był uprzejmy, ale uparty.

- Wątpię, czy jest coś ważniejszego. - Położył na jej biurku otwartą aktówkę ze skóry węgorza.

Agentka nieruchomości nigdy nie widziała tylu pieniędzy. Aktówkę wypełniały schludne, ściśle pakieciki pięćdziesiątek i setek. Clara wiedziała, że w tej słodko pachnącej walizeczce jest również jej prowizja, największa, jaką kiedykolwiek otrzyma.

- Chcemy, żeby pani wiedziała, iż myślimy poważnie o nabyciu parceli - wyjaśnił Squires. - To powinno przyspieszyć negocjacje. Osoby, które reprezentuję, chcą zacząć natychmiast.

Clara Markham była w kropce. JoLayne nie odezwała się przez weekend. Były bliskimi przyjaciółkami i JoLayne cudownie opiekowała się ukochanym persem Clary, ale sprawy osobiste agenta nieruchomości nie powinny wpływać na interesy.

Pomachała ręką nad zawartością walizeczki.

- Bardzo to imponujące, panie Squires, ale muszę panu powiedzieć, że spodziewam się kontrpropozycji.
- Doprawdy?
- Nie złożono jeszcze pisemnej oferty, ale powiadomiono mnie, że to wkrótce nastąpi.

Squires wydawał się rozbawiony.

- W porządku. - Wprawnym ruchem zamknął aktówkę. - Jesteśmy gotowi przebić każdą kontrofertę, oczywiście w granicach rozsądku. Tymczasem prosiłbym, żeby

skontaktowała się pani z klientem i powiadomiła go o naszej gotowości.

- Oczywiście. Zrobię to zaraz po przerwie obiadowej.
- Dlaczego nie teraz?
- Nie sądzę, żeby udało mi się go złapać.
- Proszę spróbować.

Clara Markham zrozumiała, że zwłoka na nic się nie zda. Facet nie wróci do Chicago, nie otrzymawszy konkretnej odpowiedzi. Bernard Squires usadowił się w fotelu, podczas gdy ona dzwoniła do prawnika Lighthorse'a Simmonsa. Pięć minut później prawnik oddzwonił, zwoławszy konferencję telefoniczną ze spadkobiercami - synem, Leanderem Simmonsem, i córką, Janine Simmons Robinson. Leander taplał się w ropie naftowej; Janine wydawała pieniądze na operacje plastyczne i renowację letnich domów.

Trzymając słuchawkę przy samych ustach, Clara Markham ostrożnie przedstawiła ofertę kupna Simmons Wood. Argumentem kluczowym była suma trzech milionów dolarów.

- Pan Squires - powiedziała na zakończenie - przywiózł do mojego biura okazały depozyt w gotówce.

- Ile? - pisał Leander Simmons.

Gwizdnął, kiedy mu powiedziała.

Bernard Squires, specjalista w zakresie konferencji telefonicznych, odezwał się donośnym głosem, tak by go słyszano:

- Traktujemy sprawę bardzo poważnie.
- Słucham pana z uwagą - powiedziała Janine Simmons Robinson.
- Ja również - rzekł jej brat.

Mając na względzie JoLayne i zagrożoną faunę Simmons Wood, Clara Markham czuła się w obowiązku dodać:

- Pan Squires i jego firma chcą zbudować w tym miejscu centrum handlowe.
- Z placem zabaw dla dzieci w atrium - zauważył sucho Squires.
- I fontanną w stylu śródziemnomorską od frontu - zagrzmiął adwokat. - Z prawdziwymi kaczkami i gęśmi. Będzie to wielka atrakcja dla waszego miasteczka.

Reakcja Leandera Simmonsa była natychmiastowa.

- Jeżeli o mnie chodzi, możecie tam kopać węgiel. Co ty na to, siostrzyczko?
- Hej, trzy miliony dolców to trzy miliony dolców.
- Utrafiłaś w sedno. Więc na co czekamy? - zapytał Leander. - Do roboty, panowie!
- My jesteśmy gotowi - powiedział Bernard Squires. - Ale, jak poinformowała mnie pani Markham, otrzymaliście państwo inną ofertę.
- Od kogo? - zapytała Janine Simmons Robinson.
- Ile? - zapytał jej brat.
- Od miejscowego inwestora - powiedziała Clara Markham. - Zamierzałam poinformować państwa po otrzymaniu pisemnej oferty, która niestety jeszcze nie nadeszła.
- Pieprzyć ją - powiedział adwokat.

- Jak sobie państwo życzą.
- Jedną chwileczkę - odezwał się Leander Simmons. - Po co się tak śpieszyć? Zwiększył większy zysk. Bernardowi Squiresowi mina zrzędała. Clara Markham zauważyła nową żyłkę pulsującą na jego szyi.
- Okazało się, że Janine Simmons Robinson nadaje na tych samych falach co jej brat.
- Nie zaszkodzi zaczekać parę dni. Zobaczmy, co gość ma do zaproponowania.
- Pozostawiam to decyzji państwa - stwierdził adwokat. - Pani Markham, proszę nas zawiadomić o wpłynięciu oferty... powiedzmy, do środy.
- A może do jutra? - wtrącił Bernard Squires.
- Środa! - zawołało rodzeństwo chórem.
- Nastąpiła seria trzasków i głośnik umilkł. Clara Markham spojrzała przeproszająco na Bernarda Squiresa, po czym przeniosła wzrok na aktówkę ze skóry węgorka.
- Umieszczę ją w naszym depozycie bankowym - powiedziała.
- Squires podniósł się z fotela z posepna miną.
- Nie wygląda pani na krętaczkę, która próbuje podbić wysokość prowizji przedstawiając fałszywą kontrofertę.
- Nie jestem oszustką. Głupia też nie jestem. Simmons Wood będzie moją największą transakcją w tym roku. Nie ryzykowałabym zaprzepaszczenia wszystkiego dla paru dolarów.
- Uwierzył jej. Widział miasteczko; to był cud, że nie umarła z głodu.
- Mówi pani: miejscowy inwestor?
- Zgadza się.
- Nie zdradzi mi pani jego nazwiska?
- Niestety nie mogę, panie Squires.
- Ale jest pani przekonana, że mają środki.
- Jestem przekonana - powiedziała Clara Markham. Przynajmniej tak mi się wydaje, dodała w myślach.

Matka Shinera zasnęła. Obudziły ją maszyny drogowe.

Pośpiesznie wcisnęła się w suknię ślubną, chwyciła parasol i wypadła z domu. Kiedy dotarła do skrzyżowania Sebring Street i autostrady, było już za późno. Ministerstwo Transportu szykowało się do zalania asfaltem Jezusa na Drodze.

Popiskiwała i podskakiwała jak cyrkowa małpka. Splunęła w twarz brygadziście i bezskutecznie próbowała obić parasolem kierowcę walca parowego. W końcu rzuciła się na szosę, zasłaniając ciałem świętą płamę i zapowiedziała, że się nie ruszy.

- Zaasfaltujcie mnie, bezbożnicy! - krzychała. - Niech wtopię się w naszego Zbawcę!

Brygadzista otarł policzek i kazał swoim ludziom wstrzymać roboty. Zadzwonił do biura szeryfa.

- Mamy tu wariatkę w ślubnej kiecce, która blokuje drogę. Co robić?

Przyjechali dwaj zastępcy szeryfa, a w ślad za nimi wóz transmisyjny telewizji. Matka Shinera całowała asfalt w miejscu, gdzie widziała czoło Jezusa.

- Nie martw się, Synu Boży - powtarzała. - Jestem tutaj. Nie odstąpię Cię.

Jej oddanie było zdumiewające, zważywszy na podobieństwo plamy do rozjechanego oposa.

Nadjechał autokar pełen zaniepokojonych pielgrzymów, ale zastępcy szeryfa nie dopuścili wiernych bliżej. Matka Shinera podniosła głowę i powiedziała:

- Puszka na datki stoi na lodówce. Poczęstujcie się całą!

Do tego czasu ruch zablokował się już w obu kierunkach. Brygadzista, który był z Tampa i nie znał lokalnego kolorytu, zapytał zastępcę szeryfa, czy w mieście znajduje się zakład dla umysłowo chorych.

- Nie - odparł zastępcę. - Ale bardzo by się przydał.

Chwycili matkę Shinera pod ramiona i zwlekli z drogi.

- On patrzy! - wrzeszczała. - On to widzi!

Zastępcy szeryfa umieścili ją w wozie policyjnym i rozgonili gapiów. Zanim przystąpiono do asfaltowania, brygadzista i jego ludzie stanęli półkołem na drodze, próbując zrozumieć, o co awanturowała się kobieta w bieli.

Brygadzista pochylił się nad plamą i powiedział:

- Jeżeli to jest Jezus Chrystus, to ja jestem Long Dong Silver.

- To jest, kurwa, płyn hamulcowy - oznajmił mechanik.

- Olej.

Wtedy kierowca walca powiedział:

- Stąd to przypomina trochę kobietę. Gołą babę na wielbłądzie.

Na tym wyczerpała się cierpliwość brygadzisty.

- Do roboty!

Ekipa telewizyjna została na czas asfaltowania. Zrobili znakomite zbliżenie Jezusa na Drodze znikającego pod gorącą asfaltową mazią. Przerzywnikiem był obraz młodego pielgrzyma przykładającego chusteczkę higieniczną do twarzy, jakby w rozpacz. W rzeczywistości wydmuchiwał nos.

Materiał ukazał się w południowych wiadomościach. Otwierały go zdjęcia matki Shinera czule głaskającej świętą plamę. Zaniepokojona Joan zadzwoniła do Roddy'ego do pracy.

- Telewizja jest w mieście - powiedziała. - Co będzie, jak dowiedzą się o Sinclairze?

- Będziemy udawać, że go nie znamy - odparł Roddy.

- To mój brat!

- Świetnie! Wobec tego ty będziesz udzielała wywiadów.

Matkę Shinera zatrzymano w areszcie za zakłócanie porządku publicznego i wypuszczono po trzech godzinach bez kaucji. Wprost z posterunku pojechała taksówką na skrzyżowanie Sebring Street z autostradą. Asfalt stwardniał już i matka Shinera nie była nawet pewna, gdzie znajdowała się plama. Ktoś ukradł puszkę na datki, zniknęła również większa część napojów chłodzących.

Poszła do domu Demencia i ustawiła swoją lodówkę w cieniu dębu, z dala od tłumu. Trish zauważyła ją i poczęstowała lemoniadą.

- Słyszałam, co się stało. Przykro mi.
- Bydlaki! Podarli mi suknię - powiedziała matka Shinera.
- Zaraz to naprawimy.
- A co z moją kaplicą? Kto ją naprawi?
- Musisz się uzbroić w cierpliwość. Pojawią się nowe plamy na drodze.

Trish zerknęła w stronę okien salonu. Demencio byłby wściekły, gdyby zobaczył starszą panią na terenie posiadłości. Jej niebieski parasol sterczał jak namiot.

- Powinnaś pójść do domu i odpocząć - doradziła Trish.
- Straciłam to, co najcenniejsze w życiu - Jezusa na Drodze i jedyne syna.
- Och, Shiner wróci. - Jak zabraknie mu pieniędzy, dodała Trish w myślach.
- Ale nie będzie już taki sam. Obawiam się, że został przekupiony przez wysłanników szatana. - Matka Shinera dopiła lemoniadę. - Zjadłabym kawałek twojego ciasta.
- Niestety, wyszło. Podwieźć cię do domu?
- Może później - powiedziała matka Shinera. - Najpierw muszę porozmawiać z Żółtym Chłopcem. Moje serce zostało rozjechane przez walec, potrzebuję duchowego wsparcia.
- Biedactwo! - Trish przeprosiła ją i pobiegła do domu ostrzec Demencia. Tymczasem matka Shinera zapaliła papierosa i czekała, aż rozproszy się tłum wokół fosy.

23.

Moczary Everglades odchodzą od półwyspu połyskliwą panoramą splecionych kanałów, bagnistych lagun i jasnozielonych wysepek mangrowych. Równowaga egzystencji zależy tam od sezonowego dopływu świeżej wody z lądu. „Ludzie, którzy w latach czterdziestych zbudowali w Everglades groble i kanały, nie zastanawiali się nad losem ryb i ptaków, nie mówiąc o Indianach w dolnym biegu wód. Świętą misją inżynierów było zapewnić wygodę i prosperity ludności nietubylczej. W porze suchej ciągnięto wodę z Everglades na potrzeby miast i farm, w porze deszczowej wpompowywano w mroczny miliony litrów wody morskiej, aby zapobiec zalaniu pól i pastwisk.

Z czasem coraz mniej świeżej wody docierało do Florida Bay, a to, co docierało, nie było znów takie świeże. Kiedy nadeszła nieunikniona susza, zatoka zmieniła się nie do poznania. Trawy morskie wymarły, na dnie osiadł muł. Algi pokryły setki kilometrów kwadratowych, tworząc plamę widoczną z satelity NASA.

Kłeska ekologiczna wywołała zdumienie biurokratów. W obliczu katastroficznego zagrożenia przemysłu turystycznego ci sami ludzie, którzy przez swoją ignorancję zagłodzili Florida Bay, teraz szukali sposobu, by ją przywrócić do życia. Było to trudne bez antagonizowania tych samych farmerów i budowniczych, w interesie których dokonano kosztownych przeróbek krajobrazu. Politycy znaleźli się między młotem a kowadłem. Ludzie, którzy nie poświęcili dotąd jednej myśli czapli białej, teraz rozpływali się lirycznie nad jej gracją, a prywatnie zapewniali sponsorów kampanii wyborczych, że - pieprzyć ptaki - rolnictwo będzie nadal najpoważniejszym odbiorcą świeżej wody.

Dla polityków kandydujących w południowej Florydzie ocalenie Everglades stało się hasłem kluczowym. Wygłoszono przemówienia, poczyniono obietnice, przydzielono fundusze na badania, zwołano sympozja naukowe... i niewiele zrobiono. Rząd nadal wydzieliał skąpo to, co powinno z natury płynąć strumieniem do Florida Bay. W porze suchej zatoka walczyła o życie; w najbardziej deszczowe lata rozkwitała.

Chub miał pecha, bo przybył na Pearl Key po wyjątkowo obfitej porze deszczowej, kiedy wyspy tętniły życiem. Dwa miesiące później wody zatoki byłyby mętne jak mleko czekoladowe, ptaki odleciałyby w bardziej gościnne rejony, a w zatoce pływałyby niewiele stworzeń stanowiących zagrożenie dla nawalonego klejem białego herolda (aryjskiego), który odplynał z jedną ręką w wodzie.

Tak się złożyło, że była to zraniona ręka, napuchnięta i sina, przyozdobiona krabimi szczypcami.

Jak wszystkim wędkarzom wiadomo, zapach przynęty roznosi się szybko w słonej wodzie, przyciągając drapieźniki. Chub też o tym wiedział, choć informacja, z racji stanu jego umysłu, była mu chwilowo niedostępna. Po takiej dawce oparów kleju nie mógłby mu nawet doktorat z biologii morskiej. Był zupełnie nieświadomy faktu, że jego zraniona ręka zwisa tak zachęcająco, podobnie jak nie był świadom kanibalistycznych skłonności *Callinectes sapidus*, zwanego popularnie krabem błękitnym.

W gruncie rzeczy Chub był tak nawalony, że doznanie potwornego bólu - które w normalnych warunkach dotarłoby do mózgu w ułamku sekundy - błąkało się od jednej otumanionej komórki do drugiej. Zanim jego świadomość zarejestrowała doznanie, stało się coś strasznego.

Krzyki Chuba wdarły się w ciszę sielankowego poranka.

Pozostała trójka nie spała od paru godzin. Bodean Gazer patrolował las wokół obozowiska, Amber zaś próbowała przerobić tatuaż Shinera za pomocą haczyka na ryby i fioletowego tuszu do rzęs. Ramię znieczuliła mu lodem, ale i tak piekło jak cholera. Shiner miał nadzieję, że zabieg nie potrwa długo, skoro tylko dwie z trzech liter wymagają przeróbki. Amber uprzedziła go jednak, że zmiana BBR na BHA nie będzie rzeczą łatwą.

- Z drugim B nie będzie problemu. Zaokrąglę tylko górne krawędzie. Ale z R możemy mieć trudności. Nic nie obiecuję.

- Postaraj się - powiedział Shiner przez zaciśnięte zęby.

Odwrócił głowę, żeby nie widzieć operacji. Od czasu do czasu z piersi wyrывał mu się jęk, co było sygnałem dla Amber, że należy przyłożyć lód. Mimo bólu Shiner cieszył się, że jest obiektem jej uwagi. Podobało mu się to, jak podwinęła rękawy kurtki i ściągnęła włosy w kucyk - wyłącznie dla higieny. Jej dotyk, choć zupełnie aseksualny, wywoływał fale drżenia biegnące przez całe ciało aż do pachwin.

- Jeden mój znajomy - mówiła Amber - miał obsesję, że zginie w katastrofie lotniczej. Wytatuował swoje inicjały na ramionach, nogach, przedramionach, na podszwach stóp, na policzkach i pośladkach. Przeczytał, że mogą zidentyfikować tylko wytatuowane części ciała.

- Sprytne - rzekł Shiner.

- Nic mu to nie pomogło. Jego samolot spadł w morze. Faceta zjadły rekiny.

- Nic nie zostało?

- Znaleźli tylko jeden z jego adidasów - powiedziała Amber. - W środku było coś, co przypominało duży palec. Oczywiście niewytatuowany.

- Pech!

Ku zdziwieniu Shinera, Amber zaczęła coś śpiewać, nakłuwając go ciągle haczykiem na ryby.

- Masz ładny głos - powiedział Shiner.

- Bractwo Białych Rebeliantów. Mówiłam ci o tej piosence. Jest super.

Była blisko, czuł jej oddech na skórze.

- Bardzo boli? - zapytała.

- Nie - skłamał. - Zastanawiałem się nawet, czy nie zrobić czegoś ekstra pod orłem.

- Na przykład?

- Sastyk.

- Co?

- Sastyk, no wiesz, to coś mieli naziści.

Amber rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Swastyka.

- O, właśnie! Swastyka - powtórzył, żeby wryć sobie w pamięć nowe słowo. - Fajna rzecz, no nie?

- Tego nie potrafię, przykro mi.

Shiner popadł w zadumę, krzywiąc się przy boleśniejszych ukłuciach.

- Widziałem te krzyże w mieszkaniu pułkownika - odezwał się w końcu. - Chyba pamiętam, jak to szło. Spójrz...

Wyglądził piasek i palcem wskazującym narysował swoją wersję niesławnego krzyża.

Amber potrząsnęła głową.

- To nie tak.

- Jesteś pewna?

- W twoim wykonaniu wygląda jak litera z alfabetu chińskiego.

- No wiesz!

Na to z lasu wyszedł Bodean Gazer. Usiadł przy ogniu i zaczął wycierać karabin z rosy.

- Pułkownik - zwrócił się do niego Shiner. - Potrafisz narysować ten swastyk, czy jak mu tam?

- Pewnie. - Bode dostrzegł okazję, by zaimponować Amber kosztem Shinera. Odłożył broń i przesiadł się pod płachtę. Jednym ruchem dłoni zmasał swastykę Shinera i pewnymi pociągnięciami naszkicował własną.

Amber rzuciła na nią okiem i orzekła, że jest „zbyt wiele zakrętasów”. Chodziło jej o podwójne skrzydełka odchodzące od ramienia krzyża.

- Mylisz się, kochanie - powiedział Bode. - Dokładnie tak wygląda krzyż faszystów.

Amber nie podjęła dyskusji, ale pomyślała, że każdy prawdziwy supremasista i antysemita wie, jak wygląda swastyka. Nieznajomość przedmiotu wykazana przez Bode'a i Shinera utwierdziły ją w przekonaniu, że Biali Heroldowie Aryjscy nie są poważną organizacją.

- W porządku, ty jesteś ekspertem - stwierdziła i zaczęła rozgrzewać haczyk nad płomieniem zapalniczki.

Shinerowi zrobiło się mdło. Miał przecucie, że Amber się nie myli - swastyka pułkownika wyglądała dziwnie; miała za dużo elementów, a kreski szły chyba w złym kierunku.

- Gdzie on chce to mieć? - zapytał Bode.
- Pod orłem. - Amber klepnęła lewy biceps Shinera.

Shiner nie wiedział, co robić. Nie chciał obrazić dowódcy, ale jeszcze bardziej nie chciał kolejnego wadliwego tatuażu. Zdawał sobie sprawę, że poprawienie wadliwej swastyki będzie trudne. Trudne i bardzo bolesne.

Amber przycisnęła nową kostkę lodu do jego ramienia.

- Powiedz, kiedy przestanie ziębić.

Bode Gazer przysunął się bliżej.

- Chcę patrzeć.

Shiner spojrział na poczerńiały koniec haczyka i zrobiło mu się słabo.

- Gotowy?

Shiner nabrał pełne płuca powietrza. Powziął postanowienie. Zrobi to dla swych braci!

- Gotowy - powiedział chrapliwie i zacisnął powieki.

W pierwszej chwili myślał, że to on krzyczy. Potem, kiedy zwierzęcy ryk przeszedł w strumień przekleństw, Shiner rozpoznał tembr głosu Chuba.

- O mój Boże! - zawołała Amber.

- Co, u licha?! - zawołał Bodean Gazer.

Shiner otworzył oczy i ujrzał Chuba, nagiego, jeżeli nie liczyć pomarańczowych szortów Amber, które nosił na głowie. Szorty przylegały ciasno do czaszki, nasunięte na oko tak, by ukryć czarną przepaskę.

Ale nie dlatego nie mogli oderwać od niego wzroku.

Coś uczepliło się prawego ramienia Chuba, które zwisało bezwładnie u jego boku. W miejscu, gdzie kiedyś były krabie szczypcy, teraz major miał całego, żywego kraba, jednego z największych, jakie Amber widziała poza akwariem morskim.

- Co robić? - załkał Chub. - Słodki Jezu, co ja mam robić?

Z oczami zmętniałymi od snu i kleju, wyciągnął ku nim zdrową rękę. Kłykcie były rozkrwawione.

Amber rzuciła spojrzenie Shinerowi, który nie mając doświadczenia ze skorupiakami, nie przygotował zawczasu kontrstrategii. Mimo oplakanego stanu swojego białego brata, odczuł ulgę. Podczas gdy inni stali zahipnotyzowani widokiem Chuba, on wyciągnął nieznacznie nogę i zamazał kontrowersyjny rysunek Bode'a Gazzera.

- Krab! - wrzeszczał Chub. - Uwziął się na te cho-cholerne szczypcy!

- Albo próbuje je zjeść, albo wypieprzyć - powiedział żalobnym tonem Bodean Gazer.

Krab dalekowiedz wziął zmasakrowaną dłoń Chuba za przedstawiciela swojego gatunku, tak brzmiała teoria pułkownika. Amber nie wygłosiła żadnej opinii.

- Dlaczego on ma twoje spodnie na głowie? - zapytał ją Shiner.

- Bóg raczy wiedzieć.

Chub rzucił się w stronę wody. Kiedy pozostała trójka dotarła do brzegu, tarł jak szalony ręką o pień starego drzewa.

- Ja się tym zajmę! - Shiner wystąpił naprzód.

Bode przeraził się widokiem beretty połyskującej w dłoni chłopaka.

- O nie! - zawołał, wyrывая mu broń. - Ja będę czynił honory, synu.

- Czynił co? - zdziwiła się Amber.

Poczuła dłoń Shinera na swoim ramieniu.

- Lepiej się odsuń - doradził.

Choć Bodean Gazer nie wiedział o tym, niewiele brakowało, by nie wrócił już do obozu. Tom Krome i JoLayne przydybali go samego.

Maszerował przez wyschniętą zatokę w zachodniej części wyspy. Zatoka była szeroka, owalna, otoczona drzewami mangrowymi. Podczas wysokiej jesiennej fali wypełniała ją woda, ale silny wiatr wiejący przez ostatnie dni prawie osuszył teren. Brnąc z karabinem w dłoni przez budyniowaty margiel, Bode spłoszył stadko ptaków i dzięki temu go zauważyli.

Wyszli z lasu zaledwie dwie minuty po nim. Nie mogli ryzykować tej samej drogi przez zatoczkę, ponieważ teren nie dawał osłony. Ruszyli więc, zgięci wpół, okrężną drogą przez mangrowce. Był to powolny marsz; Tom szedł przodem, odchylając sprężyste gałęzie, by JoLayne mogła przecisnąć się z remingtonem. Kiedy bandyta wszedł z powrotem do lasu, usłyszeli, jak przedziera się przez mangrowce. Ruszyli za nim na palcach.

Wtem hałas z przodu ustał. JoLayne pociągnęła Toma za rękaw, nakazując gestem, by się zatrzymał. Przytknęła wargi do jego ucha

- Czuję dym.

Po chwili usłyszeli głosy. Znaleźli się bardzo blisko obozowiska bandytów; prawdopodobnie zbyt blisko. Wycofali się ostrożnie i ukryli pod splątanym baldachimem drzew. Wszędzie wokół rozpościerały się świeżo utkane pajęczce sieci. Tom spoglądał na nie z zachwytem.

- Wspaniale!

Zauważyła, że dopóki są w akcji, jest spokojny, niemal zrelaksowany. Nerwy puszczały mu dopiero wtedy, gdy trzeba było siedzieć i czekać. Kiedy przekazała mu swoje spostrzeżenie, powiedział:

- To dlatego że wolę ścigać, niż być ściganym. Ty nie?

- Fakt, podeszliśmy blisko - szepnęła.

- Dobra w tym jesteś.

- Jak na Murzynkę?

- JoLayne, nie zaczynaj!

- Nie wszystkie Murzynki stoją na rogach ulic. Niektóre naprawdę radzą sobie w lesie. A może nawiązywałaś do kobiet w ogóle.

- Właściwie tak! - Z dwojga złego wołał, by uważała go za męskiego szowinistę niż rasistę... zakładając, że JoLayne mówiła choć trochę serio.

- Twoja żona nigdy nie zabrała cię do lasu? - zapytała.

- Ja w każdym razie tego nie pamiętam.
- Ani żadna z twoich kochanek? - Uśmiechała się. Prowokowanie go sprawiało jej żywą przyjemność. - Przepraszam, że się droczę, ale pokusa jest zbyt wielka. Od tak dawna nie miałam białego faceta z kompleksem winy.
- Masz teraz.
- Powinniśmy się kochać wczoraj wieczorem - powiedziała z żalem. - Co tam deszcz!

Tom pomyślał, że wybrała dziwny moment na rozmowę o miłości, z bandą uzbrojonych wariatów pod bokiem.

- Gdybym знаła dzień swojej śmierci, ostatnią noc poświęciłabym wyłącznie na pieprzenie.

- Dobry plan.

- A przecież możemy umrzeć na tej wyspie. Bądź co bądź ścigamy bandytów.

Tom powiedział, że woli myśleć pozytywnie.

- Ale musisz przyznać, że istnieje szansa, że nas zabiją.

- Cholera, istnieje taka szansa.

- O tym właśnie mówię: Dlatego żałuję, że się nie kochaliśmy.

- Och, myślę, że nadarzy się jeszcze okazja. - Tom próbował zachować optymizm.

JoLayne zamknęła oczy i odchyliła w tył głowę.

- Śmiertelny strach wzmagą doznania erotyczne. Gdzieś to przeczytałam... Nie, nie w „Cosmo”... Przepraszam, że tak gładzę, ale naprawdę jestem...

- Zdenerwowana. Ja też - powiedział Tom. - Skoncentrujmy się na tym, co zrobimy z gnojkami, którzy ukradli ci bilet Lotto.

Przez twarz JoLayne przemknął wyraz rozmarzenia.

- Zrobili nie tylko to.

- Wiem.

- Mimo to nie sądzę, żebym mogła pociągnąć za spust.

- Może do tego nie dojdzie.

JoLayne wskazała w górę na gałęzie mangrowców. Mały baryłkowaty owad wplątał się w pajęczą sieć. Pająk szedł ku niemu niespiesznie, niemal obojętnie.

- Tego właśnie nam trzeba - powiedziała JoLayne. - Sieci.

Obserwowali walkę owada do chwili, gdy ciszę rozdarło wycie. Tym razem krzyczał mężczyzna, nie mniej przenikliwie niż kobieta nocą. JoLayne zadrżała i poderwała się z ziemi.

- Cholera! Co to?

Tom wstał szybko.

- Wole, żeby wrzeszczeli, niż gdyby mieli śpiewać harcerskie piosenki przy ognisku. Chodźmy zobaczyć.

Chub nie chciał powierzyć odstrzelenia kraba ani Bode'owi, ani Shinerowi. Ba! - nie dowierzał sam sobie.

- Czuję się parszywie - przyznał.

Namówili go, żeby się położył, po paru minutach atak hysterii minął, a przeszywający ból przeszedł w tępe łupanie. Bode przyniósł Chubowi ciepławe piwo, Shiner zaoferował pasek suszonej wołowiny. Ze strony Amber nie doczekał się nawet jednego współczującego spojrzenia.

- Zimno mi - poskarżył się. - Mam dreszcze.

Bode powiedział mu, że rana jest zainfekowana.

- Przynajmniej ten kawałek, który widać - dodał. Spora część tkwiła w paszczy kraba.

- Skurwiel żyje, czy jest martwy? - dopytywał się Chub.

- Martwy - odrzekł Shiner.

- Żyje - powiedział Bode.

Chub zwrócił oczy na Amber.

- Trudno poznać - zaopiniowała.

- Boże! Zamarzam. Skóra mnie pali, a reszta zamarza.

Amber ściągnęła brezent z drzewa i nakryła Chuba po szyję. Był poruszony, wzięwszy to za akt miłosierdzia i uczucia. Motywy, jakimi kierowała się Amber, były egoistyczne: chciała uciec od koszmarnego widoku nagiego Chuba konsumowanego przez kraba.

- Dziękuję ci, kochana. Później pójdziemy na ten obiecany spacer.

- W tym stanie nigdzie nie pójdziesz.

- Co prawda, to prawda - orzekł Shiner. Już sama myśl o podobnym tête-à-tête napędziła go przerażeniem.

Bodean Gazer podgrzał kawę w dzbanku. Chub przysnął. Korzystając z okazji, Amber próbowała odzyskać swoje szorty, ale zaczęły się o kucyk Chuba i szarpnięcie wywarło go z drzemki.

- Nie! Nawet nie próbuj! Są moje, do cholery! Sama mi je dałaś!

- Dobrze, dobrze. - Amber wycofała się co prędzej.

Spod brezentu ukazała się zdrowa ręka Chuba. Naciągnął błyszczące spodenki na nos i usta, łypiąc zdrowym okiem przez dziurę w nogawce.

- To wariat - wyszeptał Shiner, odwrócony do Chuba plecami.

- Dzięki za informację - powiedziała Amber.

Popijali kawę, podczas gdy Bodean Gazer odczytywał na głos fragmenty pism Pierwszego Konwentu Patriotów. Kiedy doszedł do miejsca traktującego o Żydach i Murzynach jako potomkach diabła, Amber machnęła ręką.

- Nie ma tego w Piśmie Świętym!

- Właśnie że jest! „Pokładający się z szatanem, wywiodą z jego demonicznego nasienia dzieci ciemności i grzechu”. - Bode zmyślał. Nie otworzył Biblii od czasów szkoły średniej.

Nie przekonał jej, za to Shiner nie miał wątpliwości.

- Jak pułkownik mówi, że jest, znaczy się - jest!

Chociaż z drugiej strony dziwne, że jego nawiedzona matka nie użyła nigdy tak mocnego cytatu. Nasienie szatana!

Chub uniósł głowę i zażądał torby z klejem.

- Masz dość! - powiedział gniewnie Bode.
- Jeszcze długo nie będę miał dość. - Przy każdym słowie jedwab szortów Amber wzdymał się na ustach Chuba. Amber pomyślała, że zabierze ten obraz do grobu.
- Chryste! - mówił Bodean Gazzer. - Masz już schrzanione oko, schrzanioną rękę, potrzeba ci tylko schrzanionego mózgu. Jesteś żołnierzem, zapomniałeś? Majorem.
- Gównu mnie to obchodzi! - wrzasnął Chub poprzez jedwab szortów.

Bode podjął czytanie, ale słuchał go tylko Shiner. Jego pytania dotyczyły głównie warunków zakwaterowania w Montanie przez Pierwszy Konwent Patriotów. Czy w bunkrach jest centralne ogrzewania? A telewizja kablowa? Chub usiadł gwałtownie na posłaniu.

- Moja giwera! Gdzie moja giwera?!
- Pewnie w łodzi - powiedział Bode z dezaprobatą. - Razem z twoimi kamuflażami.
- Idź po nią!
- Jestem zajęty.
- Natychmiast! Żądam mojej giwery! - Chub przypomniał sobie o bilecie loteryjnym, ukrytym w komorze.
- Ja pójdę - powiedział Shiner.
- Ty siedź! - warknął Chub. Jego wzrok spoczął na Amber. Siedziała po drugiej stronie ogniska, tuż przy chłopaku, naprawdę blisko. Dotykała go! Dotykała jego tłuste-ramienia!

Chub nie zdawał sobie sprawy, że Amber okłada Shinera lodem, ale gdyby wiedział, nie miałyby to większego znaczenia.

- Czas na naradę - zwrócił się do Bode'a Gazzera.
- Co?
- Narada BHA. Mamy coś do załatwienia, no nie?
- A tak - przypomniał sobie Bode. Pragnął odłożyć naradę do czasu rozwiązania kryzysu z krabem. W obecnym stanie Chub stracił dużo ze swej bezwzględności, tak przydatnej przy ostrych konfrontacjach.

Bode zwołał naradę z takim brakiem entuzjazmu, że Amber poczuła niepokój. Trąciła Shinera łokciem, na znak, że nadeszła chwila, o której rozmawiali szeptem tuż przed świtem. Shiner był zdruzgotany, jak dziecko, które dowiedziało się, że święty Mikołaj nie istnieje.

- Synu - zaczął Bode Gazzer. - Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że doceniamy wszystko, co zrobiłeś dla naszej jednostki. Twoje zasługi nie pójdą w zapomnienie. Ale rzecz w tym, że nie układa ci się najlepiej. Zwłaszcza z bronią. Synu, cholernie łatwo się ekscytujesz!

- Jezu, jeszcze kogoś zabijesz, strzelając do ptaków i królików - wtrącił Chub.
- Przecież przeprosiłem - powiedział Shiner. - I, pułkowniku, obiecałem zapłacić za dziury w twojej furgonetce.

- Szanuję to. Naprawdę szanuję. Ale stanowisz element zagrożenia. Czarna Fala depte nam po piętach, nie wspominając problemu NATO. Nie możemy sobie pozwolić na błędy.

- Na śmierć i życie - powiedział Chub. - To nie zabawa.
- I dlatego musimy pozwolić ci odejść - powiedział Bode Gazer. - Jedź do domu i zaopiekuj się mamą. To żaden wstyd.
- Shiner zaskoczył ich obu.
- Ani mi się śni. - Wstał i zerknął na Amber, która skinęła zachęcająco głową. - Nie możecie mnie wykopać. Nie możecie! - Wskazał posiniaczone, skłute ramię. - Widzicie? BHA. Do końca życia.
- Synu, przykro mi, ale nic z tego nie będzie. - Bode rozumiał, że to on musi przemówić chłopcu do rozumu; Chub nie miał cierpliwości do dyskusji. - Możemy ci tylko podziękować za wszystko i życzyć szczęśliwej drogi. Przewidzieliśmy również gratyfikację wysokości tysiąca dolców za twoją lojalność.
- Amber roześmiała się sarkastycznie.
- Tysiąc dolarów? To jakiś żart! - powiedział ośmielony Shiner.
- Bode zapytał, czego wobec tego chce.
- Zostać w milicji - odparł Shiner natychmiast. - I chcę trzeciej części wygranej. Zapracowałem sobie.
- Chub odrzucił brezent i poderwał się na nogi.
- Zastrzel sukinsyna - powiedział do Bode'a.
- Uspokój się.
- Jeżeli ty go nie zabijesz, ja to zrobię.
- Cholera, synu! - nachmurzył się Bode Gazer. Wyjął zza paska kradzioną berettę. - Dlaczego stawiasz mnie w takiej sytuacji?
- Amber widziała, że Shiner odchodzi od zmysłów ze strachu.
- Pułkowniku, powinienes o czymś wiedzieć - odezwała się. - Powiedz mu, Shiner. Powiedz, co zrobiłeś w Jewfish Creek.
- Był to wielki bluff. Shiner rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, co Amber kazała mu powiedzieć, słowo w słowo. Ale nie potrafił - widok beretty kompletnie wytrącił go z równowagi.
- O kasecie wideo - podpowiedziała Amber.
- A... tak.
- O telefonie, który wykonałeś.
- Jakim telefonie? - zapytał Bode.
- Właśnie - powiedział Shiner. - Kasetę wideo ze sklepu, pamiętacie? Kazaliście mi ją zabrać z Grab N'Go. Dowód, że nie wygraliście w Lotto...
- Zamknij dziób! - warknął Chub.
- ...bo przyjechaliście do Grange dopiero następnego dnia. To wszystko jest na kasecie.
- Jaki telefon? - Bode Gazer uderzał się berettą po udzie.
- Powiedz mu.
- Do mamy - skłamał Shiner. - Kasetę jest w moim wozie, a wóz koło przyczepy majora Chuba. Zadzwoń do mamy i kazałem jej pojechać tam, jeżeli nie odezwę się do czwartku.
- Do wtorku - poprawiła Amber.
- Właśnie. Do wtorku. Kazałem jej pojechać po samochód.

- I co dalej? - Bode Gazzer miał wrażenie, że najadł się kredy.
 - Kazałem oddać kasetę tej Murzynce. JoLayne. Ona będzie wiedziała, co z nią zrobić.
 - Kłamiesz - powiedział Bode bez przekonania.
 - Wcale nie!
 - Widziałam, jak dzwoni - powiedziała Amber.
 - Niech was diabli!
- Amber oznajmiła, że idzie popływać. Sama. Shinerowi ulżyło, bo jeszcze chwila, a załaby się w spodnie.
- Chub i Bode wycofali się na pokład „Reel Luv” na walną naradę. Nawet w stanie oglupienia Chub zrozumiał, co zrobił Shiner - załatwił sobie ubezpieczenie.
- Czy to oznacza, że nie możemy zabić skurwiela?
 - Nie wiem, chyba tak.
 - O co chodziło z tą forszą?
 - Chce dostać udział, a my musimy mu go dać. Dzięki Bogu, wie tylko o jednym bilecie Lotto. To będzie... No, ile to będzie jedna trzecia z czterestu milionów?
- Chub dokonał obliczenia w myślach.
- Cztery z kawalkiem. Cztery przecinek pięć, sześć.
 - Więc to będzie jego działka. Był się tylko nie dowiedział o drugim bilecie.
- Chub poczuł, że coś mu stanęło na żołądku i chętnie by to zrzucił. Cztery i pół miliona dolarów dla gówniarza! To nie było w porządku. To grzech.
- Szantaż! - powiedział Bode posępnie. Nie było sensu zaprzeczać, że sytuacja jest poważna. Ratowanie białej Ameryki trzeba odłożyć na później; najpierw muszą uratować siebie.
 - I jeszcze coś ci powiem - zwrócił się do Chuba. - Twoja blond ślicznotka maczała w tym palce.
 - Amber? Chrzanisz!
 - Myślisz, że Shiner potrafiłby to wymyślić? Dzieciak nie doszukałby się własnego fiuta szczypcami do sałaty.
- Mimo wszystko Chub nie mógł uwierzyć w przენiewierstwo Amber. Niemożliwe, żeby spiknęła się z Shinerem, skoro może mieć jego, Chuba! Bode Gazzer kazał mu się ubrać.
- Zanim fiut ci się upieczce.
 - Ale mnie jest gorąco. Zobacz! - Chub oparł na burcie rękę z krabimi szczątkami.
 - Nie, dzięki - powiedział Bode, cofając się. Interesująca myśl przyszła mu do głowy.
- Dziś jest poniedziałek, tak?
- Mnie nie pytaj.
- Bode zabębnił palcami o krawędź nadburcia.
- To nam daje cały dzień, zanim matka Shinera dojedzie do przyczepy. Powiedzmy, że wyruszemy zaraz. Dopłyniemy do autostrady, wskoczmy do furgonetki i jazda! Jutro w południe jesteście w Tallahassee.
- Chub wyrzwał zza pomarańczowych szortów Amber.
- A kasetą?

- Podjedziemy do przyczepy w drodze na północ. Znajdziemy kasetę i spalimy. Spalimy cały samochód, jeżeli będzie trzeba, tak jak miał tego półgłówka.

- Fan-tas-tycznie - zarechotał Chub. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy opuści przeklętą wyspę. - I zostawimy podstępnego drania, żeby zgnił. To lubię.

- Ją też.

- O nie!

- Tak będzie o wiele lepiej - rzekł Bode.

- Ale jeszcze jej nie pieprzyłem!

- Daj spokój. Załadujmy łódź.

- Mamy czas - powiedział Chub. - Możemy przelecieć ją obaj.

Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Bode z miejsca odrzucił pomysł, niestety pozwolił, by zapłodnił mu wyobraźnię. Oczarowała go wizja nagiej Amber klęczącej u jego stóp.

- Skinheada zwiążemy - zaproponował Chub. - Przelecimy dziewczynę i pryskamy.

- A ona się na to zgodzi? - Bode nie miał ochoty gwałcić białej kobiety, a co ważniejsze, nie miał ochoty za to siedzieć.

- Jeśli będzie to jedyny sposób, żeby się wydostać z wyspy? Pewnie, że się zgodzi!

- Racja!

Był to historyczny moment, Chub zaczął myśleć. Wdrapał się na pokład „Reel Luv”, żeby odszukać torbę z klejem.

Bode usłyszał kroki i zrobił w tył zwrot. Powinien mieć beretkę gotową do strzału, ale nie miał.

Przed nim stała Amber, w rozpiętej kurtce, z włosami mokrymi po kąpieli.

- Nie mogę znaleźć Shinera - powiedziała.

- Jaka szkoda! - Chub lypnął okiem między nogawkami kelnerskich szortów.

Rzeczowym tonem Bode Gazer przedstawił jej plan, cenę przejazdu do Keys. Nie zaczęła płakać, uciekać, nie wpadła we wściekłość. Zachowała zupełnie neutralny wyraz twarzy, co wprawiło obu mężczyzn w stan niedorzecznego oczekiwania.

- Zdejmij z głowy te idiotyczne spodnie - powiedziała.

Bode odruchowo rzucił okiem na kumpla, wydawało mu się, że dostrzeżga oznaki życia u rzekomo martwego kraba. Amber powtórzyła żądanie.

- Zdejmij je. Wyglądasz jak zboczeniec.

- Słuchaj no! - Chub postąpił krok w jej stronę. Dopiero wtedy zobaczył kolta pythona. Własnego colta pythona! Bilet Lotto, życiowa fortuna, cała jego ziemską przyszłość - wszystko w rękach rozwścieczonej kelnerki Hootersa.

- Słodki Jezu! - powiedział.

Bodean Gazer był zdumiony tempem rozwoju wydarzeń, a wszystko przez parszywy pech, ślepe żądze i jawną głupotę.

- Powdychaj kleju - zwrócił się do kumpla. - Może uda ci się spartaczyć coś jeszcze.
 - Amber strzeliła Chubowi pod nogi. Piasek osypał mu golenie i kostki. Major zerwał z głowy pomarańczowe szorty.
 - Dziękuję - powiedziała Amber. - No dobra, chłopaki, co zrobiliście z Shinerem?
 - Nic! - zawołali chórem.
- Nie wiedzieli, że Shiner znajduje się w odległości stu dwudziestu kroków i moczy spodnie w agonii strachu.

24.

Celując z karabinu, Tom Krome układał w głowie czołówkę reportażu.

Niezidentyfikowany ekspedient sklepowy został zastrzelony w poniedziałek na wyspie w grupie Perl Key.

Policja ustaliła, że ofiarą wytropiono i osaczono w trakcie oddawania moczu w gąszczu mangrowym. Aresztowany pod zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia został Thomas Paine Krome, lat trzydzieści pięć, dziennikarz prasowy, uznany za zaginionego.

Koledzy redakcyjni charakteryzują Krome 'a jako posępnego i złośliwego samotnika. Jeden z jego byłych kierowników przyznał, że „wcale nie jest zaskoczony” aresztowaniem Krome 'a.

Krome kazał Shinerowi podnieść ręce, JoLayne ostrzegła, żeby nie próbował się stawić.

- Ale ja się obsikałem - poskarżył się chłopak.
- Nic przyjemniejszego cię już dzisiaj nie spotka.

Shiner mrugał nerwowo powiekami.

- No dobra - powiedział Krome. - Gdzie jest bilet Lotto?
- Ja go nie mam! - Shiner spojrzał w dół na płamę rozlewającą się po jego spodniach. - Mogę przynajmniej zapiąć rozporek?
- Nie możesz - powiedziała JoLayne surowo. - Chcę mieć twojego bielusieńkiego kutaska na widoku, na wypadek gdyby trzeba go było odstrzelić.

Ekspedient wyglądał, jakby się miał zaraz rozpląkać.

- JoLayne, ja nie mam twojego biletu. Nie wiem, co oni z nim zrobili, przysięgam na Boga!

JoLayne odwróciła się do Toma.

- Daj mi strzelbę.
- Spokojnie, JoLayne.

- Tom, nie stwarzaj trudności.

Przekazał jej strzelbę, przepelniony zarazem lękiem i ulgą. Shiner z miejsca zaczął się kurczyć. Po chwili stwierdził, że penis schował mu się samoczynnie w spodnie. JoLayne wepchnęła w rozporek koniec lufy.

- Puk, puk, jest tam kto? - Jej lodowaty ton przejął Shinera dreszczem.

- Proszę, nie! - pisnął.

- Powiedz mi, gdzie jest bilet.

Krome popukał w tarczę swojego zegarka.

- Pośpiesz się, synu. - Nie sądził, żeby JoLayne zastrzeliła dzieciaka z zimną krwią. Tamtych dwóch skurczybyków może, ale nie Shinera.

Chyba że chłopak zrobi coś głupiego.

Me zidentyfikowany ekspedient sklepowy został zastrzelony w poniedziałek na wyspie w grupie Pearl Key.

Policja ustaliła, że ofiara została wytropiona i osaczona przez niezadowoloną klientkę, której wydarto podstępnie bilet loteryjny na czternaście milionów dolarów. Aresztowana pod zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia została JoLayne Lucks, lat trzydzieści pięć, pracownica kliniki weterynaryjnej. Sąsiedzi charaktery żują ją jako cichą, łagodną kobietę i są zaszokowani jej aresztowaniem.

- Jeżeli jesteś choć trochę przywiązany do swojego wacusia, radzę odpowiedzieć tej pani.

- Ale ja nawet nie widziałem tego cholerstwa, przysięgam! - wyszczał Shiner przez zaciśnięte zęby.

JoLayne spojrzała na Toma.

- Wierzysz mu?

- Niestety.

- Ja jeszcze nie.

Zrobiła krok do tyłu. Zgodnie z prawidłami gry, Shiner wybrał ten właśnie moment, by wyrwać jej remingtona. Ku jego zdumieniu JoLayne wypuściła karabin bez walki. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy się okazało, że nie może go utrzymać, ponieważ oba kciuki ma wybite i zupełnie bezużyteczne.

Shiner pacnął na ziemię jak śnięty kielb, a JoLayne podziękowała Tomowi, że nauczył ją sztuczki z wykręcaniem kciuka. Krome spokojnie chwycił Shinera za gardło i mocnymi słowy zachęcił, by cierpiał w milczeniu. Inaczej wrzaski zaalarmują jego towarzyszy podróży.

- Zaczniemy z innego końca. Gdzie jest kasetka wideo?

- W moim samochodzie - wyszczał Shiner chrapliwie. - Przy przyczepie Chuba.

- Więc ten facet z kucykiem nazywa się Chub?

- Z kucykiem, gumową przepaską na oko i krabem na rękę, tak, proszę pana.

Krome złuzował uścisk i poderwał Shinera z ziemi.

- Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

- Chuba? Nigdy nie mówił. - Shiner dyszał ciężko. Rzucił ukradkowe spojrzenie na swoje kciuki i omal nie zemdlał.

- I co na to powie twoja mama? Boże, trudno sobie wyobrazić. - W głosie JoLayne brzmiała nagana. Usiadła na piasku obok Shinera. Skulił się, jakby zobaczył tarantulę.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. - Dlaczego pomagasz tym draniom?

- Nie wiem. - Shiner odwrócił głowę i zamknął się w sobie. Stosował tę metodę, ilekroć matka naskakiwała na niego, że wymiguje się od śpiewania hymnów albo przemyca piwo do swojego pokoju.

- On jest beznadziejny, Jo - powiedział Tom. - Chodźmy.

- Jeszcze chwila. - Łagodnie ujęła go za podbródek i odwróciła ku sobie, żeby spojrzeć mu w oczy.

- To taki klub - powiedział Shiner. - Zapytali, czy chcę wstąpić, a ja się zgodziłem. Takie bractwo. Nic wielkiego.

- Jasne - powiedział Tom. - Kiwanis, tylko dla nazistów.

- To nie jest tak, jak myślicie. Przynajmniej nie było tak na początku - wymamrotał Shiner po dziecinnemu.

Oczy JoLayne załśniły.

- Wiesz, co zrobili mi twoi bracia? Chcesz, żebym ci pokazała?

Bez słowa skinhead zgiął się wpół i zwymiotował. JoLayne uznała to za odpowiedź odmowną.

W przeciwieństwie do wielu rówieśniczek, Amber miała realistyczny pogląd na życie, miłość, mężczyzn i swoje perspektywy. Wiedziała, dokąd może ją zaprowadzić uroda i jak daleko może się posunąć na tej drodze. Nie zlakomiła się na pracę modelki (pozwoliła sobie jedynie na zdjęcia do kalendarza) i nie chciała tańczyć topless (mimo astronomicznych honorariów). Postanowiła, że będzie kelnerką u Hootersa, skończy szkołę i postara się o godziwą pracę jako kosmetyk. Nie rzuci zazdrosnego Tony'ego, dopóki będzie w stanie tolerować jego wybryki, chyba że spotka kogoś bardziej odpowiedniego. Nie zostanie kochanką mężczyzny mogącego być jej ojcem, choćby nie wiem co jej proponował. Będzie pożyczala pieniądze od rodziców tylko w ostateczności i zwróci każdego pensa jak najszybciej. Będzie w posiadaniu tylko jednej karty kredytowej. Nie będzie udawała orgazmu dwie noce z rzędu. Będzie się trzymała z dala od papierosów (które zabiły jej wujka) i wódki Absolut, po nadużyciu której zrobiła z siebie publicznie idiotkę. Nie pozwoli się poderwać na czarny wóz z opuszczanym dachem ani na znajomość języków obcych.

Ale nawet najbardziej praktyczna i zdyscyplinowana młoda kobieta ma prawo się przerazić, kiedy zostanie porwana przez uzbrojoną milicję. Jednakże kelnerowanie w niedorzecznie skąpych szortach dało Amber niezachwianą wiarę w swe umiejętności poskramiania szajbusów wszelkiego asortymentu. Z trójki oszołomów Shiner był słabym ogniwem i automatycznie stał się ośrodkiem jej uwagi. Rzecz jasna, nie pracowała nigdy w salonie tatuażu i nie miała pojęcia o tej sztuce, ale słusznie zakładała, że młody

Shiner, zgłodniały jej dotyku, pozwoli wypalić sobie dziury zardzewiałym haczykiem na ryby.

Bardzo prędko wyczuła, że Shiner nie jest urodzonym kryminalistą i że przyłączył się do Chuba i Bodeana Gazzera z nudy i ciekawości. Kiedy opowiedział jej o kradzieży biletu Lotto i czternastomilionowej wygranej, Amber zrozumiała, że kumple spróbują wykiwać go przy pierwszej okazji. Co oznaczało, że zostanie sama z zakamuflowanym pułkownikiem i jednoosobowym obwążiwaczem majątek, których posądzała o większe okrucieństwo niż skinheada nowicjusza. Z całą pewnością nie była im obca idea wymuszonego stosunku seksualnego.

Amber wierzyła, że obecność Shinera zwiększa szanse, że nie zostanie zgwałcona.

W tym celu opracowała strategię elementarnego szantażu. Była zdumiona, że Shiner nie zażądał dotąd swojej części loteryjnej wygranej. Przede wszystkim uświadomiła mu, że sedno sprawy tkwi w ubezpieczającej kasecie wideo z Grab N'Go.

Tylko jeden fakt przemawiał przeciwko temu, by pomóc Shinerowi w uzyskaniu części loteryjnej puli - pieniądze należały do kogoś innego. Do jakiejś czarnej dziewczyny, przynajmniej tak twierdził Shiner. Do dziewczyny z jego miasteczka. Amber miała skrupuły, że rozporządza cudzą wygraną, ale po namyśle uznała, że na wyrzuty sumienia przyjdzie czas. Teraz należało przede wszystkim wprowadzić w życie plan z szantażem. A był to wcale niezły plan, biorąc pod uwagę, że powstał w tak krótkim czasie i w tak niesprzyjających warunkach, przy tak ubogich środkach. Zmyślona historia z telefonem do matki, jej gotowość odzyskania kasety w przypadku zdrady - to był majstersztyk. Słabym punktem planu, co Amber zrozumiała dopiero teraz, była luka w czasie. Dała Bode'owi i Chubowi niemal cały dzień na opuszczenie wyspy, zniszczenie obciążających dowodów i rajd do Tallahassee po pieniądze.

Co też zamierzali uczynić, kiedy doprowadziła do konfrontacji przy łodzi, po porannej kąpiel.

- Zdejmij z głowy te idiotyczne portki. - Jedną ręką zapięła suwak kurtki, w drugiej trzymała pistolet Chuba, który wyjęła o świcie z łodzi i ukryła w krzakach. - Wyglądasz jak zboczeniec. - Wystrzeliła pod nogi Chuba, żeby oswoić się z ciężką bronią. Poza tym chciała dać zasrańcom poznać, że nie żartuje i nie zamierza negocjować z żadnym dorosłym mężczyzną, który ma na głowie damskie szorty. - Co zrobiliście z Shinerem?

Odpowiedzieli obaj, że nic nie zrobili.

- Poszedł się odsikać.
- Nie ma go.
- Fatalnie - powiedział Chub.
- Chodźmy go poszukać. Ubieraj się!
- Za chwileczkę. - Chub uśmiechał się lubieżnie. - Na pewno nie widzisz nic, na co byś miała chętkę? Nic dużego i smakowitego?

Pomajtał podpieczonym na słońcu penisem, co skłoniło Amber do oddania kolejnego strzału. Tym razem kolt omal nie wyskoczył jej z ręki. Kula przeleciała pomiędzy Chubem a Bode'em, rozerwała poszycie i chlupnęła w wodę.

Kiedy poszarpane liście opadły na dno łodzi, demoniczny krab niespodziewanie odpadł od gnijącej ręki Chuba. Od dawna był już martwy. Chub wgniół go w ziemię gołą stopą, mamrocząc przekleństwa.

Bode Gazzer uniósł ramiona.

- Dobra, złotko - powiedział do Amber. - Przestań wymachiwać bronią. Rozumiemy twoje stanowisko.

- Powiedz to swojemu przyjacielowi.

- Nie martw się, jest z nami.

- Gówno prawda. Najpierw wyciupciam ślicznotkę.

Bode skrzywił się z niesmakiem. Facet był niewiarygodny. Żadnego wyczucia priorytetów.

- Pułkowniku, on przeciąga strunę.

- Cóż na to poradzę? Czasem mu odbija.

- Uważasz, że powinnam go zastrzelić?

- Wolałbym nie.

Chub przyglądał się swojej zainfekowanej dłoni, jakby to był rozsadzony gaźnik.

- Wszystko odpadło, a przekłete szczypcy zostały.

- Zajmiemy się nimi potem - powiedział pułkownik. - Wskakuj w ciuchy i chodźmy poszukać skinheada.

- Najpierw moja ukochana Amber mnie wypieprzy.

- Prędzej odstrzeli ci fiuta, ty zakuta pało!

- Nie wydaje mi się - powiedział Chub. - Wydaje mi się, że zrobi mi dobrze. - Ciekawe jak?

- Mała Amber nikogo nie zastrzeli.

Zrobił w jej stronę jeden długi krok, potem drugi. Ścisnęła broń w obu rękach.

- On się o to prosi - ostrzegła Bode'a.

- Widzę.

To przez ten cholerny klej. Chub zachichotał.

- Żaden klej, pułkowniku. To miłość, kurwa.

Zaatakował, jodłując radośnie. Amber pociągnęła za spust, ale rozległo się tylko tępe szczęknięcie. Pistolet nie wystrzelił - cylinder się obrócił, kurek opadł, a kula nie wyleciała.

Nie wyleciała, ponieważ jej tam nie było. Zamiast kuli w tej właśnie komorze znajdował się mały papierek, spłwiała od potu i słonej wody. Gdyby Amber mogła go wyjąć i obejrzeć, stwierdziłaby, że widnieje na nim sześć liczb i wizerunek różowego flaminga, oficjalnej maskotki loterii florydzkiej.

- Mówiłem! - triumfował Chub.

Leżał goły na ziemi, wymachując odzyskanym koltem pythonem. Pod nim, unurzana w piasku i wodorostach, walczyła w milczeniu Amber.

- Mówiłem - głos Chuba przeszedł w złośliwy śmiech. - Mówiłem, że zrobi mi dobrze.

Bodean Gazer nie kochał się z kobietą od jedenastu miesięcy. Celibat usprawiedliwiał tym, że uprawianie miłości z kobietą niebiałą jest niezgodne z Biblią, a te białe kobiety, które spotyka, pobierają za seks zbyt wysokie opłaty. Jednakże miał skrupuły, by wykorzystać upragnioną, pachnącą Amber.

Nie miała chęci obsłużyć Białych Heroldów Aryjskich. Chubowi stawiała zacięty opór. I choć widok piersi Amber wylewających się z kamuflaży uderzył Bode'owi do głowy, niepokoił go fakt uczestniczenia w gwałcie białej chrześcijanki pochodzenia europejskiego. W gruncie rzeczy byłby równie niechętny zgwałceniu jakiegokolwiek kobiety, nawet Kubanki czy Murzynki, nie tyle z uwagi na amoralną naturę przestępstwa, lecz przez wzgląd na konsekwencje prawne. W przeciwieństwie do Chuba, spędził za kratkami dość czasu, by wiedzieć, że napad na Burger King, kradzież cadillaca czy nawet dwuminutowe walenie naturalnej blondynki nie jest warte odsiadki w mamrze. Gwałt był ciężkim przestępstwem, a na Florydzie zgwałcenie białej kobiety - nawet przez białego mężczyznę - oznaczało długi wyrok w mało malowniczym Starke.

Wiedział również, że Chub w obecnym stanie umysłu jest odporny na logikę. Bode mógł tylko stać z pistoletem i mieć nadzieję, że to nie potrwa długo i nie spowoduje hałasu. Iskrę żądz wznieconą nagością Amber zgasił widok pupiastego Chuba; brudnego, chrząkającego i obślinionego. Zapach towarzyszący spektaklowi przypomniawszy Bode'owi o higienicznych niedostatkach partnera i ostatecznie zniechęcił go do przyłączenia się do zabawy.

- Nie ruszaj się, nie ruszaj się - sapał Chub.

Ale Amber wiała się jak piskorz.

- Szybciej - powiedział Bode, zerkając przez ramię. Skinhead wpadnie w batalistyczny szal, jeżeli zobaczy co się święci.

- Nie mogę dostać się do środka! Cholera, każ jej się nie ruszać! - Chub uwalił się na Amber całym ciężarem. Wstążki trawy przyłgnęły mu do ud.

- Postrasz ją pistoletem! - ryknął.

- Cholera! - Bode ukląkł i przytknął lufę do głowy Amber. Przestała się wiercić. Pod masą splecionych jasnych włosów jej oczy były pełne rezygnacji. Ani śladu chłodu i furii, które ujrzał w twarzy czarnej wariatki z Grange.

I tak powinno być, pomyślał. Widzisz broń, przestajesz walczyć.

- Nie ruszaj się - powiedział. - To nie potrwa długo.

- Rób, co ci pułkownik każe. - Chub chwycił dziewczynę za przeguby i oderwał jej ręce od piersi. - I rób ustami... żeby były odęte, jak Kim Bassinger, no wiesz...

- Dobrze, pod jednym warunkiem - powiedziała. - Powiesz mi, jak się nazywasz.

- Po jaką cholere?

- Nie mogę kochać się z mężczyzną, nie znając jego nazwiska. Wolę umrzeć.

- Nie bądź idiotą - powiedział Bode Gazer do Chuba.

- Onus. Chub unieruchomił dziewczynie ręce nad głową. - Gillespie. Onus Gillespie.

Bode odetchnął. Nazwisko brzmiało zbyt dziwacznie, by mogło być prawdziwe. Wi docznie Chub je zmyślił.

- Miło cię poznać, Otis - powiedziała Amber.
- Nie Otis, tylko Onus.
- A! Ja nazywam się Amber. - Zamrugła niewinnie. - Amber Bernstein.

Bodean Gazer podskoczył, jakby muł kopnął go w zadek.

- Złaż z niej! - wrzasnął do Chuba. - Głupis?!
- Nie słyszałeś? Ona jest... jest Żydówką!
- Dla mnie może być nawet Wietnamką. Wsadzam w nią wacusia!
- Nie! Nie! Złaż! To rozkaz!

Chub zamknął oczy i próbował zignorować wrzaski Bode'a. Hilton Head, powiedział sobie. Jesteś z blondyneczką na Hilton Head. Robicie to na plaży. Nie... jeszcze lepiej - robicie to na balkonie nowiuńskiego apartamentu!

Ale przeszkadzało mu wiercenie się Amber; było tak, jakby próbował wypieprzyć węgorza. W dodatku osłabiony klejem, zdobył się na dość połowiczną erekcję.

- Żaden biały chrześcijanin - grzmiał nad nimi Bode - nie powinien wpuszczać swego nasienia w nieczystą córkę szatana!

Amber zaprzestała na chwilę wiercenia, by wspomnieć o ojcu rabbim. Bode Gazer jęknął ze zgrozą. Chub rzucił mu złe spojrzenie.

- Martw się o własne nasienie, a mnie pozwól wpuścić swoje.
- Zabraniam! Jako dowódca Białych Heroldów Aryjskich...

Chub podniósł się na kolana i wyrwał pistolet z dłoni pułkownika. Przytknął go do szyi Amber i kazał jej rozsunać nogi.

Bode przypomniał sobie, że ma za paskiem berettę Kolumbijczyka. Przyszło mu na myśl, że mógłby jej użyć, nie tyle w obronie Amber, ile dla ratowania własnego autorytetu dowódcy. Czuł, że bez dramatycznej poprawy dyscypliny jego milicja pójdzie w rozsypkę.

Konsternację Bode'a wzmogło niespodziewane pojawienie się szantażysty Shinera. Szedł, potykając się o własne nogi. Policzki miał napuchnięte, spodnie mokre, a ręce trzymał dziwnie po bokach jak strach na wróble. Na widok nagiego majora leżącego na Amber rzucił się z rykiem na pomoc.

Bode Gazer szykował się do zwarcia, kiedy coś wybuchło mu za plecami. Chuba podrzuciło, jakby miał tyłek na szelkach. Niemal w tym samym momencie Bode usłyszał nieprzyjemny, tępy odgłos, który, jak się później dowiedział, powstał przy zetknięciu kolby remingtona z jego czaszką.

Kiedy odzyskał przytomność, jakiś biały mężczyzna przywiązywał go liną kotwiczną do pniaka. Chub leżał plackiem na ziemi, w kałuży własnej krwi i miotał przekleństwa. Shiner siedział na rufie kradzionej łodzi i melancholijnie wpatrywał się w swoje tatuaże. Amber stała z boku, owinięta brezentem i z irytacją usuwała z włosów liście i wodorosty.

Broń milicji leżała na kupie przy palenisku. Czarna, muskularna kobieta o zielonych paznokciach dokonywała przeglądu zdobycznego arsenału. Bode Gazer poznał ją od pierwszego wejrzenia.

- Ty! - Tylko tyle był w stanie powiedzieć.
- Nie mylisz się, skarbie! Przywitaj się z Czarną Falą.

Bode'owi świat zawirował w oczach, ujrzał swoje przeznaczenie z mdlącą wyrazistością. Biały mężczyzna sprawdził więzy i odsunął się od pnia. Czarna kobieta postąpiła naprzód. Sposób, w jaki niosła broń, niedbale i pewnie, spowodował awarię we wrażliwych zwieraczach Bodeana Gazzera.

- Czego chcesz?

JoLayne wsunęła mu lufę w usta.

- Twojego portfela na początek.

25.

Sprawa LaGort przeciwko Save King Enterprises została załatwiona polubownie w sądowym westybulu po dwugodzinnej konferencji stron. Adwokaci działający z ramienia firmy ubezpieczeniowej supermarketu, wyczuwszy nieprzychylnie nastawienie sędziego Arthura Battenkilla juniora, zdecydowali, że lepiej zapłacić LaGortowi sumę pięciuset tysięcy dolarów. Irytujące, ale do zniesienia. Woleli uniknąć procesu, w którym obrona nie mogła liczyć na pomoc sędziego. Arthur Battenkill z miejsca zapowiedział, że nie weźmie pod uwagę sądowniczej przeszłości powoda i nie pozwoli podważyć jego wiarygodności na podstawie długiej listy innych procesów o odszkodowanie. Emil LaGort przybył na konferencję na bardzo hałaśliwym wózku inwalidzkim, usztywniony piankowym gorsetem ortopedycznym. Gorset był jednym z dziewięciu modeli dostępnych w szafie ściiennej LaGorta, gdzie przechowywał pomoce medyczne konieczne podczas fałszywych rekonwalescencji.

Po podpisaniu ugody skwaszeni adwokaci ubezpieczeniowi wcisnęli się do wind, Emil LaGort przetoczył się przez James Street do restauracji ze striptizem, a jego adwokat uzyskał od sędziego Arthura Battenkilla juniora numer konta bankowego w Nassau, na które w przeciągu czterech tygodni należało przesłać dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Arthur Battenkill zdawał sobie sprawę, że nie jest to królewski okup, ale suma wystarczająca na szybki start w nowe życie.

Podczas gdy Arthur Battenkill zamykał sprawę Save King, Katie klęczała w kościele. Modliła się o boskie przewodnictwo, a przynajmniej o większą jasność umysłu. Tego ranka przeczytała w „The Register”, że żona Toma Krome'a odebrała w jego imieniu nagrodę dziennikarską. Abstrahując od wrogich uczuć Toma do nieuchwytniej Mary Andrei, Katie nie wykluczyła możliwości, że kobieta oplakuje stratę, a nawet kocha na swój sposób Toma.

Czy ktoś nie powinien powiedzieć jej, że Tommy żyje? Gdybym była na jej miejscu, dumала Katie, chciałabym wiedzieć.

Ale Katie obiecała Tommy'emu, że nie pisnie słowa. Złamanie obietnicy było równoznaczne z kłamstwem, a kłamstwo z grzechem. Katie Battenkill próbowała rzucić grzeszenie. Z drugiej strony nie mogła znieść myśli, że pani Krome cierpi niepotrzebnie.

Wiedza o prawdziwym losie Toma Krome'a zaciążyła na przewrażliwionym sumieniu Katie. Miała jeszcze jeden sekret - równie niepokojący. Przypomniała jej o tym wzmianka w „The Register”; domniemane szczątki Toma Krome'a zostały przetransportowane do laboratorium FBI na dalsze badania. Oznaczało to test DNA. Katie wiedziała, że zwłoki zostaną wkrótce zidentyfikowane jako Champ Powell, asystent Arthura Battenkilla.

Grzesznego zasnęła, z którym zamierzała na zawsze opuścić granice kraju.

- Co mam robić? - szeptała nagłaco. Klęczała w pierwszej ławce, z głową pochyloną na piersi. Modliła się i czekała, i znowu się modliła.

Odpowiedź, kiedy w końcu nadeszła, była dość ogólnikowa. Katie Battenkill nie nalegała. Była wdzięczna za każdą wskazówkę.

Przy wyjściu z kościoła zdjęła brylantowy wisiorek i wsunęła go do dębowej puszki. Zrobił nie więcej hałasu niż dwudziestopięciocentówka. Nie uderzył piorun, błyskawica nie rozdarła nieba. Nie zaśpiewał żaden anioł.

Może to przyjdzie później, pomyślała Katie.

Po odejściu ostatniego pielgrzyma matka Shinera zbliżyła się do Sinclaira, który chlapał się z żółwiami w fosie.

- Pomóż mi, Zreinkarnowany - poprosiła. - Potrzeba mi duchowego wsparcia.

Sinclair wznosił ku niebu nieogoloną twarz.

- Ileizdwi hci elyt i udozrę od ilawryw.

Matce Shinera nie udało się odcyfrować treści („Wyrwali do przodu i tyle ich widzieli”).

- A może krzyknąłbyś to po angielsku? - zaproponowała. Zrzuciła ślubne pantofle i wlaźła za nim do fosy. Sinclair gestem nakazał, by usiadła. Zgarnął w skulone dłonie kilkanaście żółwików i umieścił je w fałdach ślubnej sukni.

Matka Shinera wzięła gada do ręki i przyjrzała mu się uważnie.

- Sam je malujesz? - zapytała.

Sinclair uśmiechnął się wyrozumiale.

- Są malowane ręką Boga.

- Poważnie?

- Połóż się ze mną.

- Rano zalali asfaltem mojego Jezusa, słyszałeś o tym? Departament transportu.

- Połóż się - rozkazał Sinclair.

Przysunął się i naciskając na jej ramiona, nakłonił, by się zanurzyła. Matka Shinera przymknęła oczy i poczuła na szyi chłodny dotyk wody, laskotanie żółwich nóg.

- Nie gryzą?

- Nie - powiedział Sinclair.

Wkrótce matka Shinera poczuła, jak ogarnia ją nieziemski spokój, ufność i coś jeszcze. Ostatnim mężczyzną, który dotknął jej tak czule, był jej dentysta. Kochała się w nim na zabój.

- Och, Żółwiowy Chłopcze, straciłam jedynego syna i moją kaplicę. Nie wiem, co począć.

- Ileizdiw hci elyt i udozrp od ilawryw

- Bardzo słusznie - powiedziała matka Shinera. - To po japońsku?

Demencio stał przy oknie, podparty pod boki.

- Uwierzysz, wlaża do niego do fosy! - zwrócił się do żony.

- Kochanie, miała ciężki dzień. Departament transportu zlikwidował jej płamę.

- Ma się wynosić z mojego podwórka.

- Cóż ci ona szkodzi. Jest prawie ciemno.

Trish piekła kurczaka na kolację, Demencio sporządzał mieszankę dla płaczącej Madonny.

- Jeżeli nie wyniesie się stąd do kolacji, masz ją przegonić - powiedział. - I policz potem żółwie.

- Miej litość!

- Nie ufam tej babie.

- Nie ufasz nikomu.

- Nic na to nie poradzę. Specyfika zawodu - powiedział Demencio. - Mamy jakąś czerwoną przyprawę?

- Po co ci?

- Tak sobie myślę... A gdyby Madonna zaczęła płakać krwią?

- Perfumowana krew? - zapytała jego żona z lekkim powątpiewaniem.

- Nie rób takiej miny. To tylko pomysł. Zastanawiam się... Kiedy już nie będzie żółwi...

- Zaraz sprawdzę. - Trish otworzyła szafkę z przyprawami.

W innych okolicznościach Bernard Squires może doceniłby uroki wiejskiego domostwa pani Hendricks, ale teraz nawet pieśczęta ręcznie zszywanej kapy nie mogła usmierzyć jego niepokoju. Poszedł więc - sam, w eleganckim garniturze w szare prążki - na wieczorny spacer po Grange.

Większą część nerwowego popołudnia spędził w budce telefonicznej na rozmowach z współpracownikami Richarda „The Icepick” Tarbone'a. Odbył również krótką konferencję z samym panem Tarbone'em. Uważał zawsze, że wypowiada się jasno, ale miał spore trudności, by wytłumaczyć Icepickowi, dlaczego nie można kupić Simmons Wood, zanim druga oferta zostanie przedłożona i odrzucona.

- A zostanie odrzucona - powiedział Bernard Squires - ponieważ my przelicytujemy skurczybyków.

Ale pan Tarbone był bardziej wściekły niż kiedykolwiek i uprzedził Squiresa, że nie tylko jego zatrudnienie, ale również zdrowie zależą od tego, jak prędko sfinalizuje

transakcję. Squires zapewnił go, że opóźnienie jest chwilowe i pod koniec tygodnia Simmons Wood będzie już własnością Stowarzyszenia Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu. Tarbone zapowiedział, że bez podpisanej umowy może się nie pokazywać w Chicago.

Spacerując o chłodnym, wietrznym zmierzchu, Squires zastanawiał się, dlaczego rodzinie Tarbone tak zależy na kupnie ziemi. Najprawdopodobniej odczuwali dotkliwą potrzebę wyprania pieniędzy i to ich skłoniło do najazdu na fundusz emerytalny. Możliwe również, że zamierzali wykorzystać Simmons Wood jako zabezpieczenie pod pożyczkę budowlaną i chcieli sfinalizować sprawę przed podwyżką oprocentowania.

A może naprawdę planowali zbudować dom towarowy w stylu śródziemnomorskim, w Grange na Florydzie. Choć pomysł był śmieszny, Bernard Squires uznał, że nie można tego wykluczyć. Może Icepick zmęczył się mafią i próbuje się zalegalizować.

Zresztą przyczyna pośpiechu Richarda Tarbone'a była zupełnie nieistotna. Ważne było tylko to, żeby Bernard Squires kupił dwadzieścia hektarów pod Grange jak najszybciej. Squires nie zwykł zasypiać gruszek w popiele, a tym razem dysponował legalnymi i nielegalnymi środkami perswazji. Jeżeli faktycznie istnieli rywale do Simmons Wood, Squires wiedział, że potrafi ich przelicytować, przechytryć, a w ostateczności zastraszyć.

Squires był tak ufny we własne siły, że uciałby sobie prawdopodobnie popołudniową drzemkę, gdyby niejedno zdanie wypowiedziane przez starego Tarbone'a. Zabrzmiało jak poważna groźba.

- Załatw to, do cholery, jeżeli nie chcesz skończyć jak Millstep!

Na wspomnienie Jimmy'ego Millsteba Bernard Squires spotniał pod jedwabnym podkoszulkiem. Millstep był prawnikiem rodziny Tarbone do pewnego piątku, kiedy to spóźnił się dwadzieścia minut na rozprawę siostrzeńca Richarda Tarbone'a, w wyniku czego siostrzeniec spędził weekend w celi trzy na trzy, w towarzystwie zdyscyplinowanej, ale frywolnej cioty. Adwokat zwał winę na namolną kochankę i niekompetentnego taksówkarza, ale nie wzbudził współczucia Richarda Tarbone'a, który najpierw go zwolnił, a potem kazał zamordować. Tydzień później podziurawione kulami ciało Jimmy'ego Millsteba zostało podrzucone pod drzwi Izby Adwokackiej stanu Illinois. Do klapy marynarki miał przyczepioną karteczkę: „To któryś z waszych?”

Nic więc dziwnego, że Bernard Squires był podenerwowany, a stan jego nerwów uległ pogorszeniu, kiedy wyrósł przed nim rozczochrany facet z krwawymi dziurami w dłoniach.

- Stój, grzeszniku!

Bernard Squires próbował go wyminąć.

- Stój, pielgrzymie! - nalegał nieznajomy machając ku niemu plikiem różowych ulotek reklamowych.

Squires chwycił jedną i wycofał się szybko. Mamrocząc błogosławieństwa nieznajomy pokuśtykał w ciemność. Squires wszedł pod latarnię i przeczytał:

ZDUMIEWAJĄCE PIĘTNO CHRYSYTA!

*Odwiedź niesłychanego Dominicka Amadora,
skromnego cieślę, który obudził się pewnego ranka
z ranami identycznymi jak te, które miał
ukrzyżowany Syn Boży!*

*Krwawienie: od poniedziałku do piątku w godz. 9-16
Soboty: 12-15 (dłonie).*

Datki mile widziane.

4834 Haydon Burns Lane

(Znak orientacyjny: krzyż w podwórku)

Bernard Squires zmiął ulotkę i wyrzucił. Psychiczni, pomyślał, wszędzie gdzie się człowiek obróci. Wstąpił do Grab N'Go. Ponieważ prośba o „New York Times” wywołała całkowitą konsternację, zadowolił się „USA Today” i filiżanką bezkofeinowej kawy, po czym skierował kroki w stronę pensjonatu. Poblądził i znalazł się na nieznannej ulicy.

Gdzieś z dala dobiegała śpiewna recytacja: kobieta i mężczyzna podśpiewywali w jakimś egzotycznym języku. Dziwne odgłosy przywiodły Squiresa pod rześcicie oświetlony dom - betonowe pudełko, typowe dla przyautostradowego budownictwa lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Squires stanął za wielkim dębem i patrzył.

W polu widzenia miał trzy osoby - cztery, licząc posąg Marii Dziewicy, który czarno-łosy mężczyzna gumiakach stawiał i zestawiał z oświetlonego postumentu. Śpiewacy siedzieli w kanale wykopany na trawniku przed domem; mężczyzna miał na sobie zabłocone prześcieradło, kobieta klasyczną suknię ślubną z koronkową wstawką na dekolcie. Squires nie potrafił określić ich wieku, stwierdził tylko, że oboje są bladzi i mają mokre włosy. Tu i ówdzie na wodzie ukazywały się ślady w kształcie litery V. Jakież małe wodne zwierzątka...

Żółwie?

Squires podszedł bliżej. Zrozumiał, że jest świadkiem ekscentrycznego obrzędu religijnego. Para w kanale, złączywszy dłonie, recytowała w kółko to samo zdanie, a wokół pływały żółwki. Squires przypomniał sobie, że oglądał w telewizji program dokumentalny o czcicielach węży w Kentucky - może napotkał odłam sekty oddający cześć żółwiom? Zaciekawilo go, dlaczego ciemnowłosy mężczyzna w gumiakach nie bierze udziału w wodnej ceremonii. Tylko od czasu do czasu odwraca się od posągu Madonny i spogląda na dwoje śpiewaków z wyrazem nieukrywanej dezaprobaty.

- Ilezdiw hei elyt i udozrp od ilawryw! - zakrzyknęła para zgodnym chórem.

Squires poczuł lodowaty dreszcz na plecach. Przeszedł na drugą stronę ulicę i oddalił się spieszenie. Nie był dewotem i nie wierzył w objawienia, ale widok czcicieli żółwi i mężczyzny z krwawymi dziurami w dłoniach wytrącił go z równowagi. Grange, które wziął za typowy przystanek na szlaku turystycznym, teraz jawiło mu się w mrocznych barwach jako siedlisko pogaństwa, zabobonów i tajemnych sił, które krzyżują plany

sprytnym osobnikom takim jak Bernard Squires. Wrócił prostą drogą do pensjonatu, powiedział dobranoc pani Hendricks (podziękowawszy za kotlet wieprzowy, gotowaną dynię, fasolkę i ciasto orzechowe), zabarykadował drzwi (po cichu, żeby nie urazić gospodyni) i wsunął się pod koldrę, z niemiłym, irracjonalnym przecuciem, że Simmons Wood jest dla niego stracone.

„Reel Luv” pachniała moczem, solą i krabimi szczątkami. Jakże mogło być inaczej?

Za sterem siedział Shiner. Płynęli połową mocy silników, żeby oszczędzać paliwo. Na kolanach Amber leżała rozłożona mapa morska Bodeana Gazzera. Kobieta z Czarnej Fali zaznaczyła na niej flamastrem drogę do Jewfish Creek.

Płynęło się jak po maśle, żadnego kołysania, które mogłoby zemdlić podróżnego. A jednak Shiner miał policzki o barwie zielonkawej, a pod oczami ciemne kręgi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Amber.

Skinął głową bez przekonania. Sterował ostrożnie; kobieta z Czarnej Fali nastawiła wprawdzie jego wybite palce, ale nadal były obolałe i spuchnięte.

- Zatrzymaj łódź - zażądała Amber.

- Nic mi nie jest.

- Zatrzymaj się! Natychmiast! - Sięgnęła do drążka i pociągnęła w dół.

Shiner nie protestował, ponieważ to ona miała broń; kolta Chuba. Koniec lufy wyglądał spod mapy.

Jak tylko łódź stanęła, Shiner wychylił się za burtę i zwymiotował sześć z ośmiu kielbasek wiedeńskich, które pochłonął na śniadanie.

- Przepraszam. - Otarł usta. - Zwykle nie choruję na morzu.

- Może to nie choroba morska, może się po prostu boisz?

- Czego niby mam się bać?

- Że złapią cię w kradzonej łodzi - powiedziała. - Że mój chłopak zrobi z ciebie pasztet. A może po prostu boisz się glin.

- Jakich glin?

- Glin, do których powinnam zadzwonić z pierwszej budki telefonicznej. Zawiadomić, że zostałam uprowadzona przez niejakiego Shinera i prawie zgwałcona przez jego psychopatycznych kumpli.

- O Boże! - Shiner wychylił się i hałaśliwie zwrócił pozostałe dwie kielbaski.

Potem zapalił silnik i ruszyli, a kadłub „Reel Luv” bębnił o wodę jak tam-tamy. Amber nadal próbowała zrozumieć, co właściwie zdarzyło się na wyspie. Shiner nie okazał się w tym pomocny - im bardziej się starał coś wyjaśnić, tym bardziej niewiarygodnie to brzmiało.

Amber wiedziała tylko, że kobieta z karabinem była dziewczyną, której psychole ukradli bilet Lotto.

- Jak was znalazła? - dziwiła się Amber. W scenariuszu wydarzeń przedstawionym przez Shinera występowali liberałowie, Kubańczycy, demokraci, komuchy, uzbrojona czarna milicja, helikoptery i bataliony obcojęzycznych żołnierzy kryjących się na

Bahamach. Shiner skreślił z tej listy Żydów, choć nie omieszkał zapytać Amber (szep-tem), czyjej nazwisko naprawdę brzmi Bernstein.

- A może to wymyśliłaś?
- Co za różnica?
- Nie wiem. Chyba żadna.
- I tak byś się ze mną ożenił. W dziesięć sekund. - Amber roześmiała się z własnego żartu. Shiner oblał się rumieńcem i odwrócił głowę.

Tak więc Chub został postrzelony, a pułkownik ogłuszony kolbą remingtona. Amber ogarnęła się i ubrała w czyste rzeczy. Potem Murzynka i biały facet zebrali broń bojówkarzy - AR-15, TEC-9, cobray, berettę, a nawet marlina Shinera - i utopili w zatoce. Ocalał jedynie pojemnik z oleożywicą, który Murzynka (miała na imię JoLayne) schowała do torebki.

Kazała Shinerowi i Amber odprowadzić kradzioną łódź. Zaznaczyła trasę na mapie, a nawet dała im butelkę wody i zimne napoje na drogę. Potem biały facet wziął Shinera na stronę, w las, a kiedy wrócili, twarz Shinera była popielata. Biały wręczył Amber kolta pythona z instrukcją: „Zastrzel zasańca Shinera, gdyby spróbował wykręcić jakiś numer”.

Amber nie miała zaufania do wielkiego rewolweru, który już raz sprawił jej zawód, ale nie powiedziała o tym Shinerowi. Poza tym chłopak był zbyt chory i zdruzgotany, by knuć zdradę.

Przyjaciół JoLayne nie tknął go palcem w tych mangrowcach. Spojrzał mu tylko prosto w oczy i powiedział: „Synu, jeżeli Amber nie dotrze bezpiecznie do domu, pójdę prosto do twojej mamy i opowiem jej, co zrobiłaś. A potem umieszczę zdjęcie twojej ogolonej głowy na pierwszej stronie gazety”.

Potem spokojnie odprowadził Shinera na brzeg i zapakował go do łodzi. JoLayne, z remingtonem w ręku, pilnowała Chuba i Bode'a Gazzera.

- Bezpiecznej podróży - zawołała za nimi. - Uważajcie na komary!

Godzinę później Shiner usłyszał w końcu to, czego się najbardziej obawiał - warkot helikoptera nad głową. Śmigłowiec nie był czarny, lecz jaskrawopomarańczowy, i nie należał do NATO, lecz do Straży Przybrzeżnej patrolującej zatokę w poszukiwaniu Murzynki w wynajętej łodzi, kobiety, która powiedziała, że płyynie nie dalej niż do Cotton Key.

Shiner, rzecz prosta, nie wiedział o tym. Był przekonany, że helikopter przyleciał po niego. Rzucił się plackiem na pokład, pociągając za sobą Amber.

- Uwaga! - wrzasnął. - Uwaga!
- Opanuj się!
- To oni!

Helikopter zniżył lot. Pilot zauważył splecioną parę na pokładzie i przyzwyczajony do takich widoków, uznał, że nie jest to jednostka pływająca, którą polecono mu odnaleźć.

Kiedy helikopter zniknął, Shiner usiadł ogłupiały za sterem. Godzinę później ujrzeli most w Jewfish Creek. Podprowadzili łódź do pochylni, jak najdalej komendanta portu (zdumiony, choć uszczęśliwiony właściciel odnalazł ją tam, a kradzież przypisano roz-brykanej młodzieży). Amber rozejrzała się za patrolem morskim. Na wszelki wypadek.

Z radością ujrzała swój samochód, stojący na parkingu, tam gdzie go zostawiła.

Shiner pomachał jej niemrawo ręką.

- No to cześć.
- Dokąd idziesz?
- Na autostradę. Złapać okazję.
- Podrzucę cię do Homestead - zaproponowała Amber.
- Nie, dzięki. - Niepokoili go myśl o narzeczonym Amber, zazdrosnym Tonym.
- Jak sobie chcesz.

Rany, jest taka piękna, pomyślał Shiner. Do diabła z Tonym.

- No to zabiorę się z tobą - powiedział.
- Ty prowadzisz.

Byli w połowie drogi do Florida City, kiedy Amber ponownie wyciągnęła pistolet Chuba i Shiner doszedł do wniosku, że źle ocenił jej intencje.

- Zastrzelisz mnie, prawda?

- Jasne! - odparła Amber. - Zastrzelę cię w biały dzień, na środku autostrady, chociaż miałam pół dnia, żeby to zrobić na odludziu. Taka ze mnie cymbalica. Jedź i nie gadaj, dobrze?

W stanie, w jakim się znajdował Shiner, cios w żołądek nie zaboląłby go bardziej niż jej sarkazm. Wbił wzrok w szosę i starał się wymyślić, co powie mamie po powrocie do Grange. Kiedy znów zerknął na Amber, trzymała w ręku otwarty rewolwer. Kręciła cylindrem i przymrużywszy jedno oko, zaglądała do środka.

- Zatrzymaj samochód - powiedziała.
- Robi się! - Ostrożnie zjechał na trawiaste pobocze, płosząc stadko czapli.

Otwarta broń spoczywała na kolanach Amber. Dziewczyna rozwijała karteczkę, która wypadła z jednej z komór.

- Pokaż - powiedział Shiner.
- Słuchaj: dwadzieścia cztery... dziewiętnaście, dwadzieścia siedem, dwadzieścia dwa, trzydzieści, siedemnaście.
- Nie mów, że to ten cholerny bilet Lotto!
- Twoi psychiczni kumple schowali go w rewolwerze.
- Jezu! Jezu!!! Ale... co my z tym zrobimy?

Amber zamknęła broń, a kupon loteryjny wsunęła do kieszonki kurtki zapinanej na suwak.

- Mam jechać dalej? - zapytał Shiner.
- Proszę.

W milczeniu dojechali aż do Florida City. Zatrzymali się w McDonalddie drive-in. Przed nimi stały cztery wozy.

- Musimy podjąć decyzję, prawda? - odezwała się Amber.
- Zawsze biorę big maca.
- Mówię o bilecie Lotto.
- A! - powiedział Shiner.
- Czternaście milionów dolarów.

- Boże, wiem!
 - Czasem uczciwość nie idzie w parze z rozsądkiem - zauważyła Amber.
 - Fakt.
 - Musimy na to spojrzeć z różnych stron. To poważna decyzja, trzeba się dobrze zastanowić. Dla mnie sałatka. I dietetyczna cola.
 - Chcesz frytki na spółkę?
 - Jasne.
- Potem, kiedy stali na światłach przed wiaduktem, Shiner usłyszał jej głos:
- Jak myślisz, co zrobili z twoimi kumplami? Tam, na wyspie?
 - Nie wiem, ale mogę zgadywać. - Popatrzył smętnie na spartaczony tatuaż na swoim ramieniu.
 - Zielone - powiedziała Amber. - Możemy jechać.

26.

Bodean Gazzer mógłby przysiąc, że Murzynka wie, co on przechowuje w portfelu. Szukała, dopóki nie znalazła kondomu.

Kolejna tajemnica, pomyślał Bode obojętnie. Kolejna tajemnica, która w ostatecznym rozrachunku nie będzie miała znaczenia.

Rozpakowała prezerwatywę, beznamietnie niby pielęgniarzka, wyjęła bilet Lotto i przełożyła do kieszeni dzinsów.

- To nie twoje - wybełkotał Bode Gazzer.
- Słucham? - uśmiechnęła się kącikiem ust. - Coś ty powiedział?
- Że on nie jest twój.
- Naprawdę? Wobec tego czyj?
- Nieważne. - Bode'owi nie podobał się łakomy wzrok, jakim Murzynka spogląda na remingtona. Na czas rewizji dała go do potrzymania białemu.

- Zabawne - powiedziała. - Sprawdziłam numery. Zgadniają się.

Chub zaczął pojękiwać.

- Mocno krwawi - odezwał się biały facet.
- Mocno - przyznała Murzynka.
- Czy on umrze? - zapytał Bode.
- Z całą pewnością jeżeli nikt mu nie pomoże.
- To już twoja działka. - Biały mężczyzna zwrócił się do Murzynki.
- Na to wygląda.

Zniknęła na chwilę z pola widzenia Bode'a. Wróciła niosąc białe pudełko z czerwonym krzyżem na wieku. Przykucnęła obok Chuba. Bode usłyszał jej głos.

- Chciałabym móc stać i patrzeć, jak umierasz, ale nie mogę. Nigdy nie potrafiłam patrzeć, jak umiera żywe stworzenie. Choćby karaluch, choćby taki parszywy drań jak ty...

Te słowa napęliły Bode'a nadzieją. Ukradkiem zaczął trzeć dłońmi o pień drzewa, żeby poluzować więzy.

Kula wyrwała Chubowi z lewego ramienia kawałek mięśnia wielkości piłki golfowej. Nie miał tyle szczęścia, żeby zemdleć od razu. Kiedy JoLayne do niego podeszła, bluznęła potokiem śliny i przekleństw.

JoLayne kazała mu leżeć spokojnie.

- Odejdź! Żadna czarna mała mnie nie dotknie! - wychrypiął Chub. Oczy miał szeroko rozwarte, oszalałe z bólu.

- Słyszałaś! - powiedział biały mężczyzna. - Facet chce się wykrwawić na śmierć. Słyszałaś, JoLayne!

Odezwał się inny, podniecony głos. Należał chyba do Bode'a Gazzera.

- Na litość boską, Chub, zamknij się! Ona próbuje uratować ci życie, ty pieprzony dupku!

Tak, pułkownik. Bez wątpienia! Chub otrząsnął się jak pies, rozpylając krew i piasek. Przepaska zsunęła mu się z oka.

- Co ze mną zrobisz, jeżeli wolno spytać?

- Oczyszczę ranę i zatrzymam krwawienie.

- Dlaczego?

- Dobrze pytanie.

Uniósłszy głowę, Chub stwierdził, że jest przytwierdzona do nagiego, unurzanego w piachu ciała, które w żadnym razie nie mogło należeć do Onusa Gillespie'ego. Kutas, na przykład, skurczył się do rozmiarów maliny i z całą pewnością nie był kutasem miliona.

To musiał być koszmar, narkotyczne majaki po kleju. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Murzynka była bliźniaczo podobna do kobiety, którą pobili w Grange? Do tej, która zryła ich jadownicę niebieskimi paznokciami?

- Nie jesteś doktorką - powiedział.

- Nie, ale pracuję w gabinecie lekarskim. U weterynarza.

- Na rany jedynego Boga!

- ...a ty jesteś najgłupszym, najbardziej smrodliwym padalcem, jakiego w życiu widziałam - stwierdziła rzeczowo.

Chub był zbyt słaby, żeby ją uderzyć. Nie był nawet w stu procentach pewny, czy dobrze usłyszał. Delirium przytępiło mu zmysły.

- Co zrobisz z tą całą loteryjną forszą, czarna mała?

- Kupię sobie cadillaca albo dwa - powiedziała JoLayne. - I gigantyczny kolorowy telewizor.

- Ty, nie bądź taka mądra!

- I zagon arbuzów!

- Zabijesz mnie? - zapytał Chub.

- No cóż, nie przeczę, że mam na to ochotę.

- Czemu nie odpowiesz wprost?

Ponad ramieniem kobiety ukazała się twarz białego mężczyzny.

- Co ci się stało w oko, koleś?

Chub zdobył się na szyderycy uśmiech. A ty kto? - Miłośnik czarnuchów?

Zanim Chub zemdlął, usłyszał jeszcze słowa Bodeana Gazzera:

- Hej, zmieniłem zdanie! Pozwólcie mu umrzeć! Niech śmierdziel umrze!

JoLayne nie mogła się na to zdobyć.

Nie mogła, chociaż fetor bijący od bandyty sprawił, że wszystko wróciło: gula w gardle, pieczenie w oczach. Wszystko, co zdarzyło się tamtej nocy w jej własnym domu - straszne słowa, których używali, nonszalancki sposób, w jaki ją bili, miejsca na jej ciele, gdzie kładli ręce.

Nadal czuła w ustach smak lufy rewolweru, oleisty i chłodny, a jednak nie mogła pozwolić temu bydlakowi umrzeć.

Nawet jeżeli na to zasługiwał.

Zmusiła się, by myśleć o Chubie jak o zwierzęciu - chorym, skołowanym zwierzęciu, niewiele różniącym się od szopa, którego opatrzyła poprzedniej nocy. Tylko w ten sposób mogła zdławić wściekłość i skoncentrować się na krwawej wyrwie w ramieniu mężczyzny. Oczyszczyła ranę, wycisnęła całą tubkę antybiotyku i obłożyła gazą.

Drań w końcu zemdlął i tak było łatwiej. Nie musiała już słuchać, jak nazywa ją czarną małpą.

W pewnym momencie, kiedy bandażowała mu ramię, głowa mężczyzny znalazła się na jej kolanach. Zamiast wstrętu ogarnęła ją antropologiczna ciekawość. Szukała na nieruchomej twarzy Chuba śladów trującego źródła. Czy nienawisć kryła się w jego głęboko osadzonych oczach? W gniewnym łuku spalonych słońcem brwi? W tępych rysunku wystającej szczęki? Jeżeli istniał rys twarzy zdradzający okrutnego socjopata, JoLayne Lucks nie potrafiła go znaleźć. Twarz Chuba nie różniła się niczym od twarzy tysięcy białych mężczyzn, którzy zmarnowali sobie życie. Nie wszyscy byli niepoprawnymi rasistami.

- W porządku? - Tom Krome stanął przy niej.
- Tak. Przypominają się szpitalne czasy.
- Jak delikwent?
- Krwawienie ustało. Więcej nie mogę dla niego zrobić.
- Chcesz pogadać z tym drugim?
- Z całą pewnością! - odparła JoLayne.

Podchodząc do zwalonego pnia, Krome wyczuł, że coś się zmieniło. Powinien stanąć, zastanowić się, na czym polega różnica, ale zrobił coś wręcz przeciwnego: przyspieszył kroku, prawie biegnąc w stronę Bodeana Gazzera.

Kiedy dostrzegł luźny sznur i zauważył, że więzień siedzi na stopach - z obcasami butów wbitymi w pień drzewa - było już za późno. Bandyta poderwał się z okrzykiem wojennym, celując głową w pierś Krome'a. Tom poleciał do tyłu, w obu rękach ściskając remingtona. Zobaczył jeszcze, jak Bode Gazzer znika w mangrowcach.

Biegł na drugą stronę Pearl Key, gdzie Tom i JoLayne ukryli łódź.

Jedyny już teraz środek transportu z wyspy.

Krome nie bił się od lat, ostatnim razem na stadionie Meadowlands, gdzie wraz z Mary Andrea oglądali mecz Gigantów z Kowbojami. Było trzydzieści osiem stopni w cieniu i niebo miało barwę wypalonego błota. W ławce za Krome'em i jego żoną siedzieli dwaj niezwykle hałaśliwi kibice z Queens. Robotnicy portowi, orzekła Mary Andrea rzucając pogardliwe spojrzenia przez ramię. Później się okazało, że byli to handlowcy. Popijali wódkę piwem i po każdym przyłożeniu przez Gigantów zdzierali z siebie odzież i szczyпали jeden drugiego w nagie brodawki, aż oczy zachodziły im łzami. Pod koniec pierwszej ćwiartki Krome rozglądał się za innymi miejscami, a Mary Andrea pakowała manatki, żeby pójść do domu. Jeden z nowojorczyków wydobyl pneumatyczny klakson do łodzi i uruchomił go dwadzieścia centymetrów od potylicy Krome'a. Zirytowana Mary Andrea odwróciła się i rzuciła jakąś uwagę, co sprowokowało kibica z sumiastym wąsem do skomentowania skromnych rozmiarów biustu Mary Andrei, a ona ten temat uznawała za drażliwy.

Rozmowa toczyła się wartko (mimo czynnika rozpraszającego, jakim było zablokowanie piłki przez Kowboi) aż do chwili, gdy jeden z nowojorczyków zatrąbił prosto w nieskazitelną noskę Mary Andrei. Krome poczuł się w obowiązku znokautować grubasa. Serdeczny kumpel wystąpił w obronie poszkodowanego, zamachnął się niezdarnie, ale Krome miał mnóstwo czasu, żeby się uchylić i wymierzyć porządnego haka w rejon krocza przeciwnika. Porażka handlowców wywołała wiwaty na trybunach; Kibice mylnie uznali wybuch Krome'a za akt małżeńskiej galanterii. W rzeczywistości Krome wyładował jedynie swój gniew, kiedy ostentacyjnie chwycił klakson, przyłożył wylot do ucha wąsaczowi i trąbił, dopóki nie opróżnił się kanister.

Gliniarze przyjechali, spisali nazwiska, nikogo nie aresztowali. Krome otarł sobie w walce dwa kłykcie, ale niczego nie żałował. Mary Andrea skarciła go za utratę panowania nad sobą, ale obdzwoiła wszystkie przyjaciółki pyszniąc się mężem. Miesiąc później zgłosił się do niego adwokat jednego z handlowców, twierdząc, że w wyniku pobicia jego klient cierpi na chroniczne bóle głowy, głuchotę i liczne dolegliwości natury psychicznej. Drugi kibic pozwał Krome'a do sądu twierdząc, że musi się poddać operacji kosmetycznej lewego jądra. Za radą swojego adwokata Tom Krome poszedł na ugodę, sprezentowawszy obrażonym handlowcom karnety na wszystkie mecze Gigantów w sezonie oraz piłki z autografem Lawrence'a Taylora (zawdzięczał je kumplowi z działu sportowego).

Nie spodziewając się podobnych sądowych nieprzyjemności ze strony Bodeana Jamesa Gazzera, Krome był gotów udaremnić złodziejowi ucieczkę z Pearl Key. Aby nie odstrzelić sobie własnych palców u nóg, złożył z pietyzmem strzelbę na ziemi i dopiero wtedy zaczął biec. Szajbus miał sto pięćdziesiąt metrów przewagi, ale nietrudno go było wyśledzić. Przedzierał się przez las jak rozjuszony nosorożec. Kryjący efekt odzieży maskującej, jeżeli istniał, został zniweczony przez hałaśliwość Gazzera. Długonogi Krome szybko skracał dystans.

Dogonił Gazzera na wyrębie. Zwarli się na sekundę, po czym pułkownik wykonał zamach krótką nogą, trafiając Toma butem w policzek. W chwilę później był już na nogach i biegł dalej. Ściągał łódkę na wodę, kiedy ponownie dopadł go Krome. Zwalili się

obaj do wody, zakamuflowany młócił ramionami jak cepem.

Krome poczuł, jak tłumione latami emocje uwalniają się w strumieniu bąbelków i elektryzującej furii. Pierwszy morderczy impuls w życiu nadał perwersyjnej wyrazistości wszystkim zbrodniczym aktom, o jakich kiedykolwiek pisał. Rozumiał, że powinien być przerażony, ale czuł jedynie prymitywną wściekłość. Założył Bodeanowi Gazzerowi brutalnego nelsona i trzymał pod wodą z bardzo złymi zamiarami. Kiedy łokieć wroga trafił go w krtań, Krome zrozumiał, że po raz pierwszy (w wieku trzydziestu pięciu lat) toczy walkę na śmierć i życie.

Wolałby, żeby choreografia była bardziej przejrzysta, jak na stadionie Meadowlands, ale rozumiał, że nie można zbyt wiele wymagać. Dziennikarskie doświadczenie nauczyło go, że akty przemocy rzadko bywają czyste w rysunku. Zazwyczaj są niezdarne, chaotyczne i pozostawiają straszny bałagan.

Jeżeli nie wynurzę głowy choćby na pół sekundy, utopię się, pomyślał. Utopię się na głębokości pół metra.

Wzburzyli tyle marglu, że Krome nie widział nic poza zielonkawą mgłą. Puścił szyję Gazzera, ale pozostali złączeni; walczyli już tylko o łyk powietrza.

Przedśmiertna mgła zaczęła zasnuwać wzrok Krome'a, kiedy w mózgu błysnął mu nagłówek:

Dziennikarz znaleziony martwy...

Zaginiony dziennikarz znaleziony martwy...

Zaginiony dziennikarz znaleziony martwy na tajemniczej wyspie...

Nagłówki! Widział je wyraźnie, na pierwszej stronie, pod tytułem gazety. Widział błysk nożyczek; artykuł o jego utonięciu wycina ktoś pozbawiony twarzy: ojciec, Katie, JoLayne, a nawet Mary Andrea (wyłącznie w celu uzyskania odszkodowania).

Tom Krome ujrzał swoje życie skondensowane w jednym gównianym, najprawdopodobniej niegramatycznym gazetowym nagłówku. Wizja była bardziej przygnębiająca niż sama śmierć.

Ostatnim wysiłkiem oderwał się od Bodeana Gazzera i wyprysnął na powierzchnię. Na wpół uduszony, chwiejący się na nogach Tom zobaczył, że mrok rozpościerał się nie w jego umyśle, lecz w wodzie; ciemnoczerwona chmura, połyskliwa i falująca wokół jego nóg.

Krew.

Boże, pomyślał Krome; niech ona nie będzie moja.

W jednej chwili Bode Gazzer miał kóź, w następnej topił się w mule. Schwymano go, oczywiście! Przekleństwo krótkich nóg i przepalonych płuc. Dziękuję, mamó, dziękuję, tato. Dziękuję i tobie, Philipie Morris.

Kogo jeszcze mógł obwinie?

Chuba - bo okazał się naćpanym, napalonym patałachem.

Rząd - bo pozwalał czarnym terrorystom kupować bilety Lotto.

Własne psie szczęście - bo obrabował i znieważył członka strasznej Czarnej Fali, kobietę, która użyła swoich natowskich kohort, by wysledzić Białych Heroldów Aryjskich na odludnej wysepce, i wygarnęła z szeregów jego bojówkarzy niby pisklęta z gniazda.

Ze mną jej się nie uda, przysiągł sobie Bode, idąc pod wodę w objęciach białego towarzysza Murzynki. Nie, proszę pana! Nie zostawicie mnie tu na śmierć głodową, z tym żalonym dupkiem Chubem.

Majorem Chubem, dupkiem żołądym.

Bode walczył w złym stylu, ale z dużą determinacją. Wojskowe buciory szybko napłynęły się słoną wodą i ciążyły u nóg niczym cedrowe kloce. Kamuflaż również nie był idealnym strojem pływackim, ale Bode jakoś sobie radził. Bywał podduszany w bójkach więziennych i znał efekt odcięcia dopływu tlenu.

Biały facet okazał się nadspodziewanie silny, więc Bode Gazer przyjął strategię miotania się i walenia na oślep. W rezultacie zamulił zatoczkę tak dokładnie, że nie dostrzegł trygona, rozplaszczoną na dnie na podobieństwo tacki do koktajli.

Jak większość przestępców szukających azylu w południowej Florydzie, Bodean Gazer niewiele czasu poświęcił na zapoznanie się z miejscową florą i fauną. Wiedział, na co się łapie homary, ale poza tym miał blade pojęcie o podwodnym świecie. Minimalna dawka wiedzy, powiedzmy - jedna wizyta w akwarium morskim - dostarczyłaby dwóch podstawowych faktów o zwyczajach trygona wód południowych.

Po pierwsze, trygon nie gryzie. W celach obronnych służy mu kolec na końcu ogona, wypełniony trującym śluzem.

Po drugie, przy spotkaniu z trygonem drzemiącym na płyciźnie przede wszystkim nie należy go kopać.

A właśnie to uczynił Bodean Gazer; uznał zresztą, że ma do czynienia z wyjątkowo okazałą płastugą. Ból, jakiego doświadczył, był wynikiem wbicia się kolca w jego ciało. Krew, którą zobaczył, tryskała z jego własnej przeciętej tętnicy udowej.

Kiedy wychynął na powierzchnię, ujrzał, jak biały mężczyzna brnie w stronę dryfującej łodzi. Bode skierował się w stronę łądu, ale stwierdził, że nie może stanąć, nie mówiąc o chodzeniu. Dreszcz przejął go do szpiku kości, w oczach zawirowało.

Zemdlał.

- Ocknij się - powiedziała JoLayne do jęczącego oszołoma.
- Może być za późno - zauważył Tom Krotne.
- Jeszcze nie.

Bodean Gazer uchylił powieki.

- Idźcie do diabła!
- Mam pytanie. I chcę uzyskać szczerą odpowiedź, zanim umrzesz. Dlaczego wybrałście właśnie mnie? Dlatego że jestem czarna, czy dlatego że jestem kobietą? Proszę mi odpowiedzieć!

- Z żadnego z tych powodów. Padło na ciebie, bo wygrałaś w Lotto. Dopiero później wyszło na to, że jesteś czarna. Nie wiedzieliśmy... - Bode Gazer wydał słaby chichot.
 - Ale to, że jestem czarna, bardzo wam ułatwiło zadanie.
 - Wierzymy w su-su-supremację, białej rasy. Wierzymy, że Biblia nakazuje genetyczną czystość.
- Przenieśli go na suche miejsce i rozebrali z kamufلاży. Wystarczył jeden rzut oka na ranę na nodze. Zbliżał się koniec Bodeana Gazzera.
- Mówicie, że umieram? Czy wyglądam na tak głupiego, żeby dać się na to nabrać? - Powieki mu opadły. JoLayne poklepała go po policzkach, nie chcąc dopuścić, by stracił przytomność.
 - Proszę - powiedziała. - Próbuję zgłębić naturę twojej nienawiści. Trzeba to wyjaśnić.
 - A, rozumiem. Nie zastrzelisz mnie, tylko zagadasz na śmierć.
 - Czy wyrządziłam ci coś złego? Czy kiedykolwiek jakiś czarny zrobił ci coś złego?
 - W więzieniu Murzyn podkradał czasopisma spod mojej... no, jak to się?... A! Spod mojej pryczy.
 - Jest w szoku - powiedział Tom.
- JoLayne pokiwała głową, rozczarowana.
- Chciałabym zrozumieć. Nie było żadnego powodu... Facet nawet mnie nie zna, przychodzi do mojego domu i robi to, co zrobił.
 - A innym razem ukradli mi radio z wozu. - Głos Bode'a powoli zamierał. - To było w Tampa, na bank oni albo Kubance...
 - Już nie potrwa to długo. Chodźmy.
- JoLayne wstała.
- Bóg jest miłosierny - powiedziała umierającemu. - Ja nie mogę ci pomóc.
 - Naprawdę? - zakpił szajbus. - Nikt mi nie może pomóc. Jestem na czarnej liście Boga, to historia mojego życia. Numero uno na czarnej liście Boga.
 - Do widzenia, panie Gazer.
 - Nie zastrzelisz mnie? Po tym wszystkim?
 - Nie - odparła JoLayne.
 - No to nic już nie rozumiem.
 - Może to twój szczęśliwy dzień - odezwał się Tom Krome.

Pilot helikoptera postanowił zrobić jeszcze jedno okrążenie i dać za wygraną. Jego pasażer powiedział, że rozumie; Straż Nadbrzeżna też miała okrojony budżet.

Warunki pogodowe były idealne; bezchmurne niebo, doskonała widoczność i lekka fala. Gdyby skradziona łódź pływała gdzieś po zatoce, już by ją znaleźli. Pilot był pewien jednego: nie było żadnego boston whalera w pobliżu Cotton Key. Kobieta, która go wynajęła, albo zboczyła z kursu podczas sobotniej burzy, albo popłynęła zupełnie gdzie indziej.

Wziął kurs na Captain Key, Calusa, Buttonwoods i Roscoe. Potem zatoczył łuk i skierował się ku Corinen Key, Spy i Panhadle. Ale dopiero w pobliżu Gophers dobiegł go głos wywiadowcy:

- Mam coś!

Był to otwarty skiff, sunący przez kanał w Twin Key Bank. Pilot zniżył lot.

- Whaler szesnastka?

- Dwoje ludzi na pokładzie.

- Dwoje? Jesteś pewien?

- Absolutnie.

Pasażer się nie odezwał.

- Nie potrzebują pomocy? - zapytał pilot.

- Chyba nie. Kierują się na Islamorada.

Pilot przechylił się do pasażera.

- Co pan o tym sądzi?

Pasażer miał własną lornetkę, wodoodporną tascos.

- Można podejść bliżej? - poprosił.

Przycupnięty w drzwiach helikoptera wywiadowca oznajmił, że widzi kobietę i mężczyznę.

- Kobieta macha ręką. Pokazuje, że wszystko w porządku.

- No więc, panie Moffitt? - zapytał pilot.

- To z całą pewnością ona.

- Mamy ją eskortować?

- Nie trzeba - powiedział agent. - Jest już prawie w domu.

27.

Shinerowi nawet nie zaświtało w głowie, że mógłby odebrać Amber bilet i samodzielnie zainkasować pieniądze. Po pierwsze, był zakochany, po drugie - spędzili razem tyle czasu, że uważał ich niemal za parę. Co więcej, był z natury podwładnym, naśladowcą. Pozbawiony kierownictwa, zbaczał z kursu. Jak mawiała jego matka, potrzebował silnej ręki. Nie miałby odwagi pojechać samemu do Tallahassee i spróbować zgarnąć loteryjną pulę. Już sam pomysł napawał go przerażeniem. Shiner wiedział, że z reguły ludzie mu nie wierzą, wiedział, że jest kiepskim, niewykwalifikowanym kłamcą. Spartaczony tatuaż można było zakryć, ale jak wytłumaczyć powykręcane kciuki i fryzurę á la skinhead? Albo bliznę po skrzyni korbowej? Shiner nie potrafił wyobrazić sobie sytuacji, w której rząd stanowy dobrowolnie wręczyłby mu czternaście milionów dolarów.

Natomiast Amber mogła przeprowadzić wszystko. Była elokwentna i pewna siebie, szalowa uroda również nie działała na jej niekorzyść. Kto pozostałby obojętny wobec takiej twarzy i takiego ciała?! Shiner zdecydował, że najlepiej skoncentrować się na prowadzeniu (w czym był dobry), pozostawiając Amber całą resztę. Coś mu pewnie odpali - może nie pięćdziesiąt procent (zważywszy na porwanie i to, co się potem wydarzyło na wyspie z Chubem), ale liczył na cztery, pięć milionów. Potrzebowała go. Głupotą byłoby pokazać się w Tallahassee, nie niszcząc kasety wideo, a tylko Shiner wiedział, gdzie jej szukać. Postanowił, że będzie najlepszym szoferem, jakiego Amber w życiu widziała.

- Gdzie ta przyczepa? - zapytała.
- Już prawie jesteśmy.
- Co tu rośnie, kukurydza?
- Pułkownik mówił, że kukurydza, pomidory i chyba fasola. Wychowałeś się na farmie?
- Nawet nie w jej pobliżu - odparła Amber.

Shiner pomyślał, że dziewczyna jest chyba trochę nie w humorze. Żeby ją rozbroić, zaśpiewał coś, wystukując rytm na desce rozdzielczej, z nadzieją, że Amber do niego dołączy. Po chwili się poddał.

Amber spoglądała niewidzącym wzrokiem na pola kukurydzy.

- Opowiedz mi o tej Murzynce - odezwała się w końcu. - O JoLayne.
- Nie ma nic do opowiadania.
- Co robi?

Shiner wzruszył jednym ramieniem.

- Pracuje u weterynarza. Wiesz, ze zwierzętami.
- Ma dzieci?
- Chyba nie.
- Narzeczonego? Męża? - Amber zagryzła dolną wargę.
- Nic o tym nie wiem. Dziewczyna jak dziewczyna.
- Jest lubiana?
- Mama mówi, że tak.

- Shiner, czy tam, gdzie mieszkasz, jest dużo Murzynów?

- W Grange? Trochę. To znaczy, znajdują się. - Przyszło mu do głowy, że Amber obmyśla następne posunięcie, więc dodał: - Ale niedużo. I trzymają się razem.

Rozsądni ludzie, pomyślała Amber.

- Daleko jeszcze? - zapytała.
- Zaraz za zakrętem - powiedział Shiner. - Już prawie jesteśmy.

Ułżyło mu, kiedy zobaczył impalę zaparkowaną koło przyczepy, chociaż najwyraźniej zostawił otwartą maskę. Dupek żołądny z niego!

- Ładny lakier - zauważyła Amber.
- Sam malowałem!
- Proszę, proszę!

Wysiadła i przeciągnęła się. Zauważyła oposa zwiniętego na schodkach przyczepy, najbardziej zaparszywione stworzenie, jakie w życiu widziała. Zamrugał guzikowatymi oczkami i uniósł różowy pyszczek, węsząc. Kiedy Shiner klasnął w dłonie, umknął w busz.

- Nie do wiary, że ktoś może tak żyć - powiedziała.
- Chub jest twardy. To najtwardszy facet, jakiego znam.
- Aha! I zobacz, dokąd go to zaprowadziło. Do chlewu! - Zamiarem Amber było odwieść Shinera od zamiaru zaproszenia jej do środka. - Gdzie ta kasetka? - zapytała niecierpliwie.

Shiner zbliżył się do impali i otworzył drzwi po stronie pasażera. Schowek był otwarty i pusty.

- O cholera!
- Co znowu?
- Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! - Shiner objął głowę ramionami. Ktoś grzebał w jego samochodzie!

Kasetka zniknęła. Zniknęła plakietka inwalidzka, którą powiesił na wstecznym lusterku. Nie było też kierownicy.

- To znowu oni. Cholerna Czarna Fala! - pisał Shiner.

Amber zdradzała oznaki nieprzystojnego rozbawienia. Zapytał, co ją tak śmieszy.

- Nic, ale naprawdę idealnie się składa.

- Cieszę się, że tak myślisz. Jezu, a co z Lotto? Co z moim samochodem? Mam nadzieję, że masz plan B!

- Jedziemy - powiedziała Amber. Kiedy się zawahał, zniżyła głos do szeptu. - Szybko! Zanim oni wrócą!

Kazała mu prowadzić, bo uznała, że może to odciągnie jego myśli od Czarnej Fali. Faktycznie po godzinnym słowotoku zaczął się uspokajać. W Homestead kazała mu się zatrzymać przy kanale irygacyjnym. Przeczekala ciężarówkę i wyrzuciła kolta pythona do wody. Kiedy znowu ruszyli, Shiner milczał. Amber wiedziała, że myśli o czterestu milionach dolarów. Podobnie jak ona.

- To nie było nam pisane. To nie było słuszne - powiedziała - z żadnego punktu widzenia.

- Tak, ale dla czterestu milionów...

- Wiesz, dlaczego nie jestem rozczarowana? Bo nie musimy podejmować decyzji. Ktoś zrobił to za nas.

- Ale ty nadal masz bilet.

Amber potrząsnęła głową.

- Nie na długo. Gość, który zabrał kasety, wie, kto naprawdę wygrał. Oni wiedzą.

- No tak. - Shiner popadł w posępne zamyślenie.

- Nigdy jeszcze nie byłam aresztowana - odezwała się Amber. - A ty?

Nie odpowiedział.

- Wspominałeś o mamie. Ja myślałam o swoim tacie - ciągnęła Amber. - O tym, co by zrobił, gdyby pewnego dnia włączył telewizor i zobaczył swoją małą księżniczkę w kajdankach, aresztowaną przy próbie zrealizowania kradzionego biletu Lotto. Myślę, że to by mojego tatę zabiło.

- Rabina?

Amber roześmiała się cicho.

- No właśnie.

Shiner nie wiedział, jak wrócić do Coconut Grove, więc Amber kazała mu trzymać się pierwszej krajowej, chociaż była usiana światłami. Shiner nie narzekał. Stali przed skrzyżowaniem w Bird Road, kiedy do samochodu podszedł stary Kubańczyk sprzedający przywędłe róże. Po wpływie impulsu Shiner wydobyl pięć dolarów z kieszeni kamuflujących spodni. Starszy pan uśmiechnął się ciepło. Shiner kupił trzy róże i wręczył je Amber, która w odpowiedzi przesłała mu całusa. Po raz pierwszy w życiu Shiner kupił kwiaty kobiecie i po raz pierwszy zetknął się z prawdziwym Kubańczykiem z Miami.

Co za dzień, pomyślał. A jeszcze się nie skończył.

Kaseta video przyprawiła Moffitta o ból głowy. Niecierpliwie przeleciał na szybkich obrotach sznur kierowców ciężarówek, komiwojażerów, turystów zeszywniałych po długiej jeździe, rozhuwanej młodzieży, której niezdrowa dieta i uzależnienie od nikotyny czyniła z Grab N'Go kopalnię złota dla holenderskiego właściciela.

W końcu ujrzał JoLayne Lucks wchodzącą przez szklane wahadłowe drzwi. Była w dzinsach, obszernym swetrze i wielkich okrągłych okularach słonecznych. Zegar kamery wyświetlił czas 17:15. Minutę później stanęła przy kasie. Moffitt zachichotał, ujrzawszy karton certów, bez wątpienia mentolowych. JoLayne pogmerała w torebce i wręczyła pieniądze nastolatкови za ladą. Wydał jej resztę drobnymi i jeden bilet Lotto. Powiedziała coś, uśmiechnęła się i wyszła na południowe słońce.

Moffitt cofnął taśmę do miejsca, gdzie się uśmiechała. To wystarczyło, by przywołać ból.

Wrócił z Puerto Rico dzień wcześniej, niż zapowiedziała. Kuzyni de la Hoya zdecydowali się zmienić zeznania w sprawie trzystu chińskich karabinów maszynowych znalezionych w ich domu na plaży w Rincón (pierwotna wersja: nieświadomie wynajęli dom bandzie lewicowych *guerrillas* udających amerykańską młodzież na deskach surfingowych). Adwokaci de la Hoyów zrozumieli, że mają kłopoty, kiedy podczas oświadczenia wstępnego z ławy przysięgłych dobiegł zdławiony chichot. Po pośpiesznej naradzie de la Hoyowie postanowili nie zaprzeczać dowodom więc Moffitt i sześciu innych agentów ATF mieli wolne. Kumple Moffitta ruszyli najprostszą drogą do San Juan w poszukiwaniu egzotycznych wrażeń, podczas gdy Moffitt wrócił do domu, żeby pomóc JoLayne.

Która przepadła jak kamień w wodę.

Moffitt wiedział, że JoLayne nie skorzysta z dobrej rady i nie poczeka na jego powrót. Nie było na nią mocnych, uporem mogła konkurować z mułem.

Żeby ją odnaleźć, należało zlokalizować złodziei biletu Lotto, których niewątpliwie śledziła. W poszukiwaniu wskazówek udał się ponownie do mieszkania Bodeana Gazzera, które sprawiało wrażenie, jakby lokator porzucił je w panice. Jedzenie na podłodze w kuchni zaczynało gnić, keczup na ścianie zaschnął w brązowe grudki. Moffitt dokonał kolejnej rewizji i natknął się na zmięty nakaz opuszczenia wynajętej przyczepy na obrzeżach Homestead. Na odwrocie zawiadomienia ktoś nabazgrał ołówkiem sześć liczb, które wytypowała JoLayne.

Moffitt był już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Oczywiście odebrał, któż oparłby się pokusie! Dzwonił zastępca szeryfa okręgu Monroe w sprawie czerwonego dodge'a rocznik 1996, który został porzucony przy autostradzie międzystanowej, w pobliżu Indian Key. Zastępca szeryfa powiedział, że furgonetka jest zarejestrowana na nazwisko Bodeana J. Gazzera.

- To pan? - zapytał zastępca.
- Mój współlokator - odparł Moffitt.
- Dobra, niech mu pan powie, żeby do nas dryndnął - powiedział zastępca.
- Zrobi się.

A więc skurwiele uciekli do Keys.

Obdzwonił porty na południe od Key Largo, pytając (tonem rasowego agenta rządowego) o niezwykle przypadki wynajęcia lub kradzieży łodzi. W ten sposób dowiedział się o whalerze, który nie wrócił do macierzystego portu. Zgodnie z oświadczeniem starego wilka morskiego z motelowego doku, wynajęła go „Murzynicha o ciętym języku”. Straż Przybrzeżna wysłała już helikopter na poszukiwania, Moffitt wykonał więc jeszcze

jeden telefon i wprosił się na pokład. Czekał w Opa-Locka, kiedy helikopter wrócił na tankowanie paliwa.

Półtorej godziny później zobaczył JoLayne i jej nowego przyjaciela Krome'a w zagnionym skiffie.

Patrząc na ukochaną przez szkła lornetki, poczuł się jak idiota. Niepotrzebnie się o nią martwił, ale kto przy zdrowych zmysłach by tego nie robił?

Z helikoptera przesiadł się do samochodu i pojechał do Homestead, by zlokalizować przyczepę kempingową, z której mężczyzna znany gospodarzowi jako pan Chub Smith został wyeksmitowany. Okazała się poobijaną budą na kółkach, zaparkowaną przy wiejskiej drodze. W salonie Moffitt znalazł stopy starych czasopism militarystycznych, puste pudełka po amunicji, koszulkę z napisem „Władza dla białych”, proporzec „Niech Bóg błogosławi Marge Schott”, a w sypialni pracownię fałszywych plaketek inwalidzkich w bardzo dobrym gatunku.

Korespondencja była uboga i mało interesująca, rachunki, ulotki reklamowe ze sklepów z bronią adresowane „C. Smith”, „C. Jones”, lub po prostu „Pan Chub”. Żadnej wskazówki co do prawdziwej tożsamości dzierżawcy, ale Moffitt był pewien, że jest nim długowłosy towarzysz Bodeana Gazzera. Brudne, długie kłaki w odplywie prysznicza potwierdzały tę teorię.

Koło przyczepy stał stary Chevrolet impala. Moffitt zanotował numery, po czym wywał zamek bagażnika (gdzie znalazł płócienny futerał karabinu i dwukilogramowe opakowanie suszonego mięsa wołowego), sprawdził pod siedzeniami (dwa karaluchy i zmięte czasopismo „Oui”) i w schowku (kaseta wideo, którą właśnie oglądał).

Wyłączył magnetowid i otworzył piwo. Zastanawiał się, co też się wydarzyło podczas jego nieobecności i gdzie mogą być bandyci. Zastanawiał się, co planuje JoLayne i jej przyjaciel Tom.

Wykręcił jej domowy numer i nagrał się na automatyczną sekretarkę. „Wróciłem. Zadzwoni!”

Poszedł spać próbując rozstrzygnąć, o co powinien ją zapytać, a ile naprawdę musi wiedzieć.

Mary Andrea Finley Krome iskrzyła się jak gwiazda filmowa.

Przynajmniej takiego zdania byli dziennikarze zgromadzeni w redakcyjnym westybulu. Nawet naczelny musiał przyznać, że wdowa po Kromie robi wrażenie.

Rozjaśniła o kilka tonów włosy, polakierowała paznokcie, usta pociągnęła bladą różową szminką, włożyła jedwabne pończochy i zdumiewająco krótką sukienkę.

Kiedy weszła, reporter z działu stołecznego zwrócił się do naczelnego:

- Tom musiał być szalony, porzucając takie cudo!

Może tak, może nie, pomyślał naczelny. Elegancka wdowa podeszła do niego i zapytała:

- No to gdzie oni są?
- W holu.

- Przechodziłam tamtędy. Nie zauważyłam żadnych kamer.
- Mamy jeszcze dziesięć minut - powiedział naczelny. - Przyjdą, proszę się nie martwić.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym zostać sama?

Naczelny rozejrzał się bezradnie po redakcji, zapewniającej mniej więcej tyle prywatności co dworzec autobusowy.

- Mój gabinet - zaproponował bez entuzjazmu i zszedł do stołówki po pączki. W drodze powrotnej spotkał zastępcę kierownika działu sportowego.

- Zgadnij, co pani Krome robi w twoim gabinecie.

- Szlocha?

- Nie, ona...

- Pograżyła się w nieutulonym żalu?

- Bądź poważny!

- Szpera mi w biurku. To najbardziej prawdopodobne.

- Robi próbę. Przepowiada swoje kwestie.

- Doskonale - powiedział redaktor naczelny.

Kiedy wyszli do holu, ekipy trzech miejscowych stacji telewizyjnych już czekały, w tym również obiecany Fox. Przybył również fotograf „The Register” (dostroiwszy się nastrojem do smutnej okazji), podnosząc liczbę przedstawicieli mediów do czterech.

- Nie jest to tłum - zauważyła kwaśno Mary Andrea.

- Owszem, według naszych skromnych wymagań - odparł naczelny.

Wkrótce pomieszczenie wypełnili szefowie działów, reporterzy, urzędnicy.

Większość nie знаła Toma Krome'a zbyt dobrze, ale została zmuszona do przyjścia przez swoich szefów. Przybyli nawet przedstawiciele działu rozpowszechniania i reklamy. Rzucali się w oczy, ubrani bardziej elegancko niż dziennikarska brać. Wśród publiczności znaleźli się również zwykli obywatele, którzy przyszli do „The Register” dać ogłoszenie, podrzucić soczysty list kierownikowi działu albo unieważnić prenumeratę z uwagi na zbytnią lewicowość lub prawicowość pisma.

Zabrakło natomiast samego wydawcy, którym wiadomość o śmierci Toma Krome'a nie wstrząsnęła zbyt mocno. Krome napisał kiedyś prześmiewczy artykuł o zamkniętym klubie, do którego należał wydawca i jego czterech synów. Po ukazaniu się reportażu członkowie klubu przegłosowali wydalenie wydawcy ze swych szeregów, chociaż oszczędzili jego czterech synów. Zdaniem klubowiczów obowiązkiem wydawcy było zwolnić Toma Krome'a i pokajać się publicznie za to, że wystawił ich wszystkich na szyderstwa i pośmiewisko (Krome opisał klub jako „oślepiająco protestancki i biały z wyjątkiem cadillaców”).

Redaktor naczelny z przyjemnością zacytowałby to i inne powiedzonka Krome'a w pośmiertnym wspomnieniu, ale wiedział, że może go to kosztować emeryturę. Więc kiedy zabłyśły światła reflektorów, ograniczył się do kilku nieszkodliwych uwag, odważnie próbując przydać pierwszej nagrodzie Amelii znaczenia, a nawet prestiżu. Redaktor naczelny wspominał oczywiście imię zmarłej pani Lloyd, kładąc nacisk na fakt, że ona również zginęła u szczytu kariery podczas wykonywania obowiązków służbowych.

W tym momencie dziennikarze wymienili powątpiewające spojrzenia, było bowiem tajemnicą poliszynela, że śmierć Toma Krome'a, niemająca nic wspólnego z jego pracą, pozostawała w ścisłym związku z jego słabością do zamężnych kobiet. Nieobecność bezpośredniego przełożonego Krome'a podsyciała sceptycyzm, gdyż było wiadomo, że Sinclair nie zrezygnowałby dobrowolnie z okazji zgarnięcia laurów za cudzą pracę. Coś było mocno nie w porządku, inaczej Sinclair stawilby się w holu, radośnie wyczekując swojej kolejki do mównicy.

Redaktor naczelny zdawał sobie sprawę z plotek, niemniej postanowił zaryzykować i obrać inną linię. Po pierwsze, miał poważne wątpliwości, czy lokalne władze są wystarczająco kompetentne, by rozwikłać tajemnicę fatalnego pożaru. Po drugie, wolał przedstawić pierwszą Amelię w historii swojej gazety jako pośmiertny hołd dla zgasłej gwiazdy. Jeżeli do wiosny wątpliwe męczeństwo Krome'a nie zostanie ostatecznie obalone, naczelny zamierzał przepchnąć jego kandydaturę do Pulitzera. Do diaska, dlaczego nie?!

- Żałuję... wszyscy żałujemy - powiedział na zakończenie - że Toma nie ma tu dziś z nami. Ale my w „The Register” będziemy wspominali go z dumą i podziwem. Jego poświęcenie, jego oddanie pracy pozostaną na zawsze żywe...

Redaktor naczelny skrzywił się w duchu, słysząc własne słowa; wydawały się jakieś banalne i zużyte. Miał przed sobą trudną publiczność i lada chwila spodziewał się usłyszeć uwagę dowcipnisi. Co prędzej przeszedł do głównego punktu programu.

- A teraz chciałbym przedstawić kogoś wyjątkowego, żonę Toma, panią Mary Andree, która przybyła z bardzo daleka, by podzielić się z nami wspomnieniem o mężu.

Powitano ją brawami, w przeważającej mierze szczerymi, chociaż prawdziwy entuzjazm wykazali jedynie reprezentanci reklamy. Odrobinę bardziej powściągliwy był zespół redakcyjny, z jednym wyjątkiem; redaktor naczelny rozejrzał się bystro, próbując wyłowić z tłumu autora przeciągłego gwizdu - reportera działu sportowego, jak się później okazało. (Skonfrontowany z naczelnym twierdził, że nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Przybiegł do redakcji z wiadomością o przełomie w handlu hokeistami i kierował się w stronę wind, kiedy wpadła mu w oko Mary Andrea Finley Krome na podium.)

Podeszła do mikrofonu, a redaktor naczelny wręczył jej standardową deseczkę z lakierowanej sosny, ozdobioną tandetną złotą płytką. Na płytce wyryto odrażający profil świętej pamięci Amelii J. Lloyd, pyzatej i wesolutkiej. Mary Andrea trzymała deskę, jakby to był obraz Renoira.

- Mój mąż... - zaczęła i zrobiła efektowną pauzę. - Mój mąż byłby taki dumny!

Holem wstrząsnęły oklaski. W odpowiedzi Mary Andrea przycisnęła Amelię do pierśsi.

- Mój Tom - powiedziała - nie był łatwy we współżyciu. W ciągu ostatnich lat poświęcił się pracy tak bez reszty, że - muszę z przykrością stwierdzić - oddaliśmy się od siebie...

Kiedy dotarła do wymyślanego pojednania za kulisami w Grand Rapids (w ostatniej chwili zdecydowała, że brzmi to bardziej romantycznie niż Lansing), audytorium było ugotowane na miękko. Kamery telewizyjne szumiały; dwóch kamerzystów zmieniło nawet baterie. Mary Andrea triumfowała.

Dwadzieścia sekund, dupku, pomyślała, osuszając policzki chusteczką, którą podał jej redaktor naczelny.

Co dziwne, łyż Mary Andrei - z początku produkt sztuki aktorskiej - były szczere. Mówiąc o Tomie w obliczu tyłu ludzi, wzruszyła się naprawdę, po raz pierwszy od chwili gdy przeczytała o pożarze. Choć fabularyzowała ich znajomość, dodając anegdoty, intymności i zwierzenia, sam akt poruszył jej serce. Bądź co bądź, Tom był przyzwoitym facetem. Skołowanym (jak większość mężczyzn), ale z gruntu poczciwym. Wielka szkoda, że nie okazał się bardziej elastyczny. Naprawdę szkoda, pomyślała, ocierając łyż.

Nie wzruszył się jedynie redaktor naczelny „The Register” i adwokat Toma Krome'a, Dick Turnquist, który odczekał grzecznie, aż Mary Andrea skończy przemawiać, po czym przebił się przez wianuszek składających kondolencje i wręczył jej wezwanie do sądu.

- Nareszcie się spotykamy - powiedział.

A Mary Andrea, poruszona własnym wystąpieniem, wzięła go za teatralnego fana proszącego o autograf.

- Bardzo pan miły - powiedziała. - Niestety nie mam długopisu.

- Nie potrzebuje pani długopisu, tylko adwokata.

- Co? - Mary Andrea spoglądała ze zdumieniem i odrażana dokument w swojej dłoni. - Czy to jakiś głupi żart? Mój mąż nie żyje.

- Owszem, żyje i miewa się świetnie, ale przekażę mu pani miłe słowa, które dzisiaj o nim usłyszałem. Ucieszy się. - Turnquist obrócił się na pięcie i odszedł.

Redaktor naczelny stał jak wrośnięty w podłogę. Wśród widzów nastąpiło lekkie poruszenie, potem rozległ się stuk wywołany upadkiem lakierowanej deski na terakotową podłogę. Naczelny odwrócił się i ujrzał Amelię na podłodze holu, gdzie cisnęła ją niedoszła wdowa.

Ostatnią świadomą czynnością Bodeana Gazzera było wyszczotkowanie zębów smarem WD-40. Przeczytał kiedyś o jego uniwersalnych właściwościach i teraz, wykrwawiając się, doznał irracjonalnego pragnienia wybielenia sobie zębów. Chub przekopał się przez ekwipunek i znalazł niebiesko-biały pojemnik z aerozolem, który podał Bode'owi wraz ze szczoteczką do czyszczenia pistoletu. Chub ukląkł w skrwawionym piasku i podłożył Bode'owi pod głowę zwinięte kamuflaż.

- Wyszoruj mi trzonowe, dobrze? - Bode otworzył usta i wskazał zęby, o które mu chodzi.

- Słodki Jezu! - powiedział Chub, ale wycelował strumień smaru w żółte uzębienie Bode'a. Co mi tam! - pomyślał. Facet korkuje.

Bode szorował zęby miarowym ruchem.

- Uwierzysz? - przemówił półgębkiem. - Murzyńska terrorystka i cholerna kelnerka sprzątnęły nam sprzed nosa dwadzieścia osiem milionów dolarów! Dostali nas, bracie! NATO, czarni i cholerni komuniści. Możesz w to uwierzyć?

Chub był w rozpaczy, zabandażowane ramię piekło go żywym ogniem.

- Wiesz, w co nie mogę uwierzyć? Nie mogę uwierzyć, że po tym, co ona nam zrobiła, nie mówisz „czarnuch”! Cholera, Bode, nie wiem, czy można ci ufać.

Powieki Bodeana Gazzera opadły. Wykonał jakiś przeproszający gest jedną ręką, po czym opuścił rękę w kałużę krwi. Twarz miał białą jak filet z ryby.

- Chcę, żebyś to powiedział. Czarnuch! Zanim wykorkujesz, chcę, żebyś zachował się jak bogobojny członek rasy panów i powiedział to słowo chociaż raz. Możesz to dla mnie zrobić? Dla byłych wielkich Białych Heroldów Aryjskich? - Chub roześmiał się mimo bólu. - No dalej, ty uparty kutasie! Powiedz to: czarnuch.

Ale Bodean James Gazzer nie mógł już mówić. Umarł ze szczoteczką do czyszczenia pistoletu pod policzkiem. Jego ostatni oddech pachniał smarem WD-40.

Chub chwycił pojemnik i zataczając się pobiegł między mangrowce, oplakiwać pułkownika.

28.

Pielgrzymi zaczęli się niecierpliwić. Domagali się Żółwiowego Chłopca.

Sinclair zapowiedział, że nie wyjdzie, dopóki Demencio nie przyjmie jego warunków. Matka Shinera siedziała przy nim na sofie. Ich dłonie były splecione jak u ludzi oczekujących katastrofy samolotu.

Burmistrz, Jerry Wicks, pośpieszył do domu Dominicka, jak tylko doszły go wieści o niepokojach. Trish przygotowała kawę i świeży sok pomarańczowy. Matka Shinera zrezygnowała z naleśników na rzecz omleta.

Demencio nie był w nastroju do negocjacji, ale ta para szaleńców przyparła go do muru. Coś nawaliło w formule barwienia i Madonna płakała oleistymi brązowymi łzami. Czym prędzej wciągnął posąg do domu i zakończył odwiedzin. Teraz w podwórku kłębiło się czterdziestu turystów chrześcijańskich, bez przekonania fotografujących żółwie w fosie. Sprzedaż „świętej wody” spadła do zera.

- Wyjaśnijmy to sobie. - Demencio przemierzał salon tam i z powrotem. - Chcecie trzydzieści procent utargu dziennego i trzydzieści procent koncesji? Mowy nie ma! Zapomnijcie o tym!

Matka Shinera przytuliła umorusany policzek do ramienia Sinclaira.

- Już mówiliśmy - zwróciła się do Demencia - że jesteśmy gotowi zadowolić się dwudziestoma procentami koncesji.

- Co za my?!

- Ale pod warunkiem że znajdziesz Marvie inne miejsce - wtrącił Sinclair.

Marva to było imię matki Shinera. - Nową kaplicę - ciągnął Sinclair, odgarniając z czoła listek sałaty - w miejsce zaasfaltowanej.

Ledwo poznawał swój głos, odległy o miliony lat świetlnych od dawnego życia. Redakcją „The Register” wraz z wszystkimi utrapieniami znajdowała się na Plutonie.

Demencio opadł na ulubiony fotel.

- Bezczelność! To jest mój interes! Sami go zbudowaliśmy, ja i Trish. A teraz wy zjawiacie się nie wiadomo skąd i próbujecie go przejąć...

Matka Shinera podkreśliła, że ruch pielgrzymów potroił się od czasu przybycia Sinclaira.

- Ja również mam swoją wierną klientelę - powiedziała. - Jasne jak słońce, że tu za mną przyjdą i będą kupować twoje koszulki, zimne napoje i ciasto biszkoptowe. Zrobię majątek, o ile oczywiście będziecie mieli dość rozumu, by pójść na ten układ.

Trish zaczęła coś mówić, ale Demencio jej przerwał.

- Nie potrzebuję was, to wy potrzebujecie mnie!

- Doprawdy? - zapytała matka Shinera z przekąsem. - Masz Marię Dziewicę, z której wycieka czerwona papryka. Pytam się: Kto ciebie potrzebuje?

- Do diabła z wami! - powiedział Demencio. Ale wiedział, że czarownica ma rację.

Nawet w obecnym stanie oderwania od świata, Sinclair nie mógł zignorować liczb. Wiedział coś niecoś o interesach - jego ojciec prowadził sklep spożywczy w Bostonie i nieraz użerał się z hurtownikami w Wisconsin.

- Czy wolno mi coś zaproponować? - Burmistrz Jerry Wicks występował w charakterze mediatora. Kierownik Holiday Inn, obawiając się zastoju w ruchu turystycznym, nakłonił go do interwencji. - Mam pewien pomysł. Czego pani, Marvo, potrzebuje? To znaczy, w zakresie wyposażenia?

Matka Shinera ściągnęła z namysłem brwi.

- No, nie wiem... Drugiego Jezusa?

- Słusznie! - powiedział burmistrz. - Demencio ma Marię Dziewicę, Żółwiowy Chłopiec... czy mogę pana tak nazywać? A więc Żółwiowy Chłopiec ma apostołów, co pozostawia szerokie pole dla Jezuska.

Matka Shinera pokiwała kościstym palcem.

- Nie chcę Jezuska. Wolę dorosłego Jezusa.

- Świetnie! - powiedział burmistrz. - Do czego zmierzam... To miejsce znakomicie nadawałoby się na kaplicę, prawda? Wszystko na miejscu. - Kiwnął zachęcająco głową w stronę Demencia. - Musisz to przyznać.

Demencio poczuł rękę Trish na swoim ramieniu. Wiedział, co żona teraz myśli. Myślała: „To by było coś!” Gdyby się odpowiednio za to zabrać, staliby się główną atrakcją turystyczną w tej części Florydy. Mimo to Demencio czuł się w obowiązku zgłosić zastrzeżenie:

- Nie chcę żadnych plam na podjeździe. Na chodnikach też nie.

- To zrozumiałe.

- I nie dam więcej niż piętnaście procent datków.

Sinclair spojrział na matkę Shinera, która uśmiechnęła się na znak zgody.

- To jest do przyjęcia.

Przeszli do jadalni, żeby omówić powstanie nowej świątyni Chrystusa.

- Będzie tam, gdzie On się ukaże - wyjaśniła matka Shinera, unosząc dłonie. - Może się w ogóle nie pokazać, po tym co go spotkało na autostradzie.

- A gdyby wyszła pani na zewnątrz i zaczęła się mocno modlić? - zasugerował burmistrz Jerry Wicks, wieczny optymista.

Matka Shinera ścisnęła ramię Sinclaira.

- Kto wie, czy tak nie zrobię. Uklękę i zacznę się modlić.
- Byle nie na podjeździe - ostrzegł Demencio.
- Słyszałam! Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Jezu!
- Kto się jeszcze napije kawy? - zapytała Trish.

Ze swojego miejsca przy stole Demencio miał znakomity widok na podwórko. Tłum rzedniał, pielgrzymi byli znudzeni. Burmistrz również to zauważył. Wymienili zaniepokojone spojrzenia. Nikt nie kwestionował, że dobrobyt miasta zależy od sezonowego ruchu religijnego. Miasto nie mogło sobie pozwolić na zastoje, nie mogło sobie pozwolić na utratę żadnej ze swoich atrakcji. Konkurencja rosła w siłę, nie było tygodnia, żeby telewizja nie donosiła o nowej kaplicy albo cudownym uzdrowieniu. Ostatnio na ścianie budynku firmy hipotecznej w Clearwater ukazał się wizerunek Marii Panny, wysoki na trzy piętra. Trzy tysiące ludzi przyjechało go oglądać. Śpiewali, płakali i pozostawiali datki owinięte w chusteczki i pieluszki.

Datki w firmie hipotecznej!

Jerry Wicks nie musiał mówić, że nie czas na grymasy. Demencio wiedział, co się dzieje, wiedział, jakie to ważne - sprostać wymogom rynku.

- Tylko poczekaj - zwrócił się do burmistrza - aż moja Maria zacznie płakać krwią!

Zadzwonił telefon. Demencio odebrał w sypialni, gdzie mógł liczyć na odrobinę spokoju. Kiedy wrócił, miał surowy wyraz twarzy. Matka Shinera zapytała, co się stało.

- Mówiłaś, że będziesz się modlić? Bierz się do roboty. - Demencio machnął ręką. - Módl się, Marva, ponieważ potrzeba nam cudu, i to prędko. Jezus jest na wagę złota.

Jeny Wicks pochylił się nad stołem.

- Co się stało?

- Dzwoniła JoLayne. Wraca do domu - powiedział Demencio bezbarwnym tonem. - Wraca po żółwika.

Sinclair zbladł. Matka Shinera pogłaskała go po czole i powiedziała, żeby się nie martwił, wszystko będzie dobrze.

Kupili nowe ubrania i poszli do najlepszej restauracji w Tallahassee. Tom Krome zamówił steki, szampana i talerz ostryg. Powiedział JoLayne Lucks, że wygląda fantastycznie, i faktycznie tak wyglądała. Kupiła długą zgniozieloną sukienkę na ramiączkach, on zdecydował się na proste, ciemnoszare spodnie i jasnoniebieski blezer.

W torebce miała pierwszy loteryjny czek na pięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów, po opodatkowaniu. Była to pierwsza z dwudziestu rocznych rat z wygranej Lotto.

Tom przechylił się nad stołem i pocałował ją w usta. Widząc zgorszone spojrzenia małżeńskiej pary - białej pary - przy sąsiednim stoliku, pocałował dziewczynę jeszcze raz; mocniej. Potem wznosił toast.

- Za Simmons Wood!
- Za Simmons Wood - powtórzyła JoLayne, o wiele za cicho.
- O co chodzi?
- Tom, obliczyłam. Nie starczy mi pieniędzy.
- Jak to?
- Ta druga oferta wynosi trzy miliony, dwadzieścia procent zaliczki. Obiecałam Clarze Markham, że ich przebiję, ale chyba mi się nie uda. Dwadzieścia procent z trzech milionów to sześćset tysięcy. Brakuje mi.

Powiedział, żeby nie wpadała w panikę.

- W najgorszym razie weźmiesz pożyczkę. Nie ma takiego banku na Florydzie, który nie chciałby ci udzielić kredytu.

- Łatwo mówić...

- JoLayne, właśnie wygrałaś czternaście milionów dolarów!

- Nadal jestem czarna, panie Krome.

Ale pomyślawszy nad tym chwilę, doszła do wniosku, że Tom ma prawdopodobnie rację w sprawie pożyczki. Czarna, biała czy w kropki bordo, była milionerem, a bankierzy uwielbiają milionerów. Dostanie wysokooprocentowaną pożyczkę i złoży piękną kontrofertę. Rodzina Simmonsów wytnie strusia ze szczęścia, a chłopcy z chicagowskiego związku będą musieli poszukać innego miejsca na fikuśny supermarket.

JoLayne dziarsko zaatakowała sałatkę cesarską.

- Masz rację - powiedziała. - Będę myślała pozytywnie.

- Dobrze, bo jesteśmy na fali.

- Trudno zaprzeczyć.

Odprowadzili przetrzymanego boston whalera do portu i udobruchali starego wilka morskiego, nie domagając się zwrotu depozytu. Pojechali taksówką na rampę, gdzie odzyskali hondę Toma, i stamtąd prosto na lotnisko, na samolot do Tallahassee. Kiedy dotarli na miejsce, biuro loteryjne było już zamknięte. Wzięli pokój w Sheratonie, wskoczyli pod prysznic i padli z wyczerpania na łożo. Byli zbyt zmęczeni, żeby się kochać, i pożartowali trochę na ten temat przed snem. Starali się nie myśleć o Pearl Key.

Rano stawili się w biurze jeszcze przed otwarciem. Urzędnik uznał, że JoLayne żartuje, kiedy wspomniała mimochodem, iż przez ten cały czas bilet był ukryty w prezerwatywie. Formalności trwały godzinę, potem fotograf zrobił zdjęcia JoLayne trzymającej czek z wizerunkiem różowego flaminga. Tom gratulował sobie, że stawiając się bez zapowiedzi, uniknęli telewizji i dziennikarzy prasowych. Zanim ukażą się relacje w prasie, oni będą już w Grange.

- Wszystko będzie dobrze - obiecał, dolewając JoLayne szampana. - Obiecuję.

- Z nami też?

- Absolutnie!

- Absolutnie, Tom? - Przyjrzała mu się uważnie.

Krome odstawił kieliszek. Chwila, której się obawiał, nadeszła.

- Uważam, że należy ci się część pieniędzy - powiedziała.

- Za co?

- Za wszystko. Rzuciłeś pracę, żeby ze mną zostać. Nadstawiłeś karku. Uchroniłeś mnie przed popełnieniem szaleństwa.

- Coś jeszcze?

- Czułabym się o wiele lepiej - powiedziała - gdybym ci coś odpałiła.

Tom postukał widelcem w stół.

- Rany, poczucie winy to koszmar. Współczuję ci.

- Mylisz się.

- Nie, mam rację. Jeśli nie przyjmę pieniędzy, głupio ci będzie mnie rzucić. Będziesz odkładała tę chwilę i odkładała całymi miesiącami. Z poczucia winy.

- Jedz sałatę - powiedziała JoLayne.

- Łatwiej ci będzie odjechać, jeżeli wezmę swoją część. Powiesz sobie, że nie wykorzystałaś beznadziejnie zakochanego idioty do własnych celów, by go potem porzucić. Powiesz sobie, że zachowałaś się wobec mnie przyzwoicie, nawet wielkodusznie.

- Skończyłeś? - Bolała ją prawda tych słów. W duszy szukała drogi ucieczki na wypadek, gdyby romans się wypalił. Chciała być w zgodzie ze swoim sumieniem, jeżeli kiedyś będzie zmuszona zerwać z Tomem, po tym wszystkim co dla niej zrobił.

- Nie chcę tych cholernych pieniędzy - powiedział Tom. - Rozumiesz? Ani centa.

- Wierzę ci.

- Nareszcie!

- Dla ścisłości dodam, że nie mam zamiaru cię porzucić. - JoLayne zsunęła sandałek i poszukała nagą stopą kolana Krome'a.

Oczy Toma zogromniały.

- I to ma być uczciwa walka!

- Mam złe doświadczenia z mężczyznami. Jestem upoważniona oczekiwać najgorszego.

- Rozumiem - powiedział. - Dla ścisłości dodam, że jesteś uprawniona do porzucenia mnie, kiedy zechcesz. Ciągnij to, jak długo zdołasz, ponieważ ja wezmę wszystko, co mi ofiarujesz.

- Niezły jesteś w branży poczucia winy.

- Jestem specjalistą, jednym z najlepszych. A więc umowa stoi: daj nam sześć miesięcy. Jeżeli nie będziesz szczęśliwa, odejdę bez łez i rwania włosów z głowy. Będzie to cię kosztowało jedynie bilet lotniczy na Alaskę.

- Hm... - JoLayne splótła dłonie. - Przypuszczam, że uprzesz się przy pierwszej klasie?

- A jakże! Na samym przodzie, z gorącymi ręcznikami, sorbetem i wszystkimi szkanami. Zgoda?

- Zgoda!

Uścisnęły sobie ręce. Zjawił się kelner z krwistymi stekami z kością. Tom odczekał, aż JoLayne weźmie do ust pierwszy kęs.

- Pycha! - zaopiniowała.

- No to do roboty!

- Hej, właśnie przyszło mi coś do głowy! A jeżeli to ty mnie porzucisz? Tom Krome uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Właśnie przyszło ci to do głowy?
- Mądrała! - powiedziała JoLayne i dźgnęła go dużym palcem u nogi we wrażliwe miejsce. Pochłonęli steki i zrezygnowawszy z deseru, pobiegli do pokoju, żeby się kochać.

Sędzia Arthur Battenkill wrócił do pustego domu. Katie była prawdopodobnie w supermarkecie albo u fryzjera. Sędzia włączył telewizor i rozsiadł się w fotelu z kieliszkiem martini. Opijał swoje przejście na emeryturę. W telewizji nadawano popołudniowe wiadomości, ale sędzia nie poświęcił im uwagi, pochłonięty myślą o nabyciu tropikalnej garderoby. Najrozsądniej będzie zrobić zakupy w Nassau, na Bay Street. Kupił tam kiedyś Willow Inianą bluzkę i odbłaskowe bikini, które zerwał z niej brutalnie natychmiast po tym, jak je włożyła.

Arthur Battenkill próbował wyobrazić sobie Arthura Battenkilla w szortach i sznurkowych sandałach plażowych, z owłosionymi łydkami przypominającymi ptasie odnóża. Postanowił, że zrobi wszystko co trzeba, by stać się szanowanym emerytem w tropikach, wtopić się w środowisko. Cieszył się na to wyspiarskie życie.

Nazwisko „Tom Krome” wyrwało go z marzeń. Dochodziło z telewizora.

Sędzia chwycił pilota i podkręcił głośność. Oglądając migawki z jakiejś uroczystości, mieszał dżin wymanikiowanym palcem. Konferencja prasowa w „The Register”. Przy stojna kobieta w krótkiej, czarnej sukni; żona Toma Krome'a. Odbiera nagrodę dziennikarską w imieniu zmarłego męża. Potem: zamieszanie.

Arthur Battenkill pochylił się gwałtownie, ściskając w obu dłoniach kieliszek martini. Boże, potwierdzono to oficjalnie - Krome żyje!

Jego adwokat wystąpił w telewizji. Powiedział, że przed chwilą wręczył zdumionej i wzburzonej pani Krome papiery rozwodowe.

W innych warunkach sędzia zdrowo by się uśmieł, pełen podziwu dla sprytu adwokata, ale tym razem wcale nie był rozbawiony. Sadził po schodach po trzy stopnie, przeczuwając, co zastanie w sypialni; przygotowując się na katastroficzny fakt, że Katie nie jest w sklepie ani u fryzjera. Odeszła.

Jej szuflady w komodzie były puste; jej połówka sypialni oczyszczona z drobiazgów. Brakło również wielkiej brązowej walizki na kółkach. Wylawendowana karteczka była przyklejona taśmą do wezgiłowia łóżka i jej treść na chwilę sparaliżowała sędziego:

UCZCIWOŚĆ, ARTHURZE. PAMIĘTASZ?

Co oznaczało, że jego żona, Katherine Battenkill, poszła na policję.

Sędzia zaczął się pakować jak oszalały zbieg, którym miał wkrótce zostać. Jutrzejsze gazety wskreszą Toma Krome'a, a co ważniejsze, odgrzebią tajemnicę zwłok znalezionych w zgliszcach jego domu. Policjani detektywi, którzy w innym wypadku mogliby

uznać doniesienia Katie za efekt zwykłego małżeńskiego konfliktu (jako dawni sądowi znajomi Arthura Battenkilla), teraz, pod palącym okiem mediów, będą zmuszeni potraktować je poważnie.

Co oznaczało, że rozpocznie się regularne poszukiwanie Champa Powella, zaginionego pisarza sądowego.

Może mi to zaszkodzić, pomyślał Arthur Battenkill. Może mi to bardzo zaszkodzić.

Do drugiej walizki zapakował bieliznę, przybory toaletowe, koszule z krótkimi rękawami, dżinsy, spodnie khaki, sztormiak, kąpielówki, plik czeków podróжных (które kupił tego ranka w banku) oraz kilka przedmiotów o wartości sentymentalnej (między innymi wygrawerowane spinki do mankietów i młoteczek z kości słoniowej). Ukrył pięć tysięcy dolarów (podjętych z konta podczas porannej wyprawy do banku) w nylonowych skarpetkach. Zapakował jeden niebieski garnitur (bez kamizelki) i jedną togę sędziowską, na wypadek gdyby trzeba wyrzucić wrażenie na opornym urzędniku imigracyjnym.

Nie mógł natomiast zabrać paszportu, który Katie wyjęła z sekretarzyka, żeby unieвозмоwić mu ucieczkę.

Mądra dziewczynka, pomyślał z podziwem.

Jego żona nie wiedziała o czymś, o czym wiedział sędzia z nielegalnych wypadów z Willow i Daną. Obywatele amerykańscy nie potrzebują paszportu na wjazd do Wspólnoty Bahamów. Wystarczy metryka urodzenia, którą sędzia miał w portfelu.

Zamknął walizkę i zataszczył ją do salonu, po czym zadzwonił do małej czarterowej linii lotniczej w Satellite Beach. Właściciel był mu winien przysługę. Sędzia uchylił werdykt ławy przysięgłych w sprawie pasażera, ważącego sto sześćdziesiąt kilogramów, na którego spadła klatka z kogutami podczas lotu na Andros. Ławnicy obarczyli winą linię lotniczą i przyznali pasażerowi sto tysięcy funtów odszkodowania za każdy złamany palec u nogi, a było ich cztery. Natomiast w opinii Arthura Battenkilla, opartej na zeznaniach eksperta, pasażer w dużej mierze sam ściągnął na siebie nieszczęście, ponieważ swą wagą spowodował przesunięcie się ładunku podczas startu. Sędzia zmniejszył odszkodowanie o siedemdziesiąt pięć procent, czym zyskał dozwonną wdzięczność firmy czarterowej.

Której właściciel zapewnił teraz Arthura Battenkilla juniora, że przetransportowanie go do Marsh Harbour nie przedstawia żadnych trudności, absolutnie żadnych!

Kąpiąc się i goląc po raz ostatni na amerykańskiej ziemi, wyobrażał sobie nowe życie na wyspach. Obecność Katie ułatwiłaby wiele spraw; samotny mężczyzna w średnim wieku zwraca uwagę, a nawet wzbudza podejrzenia. Mimo to mógł z łatwością zagrać zamożnego rozwodnika... nie, lepiej wdowca. Kulturalny, wykształcony, odnoszący się z szacunkiem do miejscowych zwyczajów. Kupi sobie mały domek nad morzem i będzie żył skromnie z procentów. Dyskretnie rozpuści wieść, że w Stanach zajmował wysokie stanowisko. Może zdecyduje się na doradztwo prawne, udzielając porad miejscowym adwokatom prowadzącym sprawy we florydzkich sądach. Nauczy się żeglować i zamówi

książki, które pomogą mu zidentyfikować ryby żyjące na rafie. Będzie chodził boso i strzaska się na heban. Będzie miał czas na malowanie (nie malował od czasów studiów), będzie tworzył akwarele, radosne tropikalne pejzaże tak poszukiwane przez turystów w Nassau i Freeport.

Oparty czołem o kafelki w kabinie prysznicowej sędzia Arthur Battenkill miał to wszystko przed oczami. Nie widział natomiast niebieskiego sedana, który zajechał pod jego dom. W środku siedzieli trzej mężczyźni: agent FBI i dwóch detektywów okręgowych. Przyjechali zapytać o pisarza sądowego, którego nazwisko podała im żona sędziego i jego dwie sekretarki, a którego usmażone resztki zostały (zaledwie przed godziną) zidentyfikowane na podstawie testów DNA. Jeżeli, jak twierdziła pani Battenkill, jej mąż zlecił Champowi Powellowi podpalenie, sędzia zostanie oskarżony o morderstwo.

Kwestię tę poruszono zaraz po tym, jak sędzia wytarł się ręcznikiem, ubrał, chwycił walizkę i - nucąc coś radośnie - wyszedł przed dom, gdzie już na niego czekano.

- Co się stanie z twoim mężem?
- Pójdzie do więzienia, jak przypuszczam - odparła Katie Battenkill.
- Boże! - powiedziała Mary Andrea Finley Krome, myśląc: Ta mała jest twarda.
- Przy następnym zjeździe jest bar. Zjesz coś?
- Powiedz mi jeszcze raz, dokąd jedziemy. Jak się nazywa to miasto?
- Grange.
- I Tom tam jest?
- Jestem prawie pewna - odparła Katie.
- Jak dobrze go znasz?

Mary Andrea nie zwykła podróżować z obcymi, ale ta kobieta wydawała się godna zaufania, a Mary Andrea miała za sobą ciężkie przeżycia. Jeszcze czuła na karku ciepło telewizyjnych reflektorów, kiedy przedzierała się przez tłum w redakcyjnym westybulu. Rozważała nawet, czy nie sfingować kolejnego ataku epilepsji, ale zrezygnowała - w takim tłumie mogła nawalić choreografia.

Nagle ktoś chwycił ją za łokieć. Odwróciła się i zobaczyła kobietę - ładną blondyneczkę, która wyprowadziła ją za drzwi i powiedziała:

- Lepiej stąd chodźmy!

I Mary Andrea, ogłupiona klęską i osłabiona upokorzeniem, poszła za nieznajomą, ponieważ miało to prawie tyle samo plusów co ucieczka na oślep przed siebie, a na to Mary Andrea miała największą ochotę. Kobieta przedstawiła się jako Katie jakaś tam i zaprowadziła ją do samochodu.

- Chciałam przyjść wcześniej, uprzedzić cię, że Tom żyje. Powinnaś o tym wiedzieć. Ale straciłam mnóstwo czasu w biurze szeryfa.

Na początku Mary Andrea puściła uwagę mimo uszu, lecz wróciła do tematu, kiedy wyjechały na autostradę. Katie oświadczyła spokojnie, że jej mąż sędzia popełnił straszne przestępstwo i jej sumienie i zasady religijne wymagały, by wydała go policji.

Opowiadanie podnieciło ciekawość Mary Andrei, ale korciło ją, by nakierować rozmowę z powrotem na swojego podstępного męża sukinkota. Jak inaczej określić męczyznę tak okrutnego, żeby spalić własny dom i ośmieszyć żonę przed kamerami telewizji?

- Mylisz się. To nie było tak - powiedziała Katie.

- Nie znasz Toma.

- Owszem. Byłam jego kochanką. - Katie stosowała się niezłomnie do zasady bezwzględnej szczerości. - Przez dwa tygodnie. Zajrzyj do mojej torebki, znajdziesz tam kartkę z notesu, złożoną na pół. Zapisałam, ile razy się kochaliśmy.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Zajrzyj do torebki.

- Nie, dzięki.

- Prawda znaczy więcej niż wszystko na świecie. Powiem ci, co tylko chcesz wiedzieć.

- A nawet więcej - mruknęła pod nosem Mary Andrea. Zastanawiała się, czy nie odegrać roli zazdrosnej żony, żeby zniechęcić Katie do zwierzeń..

- Nie cieszysz się, że on żyje? - zaskoczyła ją pytaniem Katie. - Nie wyglądasz na zachwyconą.

- Ja... jestem jeszcze w szoku.

Katie nie wydawała się przekonana.

- Cieszyłabym się, gdybym nie była na niego taka wściekła - powiedziała Mary Andrea, i to mogło być prawdą. Mary Andrea zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie nie licuje z radosną okazją, ale Katie nie mogła wiedzieć, jak wyglądało jej małżeństwo z Tomem. I choć Mary Andrea była naprawdę dobrą aktorką, nie wiedziała, jak powinna się zachowywać była wdowa - nigdy żadnej nie spotkała.

- Nie złość się - tłumaczyła Katie. - Tom cię nie wystawił. Winę za wszystko ponosi mój mąż. I ja, ponieważ spałam z Tomem. To dlatego Arthur kazał podpalić dom...

- Kto to jest Arthur?

- Mój mąż. Mówiłam ci o nim. To skomplikowane, wiem, ale musisz zrozumieć, że nie Tom wszystko zaaranżował. Nie miał o niczym pojęcia. Kiedy to się stało, był poza miastem, pracował nad reportażem. To wtedy Art wysłał podpalacza...

- Już mówiłaś. Czy za to twój mąż idzie do więzienia?

- Zgadza się.

- Mój Boże!

- Tak się cieszę, że mi wierzysz.

- Och, nie jestem pewna - powiedziała Mary Andrea. - Ale jeżeli to wszystko wymyśliłaś, powinnaś poszukać pracy w show biznesie. Poważnie!

Znajdowały się pół godziny drogi od Grange, kiedy Katherine Battenkill odezwała się ponownie.

- Życie mnie nauczyło, że nic nie dzieje się z przypadku. Nie ma zbiegów okoliczności. We wszystkim, co nas spotyka, tkwi palec boży. Weźmy chociażby Toma. Gdybym

się nie kochała trzynaście razy z Tomem, nigdy nie dowiedziałabym się, kim naprawdę jest Arthur. Nie podpaliliby domu i ty nie jechałabyś teraz ze mną do Grange, żeby zobaczyć się z mężem.

Tym razem Mary Andrea nie była w stanie zapanować nad swoją reakcją.

- Trzynaście razy w dwa tygodnie?!

Pobili nasz dawny rekord! - pomyślała.

- Wliczam w to również stosunki oralne - powiedziała Katie, próbując osłabić wrażenie. Opuściła szybę. Owiało ich chłodne powietrze.

- Nie wiem jak ty, ale ja marzę o hamburgerze.

- A ja marzę o rozmowie z panem Tomem Krome.

- Już niedaleko - powiedziała Katie lekkim tonem. - Musimy tylko zatrzymać się w dwóch miejscach. Najpierw zajedziemy na stację benzynową.

- A potem?

- Zobaczysz!

29.

Szóstego grudnia rano Clara Markham pojechała do swojego biura, by ostatecznie wyłonić kupca Simmons Wood. Na parkingu czekał Bernard Squires, kierownik do spraw inwestycji Stowarzyszenia Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu. Przed drzwiami stała JoLayne - dżinsy, sweter, okulary słoneczne i czapeczka baseballowa. Przemalowała paznokcie na jaskrawy odcień pomarańczy.

Squires nie czuł się swobodnie; przekładał aktówką z ręki do ręki. Clara Markham dokonała prezentacji i nastawiła ekspres do kawy.

- Jak się udała wycieczka, Jo? Gdzie byłaś?
- W plenerze.
- W taką pogodę?!

JoLayne postanowiła zmienić temat.

- A jak się czuje mój kumpel Kenny?
- Straciliśmy prawie kilogram! Przetawiałam go na suchą karmę, jak radziłaś - mówiła Clara z dumą. Wręczyła kubek panu Squiresowi, który podziękował oschle.
- Kenny to mój kot perski - wyjaśniła. - Jo pracuje u weterynarza.
- A! Moja siostra ma syjama - powiedział Squires, wyłącznie z uprzejmości.

JoLayne zdjęła okulary słoneczne i obdarzyła go uśmiechem. Z trudem maskował irytację. To ma być rywalka do ziemi wartej trzy miliony dolarów! Murzynka z pomarańczowymi paznokciami, pracownica kliniki dla zwierząt?!

Clara Markham usadowiła się za biurkiem, idealnie spokojna i poprawna. JoLayne Lucks i Bernard Squires zajęli krzesła naprzeciwko, ramię w ramię.

- Zaczniemy? - zaproponowała Clara.

Bez wstępów Squires otworzył aktówkę spoczywającą na jego kolanach i podał agentce teczkę z dokumentacją. Clara rzuciła okiem na okładkę, po czym zwróciła się do JoLayne Lucks.

- Oferta związku wynosi trzy miliony dolarów, dwadzieścia procent zaliczki. Pan Squires zdeponował ją już w banku. Jo?

- Proponuję trzy przecinek jeden - powiedziała. - I trzydzieści procent zaliczki.
 Rano była w banku. Tom Krome miał rację - młody wiceprezes bez ceregieli zaofiarował jej nieograniczony kredyt na zakup Simmons Wood.

- Pani Markham, nie jestem przyzwyczajony do podobnej... nieformalności - odezwał się Bernard Squires. - Oferty tego rzędu przedstawia się zwykle na piśmie.

- To małe miasteczko, panie Squires. A pan jest stroną, której się śpieszy. - Clara uśmiechnęła się słodko.

- Moi klienci...

- Tak, wiem.

JoLayne postanowiła, że nie da się zastraszyć.

- Clara wie, że można ufać mojemu słowu, panie Squires. Nie uważa pan, że takie bezpośrednie spotkanie stron przyspieszy sprawę?

- A więc przyspieszmy ją jeszcze bardziej. - Przez twarz kierownika do spraw inwestycji przemknął pogardliwy wyraz. - Trzy przecinek dwadzieścia pięć.

Clara Markham poprawiła się na krześle.

- Nie powinien pan zadzwonić do swoich klientów w Chicago?

- To nie jest konieczne - odparł Squires z lodowatą uprzejmością.

- Trzy przecinek trzy - powiedziała JoLayne.

Squires bezszelestnie zamknął aktówkę.

- Możemy to ciągnąć, jak długo pani zechce, panno Lucks. Związek dał mi wolną rękę.

- Trzy przecinek cztery. - JoLayne przestała się martwić i zaczęła się bać. Facet był rekinem, taką miał pracę.

- Trzy przecinek pięć - skontrował Squires. Teraz on się uśmiechał. Dziewczyna wymiękała w oczach. Dlaczego się tak martwił? To wina tej zapadłej dziury, pomyślał. Przyprawia człowieka o gęsią skórkę. - Widzi pani, związek polega na moim zdaniu w tych sprawach. W dziedzinie budownictwa i nieruchomości. Pozostawia negocjacje w moim ręku. Wartość parceli, takiej jak ta, zmienia się wraz z popytem na podobny towar; w tej chwili jest dosyć wysoka.

JoLayne zerknęła na Clare, która wydawała się zupełnie nieporuszona licytacją i gwałtownym wzrostem swojej prowizji. Ale w jej wielkich migdałowych oczach JoLayne dostrzegła współczucie.

Gdyby loteria wypłacała od razu całą sumę, mogłabym sobie pozwolić na Simmons Wood, pomyślała JoLayne ponuro. Licytowałabym dopóty, dopóki pot nie spłynęłyby po różowych policzkach Squiresa.

- Przepraszam, Claro, czy mogłabym...

- Trzy przecinek siedem!

- ...skorzystać z twojego telefonu?

Clara Markham udała, że nie usłyszała ostatniej oferty Squiresa. Telefon zadzwonił w chwili, gdy przesuwiała go w stronę JoLayne. Clara podniosła słuchawkę, odwracając się tyłem do biurka. Zniżyła głos prawie do szeptu.

JoLayne rzuciła spojrzenie panu Squiresowi, który strząsał niewidoczny pyłek z wieka aktówki. Oboje popatrzyli wyczekująco, kiedy Clara powiedziała do słuchawki:

- Dobrze. Proszę go tu przysłać.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do klientów.

- Wyniknęła pewna okoliczność... - powiedziała.

Bernard Squires zmarszczył brwi.

- Jeszcze jeden kupiec?

- O rany, nie! - zachichotała.

Kiedy drzwi się otworzyły, zaprosiła gościa do środka. Był to potężny Murzyn w okragłych okularkach i garniturze skrojonym lepiej nawet niż garnitur Squiresa.

- O Boże! - zawołała JoLayne. - Powinnam się domyślić.

Moffitt ściągnął w dół daszek jej czapki.

- Miło cię widzieć, Jo. - Potem zwrócił się do Squiresa: - Proszę nie wstawać.

- Kim pan jest?

Moffitt pokazał mu swoją odznakę. Reakcja Bernarda, jak opowiadała później Clara swoim kolegom po fachu, była niemal warta utraty dodatkowej prowizji.

Nie otrzymawszy wiadomości od JoLayne, Moffitt przyjechał do Grange, wyważył kuchenne drzwi jej domu i wysłuchał wiadomości pozostawionych na automatycznej sekretarce. W ten sposób wpadł na Clarę Markham, kobietę, która (w przeciwieństwie do wielu innych florydzkich agentów nieruchomości) całym sercem wierzyła we współpracę z organami sprawiedliwości. Clara powiedziała Moffittowi o Simmons Wood i sprowadziła go do biura, by uprościć negocjacje. Nazwa „Stowarzyszenie Murarzy i Tynkarzy Środkowego Zachodu” budziła w niej niemiłe skojarzenia. Moffitt spędził rano na rozmowach z ludźmi ze swojej branży, którzy z kolei odwołali się do zasobów swoich komputerów. Efekty były zaskakujące.

Clara Markham poprosiła, żeby usiadł, ale odmówił. Stał nad Squiresem, działając mu tym na nerwy. Z punktu widzenia Moffitta była to pożądana reakcja.

Squires obejrzał dokładnie legitymację agenta.

- Alkohol, niktyna i broń? Nie rozumiem. Mam nadzieję, że nie przejechał pan takiego kawału drogi służbowo. Nie piję, nie palę i nie noszę broni.

- Czyli na Florydzie jest pan w zdecydowanej mniejszości - roześmiał się agent.

Bernard Squires poczuł się w obowiązku zawtórować, ale jego śmiech wypadł słabo i nieprzekonywająco. Wilgotny podkoszulek przylgął mu do pleców.

- Zna pan niejakiego Richarda Tarbone'a? - zapytał Moffitt.

- Wiem, kim jest. - Takiej odpowiedzi udzielił trzem różnym ławom przysięgłych.

- Zna go pan jako Richarda czy jako Icepicka?

- Słyszałem o nim - odpowiedział ostrożnie Squires - jako o Richardzie Tarbone. Jest chicagowskim biznesmenem.

- A ja jego nieślubnym dzieckiem - odparł Moffitt.

JoLayne zakryła usta dłonią, Clara Markham udawała, że wczytuje się w ofertę związku. Kiedy Moffitt wyraził życzenie porozmawiania z panem Squiresem na osobności, panie nie wyraziły zastrzeżeń. JoLayne powiedziała, że skoczy po pączki.

- Tak naprawdę nie chce kupić pan tej parceli, proszę mi wierzyć - powiedział Moffitt, zostawszy ze Squiresem sam na sam.

- Związek jest nią bardzo zainteresowany.

- Związek, jak obaj wiemy, jest przykrywką działalności rodziny Tarbone. Przestań chrzącić, Bernie.

Squires poruszał szczękami, jakby żuł mordoklejkę. Usłyszał, jak drzwi się zamykają. Agent stał teraz za jego plecami.

- Nie może pan tego udowodnić, panie Moffitt.

Na próżno czekał na odpowiedź.

- Dlaczego się pan zajmuje tą sprawą? - naciskał. Nie mógł zrozumieć, czemu ATF węszy wokół zwykłej transakcji niemającej nic wspólnego z bronią i alkoholem. Co dnia gangsterzy sprzedają i kupują ziemię na Florydzie. Jeżeli już ktoś się tym interesuje, to FBI albo urząd skarbowy.

- Względy czysto prywatne - odparł Moffitt.

Agent przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Musisz pan wiedzieć - zaczął - że dziesiątego maja 1993 roku niejaki Stephen Eugene Tarbone, alias Stevie „Boy” Wonder, został aresztowany w Gainesville za przewóz przez granicę stanu tłumików, części do karabinów maszynowych i nielicencjonowanej broni. Znalaziono cały nabój w bagażniku wynajętego lincolna podczas rutynowej kontroli drogowej. Stephen Tarbone był kierowcą.

Towarzyszyła mu prostytutka i jeszcze jeden szanowany obywatel, niejaki Charles Hindeman. Fakt, że sąd apelacyjny uchylił wyrok skazujący, w żadnej mierze nie umniejsza mojego zainteresowania działalnością tego młodego człowieka oraz jego ojca. Tak więc oficjalnie sprawa leży w moich kompetencjach, gdyby się kto pytał. Nadażamy?

Metaliczny smak napłynął Squiresowi do ust z głębi owrzdzonego żołądka.

- To nie mój interes. - Bernard Squires z trudem zachował kamienny wyraz twarzy. I nie ma żadnego powiązania z przeprowadzaną przeze mnie transakcją.

Agent ATF jowialnie rozłożył ręce, po czym klasnął w dłoń. Squires podskoczył na krześle.

- Transakcją? Dopiero teraz omówimy jej warunki - powiedział z szerokim uśmiechem Moffitt. - Jeżeli nie spakuje pan natychmiast swojej rybiej walizeczki i nie wyniesie się do Chicago, pański przyjaciel Richard Tarbone dostanie się na pierwsze strony gazet. „Domniemany mafioso wmieszany w budowę centrum handlowego!” Pisanie nie jest moją najlepszą stroną, ale chyba łapie pan, o co chodzi. Ten artykuł będzie wyczerpującym przeglądem rodzinnych interesów pana Tarbone'a, w tym również powiązań z pana stowarzyszeniem. Pana Tarbone'a z pewnością zaskoczy dokładność tych informacji. A będą bardzo dokładne, ponieważ ja osobiście ich dostarczę.

Bernard Squires walczył o zachowanie pozorów spokoju i obojętności.

- Błef jest stratą czasu - powiedział.

- Absolutnie się z panem zgadzam. - Z kieszeni na piersi Moffitt wyjął wizytówkę i podał ją Squiresowi. - Oto nazwisko dziennikarza, który napisze artykuł. Zadzwoń do pana za parę dni.

Dłoń Squiresa drżała, kiedy rzucił wizytówkę na stół. Było na niej napisane:

*Thomas P. Krome
Reporter
„The Register”*

- Prawdziwy kutas - dodał Moffitt. - Spodoba się panu.

Bernard Squires wziął wizytówkę i przedarł ją na pół. W zamierzeniu gest ten miał wyrażać pogardę, ale nie wywarł chyba wrażenia na agencie ATF.

- A więc pan Tarbone lubi, kiedy prasa się nim zajmuje? To dobrze! Taki facet jak on powinien mieć wrażliwość nosorożca. - Moffitt wstał. - Ale niech go pan lepiej ostrzeże przed Grange.

- Przed Grange?

- Bardzo konserwatywne miasteczko. Ludziska podchodzą bardzo poważnie do spraw religii. Gdzie stąpniesz, wpadasz na jakieś święte miejsce. Zauważył pan?

Squires pomyślał z niesmakiem o czubku z krwawymi dziurami w rękach i parze dziwaków śpiewających pośród żółwi.

- Tutejsi ludzie nie lubią grzechu - ciągnął Moffitt. - Wcale a wcale. Co oznacza, że nie zapalają miłością do gangsterów, Bernie. Chicagowskich ani żadnych innych. Kiedy ta historia ukáže się w prasie, nie oczekujcie parady powitalnej dla pana Richarda Tarbone'a. Nie powinniście również oczekiwać, że ojcowie miasta przyniosą wam w zębach pozwolenie na budowę i uzbrojenie terenu. Rozumie mnie pan?

Bernard Squires trzymał się prosto, ściskając łokciami oparcie krzesła. Wyczuł ruch agenta za plecami, potem usłyszał, że przekręca klamkę.

- Jakież pytania?

- Żadnych.

- Znakomicie. Pójdę odszukać panie. Miło się z tobą gawędziło, Bernie.

- Żeby cię pokręciło! - powiedział Squires.

Usłyszał śmiech Moffitta oddalający się korytarzem.

- Przyszedł pan wcześniej - zauważył Demencio nie podnosząc się z miejsca. - Gdzie nasza szczęściara?

- Ma spotkanie w interesach - powiedział Tom Krome.

- Przyniósł pan pieniądze?

- Oczywiście.

Trish zaprosiła go do środka. Przy kuchennym zlewie rozgrywała się dziwna scena: Trish i Demencio, oboje w żółtych gumowych rękawiczkach, szorowali skorupy żółwi JoLayne.

Krome wziął do ręki gada z brodą i twarzą wymalowaną na pancerzu.

- Niech pan nie pyta - powiedział Demencio.
- Kto to ma być?
- Jeden z apostołów, a może jakiś święty. To bez znaczenia. - Demencio szorował żółwika, sprawdzając od czasu do czasu, czy jest już czysty.
- Farba schodzi od wody i płynu do mycia naczyń. Nie wyrządza im żadnej krzywdy. Tom Krome ostrożnie odłożył żółwika do akwarium.
- Pomóc wam?
- Nie, już prawie skończyliśmy. - Trish napomknęła, jak bardzo się przywiązali do maluszków. - Jedzą nam z ręki.
- Doprawdy?
- Sałatę, a nawet surowe hamburgery.
- Żona próbuje powiedzieć - wtrącił Demencio - że chcemy zaproponować JoLayne, żeby nam je odsprzedała. Wszystkie czterdzieści pięć. Damy dwa tysiące.

Facet nie żartował, naprawdę chciał kupić żółwie.

- Będą tu miały dom, panie Krome - pisnęła Trish.
- Jestem tego pewien, ale nie mogę ich sprzedać, przykro mi. JoLayne pragnie je odzyskać.

Małżonkowie nie kryli rozczarowania. Krome wyjął portfel.

- Można chyba nałapać własnych - zauważył. - Pełno ich w jeziorze.
- Aha - mruknął Demencio. Skończył szorowanie ostatniego żółwia i podszedł do zlewu, żeby go wypłukać. - Mówiłem ci - szepnęła do żony.

Tom Krome zapłacił za opiekę nad żółwiami w studolarowych banknotach. Demencio wziął pieniądze nie licząc; to należało do obowiązków Trish.

- Może skusi się pan na ciasto kakaowe? - zaproponowała.

Krome odparł, że szkodzi z przyjemnością. Uznał, że JoLayne utknie w biurze nieruchomości na dłużej, poza tym czuł, że winien jest gospodarzom uprzejmość po odmowie sprzedania żółwi.

- Podoba mi się, co pan zrobił z Madonną - powiedział, żeby zrobić przyjemność Demencio. - Te czerwone lzy!
- Podoba się panu? Myśli pan, że wyglądają autentycznie?
- Stuprocentowa krew.
- Czerwona papryka - wyznała Trish. Postawiła przed Krome'em talerzyk z dwoma kawałkami kakaowego ciasta z orzechami. - Spreparowanie właściwej mieszanki zajęło nam dwa dni - dodała - ale udało się. Nikt inny na Florydzie nie ma Dziewicy płaczącej krwią. Perfumowaną krwią! Woli pan masło czy margarynę?
- Masło, dziękuję.

Demencio powiedział, że tego ranka oczekują pierwszego autokaru z pielgrzymami.

- Z Karoliny Południowej, bardzo wybredni, jeżeli oni to kupią, znaczy się, że wszystko gra.
- Na pewno gra - powiedziała Trish lojalnie.

Krome posmarował masłem ciasto.

- Widział pan gazety? - zapytał Demencio. - Napisali, że pan umarł, spalili się we własnym domu.
- Słyszałem.
- O co w tym wszystkim chodziło? Jak to się mogło stać? - W głosie Demencia zabrzmiała nuta podejrzliwości.
- Zginął ktoś inny - powiedział Krome. - Pomyłka w identyfikacji.

Trish była zaintrygowana.

- Jak na filmach!
- Aha. - Krome jadł szybko.

Demencio rzucił uwagę na temat siniaka na policzku Krome'a - ostatni ziemski odciśnięcie stopy Bodeana Gazzera. Trish powiedziała, że musi boleć jak cholera.

- Spadłem z łodzi. Nic wielkiego - powiedział Krome, wstając. - Dzięki za śniadanie. Muszę lecieć. JoLayne czeka na swoje zwierzaczki.
- Chce pan je przeliczyć?

Krome już to zrobił.

- Nie, ufam panu - zwrócił się do Demencia.

Złapał za końce wielkiego akwarium i dźwignął. Trish otworzyła przed nim drzwi. Krome był w progu, kiedy rozległ się krzyk, rozdzierający i nieludzki, okrzyk czystego cierpienia, głos z sali tortur.

Krome zamarł w drzwiach.

- Oj, oj! Myślałam, że śpi - powiedziała Trish, spoglądając ponad jego ramieniem.

Przez salon szła ku nim szczupła postać w bieli. Demencio zainterweniował szybko, zwracając ją harpunem do polowań na tuńczyki.

- Aizim ogewokalzs tamard! - wyjodłowała postać.
- No, dość już tego! - powiedział Demencio ostro.

Zdumiony Krome cofnął się od progu.

- Sinclair?

Perspektywa utraty żółwików sprawiła, że Sinclair wpadł w depresję. Trish przygotowała gorącej herbaty i zaprowadziła go do pokoju gościnnego, żeby nie widział, jak zeskrobują święte wizerunki z żółwich skorup. Obawiała się, że to mogłoby biedaka ostatecznie wykołać.

Chcąc się upewnić, że będzie spał, dosypała mu do herbaty końską dawkę środka nasennego. Okazało się, że niewystarczającą. Wtoczył się półprzytomny do salonu w najgorszym momencie, w chwili gdy wynoszono święte żółwie. Pierwszą szarżę Sinclaira przyhamował Demencio i tępy koniec harpuna. Drugi atak stracił impet, kiedy Sinclair zahaczył prześcieradłem o kije golfowe Demencia. Miłośnik żółwi upadł ciężko na podłogę, gdzie miotał się, dopóki go nie podnieśli i nie ułożyli w ulubionym fotelu gospodarka.

Sinclair uchylił powieki i ujrzał nad sobą twarz z zaświatów.

- Ty nie żyjesz - wymamrotał.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Tom Krome.
- To cud!
- Prawdę mówiąc, gazeta pokpiła sprawę.
- Wszchemocny Boże!
- Powinni poczekać na wynik DNA - ciągnął Krome, nie zdając sobie sprawy z przemiany duchowej swojego kierownika.

- Dziękuję ci, Jezu! Dziękuję ci, Panie! - Sinclair chwiał się na wszystkie strony.
- Przepraszam, szefie, ale czyś ty zwariował?

Demencio i jego żona odciągnęli go na bok i wyjaśnili, co się stało. Opowiedzieli mu o tym, jak Sinclair przyjechał do Grange, żeby odszukać Toma, i dał się oczarować apostołskim żółwiom.

- Jest zupełnie innym człowiekiem - szepnęła mu do ucha Trish.
- Świetnie - powiedział Krome. - To zmiana na lepsze.
- Powinien pan go widzieć: leży z nimi w wodzie. Mówi w obcych językach. Emu... jakie to słowo, kochanie?

- Emanuje - odpowiedział Demencio.
- Tak! - Jego żona pokiwała energicznie głową. - Emanuje spokojem.
- A na dodatek przynosi kupę pieniędzy - dodał Demencio. - Pielgrzymi go kochają. Nazywają go Żółwiowym Chłopcem. Robimy już koszulki z jego wizerunkiem.

- Koszulki - powtórzył Krome, jakby co dzień toczył takie rozmowy.
- Właśnie, robi je facet w Cocoa Beach. - Demencio westchnął. - Na cholereę nam teraz koszulki, kiedy pana dziewczyna nie chce odsprzedać nam żółwi.
- Kochanie - mitygowała go Trish w duchu chrześcijańskim. - To nie wina JoLayne.
- Niby nie.

Krome spoglądał na ludzkie zawiniątko w białym prześcieradle, spoczywające w fotelu. Sinclair zakrył sobie głowę i zwinął się w kłębek.

Żółwiowy Chłopiec? W dużej mierze było to uzasadnione. Sinclair wytknął głowę i kiwnął na Krome'a palcem.

- Tom, błagam cię! - powiedział, kiedy Tom się zbliżył.
- Ale one nie są moje!
- Nie rozumiesz. To są święte maleństwa, sprawiają cuda. Byłeś martwy, a teraz żyjesz. Wszystko dzięki temu, że się modliłem.

- Nie umarłem, tylko...
- Wszystko dzięki żółwiom. Tom, proszę! Jesteś mi to winien. Jesteś im to winien! - Spod prześcieradła wyłoniła się dłoń i chwyciła przegub Krome'a. - Wewnętrzny spokój, jaki mnie ogarnia, kiedy jestem w fosie, otoczony przez te delikatne, doskonałe stworzenia.... Boże stworzenia... Nigdy w życiu nie zaznałem takiego spokoju. To jest jak... Święto Trzech Króli!

Demencio skinął głową w stronę żony.

- Zapisz to!
- Zostaniesz tutaj? - zwrócił się Krome do Sinclaira.

- O tak! Roddy i Joan odnajęli mi pokój.
- I nigdy nie wrócisz do gazety?
- W żadnym razie! - Sinclair parsknął pogardliwie.
- Obiecujesz?
- Przysięgam na Biblię, bracie.
- Wobec tego... - Krome uwolnił się z uścisku i podszedł do akwarium. Wrócił z jednym żółwikiem, którego ułożył na dłoni kierownika działu. - Jest twój - powiedział. - Chcesz więcęj, nałap sobie.
- Niech cię Bóg błogosławi, Tom! - Sinclair trzymał gadziątko w obu dłoniach jak cenny klejnot. - Popatrz, to Bartłomiej!
- Oczywiście, żadna twarz nie widniała na pancerzu, Demencio wyszorował wszystkie do czysta.
- Tom Krome dźwignął akwarium i skierował się do drzwi.
- Panie Krome - odezwał się Trish. - Jest pan bardzo miły, prawda, kochanie? - zwróciła się do męża.
- Prawda - przyznał Demencio. Jeden żółwik to lepsze niż nic. - JoLayne nie będzie wściekła?
- Myślę, że zrozumie.

Dwie kobiety dotarły do Grange we wtorek wieczorem, zbyt późno, by zwiedzić miasto. Wynajęły pokój w wiejskim pensjonacie, gdzie na kolację podano im pieczeń z sałatką cesarską. Przy deserze (ciasto orzechowe z bitą śmietaną) próbowały nawiązać rozmowę z jedynym gościem, dobrze ubranym biznesmenem z Chicago. Był tak milczący i zatopiony w myślach, że nie próbował poderwać żadnej z nich. Kobiety były zdumione, ale nie rozczarowane.

Rano Katie poprosiła panią Hendricks o wskazanie drogi do świątyni. Mary Andrea Finley Krome udawała, że irytuje ją to opóźnienie, ale w gruncie rzeczy była wdzięczna. Potrzebowała więcęj czasu, by wyreżyserować swoje spotkanie z mężem, o ile go w ogóle znajdą. Katie była o tym przekonana.

Kaplica znajdowała się kilka przecznic za pensjonatem. Katie zaparkowała za srebrnym autokarem, z którego wysypali się pielgrzymi. Nieśli modlitewniki, krzyże, parasolki przeciwsłoneczne, no i oczywiście aparaty fotograficzne. Na ich twarzach, spokojnych i przyjacielskich, nie gościła żadna troska. Mary Andrea pomyślała, że są najszcześliwszymi ludźmi, jakich widziała.

- Ustawmy się w kolejce - powiedziała Katie.

Kaplica Matki Boskiej mieściła się na trawniku przeciętnego podmiejskiego domu. Półtorametrowy posąg stał na platformie przy wypełnionym wodą kanale. Kordialna kobieta z kwiecistym spodniem krążyła wśród pielgrzymów oferując napoje, przekąski i okulary słoneczne. Mary Andrea kupiła opaleniznę w kremie „Hawajski tropik nr 40”, Katie zadowoliliła się dietetyczną colą.

W kolejce rozeszła się wieść, że Madonna chwilowo nie płacze. Turysta stojący przed Katie przechylił się w tył i powiedział:

- Mam nadzieję, że nie jest to kolejny suchy dzień!

- Co to znaczy?
- Kiedy ostatni raz tu byłem, nie uroniła ani jednej łzy, cholera! A następnego ranka po naszym wyjeździe lało się z niej strumieniem. Znajomi pokazywali nam zdjęcia, istna Niagara!

Uwagę Mary Andrei przyciągnęła ogorziała kobieta w ślubnej sukni. Siedziała na stołku pod drzewem i mamrotała coś, gestykułując teatralnie. Kilku turystów stało wokół niej, zachowując bezpieczną odległość. Mary Andreę zawsze przyciągały takie kolorowe postaci, poprosiła więc Katie, żeby zajęła jej miejsce w kolejce, a sama podeszła do matki Shinera.

Marva wyłowiła czujnym uchem stukot wysokich obcasów; zwyczajni turyści tak się nie ubierali. Również długość spódniczki przybysza nie wskazywała na purytankę, ale Marva nie zamierzała nikogo osądzać.

- Dzień dobry, mam na imię Mary Andrea.
- Witamy w Grange. Jestem Marva.
- Śliczna suknia. Sama ją pani szyła?
- Jestem oblubienicą Pana.
- Co tam pani ma? - zainteresowała się Mary Andrea. - Na talerzu?

Inni turyści przesunęli się w stronę posągu Marii Panny, który był najwyraźniej centralnym punktem kaplicy. Matka Shinera uniosła w obu dłoniach obiekt czci. Był to talerz do ciasta z przykrywką, jeden z kolekcji Trish.

- Syna Bożego! - obwieściła.
- Naprawdę? Mogę zobaczyć?
- Oto twarz Jezusa Chrystusa!
- Tak, tak - powiedziała Mary Andrea. Z torebki wyjęła trzy banknoty dolarowe i wsunęła je do skrzyneczki na datki.
- Dziękujemy ci, dziecko. - Matka Shinera postawiła sobie talerz na kolanach i z cichym jękiem uchyliła wieko.

- Patrz!
- Czy to nie omlet? - Mary Andrea przekrzywiła głowę.
- Nie widzisz Go?
- Nie, Marvo, nie widzę.
- Tutaj... Spójrz teraz! - Matka Shinera przekreśliła talerz o dziewięćdziesiąt stopni.

- Tu są Jego włosy... A tu Jego brwi...
- Ta papryczka?
- Nie, nie, szynka... A tu ma koronę cierniową.
- Plasterki pomidora?
- Właśnie! Chwała Jedynemu!
- Marvo - powiedziała Mary Andrea. - Nigdy nie byłam świadkiem czegoś podobnego. Nigdy! - Przynajmniej od ostatniego razu, gdy jadłam w MacDonalddie, dodała w duchu.

Omlet nie przypominał niczego poza omletem. Kobieta była albo wariatką, albo oszustką. Mary Andrei nie robiło to różnicy.

- Niech ci Bóg błogosławi, dziecko. - Matka Shinera zatrzasnęła przykrywkę talerza. W ten sposób sygnalizowała, że trzydolarowy pokaz dobiegł końca.

- Chciałabym, żeby moja znajoma też to zobaczyła. Można? - Machając do Katie, myślała: Wszystko jest lepsze niż pokój w HoJo. - Katie, chodź tutaj!

Ale Katie została odcięta. Szyk kolejki załamał się i wierni ruszyli luźną, podnieconą gromadą w stronę płaczącej Madonny.

- Pokaz płakania. - Matka Shinera wzruszyła ramionami. - Lepiej tam idź, dziecko.

Mary Andrei zrobiło się żal starej wariatki w ślubnej sukni. Konkurowanie z płaczącą Marią Dziewicą nie mogło być łatwe, zwłaszcza jeżeli do dyspozycji miało się tylko talerz zimnych jajek w sosie tabasco. Mary Andrea wsunęła pięć dolarów do puszki na datki.

- Chcesz go zobaczyć jeszcze raz? - zapytała matka Shinera.

- Może innym razem.

Mary Andrea zaczęła się przepychać w stronę domu. Szła na palcach, szukając wzrokiem Katie w tłumie pielgrzymów. Nawet w tłoku zachowywali się kulturalnie i przyjaźnie; Mary Andrea była pod wrażeniem. W Nowym Jorku przy podobnej okazji, kilka osób zostałyby stratowanych.

W pewnym momencie jednak chodnik został zablokowany przez wysokiego mężczyznę targającego - nie do wiary! - wielkie akwarium pełne żółwi.

Rany Julek! - pomyślała Mary Andrea. To miasto przyciąga świrów jak magnes.

Przycisnęła się do ściany, żeby przepuścić mężczyznę. Trzymał akwarium na wysokości głowy, żeby ochronić je przed natłokiem turystów, i posuwał się naprzód, mamrocząc przeprosiny. Nawet poprzez oblepioną wodorostami ścianę szkła Mary Andrea rozpoznała twarz mężczyzny.

- Thomas!

Jej mąż!

- Niech mnie diabli! - powiedział.

- Niech cię diabli! - zawołała Mary Andrea Finley Krome.

Jednym gniewnym ruchem otworzyła torebkę i sięgnęła do środka. Przez ułamek sekundy Thomas Paine Krome myślał, że koniec końców padnie ofiarą morderstwa, umrze z ramionami pełnymi żółwików.

30.

Rodzeństwo Simmonsów zirytowała wiadomość, że Bernard Squires wycofał ofertę kupna posiadłości ich zmarłego ojca. W konferencji telefonicznej z Clarą Markham nie kryli oburzenia. Szczyt wszystkiego, zostać wykiwanym przez jankeskiego elegancika! Oczekiwali licytacji, a teraz muszą się zadowolić jednym kupującym i jedną ofertą.

- To i tak więcej - przypomniała im Clara - niż mieliście dwa tygodnie temu.

Nie wspomniała, że JoLayne Luks przysłuchuje się tej rozmowie.

Leander Simmons był za tym, żeby odrzucić trzymilionową ofertę, skoro ziemia staro może przynieść więcej. Powinni się zdobyć na trochę cierpliwości. Jego siostra opowiadała się za natychmiastową sprzedażą, co było zrozumiałe zważywszy, że zadatkowała już kort tenisowy i gościnny bungalow w swojej bermudzkiej posesji.

Spierali się przez pół godziny, rzucając od czasu do czasu cierpkie uwagi pod adresem Clary Markham na drugim końcu linii. JoLayne bawiła się świetnie. Biedny Lighthorse, pomyślała. Nie dziwota, że spędzał tyle czasu w lesie. Mając takie dzieci!

W końcu Jannie i Leander ustalili, że zadowolili ich kwota trzech milionów stu pięćdziesięciu tysięcy, na co JoLayne wyraziła milczącą zgodę. Clara powiedziała, że przedstawi nabywcy propozycję rodzeństwa i oddzwoni. Przed lunchem osiągnięto porozumienie. Nowa właścicielka przedstawiła się telefonicznie Leanderowi i Janine, którzy przemienili się w najmiłszych ludzi pod słońcem.

- Co zamierzasz tam zbudować? - zapytała siostra kordialnie. - Kondominia? Biura?
- Och, pozostawię to w nienaruszonym stanie - powiedziała JoLayne.
- Bardzo mądrze. Drzewo to na długą metę najlepsza inwestycja - wtrącił brat udając, że się zna na rzeczy.

- Mam zamiar zostawić las w obecnym stanie na zawsze - powiedziała JoLayne.

Po stronie rodzeństwa zapadła pełna zdumienia cisza.

- Robić interesy z wami to przyjemność - powiedziała Clara radośnie do słuchawki.
- Będziemy w kontakcie.

Moffitt czekał na zewnątrz. zaproponował JoLayne, że ją podwiezie i w drodze przeprosił za najście na jej dom.

- Po prostu martwiłem się o ciebie. Staralem się nie nabałaganić.

- Wybaczam ci, ty podstępny łobuzie. Powiedz lepiej, co zaszło między tobą a tym Berniem. Jak udało ci się go odstraszyć?

Moffitt opowiedział jej przebieg rozmowy z kierownikiem do spraw inwestycji.

- Jesteś prawdziwym draniem! Błado byś wyglądał, gdybym opowiedziała to Tomowi.

- Władza prasy! - Moffitt wcisnął wielkiego chevroleta na podjazd przed domem JoLayne.

- Wstąpisz na lunch? - zapytała.

- Dzięki, ale muszę lecieć.

Pocałowała go w policzek i powiedziała, że nadal jest jej bohaterem; było to stare powiedzonko-hasło.

- Tak, ale wolałbym być Tomem - odparł Moffitt i JoLayne dała się na chwilę owładnąć uczuciu melancholii. Czasem żalowała, że nie odwzajemnia miłości Moffitta. Był jednym z najlepszych ludzi, jakich знаła.

- Pewnego dnia spotkasz swoją drugą połowę - powiedziała.

Zaśmiał się z głośno.

- Szkoda, że nie możesz siebie słyszeć. Boże, mówisz jak moja ciotka!

- Rany Julek, masz rację. Nie wiem, co mi się stało. - Wysiadła z wozu. - Moffitt, byłes jak zwykle wspaniały. Dzięki za wszystko.

Zasalutował jej z uśmiechem.

- Zadzwoń kiedyś. Zwłaszcza wtedy, gdy pan Thomas Krome okaże się kolejnym sukinsynem.

- Nie sądzę.

- Uważaj na siebie, Jo. Jesteś teraz bogatą dziewczynką.

Zmarszczyła brwi.

- Cholera, faktycznie!

Machała ręką, dopóki samochód Moffitta nie zniknął za zakrętem. Potem wbiegła na werandę, gdzie przed drzwiami leżała dziesięciodniowa poczta. Pozbierała koperty, reklamówki i prospekty, i otworzyła drzwi.

Łódówka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, croissanty zakwitły jak drzewko bonsai. Jedynym produktem nadającym się do spożycia było piwo imbirowe. JoLayne otworzyła puszkę natychmiast, przerzucając korespondencję. Wpadła jej w oko niebieska koperta, na której nie było adresu, jedynie jej nazwisko.

„Pani JoLane Lucks”, napisał ktoś flamastrem.

W środku była kartka przedstawiająca kwiecistą akwarelę Georgii O’Keeffe, a także skrawek papieru, na widok którego JoLayne krzyknęła:

- Boże!

Był to okrzyk z głębi duszy.

Amber nie zgasiła silnika.

- Nie żal ci? Powiedz prawdę.

- Nie - odrzekł Shiner.

- A nie mówiłam!

- Chcesz wejść? Mamy chyba nie ma. - Dom był pogrążony w ciemności.

- Naprawdę nie mogę. Muszę wrócić do Miami, sprawdzić, czy nadal pracuję u Hootersa.

Shiner nie chciał się z nią rozstawać, uważał, że odnalazł prawdziwą miłość. Spędzili razem jeszcze dwie noce - jednana parkingu w pobliżu Fort Drum, drugą głęboko w lesie, na przedmieściach Grange. Nic między nimi nie zaszło (Amber spała na tylnym siedzeniu fordą, Shiner na przednim), ale dla Shinera nie miało to znaczenia. Oczarowała go bliskość kobiety. Zaznajomił się z zapachem jej włosów, rytmem oddechu, tyśnięciem egzotycznie kobiecych drobiazgów.

- Postąpiliśmy słusznie - powiedziała.

- Tak, wiem.

- Ale ciekawa jestem, kto był w tym drugim samochodzie.

Nie wiem, pomyślał Shiner, ale jestem mu wdzięczny. Podarował mi kilka godzin z ukochaną.

Kiedy po raz pierwszy zajechali pod dom JoLayne, samochód stał przy krawężniku; szary Chevrolet sedan. Pękata antena zdradzała glinę. Shiner nacisnął pedał gazu.

Spróbowali jeszcze raz, tym razem za kierownicą usiadła Amber. Obcy samochód stał za rogiem, przy kiosku z gazetami. Shiner miał czas przyjrzeć się kierowcy - elegancki Murzyn w okularkach.

- Nie zatrzymuj się! Jedź dalej! - nakazał Amber.

Bał się wrócić do domu. Bał się, że Czarna Fala (któż by inny płatał się na ulicy JoLayne?) dokona najazdu na jego dom i uprowadzi matkę na Bahamy. Amber również była zaniepokojona. Facet w szarym sedanie kojarzył się jej z wymiarem sprawiedliwości, a szukać mógł tylko jednego.

Posłuchała więc rady Shinera i minęła dom JoLayne, minęła nawet granicę miasta. Zauważyła wyrwę w drucianej siatce i zjechała z głównej drogi w las. Spędzili chłodną noc w samochodzie pośród sosen i palm; kaszka z mlekiem po Pearl Key. W sinawej mgłę świtu zobaczyli parę łosi i rudego lisa.

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy znaleźli się ponownie na ulicy JoLayne. Szary sedan znikł; okrążyli dom cztery razy, żeby się upewnić. Amber wjechała tyłem na podjazd.

- Ja mam to zrobić? - zapytała.

- Nie - powiedział Shiner.

Chciał tego dokonać osobiście.

Spojrzała na niego, cholera, jakby był bohaterem! A on tylko próbował postąpić słusznie.

Podala mu niebieską kopertę i Shiner wszedł na werandę JoLayne. Amber obserwowała go we wstecznym lusterku, na wypadek gdyby coś mu strzeliło do głowy. Potem pojechali na śniadanie, a teraz stali pod jego domem. Shiner żałował, że to już koniec.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Podciągnij rękaw, chcę zobaczyć.

Biceps był sinofioletowy, litery krzywe i nieczytelne.

- Nie najlepiej mi wyszło - zauważyła Amber, marszcząc lekko czoło.

- Nie szkodzi, mam przynajmniej orła.

- I to bardzo pięknego. - Opuszką palca obrysowała skrzydła ptaka.

Shiner dławił się z pożądania. Zacisnął powieki i słuchał, jak puls łomocze mu w skroniach.

- Och! - zawołała Amber.

Nieznajomy zaglądał w okno - dziwaczna figura z dłońmi w skarpetkach frotte.

- Hej! To Dominick - powiedział Shiner, biorąc się w garść. Opuścił szybę. - Jak leci, Dom?

- Wróciłeś?

- No!

- Jezu, co ci się stało w palce?

- Amber, to jest Dominick Amador, Do, to jest Amber. Mężczyzna podał jej rękę. Amber uściśnęła ją posłusznie, chociaż doznała szoku, kiedy ze skarpety dobiegł chłopot. Shiner powiedział, żeby się nie bała.

- To tylko płyn Crisco.

- Tak mi się właśnie wydawało - odparła, energicznie wycierając dłoń o rękaw koszuli Shinera.

Dominick Amador się nie obraził.

- Szukasz mamy, Shiner? Jest u Demencia. Rozkręcają razem interes. Rządowi zasfaltowali jej plamę. Słyszałeś o tym?

- Nie?!

- Dołączyła więc do Żółtowego Chłopca.

- Kogo?

- Wiesz, że to ja podsunąłem Demencio ten pomysł z żółtami - arka Noego, te rzeczy... Powinieneś zobaczyć, co zrobili ze zwierzakami JoLayne! Tłuką szmal aż miło!

Amber miała dość. Donośnym szeptem powiedziała Shinerowi, że musi jechać. Skinął posępnie głową.

- Ja też tak skończę - ciągnął niezrażony Dominick. - U Demencia. Ma zaplecze, dobrą lokalizację i parking dla autokarów. Jutro jesteśmy umówieni na rozmowę. W zasadzie już się dogadaliśmy.

Amber otwierała usta, żeby zmanifestować jeszcze wyraźniej wolę odjazdu, kiedy nieznajomy rzucił się nagle na trawę, zadzierając obie nogi. Z dumą pokazał im nagie stopy.

- Patrz! W końcu to zrobiłem!

- Bardzo ładnie. - Shiner uśmiechnął się z przymusem.

Amber odwróciła wzrok od przewierconych stóp nieznajomego. Z pewnością istniało jakieś wytłumaczenie zjawiska: przeciek radioaktywny na oddziale położniczym, trucizna w miejskim ujęciu wody...

Dominick wrócił do normalnej postawy, wręczył im różowe ulotki, po czym pokuśtykał dalej.

Shiner wysiadł z wozu, obszedł maskę i stanął przy drzwiach kierowcy, wsparty dłońmi o opuszczoną szybę.

- No to do widzenia - powiedział.

- Mam nadzieję, że ułoży ci się z mamą.

- Ja też. - Rozjaśnił się na widok trzech róż na tylnym siedzeniu. Były szare i martwe, ale Amber ich nie wyrzuciła. Shiner przypisał temu drobnemu faktowi ogromne znaczenie.

- Gdyby było inaczej, pamiętaj, co ci mówiłam.

- Ale ja nigdy nie robiłem za kelnera.

- Myślę, że sobie poradzisz.

Był to pomysł godny rozważenia. Miami śmiertelnie przerażało Shinera, ale robota u Hootersa mogłaby rozwiązać większość jego problemów, jeżeli nie wszystkie.

- Czy każda jest taka jak ty? - zapytał. - Mam na myśli kelnerki. Byłoby super, gdyby wszystkie były takie fajne.

Amber wyciągnęła rękę i dotknęła leciutko jego policzka.

- Wszystkie są takie jak ja. Wszystkie co do jednej.

Potem odjechała, pozostawiając go oszołomionego na chodniku.

Matka Shinera mawiała później, że jej syn wydorósł podczas tajemniczego wypadu z Grange, że teraz jego zachowanie cechuje celowość i odpowiedzialność. Mówiła mu, jaka jest szczęśliwa, że dokonał przewrotu w życiu, i zachęcała go, by podążał za swoim marzeniem, choćby nawet prowadziło do okręgu Dade.

Nie chcąc rozczarować matki, nie opowiedział jej historii biletu na czternaście milionów dolarów. Nie opowiedział jej, jak wpadł mu w ręce i jak doszło do tego, że go oddał.

Ponieważ matka skopałaby mu tyłek.

Mary Andrea nie wyciągnęła z torebki naładowanego pistoletu, lecz wezwanie do sądu.

- Twój adwokat - powiedziała machając nim oskarżycielsko - jest podstępny, podstępny człowiekiem.

- Ładnie wyglądasz - powiedział Tom Krome.

- Nie zmieniaj tematu.

- Gdzie cię w końcu dopadł?

- W twojej gazecie. W holu!

- Po co tam chodziłaś?

Powiedziała mu.

- Ponieważ wszyscy myśleli, że nie żyjesz, ja też, poprosili mnie, żebym przyleciała i odebrała w twoim imieniu jakąś głupią nagrodę. A co otrzymuję w podziękę? Wezwanie do sądu!

- Jaką nagrodę? - zapytał Tom.
- Udajesz, że nie wiesz?
- Nie udaję, Mary Andrea. Jaką nagrodę?
- Emilio - powiedziała kwaśno. - Albo jakoś tak.
- Amelia?
- Właśnie.

Rzucił nienawistne spojrzenie w stronę domu, gdzie zastał Sinclaira. Osioł! - pomyślał. Amelia była najmniej prestiżową z nagród dziennikarskich. Był oburzony, że Sinclair zgłosił jego kandydaturę, i wściekły, że go o tym nie powiadomił. Najchętniej wtargnąłby do tego domu, wyrwał żółwia z rąk kierownika działu po to tylko, by patrzeć, jak skamle.

- Chodź! - Przeprowadził żonę przez tłum pielgrzymów na tyły domostwa. Postawił akwarium na słońcu, żeby żółwiki się wygrzały.

- Oglądałeś to pewnie w telewizji. Zamach stanu Turnquista. Dobrze się bawiłeś?
- Pokazali to w telewizji?
- Tom, powiedz prawdę, wrobiłeś mnie?
- Chciałbym mieć tyle sprytu. Naprawdę!

Mary Andrea wyděła policzki, co - jak Tom dobrze wiedział - było oznaką irytacji.

- Chyba nie zapytam, co robisz z tymi żółwiami - powiedziała.
- To bardzo długa historia. Podoba mi się twoja fryzura. Do twarzy ci w krótkich włosach.

- Daruj sobie, dobrze?! - Była bliska wyznania, że zaczęła je farbować, bo pojawiły się wśród nich siwe pasma.

Tom wskazał papier, którym Mary Andrea wachlowała się energicznie. Na dworze było szesnaście stopni, a ona zachowywała się, jakby znaleźli się na Saharze.

- Więc kiedy mamy się stawić w sądzie?
- Za dwa tygodnie - powiedziała oschle. - Moje gratulacje.
- Już zamówiłem szampana.
- Co ci się stało w twarz?
- Pewien człowiek na mnie nadepnął. Już nie żyje.
- Daj spokój! - Ale widziała, że Tom nie żartuje. - Mój Boże, zabiłeś go?
- Przyczyniłem się do jego śmierci, tak bym to ujął. - Niech sobie Mary Andrea dopowie resztę. - No więc, jak będzie? Zamierzasz dalej ze mną walczyć?

- Wyluzuj się!
- Uciekniesz? Zmienisz nazwisko?
- Jeżeli chcesz znać prawdę, zmęczyło mnie to - powiedziała Mary Andrea. - Zmęczyło mnie życie na walizkach i praca w prowincjonalnych teatrach. Muszę wrócić na Wschód i zająć się swoją karierą.
- Poszukać czegoś bliżej Broadwayu?

- Właśnie! Wylądowałam w Montanie! Możesz to sobie wyobrazić? Ja w kraju kowbojów!

- Wszystko przez to, że nie chciałaś rozwodu.
- Będę pierwszą kobietą z rodu Finleyów, która się rozwiodła.
- Pierwszą i najrozsądniejszą.
- Zachowałam na pamiątkę twój list pożegnalny. Ściągnąłeś z Zevona.
- Gdybym potrafił sam coś napisać, nie pracowałbym dla ówka Sinclaira.
- A co z twoją powieścią? - zapytała.

Toma замуrowało.

- Wiem to od twojej dziewczyny. „Oziębienie stosunków”. Chwytny tytuł. W głosie Mary Andrei brzmiała zabójcza kpina. Tom uniósł twarz do słońca, kryjąc oczy, udając, że ogląda klucz kaczek. Grając na czas. Zastanawiał się, kiedy, dlaczego i w jakich nieprawdopodobnych okolicznościach JoLayne Lucks poznała Mary Andree Finley Krome.

- Dużo już napisałeś?
- Słucham? - Tom rzucił jej spojrzenie z ukosa.
- Pytam, ile już napisałeś.
- Och, dopiero zaczynam.
- Rozumiem.

Była specjalistką od znaczących uśmiechów, a teraz przeszła samą siebie. W chwili kiedy Tom postanowił się poddać i zapytać o JoLayne, nadeszła Katie Battenkill, podśpiewując radośnie. Tom zrozumiał.

- Była dziewczyna - szepnął do Mary Andrei.
- Wszystko jedno.

Katie podbiegła i bez żenady zarzuciła Tomowi ramiona na szyję.

- Przyjechałyśmy razem - powiedziała. - Twoja żona i ja.
- Właśnie widzę.

Informacja wywarła paralizujące, choć nie do końca niemiłe wrażenie. Nigdy przedtem nie widział swoich dwóch kochanek razem. Doświadczenie, choć krępujące, pozwoliło mu zrozumieć, dlaczego obie go pociągały i dlaczego z żadną nie mógłby żyć.

- Powiedz jej, że wspaniale wygląda - upomniała Mary Andrea męża.
- Wspaniale wyglądasz - powiedział Tom do Katie.
- Na pewno chcecie być sami, zostawię was - oznajmiła Katie.

Tom przytrzymał ją za pasek u spódnicy.

- W porządku, omówiliśmy już wszystko co trzeba.
- Co masz na ręku, Katie? - zapytała Mary Andrea. - Skaleczyłaś się?
- Och, nie! To prawdziwa łza słynnej Madonny. - Katie uniosła w górę uczerwiony palec. - Woda z kranu, czerwona przyprawa i perfumy. Charlie, o ile się nie mylę.

Mary Andrea powąchała dyskretnie palec Katie i przyznała jej rację.

- Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana? - zapytał Tom.
- Że ona nie płacze naprawdę? Jezu, Tommy, musisz mnie uważać za kompletną idiotkę. To piękna kaplica i to się liczy. Reszta jest dla turystów.

Mary Andrea była bliska przyznania, że nieźle się bawi.

- Wiesz - zwróciła się konfidencyjnym tonem do Katie - ta powieść jest jeszcze w bardzo wczesnym stadium.

- Eee! - Katie zakryła twarz dłońmi, zawstydzona. Wiedziała, że nie powinna mówić Mary Andrei o powieści rozwodowej.

- Co jeszcze jej powiedziałaś? - zapytał Krome. - A może jestem głupi, że pytam?

Zielone oczy Katie zogromniały. Mary Andrea odpowiedziała szybkim potrząśnięciem głowy.

- No, pięknie - mruknął Krome. Katie pokazała jej listę grzechów cielesnych.

Mary Andrea poklepała po ramieniu swoją nową przyjaciółkę i powiedziała, że na nie już czas.

- Czeka nas długa droga, a ty musisz wrócić do domu.

- Chodzi o Arta - pośpieszyła z wyjaśnieniem Katie. - Został aresztowany. Mówili o tym w radio.

Krome zdobył się jedynie na współczujące mruknięcie. Jego dom spłonął przez Arthura Battenkilla; spłonął wraz z podpalaczem. Sędzia Battenkill zasłużył na dożywocie.

- Policja chce ze mną rozmawiać - ciągnęła Katie.

- Dobrze, że z nimi współpracujesz.

- Jakżebym mogła inaczej, Tom! Och, jakie śliczne żółwie!

Z akwariium w ramionach Tom Krome odprowadził panie do bramy, mijając po drodze posąg płaczącej krwawymi łzami Madonny i Jezusa na Omlecie.

Katie Battenkill była zachwycona, kiedy dowiedziała się, jaki wspaniały los czeka żółwika.

- To urocze - powiedziała całując Krome'a w czubek nosa. Zgrabnie wsunęła długie nogi do samochodu i powiedziała, że spotkają się na procesie Arthura.

Tom pomachał jej na pożegnanie.

Mary Andrea stała na chodniku i rozkoszowała się widokiem małżonka przygniecionego nadmiarem emocji i egzotycznym ładunkiem. Jedynym wytłumaczeniem akcji „Ocalić żółwie” była nowa kobieta w jego życiu, ale Mary Andrea nie chciała na ten temat nic wiedzieć. Nie chciała wiedzieć o niczym, co mogło umniejszyć rynkową wartość tej historii.

- Do zobaczenia w sądzie - powiedział Tom.

- Nie mam czasu na procesy - odparła.

Zabrzmiało to szczerze, ale Tom postanowił zachować czujność - Mary Andrea potrafiła wywieść człowieka w pole.

- Serio? - zapytał. - Załatwimy to polubownie?

- Tak, Tom. Pod warunkiem że otrzymam pierwsze wydanie „Oziębienia stosunków”. Z dedykacją.

- Chryste! Mary Andrea, ta książka nie istnieje. To były czcze przechwałki.

- No i dobrze - powiedziała swojemu przyszłemu eksmężowi. - A więc umowa stoi. A teraz postaw to cholerne akwariium, żebym cię mogła uściskać.

Bernard Squires nie był pijakiem, ale po kolacji przyjął kieliszek sherry z rąk pani Hendricks, właścicielki pensjonatu; potem przyjął jeszcze jeden, a potem jeszcze jeden. Nie piłby tyle w obecności innych gości, zwłaszcza w obecności dwóch atrakcyjnych kobiet, które przyjechały poprzedniego wieczoru. Ale ponieważ atrakcyjne kobiety już się wymeldowały, Squires czuł, że względna trzeźwość nie jest najwyższym priorytetem.

Biedaczek cierpiał, pani Hendricks widziała to jasno. Powiedział jej, że szlag trafił transakcję - jedyny powód, dla którego przebył taki kawał drogi z Chicago do Grange na Florydzie.

Kaput! Finito!

Pani Hendricks współczuła mu szczerze - „Och, drogi panie, takie rzeczy się zdarzają...” - i próbowała skierować rozmowę na weselsze tory, ale pan Squires zamknął się w sobie. Rozwalony na antycznej ławie diakona, oddał się posępnej kontemplacji czubków swoich butów. Po dobrej chwili pani Hendricks poszła na górę, pozostawiając gościa samego z butelką sherry.

Kiedy ukazało się dno, chwycił aktówkę i poszedł powłóczyć się po mieście. W kieszeni jego spodni znajdowały się trzy wiadomości telefoniczne, zapisane starannym pismem pani Hendricks. Wiadomości pochodziły od pana Richarda Tarbone'a i były progresywnie ponagląjące. Bernard Squires nie mógł zebrać się na odwagę, by zadzwonić do nerwowego gangstera i powiedzieć mu, co się stało.

Squires sam nie bardzo wiedział. Nie wiedział, kim jest czarnoskóra dziewczyna i skąd wzięła tyle szmalu. Nie wiedział, jak zaangażował się w to agent ATF ani dlaczego. Bernard Squires wiedział tylko, że ani fundusz emerytalny, ani przestępcza rodzina Tarbone nie może sobie pozwolić na kolejny nagłówek na pierwszej stronie, nawet jeżeli oznaczało to utratę Simmons Wood.

On nic tu nie zawinił.

Co nie będzie miało żadnego znaczenia, ponieważ Richard Tarbone nie wierzył w usprawiedliwienia. Wierzył w likwidację nieudaczników.

Szansę, że Bernard Squires przeżyje tydzień, malały z każdą minutą. Wiedział o tym, pijany czy trzeźwy, wiedział o tym.

W swojej karierze pracza mafijnych pieniędzy napotkał niewiele problemów, których nie dałoby się rozwiązać za pomocą ćwierci miliona dolarów w gotówce. Taką też kwotę przywiózł do Grange, żeby zaklepać parcelę Simmons Wood. Potem, kiedy transakcja padła, Clara Markham pojechała do banku wycofać depozyt i pomogła nawet Squiresowi zapakować pieniądze do walizeczki.

Którą niósł teraz nonszalancko przez uśpione ulice Grange. Był piękny, jesienny wieczór, tak inny od wyobrażeń Bernarda o Florydzie. Chłodne powietrze pachniało ziemią i czymś słodkim. Obszedł szopa, drzemiącego pod uliczną latarnią; zwierzak ledwo raczył na niego spojrzeć. Od czasu do czasu zaszczekał pies w obejściu. Z okien domów padał fioletowy poblask telewizyjnych ekranów.

Squires miał nadzieję, że podczas spaceru rozjaśni mu się w głowie, znajdzie wyjście z sytuacji. Dotąd zawsze udawało mu się wyplątać z matni, jeżeli w nią wpadał. Chodził więc i chodził. Wkrótce trafił na tę samą ulicę, na którą zabłądził przed dwoma dniami, stanął pod tym samym dębem, przed tym samym jednopiętrowym budynkiem.

Zza zaciągniętych stor dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji. Na podjeździe stało kilka samochodów.

Bernard Squires znalazł się sam w oświetlonej kaplicy Marii Panny. Nikt nie oblegał posągu, zastygłego w geście błogosławieństwa. Z tej odległości Squires nie potrafił stwierdzić, czy posąg ma w oczach łzy.

Podszedłszy bliżej, dostrzegł samotną postać przy fosie; mężczyzna, owinięty w białą płachtę, siedział z nogami pod brodą.

Nie słysząc śpiewu, Squires podszedł jeszcze bliżej.

- Witaj, pielgrzymie - odezwał się mężczyzna, jakby obserwował go przez cały czas. Jego twarz pozostawała w cieniu.

- Nie przeszkadzam? - zapytał Squires.

- Skąd!

- Z panem wszystko w porządku?

- Nie mógłby być lepiej. - Mężczyzna opuścił nogi i zsunął się do fosy. Kiedy rozłożył ramiona, białe prześcieradło rozděło się wokół niego jak balon.

- Nie jest panu zimno? - zapytał Squires.

- Łdap i tap licórw - padła śpiewna odpowiedź.

„Wrócił Pat i padł” - kolejny z legendarnych tytułów Sinclaira. Nic na to nie mógł poradzić, rodziły się same.

- Po jakimu to? - zapytał Squires.

- Do wody, bracie!

Sinclair był zlakniony towarzystwa. W domu odbywało się hałaśliwa konferencja - Demencio, jego żona, Joan i Roddy, droga, pazerna Marva, burmistrz i dzielny stygmatyk. Omawiali interesy - udziały, procenty od zysków, koncesje -świeckie sprawy, o które Sinclair już nie dbał.

- Wejdz do wody - kusił przybysza i Squires posłusznie wszedł do płytkiej fosy. Nie zdjął drogiej marynarki, nie podciągnął spodni i nie odłożył aktówki.

- Fantastycznie! - zawołał Sinclair.

Kiedy Bernard Squires podszedł bliżej, zauważył coś małego i ciemnego na czole leżącego w wodzie mężczyzny. Z początku myślał, że to kamień albo znamię, ale w pewnej chwili przedmiot przesunął się centymetr czy dwa.

Żył!

- Co to jest? - zapytał szeptem.

- Święty żółw, bracie.

Spod pancerza wyjrzała główka wielkości winnego grona, gładka jak jedwab. Bernard Squires był zafascynowany.

- Mogę go dotknąć?

- Ostrożnie. Tylko on mi pozostał.

- Można?

Następnego dnia, podczas długiego lotu do Rio de Janerio, Bernard Squires opisywał swoje doświadczenia z żółwiem dyrektorce handlowej Reeboxa siedzącej obok niego w biznes class. Opisał jej wrażenie natychmiastowego uciszenia, oderwania od kłopotów, objawienia, co należy uczynić z resztą życia.

Jakby uchylono zasłony na kosmicznym oknie, wpuszczając oślepiającą jasność - takiego porównania użył Bernard Squires, popijając samolotową sherry. Opowiedział ślicznej pani handlowiec o surrealistycznym miasteczku - o płaczącej Madonnie, marzyielskim Żółwiowym Chłopcu, przedsiębiorczym cieśli z dziurami w dłoniach i ekscentrycznej ciemnoskórej milionerce, która pracuje u weterynarza.

A jeszcze później opowiedział kobiecie o sobie; gdzie się urodził, gdzie studiował, o swoich zainteresowaniach, gustach muzycznych, a nawet (w ogólnych zarysach) o swojej pracy. Opowiedział jej mnóstwo rzeczy, nie wspomniał tylko o zawartości aktówki z wężowej skórki spoczywającej w schowku nad ich głowami.

Epilog

Tom Krome wniósł akwarium na werandę i ostrożnie przecisnął się z nim przez drzwi. Dom pełen był smakowitych zapachów - spaghetti i klopsy.

Kiedy wszedł, JoLayne próbowała sos. Była boso, w dżinsach i obszernej koszulce związanej w pasie na supeł.

- Gdzie się podziewałeś? Jestem w nastroju Marthy Stewart! Pośpiesz się, bo się nie załapiesz. - Podbiegła na palcach, żeby zajrzeć do żółwi.

- Jednego brakuje. - Opowiedział jej o apostołach i zdziwaczeniu Sinclaira. - Zrobiło mi się żal faceta, więc dałem mu jednego żółwika. On uważa, że Bartłomieja.

- Co on właściwie z nim robi? - zapytała JoLayne z konsternacją. - Przecież nie...

- Pieści go. I śpiewa jak trubadur.

- Pokochasz to miasto - powiedziała.

Pozostałe żółwie były w dobrej formie, chociaż akwarium wymagało czyszczenia.

- Nie martwcie się, brzdące - zaszcebiotała JoLayne do swoich ulubieńców. - To już nie potrwa długo.

Poczuła ramiona Toma wokół swojej talii.

- Usłyszę dobrą wiadomość? Zostałaś baronową?

JoLayne pasowała go uroczyście warzächlich do sosu. Tom chwycił dziewczynę i okręcił w powietrzu.

- Uważaj na maluchy! - krzyknęła chichocząc.

- Fantastyczne, Jo! Załatwiłaś drani! Masz Simmons Wood.

Usiedli, bez tchu.

- To zasługa Moffitta - przyznała.

Tom uniósł pytająco brwi.

- Powiedział facetowi, że piszesz expose o budowie centrum handlowego - powiedziała JoLayne. - Że artykuł trafi na pierwsze strony gazet. „Inwazja mafii na Grange!”

- Cudowne!
- Podziałało. Squires zwinął manatki. Tom, a jeżeli oni w to uwierzą? Jeżeli przy-
cepią się do ciebie? Moffitt twierdzi, że się nie odważą, ale...
- Ma rację. Mafia nie zabija już dziennikarzy. To psuje interesy. - Krome musiał
podziwiać spryt agenta. - To był wspaniały blef. Szkoda tylko...

- Czego?
- Szkoda, że ja na to nie wpadłem.
JoLayne pocałowała go w nos i poszła do kuchni.
- Chodź, pomożesz mi nakryć do stołu.
Przy obiedzie omawiali warunki kupna lasu. Tom dokonał obliczeń i powiedział:
- Zdajesz sobie sprawę, że po odliczeniu podatków i rat bankowych pozostanie ci
jeszcze sympatyczny dochód?

- Jak bardzo sympatyczny?
- Około trzystu tysięcy rocznie.
- Miła odmiana.
Dobra, pomyślała JoLayne, oto test! Teraz dowiemy się, czy pan Krome jest na-
prawdę inny od Richarda mechanika, Lawrence'a prawnika i całej reszty.
- Myślę, że będzie ci stać na samochód - powiedział Krome.
- Tak? I na co jeszcze?
- Mogłabyś naprawić to stare pianino. I nastroić.
- Zrobione! Co dalej?
- Porządne kolumny stereo - powiedział. - To przede wszystkim. I może odtwarzacz
kompaktowy. Jak szaleć, to szaleć.

- Jasne.
- Nie zapomnij też o nowej strzelbie. Starą wyrzuciliśmy za burtę.
- Co dalej?
- Na tym wyczerpały mi się pomysły - przyznał Krome.
- Jesteś pewien?

Pragnęła całym sercem, by nie ujrzeć pożądanego błysku w jego oczach i nie usły-
szyć słów, które wypowiedzieliby w takiej sytuacji jego poprzednicy. Colavito makler, na
przykład, zaoferowałby, że zainwestuje jej pieniądze we własny interes. Funkcjonariusz
Robert doradziłby, żeby zdeponowała je w policyjnym funduszu kredytowym, aby mógł
potajemnie pobierać wielkie sumy i wydawać na kochanki.

Ale Tom Krome nie snuł tajemnych projektów, nie miał na oku kopalni złota i nie
chciał zaproponować jej spółki.

- Nie mnie radzić w takich sprawach - powiedział. - Ludzie, którzy pracują za pen-
sję w gazecie, nie mają doświadczenia w wydawaniu pieniędzy.

A więc nie poprosił o nic.

I JoLayne wiedziała, że nie powinna mu proponować pieniędzy, ponieważ Tom
uznałby, że chce go rzucić. W tej chwili była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

Facet jest szczery jak złoto, pomyślała. Pierwszy w mojej karierze. Może faktycznie
los się odmienił.

- Musisz mieć własną listę życzeń - powiedział Krome.

- Doktor Crawford potrzebuje nowego aparatu rentgenowskiego.
 - Nie skąp mu, Jo, kup od razu dwa! - Pociągnął ją za zwisające końce koszulki. -
 Drugi raz nie wygrasz w Lotto.
 Miała nadzieję, że jej uśmiech nie zdradzi sekretu.
 - Tom, kto wie, że tu mieszkasz?
 - A mieszkam?
 - Nie bądź taki mądry! Kto jeszcze wie?
 - Nikt, bo co?
 - Zobacz na pianinie - powiedziała. - Biała koperta. Przyszła pocztą.
 Obejrzał ją uważnie. Jego nazwisko zostało wypisane bezkształtnymi drukowanymi literami. Nadawcą musi być ktoś miejscowy - może Demencio. Albo siostra Sinclaira prosi o interwencję.
 - Nie otworzysz? - JoLayne starała się ukryć niecierpliwość.
 - Otworzę, oczywiście. - Przyniósł kopertę do stołu i starannie rozciął widelcem do sałaty. Ze środka wypadł bilet Lotto i wylądował na górcie parmezanu.
 - Co, u diaska! - Tom podniósł papierek za róg, jakby to był dowód z miejsca przestępstwa.
 JoLayne spoglądała na niego niewinnie.
 - Twoje liczby? Pamiętasz je? - Tom był zażenowany, ponieważ ręka mu drżała. -
 Jo, te sześć cyfr...
 - Siedemnaście... - zaczęła wyliczać.
 To niemożliwe, pomyślał Tom.
 - Dziewiętnaście, dwadzieścia dwa...
 Żart, powiedział sobie.
 - Dwadzieścia cztery, dwadzieścia siedem...
 To ten drań, Moffitt! Tylko on mógł wykonać taki numer. Wydrukował fałszywy bilet, dla żartu.
 - Trzydzieści - powiedziała JoLayne. - Takie były moje liczby.
 Bilet sprawiał wrażenie autentycznego; składany i rozkładany nieskończoną ilość razy. Jakby ktoś nosił go przy sobie przez długi czas.
 I Krome siebie przypomniał: tamtego dnia padły dwie wygrane.
 - Tom?
 - Ja nie... To jakieś wariactwo! - Podał jej karteczkę. - Jo, wydaje mi się, że on nie jest podrobiony.
 - Tom!
 - To przyszło pocztą?
 - Nie do wiary - powiedziała. - Nie do wiary!
 - To właściwe słowo.
 - Ty i ja, dwoje największych cyników, jakich ziemia nosiła. To zakrawa na cud.
 - Nie wiem, na co to zakrawa.

Próbował opanować podniecenie i myśleć jak reporter. Na początek lista pytań: Kto przy zdrowych zmysłach oddałby bilet na czternaście milionów dolarów? Dlaczego przysłali go jemu? Skąd wiedzieli, że tutaj jest?

- To wszystko nie ma sensu - powiedział.
- Żadnego - zgodziła się JoLayne. Wałkowała to w myślach ciągle od nowa i nie znalazła logicznego wytłumaczenia, ponieważ nie istniało. Nie wierzyła w cuda, ale rozważała możliwość istnienia boskiej interwencji.
- W biurze loterii powiedziano mi, że druga wygrana padła we Florida City.
- Pół tysiąca kilometrów.
- Wiem, Tom.
- Więc jakim cudem...?
- Kochanie, schowaj go w jakieś bezpieczne miejsce.
- Co teraz zrobimy? - zapytał.
- My? Twoje nazwisko widnieje na kopercie. Ale teraz już chodźmy, zanim się ściemni.

Parę godzin później, kiedy wrócili ze swojej misji i JoLayne zasnęła, Tom Krome znalazł odpowiedź na dręczące go pytania.

Wstał z łóżka, żeby wysłuchać ostatniego wydania wiadomości. Może znaleziono męczyczyn na Pearl Key. Wiedział, że nie ma powodu do niepokoju - żywi czy martwi bandyci niewiele zdradzą, jeżeli nie chcą trafić do więzienia.

Mimo to jakby go przykleiło do odbiornika. Potrzebował dowodu, potwierdzenia, że wydarzenia ostatnich dziesięciu dni nie były snem.

Ale w wiadomościach nie wspomniano o Pearl Key. Postanowił więc, że zaskoczy JoLayne domowymi umiejętnościami i zmyje naczynia. Wyskrobywał z garnka makaron, kiedy zauważył coś na dnie kubła na śmieci.

Niebieska koperta zaadresowana: „Pani, Jo Lane Lucks”.

Wyciągnął ją z kosza i położył na blacie.

Rozciął ją czymś ostrym, prawdopodobnie bardzo długim paznokciem. W środku była kartka, kolorowa akwarela Georgii O'Keeffe.

W środku karty - nic. Ani słowa.

I Tom Krome zrozumiał, jak dostarczono drugi bilet loteryjny. Przyszedł na nazwisko JoLayne.

Chciało mu się płakać, taki był szczęśliwy. I śmiać, taki był zły.

Znów wyprzedziła go o krok. Już zawsze tak będzie. Trzeba się do tego przyzwyczać. Przerastała jego zdolność pojmowania.

Sępy zapełniały mu sny i Chub winił za to czarną kobietę.

Zanim odpłynęła, opowiedziała mu ze szczegółami o zwyczajach sępów czarnych. Niebo nad Pearl Key było ich pełne.

Przylecą po twojego przyjaciela, powiedziała, klękając przy nim na piasku. Nic na to nie poradzisz.

Ludzie myślą, że wszystkie sępy kierują się węchem, ale odnosi się to tylko do sępów kasztanowych. Sępy czarne polują posługując się wyłącznie wzrokiem. Ich gałki oczne są dwudziestokrotnie silniejsze od ludzkich. Kiedy ptaki zaczynają zataczać kręgi, o, tak jak teraz, znaczy się - szukają padliny.

- Szukają czego? - Chub próbował otworzyć również drugie oko, żeby lepiej widzieć ptaki. Palila go gorączka, czuł się zainfekowany od nosa po palce u nóg.

- Padliny - powiedziała czarna kobieta. - Innymi słowy: trupa.

- Rany Julek!

- Trzeba się ruszać, rozumiesz? Nie wolno ci się położyć i zasnąć, ponieważ wezmą cię za nieboszczyka. A kiedy już się na ciebie rzucą, nie daj Boże!... Pamiętaj, co ci powiedziałam. Cały czas ruszaj nogami, rękami... Ruch je odstrasza.

- Ale ja muszę spać!

- Tylko wtedy, gdy jest ciemno. One polują za dnia. W nocy powinieneś być bezpieczny.

Wcisnęła mu w rękę pojemnik z aerozolem.

- Na wszelki wypadek - powiedziała.

- To je powstrzyma? - Chub spoglądał na pojemnik z powątpiewaniem. Bode Gazer kupił go na targach w Lauderdale.

- Grizzly pada od tego jak kawka - powiedziała kobieta. - Dziesięcioprocentowy roztwór oleożywy. Dwa miliony jednostek ciepłych Scoville'a.

- Co to, kurwa, znaczy?

- Petarda! No, powodzenia!

Kilka chwil później usłyszał dźwięk zapuszczanego silnika. Cholera, zostawili go! Porzucili go na tej bezludnej wyspie, z martwym przyjacielem i niebem ciemniejącym od sępów.

Przyleciały po Bode'a wczesnym popołudniem, tak jak przewidziała czarna kobieta. Chub siedział wtedy w mangrowcach, wciągając resztki WD-40. Smar nie miał nawet dziesiątej części mocy kleju, ale Chub uznał, że lepsze to niż nic.

Wyszedł z lasu i zobaczył, jak sępy rozdziobują ochoczo tułów jego współnika. Było ich sześć, siedem, może więcej. Niektóre miały kawałki mięsa w dziobach, inne rozdzięrały materiał kamuflaży. Z nagimi, jakby oskalpowanymi łbami i szerokimi skrzydłami wydały się Chubowi o wiele większe na ziemi niż w powietrzu. Odleciały, kiedy nadbiegł, ale niedaleko, zaledwie na wierzchołki drzew.

Na piasku wokół siebie dostrzegł złowieszcze cienie innych ptaków, zataczających coraz mniejsze kręgi. Wtedy postanowił zostawić ciało Bode'a Gazzera i uciec w bezpieczniejsze rejony wyspy. Chwycił pojemnik z aerozolem i rzucił się między mangrowce. Dotarł do małego wyrębu, tu padł na kolana z wyczerpania.

Wkrótce potem przyśnił mu się pierwszy koszmar: niewidzialne dzioby wrywały mu mięso z twarzy. Obudził się złany potem. W drugim śnie, który zaczął się zaraz po pierwszym, ptaki otoczyły go ciasnym kołem, skrzydło w skrzydło, uniemożliwiając ucieczkę. Obudził się drżący ze strachu.

To wszystko jej wina, czarnej mały z Czarnej Fali - to ona nakładła mu do głowy bzdur o sępach. To tylko ptaki, głupie, śmierdzące ptaszyska.

Mimo to śledził zdrowym okiem ich lot wysoko w górze.

O zmroku wrócił na stare obozowisko, licząc na to, że znajdzie suchy brezent i piwo. Widok papierowej torby w krzakach nasunął mu pomysł, jak przetrwać długą, szarpiącą nerwy noc. Wycisnął jeszcze raz tubę po kleju, lecz nic w niej nie zostało, potem wstrząsnął pojemnikiem oleożywy i wpuścił strumień do torby.

Cholerstwo musi mieć moc, skoro zwala z nóg pieprzonego grizzly, pomyślał.

Chub nie słyszał nigdy o jednostkach Scoville'a, ale zakładał, że dwa miliony dadzą deliryczny haj, a tego właśnie potrzebował, żeby nie myśleć o sębach i Bodeanie Gazzerze. Chub zakładał również (błędnie), że oleożywica powoduje jedynie zaburzenia wzrokowe i że da się ją wdychać równie łatwo jak opary zwykłej farby. Zasłonił więc oczy i zrobił głęboki wdech.

Krzyki trwały dwadzieścia pięć minut, torsje dwa razy dłużej.

Chub nigdy nie doświadczył tak wulkanicznej dolegliwości. Skóra, gardło, oczy, płuca, usta paliły go żywym ogniem. Uderzał się na osłep, próbując usunąć truciznę, ale wtargnęła do jego organizmu porami. Oszałały z bólu, darł skórę paznokciami do krwi.

W końcu jego siły się wyczerpały. Leżał bez ruchu, rozważając sytuację. Najprostszym wyjściem było samobójstwo, łatwa ucieczka od cierpienia, ale Chub nie czuł się gotowy. Może, gdyby miał swojego kolta... Ale nie stać go było na to, by się powiesić czy podciąć sobie żyły.

Mógłby również walnąć się w łeb i przeczekać w nieświadomości najgorsze bóle, ale nie potrafił zapomnieć słów czarnej małpy. Musi się ruszać! Po wschodzie słońca utrata świadomości mogła okazać się niebezpieczna. Im bardziej martwo się wygląda, tym prędzej sukinsyny przylecą.

Więc Chub starał się zachować przytomność. W końcu pragnął już tylko zostać uratowanym, zabranym z wyspy. I było mu wszystko jedno, czy helikopter ratowniczy okaże się czarny, czerwony czy kanarkowożółty i czy za sterem będzie siedział czarnuch, Żyd czy komuch najeżdźca. Nie dbał również o to, czy odstawi go do Miami czy prosto do więzienia Raiford, czy nawet do tajemnej fortecy NATO na Bahamach. Najważniejsze, by wydostać się z tego strasznego miejsca. Wydostać się!

I gdyby następnego ranka helikopter ratowniczy faktycznie patrolował Florida Bay i zniżył lot nad Pearl Key, załoga ujrzałaby widok, który z pewnością skłoniłby pilota do ponownego przelotu nad wyspą.

Samotny nagi mężczyzna gestami wzywający pomocy.

Przez potężne szkła lornetki obserwator dostrzegłby, że uwięziony mężczyzna ma szary, cienki kucyk i ciało poznaczone zakrzepłymi grudkami krwi, jedno ramię zabandażowane i dłoń spuchniętą do rozmiarów rękawicy bokserskiej. Że jego spalona słońcem twarz nosi ślady zadrapań, a jedna powieka jest czarna i obwisła.

Żałoga helikoptera wyraziłaby podziw dla rozbitka, który mimo poważnych obrażeń i widocznego cierpienia skonstruował urządzenie sygnalizacyjne. Powiązane gałęzie mangrowca tworzyły długi maszt, na końcu którego powiewał jaskrawy strzęp materiału.

Ale takiej załogi nie było. Żaden helikopter nie pojawił się nad Pearl Key ani tego ranka, ani następnego. Nie pojawił się przez wiele, wiele dni.

Nikt nie szukał Onusa Gillespie, ponieważ nikt nie wiedział, że zaginął.

Każdego ranka stawał na najbardziej nasłonecznionym skrawku wyspy i machał zaimprowowaną flagą do srebrzystych punktów wysoko na niebie - 727 z Miami, F-16 z Boca Chica, learów z North Palm Beach.

Skończyło się piwo, potem suszone mięso wołowe, potem świeża woda. Któregoś dnia Chub położył się na chropawym piachu plaży i już się nie poruszył. Wtedy przyleciały sępy, tak jak przepowiedziała czarna dziwka.

Dziewięć miesięcy później kłusownik znalazł czaszkę, dwie kości udowe, zardzewiały pojemnik po aerozolu i brezentową płachtę. Zaintrygował go zwłaszcza maszt ręcznej roboty z wypłowiałą flagą - parą skąpych pomarańczowych szortów, z rodzaju tych jakie noszą kelnerki Hootersa.

W drodze do Simmons Wood dzielili się radiem. Tom dostał Claptona, JoLayne - Bonnie Raitt i Natalie Cole (pod pozorem, że „Layla” liczy się za dwie piosenki). Wdali się w dyskusję o gitarzystach - to jeszcze była biała plama w ich znajomości. JoLayne ucieszyła się, że Tom zalicza Roberta Craya do panteonu, i w nagrodę odstąpiła mu kolejkę do radia. Przyjechali do Simmons Wood przy akompaniamencie „Fortunate Son”.

JoLayne wyskoczyła z wozu, podbiegła do tablicy „Na sprzedaż” i triumfalnie wywalała ją z ziemi. Tom wyjął żółwie z bagażnika i jeden po drugim zapakował do bawełnianej poszewki na poduszkę.

- Ostrożnie - poprosiła JoLayne.

Świątynna cisza ogarnęła ich z chwilą, gdy znaleźli się w lesie. W milczeniu doszli do strumienia i JoLayne usiadła na urwisku. Poklepała ziemię obok siebie.

- Zapraszam - powiedziała.

Słońce zachodziło, na niebie pozostała już tylko blada luna. JoLayne wskazała parę dzikich nurogęsi w wodzie. Na brzegu grasował szop.

Tom pochylił się, żeby lepiej widzieć. Zachowywał się jak chłopiec w wielkim muzeum.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Kiedy tu jestem, wydaje mi się, że wszystko jest możliwe. Wszystko!

- Tak właśnie powinno być.

- Bo czym jest cud? Czymś bardzo względnym. Rodzi się w mózgu człowieka.

- Lub w jego sercu. Hej, jak się miewają moje maluszki?

Tom zajrzał do poszewki.

- Podeksycytowane. Chyba wiedzą, co się szykuje.

- Poczekajmy, aż szop sobie pójdzie.

JoLayne uśmiechnęła się do siebie, otaczając ramionami kolana. Skądś poderwały się jaskółki i przemknęły ponad linią drzew. Tomowi wydawało się nawet, że słyszy rżenie konia, ale JoLayne wyjaśniła, że to sowa.

- Nauczę się - obiecał.

- Tu niedaleko jest jeszcze jeden kawał lasu. Kiedyś widziałam w nim ślad niedźwiedzia.

W mroku Tom nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Czarnego niedźwiedzia - powiedziała. - Nie był to grizzly. Żeby zobaczyć grizzly, trzeba jechać na Alaskę.

- Wystarczy mi jakikolwiek stary niedźwiedź.

- Tamta ziemia też jest na sprzedaż. Nie wiem tylko, ile hektarów.
 - Clara będzie wiedziała.
 - To prawda. Chodź, już czas.
- Ruszyli wzdłuż brzegu strumienia, wkładając żółwika do wody.
- Wiesz, że one żyją dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat? Czytałam artykuł w „Bio-Science”...
- Szeptła - Tom nie wiedział dlaczego, ale wydawało się to naturalne i właściwe.
- Pomyśl tylko - ciągnęła. - Za dwadzieścia lat będziemy mogli usiąść na urwisku i patrzeć, jak wygrzewają się na kamieniach. Będą wtedy wielkości wojskowego hełmu, całe omszałe. Nie mogą się doczekać.
- Tom sięgnął do worka i wyjął ostatniego.
- Czerwonobrzuszek - powiedziała. - Czyń honory, panie Krome.
- Tom położył żółwika na płaskim kamieniu. Spod pancerza wyjrzała maleńka główka, potem ukazały się pękate nóżki.
- Patrz na niego! - powiedziała JoLayne.
- Żółwik gramolił się niezdarnie, jak nakręcana zabawka, po czym z cichym pluśnięciem wylądował w wodzie.
- Do zobaczenia, kolego. Miłego życia! - Wyciągnęła do Toma obie ręce. - Muszę cię o coś zapytać.
 - Wal!
 - Napiszesz o tym artykuł?
 - Nigdy! - powiedział.
 - Ale przyznaj, że miałam rację. Byłaby to niezła historia.
 - Miałas rację. Ale nigdy nie przeczytasz o tym w gazecie.
 - Dziękuję ci.
 - Może w powieści - powiedział, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Ale nie w gazecie.
 - Tom, ja cię zabiję! - Śmiała się, biegnąc za nim w stronę wysokich sosen.